HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM III

WYDAWNICTWO «W DRODZE»

JEROZOLIMA

HENRYK SIENKIEWICZ

POTOP

POWIEŚĆ

TOM III

WYDAWNICTWO «W DRODZE»

Jerozolima

Printed in Palestine at The Jerusalem Press Ltd. Jerusalem
July, 1943

ROZDZIAŁ I.

Wierny Soroka wiózł swego pułkownika przez lasy głębokie. sam nie wiedząc, dokąd jechać, co począć, gdzie się obrócić.

Kmicic nietylko był ranny, ale i ogłuszony wystrzałem. Soroka od czasu do czasu maczał szmatę w kuble wiszącym przy koniu i obmywał mu twarz; chwilami zatrzymywał się dla poczerpnięcia świeżej wody przy strumieniach i jeziorkach leśnych, ale ani woda, ani postoje, ani ruch konia, nie zdołały zrazu wrócić panu Andrzejowi przytomności — i leżał jak martwy, aż żołnierze jadący razem, a mniej doświadczeni w rzeczach ran od Soroki, poczęli się troskać, czy żyje.

— Żyje, — odpowiedział Soroka, — za trzy dni tak będzie na koniu siedział, jak każdy z nas.

Jakoż w godzinę później Kmicic otworzył oczy i z ust jego wydobyło się jedno tylko słowo:

— Pić!

Soroka przytknął blaszankę z czystą wodą do jego warg, lecz pokazało się, że otwarcie ust sprawia panu Andrzejowi ból nieznośny — i nie mógł pić. Ale przytomności już nie stracił; jednakże o nic nie pytał, jak gdyby nic nie pamiętał; oczy miał szeroko otwarte i patrzył bezmyślnie na głębie leśne, na szmaty błękitnego nieba widne nad głowami między gęstwiną i na swoich towarzyszów; patrzył tak, jak człowiek zbudzony ze snu lub otrzeźwiony z upicia i pozwolił,

mówiąc ani słowa, opatrywać się Soroce, nie jęczał przy rozwiązywaniu bandażów, owszem, zimna woda, którą wachmistrz obmywał ranę, zdawała się sprawiać mu przyjemność, bo czasem uśmiechał się oczyma.

A Soroka pocieszał go:

— Jutro, panie pułkowniku, dur przejdzie. Da Bóg, że się uchronim.

Jakoż pod wieczór odurzenie poczęło istotnie przechodzić, bo przed samym zachodem słońca, Kmicic spojrzał przytomniej i nagle spytał:

— Co tu taki szum?

— Jaki szum? Niema żadnego — odpowiedział Soroka.

I widocznie szumiało tylko w głowie pana Andrzeja, bo wieczór był pogodny. Zachodzące słońce, przenikając skośnemi promieniami w gęstwinę, przesycało złotemi blaskami mrok leśny i bramowało czerwone pnie sosen. Wiatr nie wiał — i tylko tu i owdzie z leszczyny, brzóz i grabów spływały liście na ziemię, albo zwierz pierzchliwy czynił lekki szelest, pomykając w głębiny boru przed jezdnymi.

Wieczór był chłodny, jednakże gorączka poczęła widocznie chwytać pana Andzeja, bo po kilkakroć powtórzył:

— Mości książę! między nami na śmierć i życie!

Ściemniło się wreszcie zupełnie i Soroka myślał już o noclegu, ale że weszli w mokry bór i błoto poczęło chlupotać pod kopytami, jechali więc dalej, aby dobrać się do wysokich i suchych części lasu.

Jechali godzinę i drugą, nie mogąc przebrać się przez bagno. Tymczasem uczyniło się znów widniej, bo zeszedł księżyc w pełni. Nagle Soroka, jadący na przedzie, zeskoczył z kulbaki i począł pilno rozpatrywać grunt leśny.

— Konie tędy szły, — rzekł, — widać ślady na błocie.

— Kto mógł tędy przejeżdżać, kiedy tu żadnej drogi niema? — rzekł jeden z żołnierzy podtrzymujących pana Kmicica.

— Ale ślady są — i to kupa cała! Ot, tam, między sosnami, widać jasno jak na dłoni.

— Może bydło chodziło.

— Nie może być. Nie pora leśnych pastwisk, widać wyraźnie kopyta, jużci jacyś ludzie musieli tędy przejeżdżać. Dobrzeby było choćby budę leśniczą znaleźć.

— To jedźmy śladem.

— Jazda!

Soroka wskoczył znowu na konia i ruszyli. Ślady kopyt, w torfiastym gruncie, ciągle były wyraźne, a niektóre, o ile przy świetle księżyca można było miarkować, wydawały się zupełnie świeże. Jednakże konie zapadały do kolan i wyżej. Już obawiali się żołnierze, czy przebrną, czy głębsze jeszcze topiele nie odkryją się przed nimi, gdy po upływie pół godziny do nozdrzy ich doszedł zapach dymu i żywicy.

— Smolarnia tu musi być! — rzekł Soroka.

— A ot! tam skry widać! — rzekł żołnierz.

I rzeczywiście wdali ukazała się smuga czerwonawego, przesyconego płomieniem dymu, około której skakały iskry tlejącego pod ziemią ogniska.

Zbliżywszy się, ujrzeli żołnierze chatę, studnię i dużą szopę, zbitą z bierwion sosnowych. Konie zmęczone drogą poczęły rżeć — liczne rżenia odpowiedziały im z pod szopy, a jednocześnie przed jezdnymi stanęła jakaś postać ubrana w kożuch, przewrócony wełną nawierzch.

— A siła koni? — spytał człowiek w kożuchu.

— Chłopie! Czyja to smolarnia? — rzekł Soroka.

— Coście wy za jedni? Skądeście się tu wzięli? — pytał znowu smolarz głosem, w którym widoczny był przestrach i zdziwienie.

— Nie bój się! — odpowiedział Soroka — nie zbóje!

— Jedźcie w swoją drogę, nic tu po was!

— Zamknij pysk i do chaty prowadź, dopóki prosim. A nie widzisz, chamie, że rannego wieziem.

— Coście za jedni?

— Pilnuj, abym ci z rusznicy nie odpowiedział. Lepsi od ciebie, parobku! Prowadź do chaty, a nie, to cię we własnej smole ugotujem.

— Jeden się przed wami nie obronię, ale będzie nas więcej. Gardła wy tu położycie!

— Będzie i nas więcej, prowadź!

— To i chodźcie, nie moja sprawa.

— Co masz jeść dać, to daj — i gorzałki. Pana wieziemy, który zapłaci.

— Byle stąd żyw wyjechał.

Tak rozmawiając weszli do chaty, w której na kominie palił się ogień, a z garnków postawionych na trzonie rozchodził się zapach duszonego mięsiwa. Izba była dość przestronna. Soroka zaraz na wstępie zauważył, iż pod ścianami stało sześć tapczanów, okrytych obficie baraniemi skórami.

— To tu jakaś kompania mieszka — mruknął do towarzyszów. — Podsypać rusznice i czuj duch! Tego chama pilnować, by nie umknął. Niechże dzisiejszej nocy kompania śpi na dworze, bo my z izby nie ustąpim.

— Panowie nie przyjadą dziś — rzekł smolarz.

— To i lepiej, bo nie będziem się o kwaterę spierali, a jutro sobie pojedziem; — odparł Soroka — tymczasem wykiń mięsiwo na misę, bośmy głodni i koniom owsa nie żałuj.

— A skądby tu owsa wziąć przy smolarni, wielmożny panie żołnierzu?

— Słyszeliśmy konie pod szopą, to musi być i owies; smołą ich nie żywisz.

— To nie moje konie.

— Czy twoje, czy nie twoje, jeść muszą, jako i nasze. Żywo, chłopie! żywo! jeśli ci skóra miła.

Smolarz nie odrzekł nic. A tymczasem żołnierze złożyli śpiącego pana Andrzeja na tapczanie — poczem sami zasiedli do wieczerzy i jedli chciwie duszone mięsiwo wraz z bigosem, którego obszerny sagan znalazł się na kominie. Były także i jagły, a w komorze, przy izbie, znalazł Soroka spory gąsiorek gorzałki.

Jednakże sam zlekka się tylko zakropił i żołnierzom

pić nie dał, bo postanowił mieć się przez noc na baczności. Ta opróżniona chata z tapczanami na sześciu mężów i z szopą. w której rżało stado koni, wydała mu się dziwną i podejrzaną. Sądził poprostu, że to jest schronisko zbójeckie, tem bardziej, że w tej samej komorze, z której wyniósł gąsiorek, odkrył sporo oręża pozawieszanego na ścianach i beczkę prochu, oraz rozmaite rupiecie, widocznie w dworach szlacheckich porabowane. Na wypadek, gdyby nieobecni mieszkańcy tej chaty wrócili, nie można było spodziewać się od nich nietylko gościnności, ale nawet miłosierdzia, zamierzył więc Soroka zająć zbrojną ręką chatę i utrzymać się w niej przemocą lub drogą układów.

Było to konieczne i ze względu na zdrowie Kmicica, dla którego podróż mogła stać się zgubą i ze względu na wspólne wszystkich bezpieczeństwo. Soroka był to żołnierz kuty i bity, któremu jedno tylko uczucie obcem było, to jest uczucie trwogi. A jednak teraz na wspomnienie księcia Bogusława, strach go brał. Zostając z dawnych lat w służbie Kmicica, wierzył on ślepo nietylko w męstwo, ale i w szczęście młodego pana; widział niejednokrotnie jego czyny, przechodzące zuchwalstwem miarę wszelką i graniczące prawie z szaleństwem, które jednak udawały się i uchodziły płazem. Odbył z Kmicicem wszystkie „podchody“ pod Chowańskiego, brał udział we wszystkich zabijatykach, napadach, zajazdach, porwaniach i doszedł do przekonania, że młody pan wszystko może, wszystko potrafi, z każdej toni się wyratuje i każdego, kogo zechce, pogrąży. Kmicic tedy był dla niego uosobieniem największej potęgi i szczęścia — a owóż widocznie teraz trafił swój na swego — nie! widocznie pan Kmicic trafił na lepszego od siebie... Jakto? Jeden mąż, który był już w ręku Kmicica, porwany, bezbronny, zdołał wydostać się z jego rąk i mało tego: obalić samego Kmicica, pogromić jego żołnierzy i przerazić ich tak, że zbiegli, bojąc się jego powrotu? Był to dziw nad dziwy i Soroka głowę tracił, myśląc o tem — wszystkiego się bowiem na tym świecie spodziewał, tylko nie tego, by

znalazł się ktoś taki, ktoby po panu Kmicicu przejechał.

— Zali skończyło się już nasze szczęście? — mruczał do siebie, rozglądając się ze zdumieniem dokoła.

Więc choć dawniej, bywało, szedł z zamkniętemi oczyma za panem Kmicicem na kwatery Chowańskiego, otoczone ośmdziesięciotysiączną armją, teraz na wspomnienie tego długowłosego księcia z panieńskiemi oczyma i różową twarzą, ogarniał go zabobonny przestrach. I sam nie wiedział co czynić. Przerażała go myśl, że jutro lub pojutrze trzeba będzie zjechać na bite trakty, na których może ich spotkać sam straszliwy książę lub jego pogoń. Dlatego to właśnie zjechał z drogi w głębokie lasy — a obecnie pragnął zostać w onej leśnej chacie, pókiby się nie zmyliły i nie znużyły pogonie.

Lecz że i to schronisko z innych powodów nie wydawało mu się bezpiecznem, chciał wiedzieć, czego się trzymać i w tym celu kazał żołnierzom strażować przy drzwiach i oknach chaty, a sam rzekł do smolarza:

— Weź chłopie latarnię i chodź ze mną.

— Chyba łuczywem wielmożnemu panu zaświecę, bo niemasz latarni.

— To świeć łuczywem; spalisz szopę i konie, wszystko mi jedno!

Na takie dictum, latarnia znalazła się zaraz w komorze. Soroka kazał chłopu iść naprzód, sam zaś szedł za nim z pistoletem w garści.

— Kto tu mieszka w tej chacie? — pytał po drodze.

— Panowie mieszkają.

— Jak ich zowią?

— Tego mi nie wolno powiedzieć.

— Widzi mi się, chłopie, że weźmiesz w łeb!

— Mój jegomość. — odpowiedział smolarz, — jeślibym zełgał jakie przewisko, to też musiałbyś się jegomość kontentować.

— Prawda jest! A siła tych panów?

— Jest stary pan i dwóch paniczów i dwóch czeladzi.

— Jakże to, szlachta?

— Pewnie, że szlachta.

— I tu mieszkają?

— Czasem tu, a czasem Bóg wie gdzie!

— A te konie skąd?

— Panowie naprowadzają. a skąd. Bóg wie!

— Rzeknij prawdę, nie rozbijają twoi panowie na gościńcu?

— Czy ja, mój jegomość, wiem? Widzi mi się, że konie biorą, a komu, to nie moja głowa.

— A co z końmi robią?

— Czasem wezmą sztuk dziesięć, dwanaście, ile jest i popędzą, a dokąd, to też nie wiem.

Tak rozmawiając, doszli do szopy, z której słychać było parskanie koni i weszli do środka.

— Świeć! — rzekł Soroka.

Chłop podjął latarnię w górę i począł oświecać konie stojące szeregiem przy ścianie. Soroka opatrywał jednego po drugim okiem znawcy i głową kręcił, językiem mlaskał i mruczał:

— Nieboszczyk pan Zend radby był... Są polskie, moskiewskie... a ten wałach niemiec... i ona klacz także... Zacne konie. A co im dajecie?

— Żeby nie zełgać, mój jegomość, tom tu dwie polanki owsem obsiał jeszcze z wiosny.

— To twoi panowie od wiosny konie sprowadzają?

— Nie, ale mi czeladnika z rozkazem przysłali.

— Toś ty ich?

— Ja byłem ich, nim na wojnę poszli.

— Na jaką wojnę?

— Czy ja wiem, mój jegomość. Poszli daleko, jeszcze zeszłego roku, a wrócili latem.

— A czyj teraz jesteś?

— To królewskie lasy.

— Kto cię tu osadził na smolarni?

— Borowy królewski. panów krewny, który z nimi też

konie prowadzał, ale jak raz z nimi pojechał, tak i więcej nie wrócił.

— A goście jacy tu u panów nie bywali?

— Tu nikt nie trafi, bo bagna naokoło i tylko jedno przejście; dziwno mi to, mój jegcmość, żeście trafili, bo kto nie trafi, tego i bagno wciągnie.

Soroka chciał zrazu odpowiedzieć, że i te lasy i to przejście zna dobrze, ale po chwili namysłu postanowił lepiej zamilczeć, a natomiast spytał:

— A duże to bory?

— Chłop nie zrozumiał pytania.

— Jakto?

— Daleko idą?

— Oj, kto je tam przeszedł: jedne się kończą, drugie zaczynają, a Bóg tam wie, gdzie ich niema. Ja tam nie był.

— Dobrze! — rzekł Soroka.

To rzekłszy, kazał chłopu wrócić i sam zawrócił do chaty.

Po drodze rozmyślał, co mu czynić przystoi i wahał się. Z jednej strony przychodziła mu ochota, korzystając z nieobecności mieszkańców chaty, brać konie jak swoje i z rabunkiem umykać. Łup był cenny i konie bardzo przypadły do serca staremu żołnierzowi, ale po chwili zwalczył pokusę. Wziąć łatwo, jeno co dalej czynić? Bagna naokoło, jedno wyjście — jak do niego trafić? Przypadek raz posłużył, ale może nie posłużyć drugi raz. Iść śladem kopyt nanic, boć pewnie mieszkańcy mieli tyle rozumu, że poczynili umyślnie śladowe drogi fałszywe i zdradne, wiodące wprost do topieli. Soroka znał dobrze proceder ludzi, którzy konie kradną lub łupem biorą.

Myślał więc i rozważał, nagle uderzył się pięścią w głowę.

— Kiep ze mnie! — mruknął — toż wezmę chłopa na postronek i każę się wyprowadzić na gościniec.

Nagle wstrząsnął się, wymówiwszy ostatni wyraz.

— Na gościniec? A tam ten książę i pogoń...

— Piętnaście koni trzeba stracić! — rzekł sobie w duchu stary wyga, z takim żalem, jakby te konie od małego wyhodował. — Nie może być inaczej, tylko skończyło się nasze szczęście. Trzeba siedzieć w chacie, póki pan Kmicic nie wyzdrowieje, siedzieć z wolą mieszkańców, albo bez woli, a co potem będzie, to już pułkownika głowa.

Tak rozmyślając, wrócił do chaty. Czujni żołnierze stali przy drzwiach i choć widzieli zdala latarkę migocącą w ciemności, tęż samą, z którą Soroka i smolarz wyszli, przecie kazali im się opowiedzieć, kto są, zanim puścili ich do chaty. Soroka dał ordynans, by strażujący zmienili się o północku, sam zaś rzucił się na tapczan obok Kmicica.

W chacie uczyniło się cicho, jeno świerszcze rozpoczęły zwykłą muzykę, w przyległej komórce myszy chrobotały w nagromadzonych tam rupieciach, od czasu do czasu zaś chory budził się i marzył widocznie gorączkowo, bo do uszu Soroki dolatywały bezładne jego słowa:

— Miłościwy królu, odpuść... Tamci zdrajcy... Wszystkie ich sekreta powiem... Rzeczpospolita sukno czerwone... Dobrze mam cię, mości książę... Trzymaj!... Miłościwy królu!... Tędy, bo tam zdrada!

Soroka podnosił się na tapczanie i słuchał, lecz chory zakrzyknąwszy raz i drugi, zasypiał, a potem znów budził się i wołał:

— Oleńka, Oleńka, nie gniewaj się!...

Dopiero koło północy uspokoił się zupełnie i zasnął na dobre. Soroka też począł drzemać, ale wnet zbudziło go ciche pukanie do drzwi chaty.

Czujny żołnierz otworzył oczy natychmiast i zerwawszy się na równe nogi, wyszedł z chaty.

— A co tam? — spytał.

— Panie wachmistrzu, smolarz uciekł.

— Do stu djabłów! wnet on nam tu zbójów naprowadzi. A kto jego pilnował?

— Biłous.

— Poszedłem z nim konie nasze poić — rzekł, tłuma-

cząc się, Biłous. — Kazałem mu wiadro ciągnąć, a sam szkapy trzymałem...

— I co? w studnię skoczył?

— Nie, panie wachmistrzu, jeno między pnie, co ich wedle studni siła leży naciętych i w karczowe doły. Puściłem konie, bo choćby się rozbiegły, to tu są drugie i skoczyłem za nim, alem w pierwszym dole utknął. Noc, ciemno, juoha zna miejsce, tak i pomknął... Żeby go mór trafił!

— Naprowadzi on nam tu djabłów, naprowadzi... Żeby go pioruny zatrzasły!...

Wachmistrz uciął, a po chwili rzekł:

— Nie będziemy się kładli, trzeba czuwać do rana; lada chwila kupa nadejść może.

I dając przykład innym, sam zasiadł na progu chaty z muszkietem w ręku, żołnierze zaś siedli koło niego, gwarząc między sobą zcicha, to podśpiewując półgłosem, to nasłuchując, czy wśród nocnych odgłosów boru nie dojdzie ich tętent i parskanie zbliżających się koni.

Noc była pogodna i księżycowa, ale hałaśliwa. W głębinach leśnych wrzało życie. Była to pora bekowiska, więc puszcza brzmiała naokół groźnemi rykami jeleni. Odgłosy owe krótkie, chrapliwe, pełne gniewu i zaciekłości rozlegały się naokoło, we wszystkich częściach lasu, w głębiach i bliżej. czasem tuż tuż, jakby o sto kroków za chatą.

— Jeśli oni nadejdą, to też będą porykiwać, by nas zmylić — rzekł Biłous.

— E! tej nocy nie nadejdą. Nim chłop do nich zdąży to i dzień będzie! — odrzekł inny żołnierz.

— Po dniu, panie wachmistrzu, zdałoby się chatę przetrząść i pod ścianami pokopać, bo jeśli zbóje tu mieszkają to i skarby być muszą.

— Najlepsze skarby w onej stajni — odparł Soroka, wskazując ręką na szopę.

— A pobierzem?

— Głupiście! tu wyjścia niema, jeno bagna wkoło.

— A przecieśmy przyjechali.

— Bóg nas przeprowadził. Żywa dusza tu nie przyjdzie, ani nie wyjdzie, jeśli drogi nie zna.

— Po dniu znajdziem.

— Nie znajdziem, bo umyślnie nakluczono i ślady są mylne. Nie trzeba było chłopa puszczać.

— Wiadomo, że gościniec o dzień drogi — rzekł Biłous — i w tamtej stronie...

Tu wskazał palcem na wschodnią część lasu:

— Będziem jechali. póki nie przejedziemy — ot co!

— To myślisz, żeś już pan, jak będziesz na trakcie? Lepsza ci tu kula rozbójnika, niż tam stryczek.

— Jakto, ojcze? — rzekł Biłous.

— Bo tam już pewno nas szukają.

— Kto, ojcze?

— Książę.

Tu Soroka umilkł nagle, a za nim umilkli i inni, jakby zdjęci przestrachem.

— Oj! — rzekł wreszcie Biłous. — Tu źle i tam źle; kruty ne werty!

— Nagnali nas jak siromachów w sieci; tu zbóje, a tam książę! — rzekł inny żołnierz.

— Niech ich tam piorun zapali! Wolę mieć sprawę ze zbójem niż z charakternikiem, — odpowiedział Biłous, — bo że ten książę niesamowity, to niesamowity. Zawratyński to przecie z niedźwiedziem wpół się brał, a on mu szablę wydarł jako dziecku. Nie może inaczej być, tylko go zaczarował, bo i to jeszcze widziałem, że jak się potem na Witkowskiego rzucił, to w oczach urósł, jak sosna. Żeby nie to, nie byłby ja jego żywego puścił.

— I tak kiep z ciebie, żeś na niego nie skoczył.

— Co miałem robić, panie wachmistrzu? Myślałem tak: siedzi na najlepszym koniu, więc jak zechce, to ucieknie, a natrze, to się nie obronię, boć z charakternikiem nie ludzka moc! W oczach ci zginie, albo kurzawą się zakręci...

— Prawda jest, — rzekł Soroka, — że gdym do niego strzelał, to go jakoby mgłą zasuło... i chybiłem... Z konia

każdemu się chybić trafi, gdy się szkapa kręci, ale z ziemi, to mi się od dziesięciu lat nie zdarzyło.

— Co tu gadać! — rzekł Biłous — lepiej policzyć: Lubieniec, Witkowski, Zawratyński, nasz pułkownik — i wszystkich jeden mąż obalił i to broni nie mający, takich ludzi, z których każdy z czterema nieraz rady sobie dawał. Bez djabelskiej pomocy nie mógłby on tego dokazać.

— Polećmy dusze Bogu, bo jeśli on niesamowity, to mu djabeł i tu drogę pokaże.

— A i bez tego długie on ma ręce, jako pan taki...

— Cicho-no! — rzekł nagle Soroka — coś tu po liściach szeleszcze.

Żołnierze umilkli i nadstawili uszu. W pobliżu istotnie dały się słyszeć jakieś ciężkie kroki, pod któremi opadłe liście szeleściały bardzo wyraźnie.

— Konie słychać — szepnął Soroka.

Lecz kroki poczęły oddalać się od chaty, a wkrótce potem rozległo się groźne i chrapliwe beczenie jelenia.

— To jelenie! Byk się łaniom oznajmia, albo drugiego rogala straszy.

— W całym lesie gody, jakoby się djabeł żenił.

Umilkli znowu i poczęli drzemać, jeno wachmistrz podnosił czasem głowę i nasłuchiwał przez chwilę, poczem głowa opadała mu zaraz na piersi. Tak zeszła godzina i druga, aż nakoniec sosny najbliższe, z czarnych uczyniły się szare a wierzchołki bielały coraz bardziej, jakoby je kto roztopionem srebrem namaścił. Ryki jelenie umilkły i cisza zupełna zapanowała w głębiach leśnych. Zwolna brzask począł przechodzić w świtanie, białe i blade światło jęło wsiąkać w siebie różowe i złote blaski, nakoniec nastał dzień zupełny i oświecił znużone twarze żołnierzy, śpiących twardym snem pod chatą.

Wtem drzwi się otwarły, Kmicic ukazał się w progu i zawołał:

— Soroka! bywaj!

Żołnierze zerwali się na równe nogi.

— Dlaboga, to wasza miłość na nogach — rzekł Soroka.

— A wy pospaliście się jak woły; możnaby wam łby poucinać i za płot powyrzucać, nimby się który rozbudził.

— Czuwaliśmy do rana, panie pułkowniku, zasnęliśmy dopiero o dniu białym.

Kmicic rozejrzał się dokoła.

— Gdzie jesteśmy?

— W lesie, panie pułkowniku.

— To i ja widzę. Ale co to za chałupa?

— Tego my sami nie wiemy.

— Chodź za mną! — rzekł pan Andrzej.

I cofnął się do wnętrza chaty. Soroka podążył za nim.

— Słuchaj, — rzekł Kmicic, siadłszy na tapczanie — wszakże to książę do mnie strzelił?

— Tak jest.

— A co się z nim stało?

— Uszedł.

Nastała chwila milczenia.

— To źle! — rzekł Kmicic — bardzo źle! Lepiej było go położyć, niż żywego puszczać.

— My tak i chcieli, ale...

— Ale co?

Soroka opowiedział pokrótce co się stało. Kmicic słuchał nad podziw spokojnie, jeno oczy poczęły mu gorzeć, a w końcu rzekł:

— Tedy on górą, ale się jeszcze spotkamy. Czemuś zjechał z gościńca?

— Bałem się pogoni.

— To i słusznie, bo pewno była. Za mało nas teraz na Bogusławową potęgę... djablo za mało!... Przytem on do Prus ruszył, tam nie możemy go ścigać, trzeba czekać...

Soroka odetchnął. Pan Kmicic widocznie nie obawiał się znów tak bardzo księcia Bogusława, skoro o pościgu mówił. Ta ufność udzieliła się odrazu staremu żołnierzowi,

przywykłemu myśleć głową swego pułkownika i czuć jego sercem.

Tymczasem pan Andrzej zamyślił się głęboko, nagle ocknął się i jął szukać czegoś koło siebie rękoma.

— A gdzie to moje listy? — spytał.

— Jakie listy?

— Którem miał przy sobie... W pasie były zatknięte: gdzie pas? — pytał gorączkowo pan Andrzej.

— Pas ja sam odpiąłem z waszej miłości, żeby waszej miłości lepiej było dychać, ot tam leży.

— Dawaj!

Sorcka podał skórzany pas, podszyty irchą, w której były ściągane na sznurki kieszenie. Kmicic rozciągnął je i wydobył pośpiesznie papiery.

— To glejty do komendantów szwedzkich, a gdzie listy? — rzekł pełnym niepokoju głosem.

— Jakie listy? — powtórzył Soroka.

— Do kroćset piorunów! listy hetmana do króla szwedzkiego do pana Lubomirskiego i te wszystkie, które miałem...

— Jeżeli w pasie ich niema, to nigdzie niema. Musiały zginąć w czasie jazdy.

— Na koń i szukać! — krzyknął straszliwym głosem Kmicic.

Lecz zanim zdumiony Soroka zdołał opuścić izbę, pan Andrzej zatoczył się na tapczan, jakby mu sił zbrakło i porwawszy się rękoma za głowę, począł powtarzać jęczącym głosem:

— Aj!... moje listy, moje listy!...

Tymczasem żołnierze odjechali, prócz jednego, któremu Soroka rozkazał strażować przy chałupie. Kmicic pozostał sam w izbie i począł rozmyślać nad własnem położeniem, które nie było godne zazdrości. Bogusław uszedł. Nad panem Andrzejem zawisła straszliwa i nieunikniona zemsta potężnych Radziwiłłów. I nietylko nad nim, ale nad wszystkimi, których kochał, a krótko mówiąc, nad Oleńką.

Wiedział to Kmicic, że książę Janusz nie zawaha się uderzyć go tam, gdzie będzie go mógł zranić najboleśniej, to jest wywrzeć zemstę na osobie Billewiczówny. A wszakże Oleńka była w Kiejdanach na łasce i niełasce straszliwego magnata, którego serce nie znało miłosierdzia. Im więcej Kmicic rozmyślał nad swem położeniem, tem jaśniej dochodził do przekonania, że było ono poprostu straszne. Po porwaniu Bogusława, Radziwiłłowie będą go mieli za zdrajcę; stronnicy Jana Kazimierza, ludzie sapieżyńscy i konfederaci zbuntowani na Podlasiu, mają go także za zdrajcę, za potępioną duszę radziwiłłowską. Wśród licznych obozów, stronnictw i obcych wojsk zalegających w tej chwili pola Rzeczypospolitej, nie było ani jednego obozu, ani jednej partji, ani jednego wojska, któreby go nie poczytywało za największego i najzaciętszego wroga. Wszakże istnieje nagroda wyznaczona przez Chowańskiego za jego głowę, a teraz wyznaczą ją Radziwiłłowie. Szwedzi — a kto wie, czy już nie wyznaczyli i stronnicy nieszczęsnego Jana Kazimierza. — O! tom piwa nawarzył, a teraz pić muszę! — myślał Kmicic. Porywając księcia Bogusława, porwał go dlatego, by rzucić go pod nogi konfederatów, przekonać ich niezbicie, że z Radziwiłłami zrywa i wkupić się między nich, zdobyć sobie prawo walczenia za króla i ojczyznę. Z drugiej strony Bogusław w jego ręku był zakładnikiem bezpieczeństwa Oleńki. Lecz teraz, gdy Bogusław pogromił Kmicica i uszedł, nietylko znikło bezpieczeństwo Oleńki, ale i dowód, że pan Kmicic szczerze porzucił radziwiłłowską służbę. Wszakże otwarta mu droga do konfederatów i jeśli trafi na oddział Wołodyjowskiego i jego przyjaciół pułkowników, może darują mu życie, ale czy za towarzysza przyjmą, czy mu uwierzą, czy nie pomyślą, że przybył na przeszpiegi, albo dlatego, by ducha psuć i ludzi do Radziwiłłów przeciągać? Tu wspomniał, że ciąży na nim krew konfederacka, wspomniał, że on to pierwszy zbił zbuntowanych Węgrów i dragonów w Kiejdanach, że rozpraszał zbuntowane chorągwie lub zmuszał je do poddania, że rozstrzeliwał opor-

nych oficerów i wycinał żołnierzy, że szańczykami otoczył i umocnił Kiejdany, a przez to Radziwiłłowi triumf na Żmudzi zapewnił... — Jakże mi tam iść? — pomyślał sobie — tożby im zaraza milszym była gościem niż moja osoba! ... Z Bogusławem na arkanie przy siodle — możnaby, ale z gębą tylko i gołemi rękoma!...

Gdyby miał choć owe listy, to choćby się niemi do konfederatów nie wkupił, miałby przynajmniej przez nie księcia Janusza w ręku, boć owe listy mogły podkopać kredyt hetmana nawet u Szwedów... Więc za ich cenę możnaby było Oleńkę uratować...

Lecz zły duch jakiś sprawił, że i listy zginęły.

Kmicic, gdy wszystko myślą ogarnął, porwał się raz drugi za głowę.

— Zdrajcam dla Radziwiłłów, zdrajca dla Oleńki, zdrajca dla konfederatów, zdrajca dla króla!... Zgubiłem sławę, cześć, siebie, Oleńkę!...

Rana w twarzy paliła go jeszcze, ale w duszy piekł go żar stokroć boleśniejszy. Bo na dobitkę wszystkiego, cierpiała w nim i miłość własna rycerska. Był przecie przez Bogusława sromotnie pobity. Niczem były owe cięgi, które mu w Lubiczu sprawił pan Wołodyjowski. Tam pokonał go mąż zbrojny, którego na parol wyzwał, tu jeniec bezbronny, którego miał w ręku.

Z każdą chwilą rosło w Kmicicu poznanie, w jak straszne i haniebne popadł terminy. Im dłużej w nie patrzył, tem jaśniej ich okropność widział i coraz nowe czarne kąty spostrzegał, z których wyglądały: hańba, sromota, zguba dla niego samego, dla Oleńki, krzywdy dla ojczyzny — aż wkońcu ogarnął go przestrach i zdumienie.

— Zali ja to wszystko uczyniłem? — pytał sam siebie.

I włosy powstały mu na głowie.

— Nie może być! Chyba mnie jeszcze febra trzęsie! — zakrzyknął. — Matko Boża, nie może być!...

— Ślepy! głupi warchole! — rzekło mu sumienie —

nie byłoż ci to przy królu i ojczyźnie stanąć, nie byłoż ci posłuchać Oleńki!

I porwał go żal jak wicher. Hej! żeby tak sobie mógł powiedzieć: Szwedzi przeciw ojczyźnie, ja na nich! Radziwiłł przeciw królowi — ja na niego! Dopieroż byłoby mu w duszy jasno i przejrzysto. Dopierożby kupę zebrał zabijaków z pod ciemnej gwiazdy i hasał z nimi, jak Cygan na jarmarku i podchodził Szwedów i po brzuchach im przejeżdżał, z czystem sercem, z czystem sumieniem, dopierożby w sławie, jako w słońcu, stanął kiedyś przed Oleńką i rzekł:

— Już ja nie banit, ale defensor patriae, miłujże mnie, jako ja ciebie miłuję!

A dziś co?

Lecz harda dusza, przywykła sobie folgować, nie chciała zrazu całkiem przyznać się do winy: Radziwiłłowie to tak go pogrążyli, Radziwiłłowie do zguby przywiedli, okryli niesławą, związali ręce, zbawili czci i kochania.

Tu zgrzytnął pan Kmicic zębami, wyciągnął ręce ku Żmudzi, na której Janusz, hetman, siedział jak wilk na trupie — i począł wołać przyduszonym wściekłością głosem:

— Pomsty! pomsty!

Nagle rzucił się w desperacji na kolana w pośrodku izby i począł mówić:

— Ślubuję Ci, Chryste Panie, tych zdrajców gnębić, zajeżdżać!... prawem, ogniem i mieczem ścigać, póki mi pary w gębie, tchu w gardzieli i żywota na świecie! Tak mi Królu Nazareński dopomóż! Amen!

Aż mu jakiś głos wewnętrzny rzekł w tej chwili:

— Ojczyźnie służ, zemsta na potem!!...

Oczy pana Andrzeja płonęły gorączką, wargi miał spiekłe i drżał cały jak we febrze; rękoma wymachiwał i gadając ze sobą głośno, chodził a raczej biegał po izbie, potrącał nogami tapczany, aż wreszcie rzucił się jeszcze raz na kolana.

— Natchnijże mnie, Chryste, co mam czynić, abym zaś nie oszalał!

Wtem doszedł go huk wystrzału, który echo leśne odrzucało od sosny do sosny aż przyniosło, jakoby grzmot do chaty.

Kmicic zerwał się i chwyciwszy szablę, wypadł przed sień.

— Co tam? — spytał żołnierza stojącego u proga.

— Wystrzał, panie pułkowniku!

— Gdzie Soroka?

— Pojechał listów szukać.

— W której stronie strzelono?

Żołnierz ukazał wschodnią część lasu, zarośniętą gęstemi chaszczami.

— Tam!

W tej chwili dał się słyszeć tętent niewidzialnych jeszcze koni.

— Pilnuj! — krzyknął Kmicic.

Lecz z zarośli ukazał się Soroka, pędzący co koń wyskoczy, a za nim drugi żołnierz.

Obaj dobiegli do chaty i zeskoczywszy z koni, wymierzyli z poza nich jakoby z poza szańców, muszkiety ku zaroślom.

— Co tam? — spytał Kmicic.

— Kupa idzie! — odparł Soroka.

ROZDZIAŁ II.

Nastała cisza, ale wkrótce w przyległych chaszczach zaczęło coś łopotać, jakoby dziki szły, jednakże łopot ów, im był bliższy, tem stawał się wolniejszy. Potem znów nastała cisza.

— Ilu ich tam jest? — spytał Kmicic.

— Będzie ze sześciu, a może i ośmiu, bom ich też nie mógł dobrze zliczyć — odparł Soroka.

— To dobra nasza! Nie zdzierżą nam!

— Nie zdzierżą, panie pułkowniku, ale trzeba nam żywcem którego wziąć i przypiec, by drogę pokazał.

— Będzie na to czas. Pilnuj!

Zaledwie Kmicic wymówił: „Pilnuj“ — gdy smuga białego dymu wykwitła z zarośli i rzekłbyś: ptastwo zaszumiało po pobliskiej trawie, o jakie trzydzieści kroków od chaty.

— Hufnalami z garłacza strzelono! — rzekł Kmicic — jeśli muszkietów nie mają, to nic nam nie uczynią, bo z garłaczy od zarośli nie doniesie.

Soroka, trzymając jedną dłonią muszkiet oparty o kulbakę stojącego przed nim konia, drugą dłoń zwinął w kształcie trąbki koło ust i począł krzyczeć:

— A pokaż-no się który z chaszczów, wnet się nogami nakryjesz!

Nastała chwila ciszy, poczem w zaroślach rozległ się groźny głos:

— Coście za jedni?

— Lepsi od tych, co po traktach grasują.

— Jakiem prawem naszliście naszą siedzibę!

— Zbój o prawo pyta! Nauczy was kat prawa, idźcie do kata!

— Wykurzymy was stąd, jak jaźwców!

— A chodź! Patrz jeno, byś się tym dymem sam nie zadławił!

Głos w zaroślach zamilkł, widocznie napastnicy poczęli się naradzać, tymczasem Soroka szepnął do Kmicica:

— Trzeba tu będzie którego zwabić i związać; będziem mieć i zakładnika i przewodnika.

— Ba! — rzekł Kmicic — jeżeli który przyjdzie, to na parol.

— Ze zbójami godzi się i na parol nie zważać.

— Lepiej nie dać! — rzekł Kmicic.

Wtem pytania nowe zabrzmiały od strony zarośli:

— Czego tu chcecie?

Tu sam Kmicic zabrał głos:

— Jakeśmy przyjechali, takbyśmy i pojechali, gdybyś politykę, kpie, znał i od garłacza nie zaczynał.

— Nie osiedzisz się tu, wieczorem przyjdzie nas sto koni!

— Przed wieczorem przyjdzie dwieście dragonów, a bagna cię nie obronią, bo są tam tacy, którzy przejadą, jako i myśmy przejechali.

— Toście wy żołnierze?

— Jużci nie zbóje.

— Z pod jakiej chorągwi?

— A cóżeś to hetman? Nie tobie się będziem sprawiali.

— Po staremu, wilcy tu was ogryzą.

— A was kruki zdziobią.

— Gadajcie, czego chcecie, do stu djabłów! Pocoście do naszej chaty wleźli?

— A chodź-no sam! Nie będziesz z chaszczów gardła darł. Bliżej! bliżej!

— Na parol?

— Parol dla rycerstwa, nie dla zbójów. Chcesz wierz, nie chcesz — nie wierz!

— We dwóch można-li?

— Można!

Po chwili z zarośli, odległych na sto kroków wynurzyło się dwóch ludzi wysokich i pleczystych. Jeden nieco pochylony, musiał być człekiem wiekowym, drugi szedł prosto, jeno szyję wyciągał ciekawie ku chacie; obaj mieli na sobie, półkożuszki oszyte szarem suknem, jakie nosiła pomniejsza szlachta, wysokie jałowicze buty i kapuzy futrzane, naciśnięte na oczy.

— Kiej djabeł! — mruknął Kmicic, przypatrując się pilnie dwom mężom.

— Panie pułkowniku, — zawołał Soroka, — cud chyba, ale to nasi ludzie!

Tamci tymczasem zbliżyli się o kilka kroków, ale nie

mogli rozpoznać stojących przy chacie, bo ich zakrywały konie.

Nagle Kmicic wysunął się naprzód.

Wszelako nadchodzący nie poznali go, bo twarz miał obwiązaną, wstrzymali się jednak i poczęli mierzyć go ciekawie i niespokojnie oczyma.

— A gdzie drugi syn, panie Kiemlicz? — spytał pan Andrzej — czy aby nie poległ?

— Kto to? jakto? co? kto mówi? co? — rzekł stary dziwnym, jakby przestraszonym głosem.

I stanął nieruchomie, otworzywszy szeroko usta i oczy; wtem syn, który jako młodszy, miał wzrok bystrzejszy, zerwał nagle czapkę z głowy.

— O dlaboga! Jezu! ociec! to pan pułkownik! — zakrzyknął.

— Jezu! o słodki Jezu! — zawtórował stary — to pan Kmicic!!

I obaj stanęli w nieruchomej postawie, w jakiej podkomendni witają swych naczelników, a na twarzach ich malowały się równocześnie przestrach i zdumienie.

— Ha! tacy synowie, — rzekł uśmiechając się pan Andrzej, — to z garłacza mnie witacie?

Tu stary zerwał się i począł krzyczeć:

— A bywajcie tu wszyscy! Bywajcie!

Z zarośli ukazało się jeszcze kilku ludzi, między którymi drugi syn starego i smolarz; wszyscy biegli na złamanie karku z gotowemi broniami, nie wiedzieli bowiem, co zaszło, lecz stary znów zakrzyknął:

— Do kolan, szelmy! do kolan! to pan Kmicic! Który tam kiep strzelił? Dawaj go sam!

— Sameś ociec strzelił — rzekł młody Kiemlicz.

— Łżesz! Łżesz jak pies! Panie pułkowniku, kto mógł wiedzieć, że to wasza miłość w naszej sadybie! Dlaboga, oczom jeszcze nie wierzę!

— Jam jest, we własnej osobie! — rzekł Kmicic, wyciągając doń rękę.

— O Jezu! — odpowiedział stary — taki gość w boru. Oczom nie wierzę! Czem my tu waszą miłość przyjmiemy? Żeby my się spodziewali, żeby my wiedzieli!

Tu zwrócił się do synów:

— Ruszże się tam, który bałwanie, do lochu, miodu wynieść!

— Daj ociec klucz od kłódki! — rzekł jeden z synów.

Stary począł szukać w pasie, a jednocześnie spoglądał podejrzliwie na syna.

— Klucz od kłódki? Ale! Znają cię, cyganie; więcej sam wypijesz, niż tu przyniesiesz. Co? sam pójdę! klucza od kłódki mu się chce! Idźcie jeno pnie odwalić, a otworzę i wyniosę ja sam!

— To widzę loszek pod pniami masz ukryty, panie Kiemlicz? — rzekł Kmicic.

— Albo to można co utrzymać z takimi zbójami! — odpowiedział stary, wskazując na synów. — Ojcaby zjedli. Jeszczeście tu! Idźcie pnie odwalić. Tak to słuchacie tego, który was spłodził?

Młodzi kopnęli się żywo za chatę, ku kupom naciętych pni.

— Po staremu, jak widzę, z synami w niezgodzie? — pytał Kmicic.

— Ktoby z nimi był w zgodzie... Bić to umieją, zdobycz brać umieją, ale jak przyjdzie z ojcem się dzielić, to z gardła im muszę moją część wydzierać... Taka mi pociecha! A chłopy jak tury! Proszę waszą miłość do chaty, bo tu chłód kąsa. Dlaboga! taki gość, taki gość! Toż my pod komendą waszej miłości więcej zdobyczy wzięli, niż przez ten cały rok... Chudzizna teraz! bieda! złe czasy i coraz gorsze, a i starość nie radość!... Proszę do chaty, w niskie progi. Dlaboga! ktoby się tu waszej miłości spodziewał!...

Stary Kiemlicz mówił dziwnie prędkim i narzekającym głosem, a mówiąc, rzucał szybkie i niespokojne spojrzenia na wszystkie strony. Był to starzec kościsty i ogromny,

z twarzą wiecznie skrzywioną i tetryczną. Oczy miał kose, również jak i jego dwaj synowie, brwi krzaczaste i takież wąsy, pod któremi sterczała wysunięta niezmiernie naprzód dolna warga, która, gdy mówił, zachodziła mu aż pod nos, jak u ludzi nie mających zębów. Zgrzybiałość jego twarzy dziwne czyniła przeciwieństwo z czerstwością jego postaci, zdradzającej niezwykłą siłę i żwawość. Ruchy miał szybkie, jakby go sprężyna poruszała; głowę ciągle obracał, starając się objąć oczyma wszystko, co go otaczało, zarówno ludzi i rzeczy. Dla Kmicica z każdą chwilą stawał się uniżeńszy, w miarę, jak odzywała się w nim służbistość dla dawnego wodza, bojaźń, a może admiracja, albo i przywiązanie.

Kmicic znał Kiemliczów dobrze, albowiem ojciec i dwaj synowie służyli pod nim za owych czasów, gdy na Białej Rusi prowadził na własną rękę wojnę z Chowańskim. Byli to żołnierze mężni i równie okrutni jak mężni. Syn, Kosma, nosił czas jakiś chorągiew w Kmicowej kupie, ale wkrótce zrzekł się tej zaszczytnej szarży, bo mu przeszkadzała łup brać. Między kosterami i hulajduszami, z jakich składała się Kmicicowa partja, którzy we dnie przepijali i tracili to, co nocą zdobyli krwawo na nieprzyjacielu, Kiemliczowie odznaczali się wielką chciwością. Gromadzili skrzętnie łup i kryli się po lasach. Brali szczególnie łapczywie konie, które sprzedawali później po dworach i miasteczkach. Ojciec bił się nie gorzej od synów bliźniaków, ale po każdej bitwie wydzierał im najznamienitszą część łupu, rozwodząc przytem skargi i żale, że go krzywdzą, grożąc przekleństwem ojcowskiem, jęcząc i narzekając. Synowie warczeli na niego, ale dość głupowaci z natury, pozwolili się tyranizować. Mimo ustawicznych kłótni i swarów, w bitwie stawał jeden za drugiego zaciekle, nie szczędząc krwi. Towarzysze nie lubili ich, ale obawiano się ich powszechnie, w zajściach bowiem bywali straszni. Nawet oficerowie unikali z nimi zaczepki. Jeden tylko Kmicic wzbudzał w nich strach nieopisany, a po Kmicicu, pan Ranicki, któremu, gdy twarz w gniewie pocętkowała się plamami, wówczas drżeli przed nim. Czcili

też w obydwóch ród wysoki, bo Kmicicowie z dawnych czasów górowali w Orszańskiem, a w Ranickim płynęła krew senatorska.

W partji mówiono, że zebrali wielkie skarby, ale nikt dobrze nie wiedział, czy było w tem coś prawdy. Pewnego dnia wysłał ich Kmicic z kilku czeladzi i tabunem zdobycznym koni — od tej pory znikli. Kmicic rozumiał, że polegli, żołnierze mówili, że uszli z końmi, gdyż to była za wielka dla ich serc pokusa. Teraz, gdy ich pan Andrzej ujrzał zdrowych, gdy w szopie podle chaty rżały jakieś konie, a radość i uniżoność starego mieszała się z niespokojnością, pomyślał pan Andrzej, że żołnierze mieli słuszność.

To też gdy weszli do chaty, siadł na tapczanie i wziąwszy się w boki, począł patrzeć prosto w oczy staremu, następnie spytał:

— Kiemlicz! a gdzie to moje konie?

— O Jezu! słodki Jezu! — jęknął stary — Zołtareńkowi ludzie zabrali, pobili nas, poranili, rozproszyli, gnali szesnaście mil, ledwieśmy z życiem uszli. O Matko Najświętsza! Jużeśmy ni waszej miłości, ni partji nie mogli znaleźć. Przygnali nas aż tu, w te bory, na mizerję i głód, do tej chałupy, do tych bagien... Bóg łaskaw, że wasza miłość żywie i zdrowy, choć widzę ranny. Możeby opatrzyć, ziół odciągających przyłożyć... A ci moi synalowie poszli pnie odwalać i zginęli. Co te szelmy tam robią? Gotowi drzwi wysadzić i do miodu się dobrać. Głód tu i mizerja — więcej nic! Grzybami żyjemy, ale dla waszej miłości znajdzie się co wypić i przekąsić... Tamte konie porwali nam, zagrabili... Niema o czem mówić! I nas służby u waszej miłości zbawili; kawałka chleba na starość niema, chyba nas wasza cześć przytuli i napowrót do służby przyjmie.

— Może się to i zdarzyć — odrzekł Kmicic.

W tej chwili weszli dwaj synowie starego: Kosma i Damjan, bliźniacy, chłopy duże, niezgrabne, z ogromnemi głowami, porosłemi całkiem niezmiernie gęstym i twardym

jak szczecina włosem, nierównym, sterczącym koło uszu, tworzącym wichry i fantastyczne czuby na czaszkach. Wszedłszy, stanęli koło drzwi, bo w obecności Kmicica usiąść nie śmieli i Damjan rzekł:

— Loch odwalony.

— Dobrze, — rzekł stary Kiemlicz, — pójdę przynieść miodu.

Tu spojrzał na synów znacząco.

— A tamte konie Zołtareńkowi ludzie zabrali — rzekł z przyciskiem.

I wyszedł z izby.

Kmicic patrzył na dwóch budrysów, stojących pode drzwiami, jakoby toporem zgruba z pni wyciosanych, nagle spytał:

— Co wy teraz robicie?

— Konie bierzem! — odrzekli jednocześnie bliźniacy.

— Komu?

— Komu popadnie.

— A najwięcej?

— Zołtareńkowym.

— To dobrze, nieprzyjaciołom wolno brać, ale jeżeli i swoim bierzecie, toście hultaje, nie szlachta. Co z temi końmi czynicie?

— Ociec w Prusach sprzedają.

— A Szwedom zdarzało się wam odbierać? Bo to tu gdzieś niedaleko szwedzkie komendy? Podchodziliście Szwedów?

Podchodzilim.

— Toście na pojedyńczych napadali, albo na małe kupki! A gdy się bronili, cóż wy wówczas?

— Pralim.

— Aha! praliście! Tedy macie swój rachunek u Zołtareńkowych i u Szwedów i pewnieby wam na sucho nie uszło, gdybyście im w ręce wpadli?

Kosma i Damjan milczeli.

— Niebezpieczny prowadzicie proceder i godniejszy

hultajów, niż szlachty... Nie bez tego też musi być, żeby na was jakie wyroki z dawnych czasów nie ciążyły?

— Jakże nie! — odrzekli Kosma i Damjan.

— Tak i myślałem. Z których wy stron?

— My tutejsi.

— Gdzie ojciec przedtem mieszkał?

— W Borowiczku.

— Jego była wioska?

— W kollokacji z Kopystyńskim.

— A co się z nim stało?

— Usieklim.

— I musieliście uchodzić przed prawem. Kuso z wami, Kiemlicze, i na gałęziach pokończycie! Kat wam poświeci, nie może inaczej być!

Wtem drzwi do izby szkrzypnęły i wszedł stary, niosąc gąsior miodu i dwie szklanki. Wszedłszy, spojrzał niespokojnie na synów i na pana Kmicica, a potem rzekł:

— Idźcie loch zawalić.

Bliźniacy wyszli natychmiast, ojciec zaś nalał miód w jedną szklankę, drugą zaś zostawił próżną, czekając, czy mu Kmicic pić ze sobą pozwoli.

Lecz Kmicic sam pić nie mógł, bo i mówił nawet z trudnością — tak mu rana dolegała. Widząc to stary, rzekł:

— Nie idzie miód na ranę, chybaby samą zalać, żeby się prędzej wypaliła. Wasza miłość pozwoli obejrzeć i opatrzeć, bo to ja się nie gorzej cyrulika znam na tem?

Kmicic zgodził się, więc Kiemlicz zdjął obwiązki i począł patrzeć pilnie.

— Skóra starta, nic to! Kula po wierzchu przeszła, ale przecie napuchło.

— To też jeno dlatego dolega.

— Ale to i dwóch dni niema. Matko Najświętsza! Musiał ktoś okrutnie blisko do waszej miłości strzelić.

— A po czem miarkujesz?

— Bo się i wszystek proch nie zdążył spalić i ziarnka.

jako czarnuszka, pod skórą siedzą. To waszej miłości już zostanie. Teraz jeno chleba z pajęczyną przyłożyć. Okrutnie blisko ktoś strzelił, dobrze, że waszej miłości nie zabił.

— Nie było mi jeszcze pisane. Zagniećże chleba z pajęczyną, panie Kiemlicz, i przyłóż co prędzej, bo mam z tobą pogadać, a szczęki bolą.

Stary spojrzał podejrzliwie na pułkownika, bo w sercu powstała mu obawa, aby ta rozmowa nie tyczyła się znów koni, wrzekomo przez kozaków pobranych, jednakże zaraz zakrzątnął się; zagniótł najprzód zwilżonego chleba, a gdy o pajęczynę nie było w chacie trudno, wnet opatrzył Kmicica.

— Dobrze mi teraz, — rzekł pan Andrzej, — siadaj mości Kiemlicz.

— Według rozkazu pana pułkownika — odparł stary, siadając na brzeżku ławki i wyciągając niespokojnie swą siwą, szczeciniastą głowę ku Kmicicowi.

Lecz Kmicic, zamiast pytać lub rozmawiać, wziął głowę w ręce i zamyślił się głęboko. Poczem wstał i począł chodzić po izbie; chwilami zatrzymywał się przed Kiemliczem i patrzył na niego roztargnionym wzrokiem; widocznie coś rozważał, łamał się z myślami. Tymczasem upłynęło z pół godziny; stary kręcił się coraz niespokojniej.

Nagle Kmicic zatrzymał się przed nim.

— Mości Kiemlicz, — rzekł, — gdzie tu najbliżej stoją te chorągwie, które się przeciw księciu wojewodzie wileńskiemu zbuntowały?

Stary począł mrugać podejrzliwie oczyma.

— Czy wasza miłość chce do nich jechać?

— Jać nie proszę, byś pytał, jeno byś odpowiadał.

— Mówią, że w Szczuczynie jedna chorągiew stanie na kwaterach, ta, która ostatnia tędy ze Żmudzi przechodziła.

— Kto mówił?

— Sami ludzie z pod chorągwi.

— Kto ją prowadził?

— Pan Wołodyjowski.

— To dobrze. Wołaj mi Soroki!

Stary wyszedł i po chwili wrócił z wachmistrzem.

— A listy znalazły się? — pytał Kmicic.

— Niema, panie pułkowniku — odpowiedział Soroka.

Kmicic strzepnął palcami.

— Ej bieda! bieda! Możesz odejść, Soroka. Za te listy, żeście pogubili, warciście wisieć. Możesz odejść. Mości Kiemlicz, masz tu na czem pisać?

— Bodaj, że się znajdzie — odparł stary.

— Choćby ze dwie karty i piór.

Stary zniknął we drzwiach komory, która widocznie była składem wszelkiego rodzaju rzeczy, ale szukał długo. Kmicic tymczasem chodził po izbie i rozmawiał sam ze sobą.

— Czy listy są, czy ich niema (mówił), hetman nie wie, że zginęły i będzie się bał, żebym ich nie opublikował. Mam go w ręku... Chytrość na chytrość! Zagrożę mu, że wojewodzie witebskiemu poszlę. Tak jest! W Bogu nadzieja, że się tego zlęknie.

Dalsze rozmyślania przerwał mu stary Kiemlicz, który wyszedłszy z komory, rzekł:

— Kart jest trzy, ale niema piór i inkaustu.

— Niema piór? A ptastwa tu jakowego niema w lesie? Choćby z rusznicy ustrzelić.

— Jest jastrząb przybity nad szopą.

— Dawaj skrzydło, ruszaj!

Kiemlicz pomknął co prędzej, bo w głosie Kmicica była niecierpliwość i jakoby gorączka. Po chwili wrócił ze skrzydłem jastrzębiem. Kmicic chwycił je, wyrwał lotkę i począł ją temperować własnym puginałem.

— Ujdzie! — rzekł patrząc pod światło — ale łatwiej łby ludziom zacinać, niż pióra! A teraz trzeba inkaustu.

To rzekłszy, odwinął rękaw, zakłuł się silnie w rękę i umoczył pióro we krwi.

— Ruszaj sobie, mości Kiemlicz — rzekł — i ostaw mnie.

Stary wyszedł z izby, a pan Andrzej zaraz rozpoczął pisać:

„Wypowiadam służbę w. x. mości, bo zdrajcom i zaprzańcom nie chcę dłużej służyć. A żem przysiągł na krucyfiksie. że w. x. mości nie opuszczę, to mnie Bóg z tego rozgrzeszy — choćby zasię i potępił, wolę gorzeć za błąd mój, niżeli za jawną i rozmyślną zdradę ojczyzny i Pana mego. W. x. mość wywiodłeś mnie w pole, żem był jako ślepy miecz w twoich ręku, do rozlewania krwi bratniej skory. Tedy na boski sąd w. x. mość wzywam, aby nas rozsądzono, po czyjej stronie była zdrada, a po czyjej czysta intencja. Jeżeli się zaś spotkamy, wonczas, choć wy jesteście potężni i nietylko prywatnego człeka, ale i całą Rzeczpospolitą na śmierć ukąsić możecie, a u mnie jeno szabla w garści, przecie się o swoje upomnę i ścigać w. x. mość będę, do czego mój żal i moje zgryzoty siły mi dodadzą. A to już wasza x. mość wiesz, jeżelim nie z takich co i bez chorągwi nadwornych, bez zamków i armaty zaszkodzić mogą. Póki mi tchu, póty zemsty nad wami, że ni dnia ni godziny pewni być nie możecie. Tak to pewno ma być, jako to jest moja własna krew, którą piszę. Listy w. x. mości mam, które w. x. mość nietylko u króla polskiego, ale i u Szwedów pogrążyć mogą, bo w nich zdrada Rzeczypospolitej jawna, jako i to, że Szwedów też gotowiście odstąpić, byle im się noga posunęła. Choćbyście dwakroć byli potężniejsi — zguba wasza w moich ręku, bo podpisom i pieczęciom każden uwierzyć musi. Tedy w. x. mości zapowiadam tak: jeśliby tam włos spaść miał z tych głów które miłuję, a które w Kiejdanach ostały. owe listy i dokumenta do pana Sapiehy odsyłam, a kopje drukować każę i po kraju rozrzucę. Masz w. x. mość wóz i przewóz: albo po wojnie, gdy spokój w Rzplitej nastanie, oddasz mi Billewiczów, a ja w. x. mości listy, albo jeślibym złą nowinę usłyszał, zaraz pan Sapieha pokaże je Pontusowi. Chce się w. x. mości korony, jeno nie wiem, czy wówczas będzie ją na co włożyć, gdy głowa od polskiego lub szwedzkiego topora upadnie. Lepiej, widzi

mi się, zamianę uczynić — bo choć ja pomsty i potem nie zaniecham, ale już się jeno privatim rozprawiać będziem. Bogu w. x. mość poleciłbym, gdyby nie to, że sam djabelskie auxilia nad boskie przekładasz. — Kmicic".

„P. S. Konfederatów w. x. mość nie wytrujesz, bo będą tacy, co idąc z djabelskiej służby w boską, ostrzegą ich, by ni w Orlu, ni w Zabłudowie piwa nie pili".

Tu zerwał się pan Kmicic i począł chodzić po izbie. Twarz mu pałała, bo go własny list jako ogień rozpalił. List ten był jakoby manifestem wojny z Radziwiłłami, ale przecie czuł pan Kmicic w sobie jakąś nadzwyczajną siłę i gotów był, choćby w tej chwili, stanąć oko w oko potężnemu rodowi, który trząsł całym krajem. On prosty szlachcic, prosty rycerz, on banita prawem ścigany, on, który znikąd nie spodziewał się pomocy, naraził się wszystkim tak, że wszędzie za nieprzyjaciela był poczytywany; on, niedawno zwyciężony, czuł teraz w sobie taką potęgę, iż widział już jakby proroczem okiem upokorzenie książąt Janusza i Bogusława i swoje zwycięstwo. Jak będzie prowadził wojnę, gdzie znajdzie sprzymierzeńców, w jaki sposób zwycięży, nie wiedział — co więcej: nie namyślał się nad tem. Wierzył tylko głęboko, że czyni to, co uczynić powinien, że słuszność i sprawiedliwość, zatem i Bóg, będzie z nim. To napawało go ufnością bez miary i granic. Uczyniło mu się na duszy lżej znacznie. Otwierały się przed nim jakby całkiem jakieś nowe krainy. Siąść tylko na koń i jechać mu tam, a dojedzie do czci, sławy i do Oleńki.

— Przecie jej włos z głowy nie spadnie: — powtarzał sobie z gorączkową jakąś radością — listy ją obronią... Będzie jej hetman strzegł, jak oka w głowie... jak ja sam! Otom sobie poradził! Robak ja lichy, a przecie się mego żądła ulękną.

Nagle przyszła mu taka myśl:

— A żeby i do niej napisać? Posłaniec, który powiezie list do hetmana, może i jej wręczyć kartę sekretnie. Jakże

nie oznajmić jej, żem z Radziwiłłami zerwał i że innej idę szukać służby?

Ta myśl trafiła mu wielce zrazu do serca. Zaciąwszy się na nowo w rękę, umoczył pióro i począł pisać: „Oleńko, już ja nie radziwiłłowski, bom wreszcie przejrzał...“ Lecz nagle przerwał — pomyślał chwilę a potem rzekł sam do siebie:

— Niechże uczynki, nie słowa świadczą odtąd za mnie; nie będę pisał!

I podarł kartę.

Natomiast napisał na trzeciej krótki list do Wołodyjowskiego, w następujących słowach:

„Mości pułkowniku! Niżej podpisany przyjaciel ostrzega, abyście się mieli na baczności, tak wm. pan jak i inni pułkownicy. Były listy hetmańskie do x. Bogusława i p. Harasimowicza, aby waszmościów truć lub chłopom na kwaterach kazać mordować. Harasimowicza niema, bo z x. Bogusławem do Prus, do Tylży wyjechał, ale podobne rozkazy mogą być i do innych ekonomów. Tych się waszmościowie strzeżcie, więc nic od nich nie przyjmujcie i po nocach bez straży nie sypiajcie. Wiem to także pewno, że pan hetman pociągnie wkrótce z wojskiem na waszmościów, czeka tylko na jazdę, której mu półtora tysiąca komunika ma jenerał de la Gardie nadesłać. Tedy baczcie, aby was nie zaskoczył i pojedyńczo nie znosił. A najlepiej poszlijcie pewnych ludzi do pana wojewody witebskiego, aby osobą swą co najprędzej nadjechał i komendę nad wszystkimi objął. Życzliwy to radzi — wierzcie mu! Tymczasem kupy się trzymajcie, chorągiew od chorągwi niedaleko kwatery wybierając, abyście jedni drugim na pomoc iść mogli. Hetman mało ma jazdy, jeno trochę dragonów i Kmicicowych ludzi, ale niepewnych. Kmicica samego niema, któremu hetman jakąś inną funkcję obmyślił, bo podobno już mu nie ufa. Któren też nie jest taki zdrajca, jak powiadają, jeno uwiedziony. Bogu was polecam. — Babinicz“.

Pan Andrzej nie chciał kłaść pod listem własnego nazwiska, sądził bowiem, że ono w każdym musi wzbudzić

wstręt, a zwłaszcza nieufność. — Jeżeli rozumieją (myślał sobie), że lepiej im będzie wymykać się przed hetmanem, niż kupą mu zajść drogę, tedy, obaczywszy moje nazwisko, zaraz będą podejrzewali, że umyślnie w kupę ich chcę zebrać, aby hetman jednym zamachem mógł z nimi skończyć; pomyślą, że to nowa sztuka, a od jakiegoś Babinicza prędzej przyjmą przestrogę.

Babiniczem zaś nazwał się pan Andrzej od miasteczka Babinicze, leżącego niedaleko Orszy, które od prastarych czasów do Kmiciców należało.

Napisawszy więc ów list, w którego końcu umieścił kilka nieśmiałych słów na własną obronę, doznał nowej w sercu pociechy na myśl, że oto już tym listem pierwszą oddaje usługę. nietylko panu Wołodyjowskiemu i jego przyjaciołom, ale wszystkim pułkownikom, którzy ojczyzny dla Radziwiłła nie chcieli porzucić. Czuł przytem, że ta nić będzie się snuła dalej. Terminy, w które popadł. były istotnie ciężkie, niemal desperackie. ale przecie znalazła się jakaś rada, jakoweś wyjście, jakaś wąska ścieżka, która mogła na gościniec wyprowadzić.

Lecz teraz, gdy wedle wszelkiego prawdopodobieństwa Oleńka była zabezpieczona od zemsty księcia wojewody, a konfederaci od niespodziewanego napadu, zadał sobie pan Andrzej pytanie, co sam będzie czynił.

Zerwał ze zdrajcami, spalił za sobą mosty, chciał teraz służyć ojczyźnie, ponieść jej w ofierze siły, zdrowie, gardło — ale jak to uczynić? jak zacząć? do czego przyłożyć ręki?

I znów przyszło mu do głowy:

— Iść do konfederatów...

Lecz jeśli nie przyjmą, jeśli zdrajcą ogłoszą i usieką, albo co gorzej sromotnie wypędzą?

— Wolejby usiekli — zakrzyknął pan Andrzej i spłonął ze wstydu i poczucia własnej sromoty. — Podobnoż to łatwiej ratować Oleńkę, łatwiej konfederatów, niż sławę własną.

Tu dopiero rozpoczynały się prawdziwie desperackie terminy.

I znów junacka dusza poczęła kipieć.

— Albo to nie mogę czynić, jakom przeciw Chowańskiemu czynił? — rzekł do siebie. — Kupę zbiorę, będę Szwedów najeżdżał, palił, ścinał. Nie nowina mi to! Nikt im się nie oparł, ja się oprę, aż przyjdzie chwila, że jako Litwa pytała tak cała Rzeczpospolita spyta, kto ów junak, który sam jeden śmie lwu w paszczę włazić? Wtedy czapkę zdejmę i powiem: „Patrzcie, to ja, Kmicic!

I taka porwała go chęć paląca do tej krwawej roboty, że już chciał wypaść z izby, kazać na koń siadać Kiemliczom, ich czeladzi, swoim i ruszać.

Lecz nim doszedł do drzwi, uczuł nagle jakoby go coś pchnęło w piersi i odtrąciło od proga. Stanął na środku izby i patrzył przed siebie zdumiony.

— Jakżeto? Zali tem win nie zmażę?

I wnet począł rozprawę z własnem sumieniem.

— A gdzie pokuta za winy? — pytało sumienie. — Tu trzeba czego innego!

— Czego? — pytał Kmicic.

— Czemże możesz zgładzić winy, jeśli nie służbą jakowąś ciężką i niezmierną, a uczciwą i czystą jako łza... Zali to służba zebrać kupę hultajów i buszować z nimi jako wicher po polu i puszczy? Zali nie dlatego jej pragniesz, że ci pachnie zabijatyka jako psu pieczeń? Taże to zabawa, nie służba — kulig, nie wojna, rozbój, nie ojczyzny obrona! A czyniłżeś tak przeciw Chowańskiemu i cóżeś wyjeździł? Łotrzykowie, co po lasach grasują, gotowi także napadać na komendy szwedzkie, a ty skąd weźmiesz innych ludzi? Szwedów naszarpiesz, ale i obywateli naszarpiesz, pomstę na nich ściągniesz i co wskórasz? Sianem się, kpie, chcesz wywinąć od pracy i pokuty!

Tak to mówiło w panu Kmicicu sumienie, a pan Kmicic widział, że ma słuszność i złość go brała i żal jakiś do własnego sumienia, że taką gorzką mówiło prawdę.

— Co ja pocznę? — rzekł wreszcie — kto mi poradzi, kto mnie wyratuje?

Tu kolana poczęły się giąć jakoś pod panem Andrzejem, aż wreszcie ukląkł przy tapczanie i począł się modlić głośno i prosić z całej duszy i serca:

— Jezu Chryste, Panie miły, — mówił, — jakoś się na krzyżu nad łotrem ulitował, tak zlituj się i nade mną. Oto pragnę obmyć się z grzechów moich, nowy żywot rozpocząć i ojczyźnie poczciwie służyć, ale nie wiem jak, bom głupi. Służyłem tamtym zdrajcom, Panie, też nietyle ze złości, ale jako właśnie z głupoty; oświeć mnie, natchnij, pociesz w desperacji mojej i ratuj w miłosierdziu Swojem, bo zginę...

Tu głos zadrgał panu Andrzejowi, począł się bić w pierś szeroką, aż grzmiało w izbie i powtarzać:

— Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu! Bądź miłościw mnie grzesznemu!

Poczem złożywszy ręce i wyciągnąwszy je do góry, tak dalej mówił:

— A Ty, Panienko Najświętsza, przez heretyków w tej ojczyźnie insultowana, wstaw się za mną do Syna Swego, zstąp ku ratunkowi memu, nie opuszczaj mnie w utrapieniu i biedzie mojej, abym Tobie mógł służyć, insulta Twoje pomścić i w godzinę skonania mieć Cię za patronkę przy nieszczęsnej duszy mojej!

A gdy tak błagał pan Kmicic, łzy poczęły mu padać jak groch z oczu, nakoniec spuścił głowę na tapczan i trwał w milczeniu, jakby czekając na skutek swej żarliwej modlitwy. Nastała cisza w izbie i tylko mocny szum pobliskich sosen dochodził z zewnątrz. Wtem zaskrzypiały wióry pod ciężkiemi krokami za oknem i dwa głosy poczęły rozmawiać:

— A co myślicie, panie wachmistrzu, gdzie stąd pojedziem?

— Albo ja wiem! — odparł Soroka. — Pojedziem, taj tylko! Może hen! do króla, któren pod szwedzką ręką jęczy.

— Zali to prawda, że go wszyscy opuścili?

— Ale go Pan Bóg nie opuścił.

Kmicic powstał nagle od tapczana, a twarz miał jasną i spokojną; szedł prosto ku drzwiom i otworzywszy drzwi od sieni, rzekł do żołnierzy:

— Konie mieć gotowe, w drogę czas!

ROZDZIAŁ III.

Wnet ruch uczynił się między żołnierzami, którzy radzi byli wyjechać z lasu na daleki świat, tem bardziej, że bali się jeszcze pościgu ze strony Bogusława Radziwiłła, a stary Kiemlicz poszedł do chaty, rozumując, że Kmicic będzie go potrzebował.

— Wasza miłość chce jechać? — rzekł wchodząc.

— Tak jest! Wyprowadzisz mnie z lasu. Znasz tu wszystkie pasy?

— Znam, ja tutejszy... A dokąd wasza miłość chce jechać?

— Do króla jegomości.

Stary cofnął się ze zdumieniem.

— Panno mądra! — zakrzyknął — do jakiego króla wasza miłość?

— Jużci nie do szwedzkiego.

Kiemlicz nietylko nie ochłonął, ale począł się żegnać.

— To wasza miłość chyba nie wie, co ludzie powiadają, że król jegomość na Śląsk się schronił, bo go wszyscy opuścili. Kraków nawet w oblężeniu.

— Pojedziem na Śląsk.

— Ba, a jakże się przez Szwedów przedostać?

— Czy po szlachecku, czy po chłopsku, czy na kulbace, czy piechotą, wszystko jedno, byle się przedostać!

— Toż to i czasu okrutnego trzeba...

— Mamy czasu dość... Ale radbym jak najprędzej...

Kiemlicz przestał się dziwić. Stary zbyt był chytry, aby

się nie domyślić, że jest jakiś szczególny i tajemniczy powód w tem przedsięwzięciu pana Kmicica i zaraz tysiące przypuszczeń poczęło mu się cisnąć do głowy. Lecz że żołnierze Kmicicowi, którym pan Andrzej milczenie nakazał, nic nie rzekli ni staremu, ni synom o porwaniu księcia Bogusława, tedy najprawdopodobniejszem wydało mu się przypuszczenie, że to zapewne książę wojewoda wileński wysyła młodego pułkownika z jakąś misją do króla. Utwierdzało go w tem mniemaniu zwłaszcza to, że poczytywał Kmicica za gorliwego stronnika hetmańskiego i o jego zasługach względem hetmana wiedział, albowiem skonfederowane chorągwie roznicsły o nich wieść po całem województwie podlaskiem, czyniąc Kmicicowi opinję okrutnika i zdrajcy.

— Hetman posyła zaufanego do króla, — pomyślał stary, — to znaczy, że się pewnie z nim godzić chce i Szwedów odstąpić. Musiały mu się już naprzykrzyć ich rządy... Pocóż inaczejby posyłał?...

Stary Kiemlicz niedługo się silił nad rozwiązaniem tego pytania, bo chodziło mu zupełnie o co innego, a mianowicie o to, jakąby korzyść mógł dla siebie z takich terminów wyciągnąć. Oto, jeżeli przysłuży się Kmicicowi, przysłuży się zarazem hetmanowi i królowi, co nie będzie bez znacznej nagrody. Łaska takich panów przyda się także, gdyby przyszło ze starych grzechów zdawać rachunek. Przytem pewnie będzie wojna, kraj rozgorzeje, a wtedy łup sam lezie w ręce. To wszystko uśmiechnęło się staremu, który i bez tego przywykł był słuchać Kmicica, a nie przestał się go bać jak ognia, żywiąc zarazem ku niemu pewien rodzaj afektu, jaki pan Andrzej umiał wzbudzać we wszystkich podkomendnych.

— Wasza miłość — rzekł — musi całą Rzeczpospolitą przejechać, by się do króla jegomości dostać. Nic to jeszcze komendy szwedzkie, bo miasta można omijać i lasami jechać... Ale gorsze to, że i po lasach, jako zwyczajnie w niespokojnym czasie, pełno kup swawolnych, które podróżnych napastują, a wasza miłość ludzi ma mało...

— Pojedziesz ze mną, panie Kiemlicz, razem z synami i z ludźmi, których masz, to będzie nas więcej.

— Wasza miłość rozkaże, to i ja pojadę, ale jam człek ubogi. Jedna nędza u nas, więcej nic. Jakże mnie to onej chudoby i dachu nad głową ustąpić?

— Co uczynisz, to się opłaci, a i dla was lepiej głowy stąd unieść, póki jeszcze na karkach siedzą.

— Wszyscy święci Pańscy!... Co wasza miłość mówi?... co?... Jakto?... Co mnie niewinnemu tu grozi? Komu my w drogę wchodzim?...

Na to pan Andrzej:

— Znają was tu, hultaje! Mieliście kollokację z Kopystyńskim i usiekliście go, potem zbiegliście przed sądami i służyliście u mnie; potem uprowadziliście mi tabun zdobyczny...

— Jako żywo! Panno można! — zakrzyknął stary.

— Czekaj i milcz! potem wróciliście do starego legowiska i poczęliście grasować w okolicy, jako zbóje, konie i łup wszędy biorąc. Nie wypieraj się, bo ja nie twój sędzia, a sam najlepiej wiesz, jeżeli prawdę mówię... Bierzecie konie Zołtareńkowym, to dobrze, bierzecie Szwedom, to dobrze. Jak was złapią, to i ze skóry złupią, ale to ich rzecz.

— Godzi się to, godzi, bo nieprzyjaciołom tylko bierzem — rzekł stary.

— Nieprawda jest, bo i swoich napadacie, co mi już twoi synalowie wyznali, a to już prosty rozbój i szlacheckiemu imieniowi zakała. Wstyd wam, hultaje!... Chłopami wam być, nie szlachtą!

Poczerwieniał na to stary wyga i rzekł:

— Wasza miłość krzywdzi nas, bo my, pamiętając na stan nasz, chłopskim procederem się nie bawim. My koni nocą z niczyich stajen nie wyprowadzamy. Co innego z łąk stadko porwać, albo zdobyć. To wolno i niemasz w tem ujmy w wojennych czasach dla szlachcica. Ale koń w stajni święta rzecz i chyba Cygan, Żyd, albo chłop go ukradnie,

nie szlachcic! My tego, wasza miłość, nie czynim. Ale co wojna, to wojna!

— Choćby i dziesięć wojen było, w bitwie jeno możesz łup brać, a jeśli go na gościńcu szukasz, toś hultaj!

— Bóg świadkiem naszej niewinności.

— Aleście już tu piwa nawarzyli. Krótko mówiąc, lepiej wam stąd uchodzić, bo prędzej później stryczek was nie minie. Pojedziecie ze mną; wierną służbą zmażecie winy i cześć odzyskacie. Biorę was do służby, a już tam i korzyść się znajdzie lepsza, niż z onych koni.

— Pojedziem z waszą miłością wszędy, przeprowadzim przez Szwedów i przez hultajów, bo prawdę waszej miłości rzec, to nas tu źli ludzie okrutnie prześladują, a za co? a za co?... Za nasze ubóstwo — nic! jak za ubóstwo... Może też Bóg zmiłuje się nad nami i poratuje nas w utrapieniu!

Tu stary Kiemlicz mimowoli zatarł ręce i błysnął oczyma.

— Od tych robót — pomyślał sobie — zagotuje się w kraju jak w kotle, a wtedy głupi nie skorzysta.

Wtem Kmicic spojrzał na niego bystro.

— Jeno nie próbuj mnie zdradzić! — rzekł groźnie — bo nie zdzierżysz, a ręka Boska jedna zdoła cię wówczas wyratować!

— To się po nas nie pokazało — odrzekł ponuro Kiemlicz — i niech mnie Bóg potępi, jeśli mi taka myśl w głowie powstała.

— Wierzę, — rzekł po krótkim milczeniu Kmicic, — bo zdrada, to jeszcze co innego niż hultajstwo i niejeden hultaj przecie tego nie uczyni.

— Co wasza miłość teraz rozkaże? — zapytał Kiemlicz.

— Najprzód są dwa listy, potrzebujące prędkiej ekspedycji. Masz-li ludzi roztropnych?

— Gdzie mają jechać?

— Jeden niech jedzie do księcia wojewody, ale nie potrzebuje samego widzieć. Niech jeno list odda w pierwszej książęcej chorągwi i wraca, nie czekając odpowiedzi.

— Smolarz pojedzie, to człek roztropny i bywały.

— Dobrze. Drugi list trzeba odwieźć ku Podlasiowi; pytać o chorągiew laudańską pana Wołodyjowskiego i samemu pułkownikowi w ręce oddać...

Stary począł mrugać chytrze i tak myślał:

— To widzę robota na wszystkie strony, kiedy już i z konfederatami się wąchają; będzie ukrop! będzie!...

Poczem rzekł głośno:

— Wasza miłość! Jeśli to nie tak pilne pismo, to możeby, wyjechawszy z lasów, komu po drodze oddać. Siła tu szlachty konfederatom sprzyja i każdy chętnie odwiezie, a nam się jeden więcej człowiek zostanie.

— Toś roztropnie wykalkulował, — rzekł Kmicic, — bo lepiej, żeby ten, co zawiezie list, nie wiedział, od kogo wiezie. A czy prędko wyjedziem z lasów?

— Jak wasza miłość chce. Może jechać i dwie niedziele, albo jutro wyjechać.

— Tedy potem o tem, a teraz słuchaj mnie pilno, Kiemlicz!

— Zważam wszystkim rozumem, wasza miłość.

— Ogłosili mnie — rzekł Kmicic — w całej Rzeczypospolitej za okrutnika i hetmańskiego zaprzedańca, albo zgoła szwedzkiego. Gdyby król jegomość wiedział, ktom jest, mógłby mnie nie ufać i intencją moją wzgardzić, która jeżeli nie jest szczera, Bóg widzi! Uważaj, Kiemlicz!

— Uważam, wasza miłość.

— Tedy nie nazywam się Kmicic, jeno Babinicz, rozumiesz? Nikt nie ma mego prawdziwego przezwiska wiedzieć. Gęby mi nie otworzyć, pary nie puścić. A będą pytać, skąd jestem, to powiesz, żeś się po drodze do mnie przyłączył i nie wiesz; natomiast rzekniesz: kto ciekaw, niech się samego pyta.

— Rozumiem, wasza miłość.

— Synom zapowiesz, czeladzi także. Choćby z nich pasy darto, nazywam się Babinicz. Gardłem mi za to odpowiadacie!

— Tak i będzie, wasza miłość. Pójdę synom zapowiedzieć, bo tym szelmom trzeba łopatą w łeb kłaść. Taka mi z nich pociecha... Bóg pokarał za dawne grzechy... Ot co... Pozwoli wasza miłość słowo jeszcze powiedzieć?

— Mów śmiele.

— Widzi mi się lepiej będzie, jeżeli nie powiemy ni żołnierzom, ni czeladzi, dokąd jedziem?

— Tak ma i być.

— Dość niech wiedzą, że pan Babinicz, nie pan Kmicic jedzie. A po drugie: chcąc w taką drogę jechać, lepiejby ukryć szarżę waszej miłości.

— Jakto?

— Bo Szwedzi glejty znaczniejszym ludziom dają, a kto nie ma glejtu, tego do komendanta prowadzą.

— Ja glejty do komend szwedzkich mam!

Zdziwienie błysnęło w chytrych oczach Kiemlicza, ale pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Wasza miłość pozwoli jeszcze powiedzieć, co myślę?

— Byleś dobrze radził, a nie marudził, to mów, bo widzę, żeś człek obrotny.

— Jeśli glejty są, to i lepiej, bo można w nagłym razie pokazać, ale jeżeli wasza miłość z taką robotą jedzie, która ma zostać tajemna, to lepiej glejtów nie pokazywać. Nie wiem ja, czy one wydane na imię Babinicza, czy na pana Kmicica, ale pokazać, to ślad zostanie i pościg łatwiejszy.

— Jak w sedno utrafiłeś! — rzekł żywo Kmicic. — Wolę glejty zachować na inny czas, jeżeli można inaczej się przedostać!

— Można, wasza miłość, a to w przebraniu chłopskiem, albo chudopacholskiem, co będzie łatwiej, bo u mnie tu jest trochę ochędóstwa jako to czapek i kożuchów szarych, takich właśnie, jak drobna szlachta nosi. Wziąwszy tabunek koni, możnaby pojechać z niemi, niby po jarmarkach i przebierać się coraz głębiej, hen, aż pod Łowicz i Warszawę. Co ja, z przeproszeniem waszej miłości, nieraz już, jeszcze w spo-

kojnych czasach. czyniłem i tamte drogi znam. Jakoś pod tę porę przypada jarmark w Sobocie, na który zdaleka się zjeżdżają. W Sobocie dowiemy się o innych miastach, gdzie jarmark i byle dalej! byle dalej!... Szwedzi też mniej na chudopachołków zważają, bo się mrowie tego po wszystkich jarmarkach kręci. A spyta nas jaki komendant, to mu się wytłumaczym, zaś mniejszym kupom można będzie, jeżeli Bóg i Najświętsza Panna pozwoli, po brzuchach przejechać.

— A jak nam konie zabiorą, bo to rekwizycje w czasie wojny codzienna rzecz?

— Albo kupią, albo zabiorą. Jeśli kupią, tedy nie z końmi, ale niby po konie do Soboty pojedziem, a jeśli zabiorą, podniesiemy lament i ze skargą będziem jechali aż do Warszawy i Krakowa.

— Chytry masz rozum — rzekł Kmicic — i widzę, że mi się przydacie. Choćby też Szwedzi te konie zabrali, to znajdzie się taki, który zapłaci.

— I tak ja miałem do Ełku, do Prus z niemi jechać, to się dobrze składa, bo właśnie tamtędy droga nam wypadnie. Z Ełku pojedziem granicą, potem wyprostujem na Ostrołękę, a stamtąd puszczą aż pod Pułtusk i Warszawę.

— Gdzie to ona Sobota?

— Niedaleko Piątku, wasza miłość.

— Kpisz, Kiemlicz?

— Zaśbym śmiał! — odrzekł stary, krzyżując ręce na piersiach i skłaniając głowę — jeno się tam tak dziwnie miasteczka nazywają. To za Łowiczem, wasza miłość, ale jeszcze kawał drogi.

— I jarmarki znaczne w onej Sobocie?

— Nie takie, jak w Łowiczu, ale jest jeden w tej porze, na który nawet i z Prus konie pędzą i ludu siła się zjeżdża. Pewnie tego roku nie będzie gorzej, bo tam spokojnie. Szwedzi wszędy panują i po miastach załogi mają. Choćby się kto chciał ruszyć, to i nie może.

— Tedy przyjmuję twój sposób!... Pojedziemy z końmi, za które zgóry ci zapłacę, abyś szkody nie miał.

— Dziękuję waszej miłości za poratowanie.

— Przygotuj jeno kożuchy, czapki i szable proste, bo zaraz jedziem. A zapowiedz synalom i czeladzi, ktom jest, jak się nazywam i że z końmi jadę, a wyście do pomocy najęci. Ruszaj!

A gdy stary zwrócił się ku drzwiom, pan Andrzej rzekł jeszcze:

— I nie będzie mnie nikt nazywał miłością, ni komendantem, ani pułkownikiem, jeno waszecią, a z nazwiska Babiniczem!

Kiemlicz wyszedł i w godzinę później siedzieli już wszyscy na koniach, gotowi ruszyć w daleką drogę.

Pan Kmicic, przybrany w szarą chudopacholską świtę, w takąż czapkę z wytartym barankiem i z przewiązaną twarzą, jakby po jakim karczemnym pojedynku, trudny był do poznania i wyglądał istotnie na szlachetkę, włóczącego się z jarmarku na jarmark. Otaczali go ludzie podobnie przybrani, zbrojni w proste szabliska i długie baty do popędzania koni, oraz arkany do chwytania rozbieganych.

Żołnierze spoglądali ze zdziwieniem na swojego pułkownika, czyniąc sobie pocichu różne o nim uwagi. Dziwno im było, że to już pan Babinicz, nie pan Kmicic, że go mają z waszecia traktować, a najbardziej ruszał na to ramionami i wąsami stary Soroka, który, patrząc jak w tęczę w groźnego pułkownika mruczał do Biłousa:

— Chyba mi ów waszeć przez gardziel nie przejdzie. Niech mnie zabije, a ja taki po staremu oddam, co mu się należy!

— Jak rozkaz, to rozkaz! — odrzekł Biłous. — Ale się pułkownik zmienił okrutnie.

Nie wiedzieli żołnierze, że i dusza w panu Andrzeju zmieniła się tak samo, jak i zewnętrzna postać.

— Ruszaj! — krzyknął nagle pan Babinicz.

Zaklaskały bicze, jeźdźcy otoczyli stadko koni, które [illegible] się w kupę i ruszono.

ROZDZIAŁ IV.

Idąc samą granicą między województwem trockiem a Prusami, szli przez lasy obszerne i bezdroża, Kiemliczom tylko znajome, aż weszli do Prus i dotarli do Łęgu, czyli, jak stary Kiemlicz nazywał, do Ełku, gdzie zasiągnęli nowin o rzeczach publicznych od bawiącej tam szlachty, która przed Szwedami pod moc elektorską się schroniła, wraz z żonami, dziećmi i dobytkiem.

Łęg wyglądał jak obóz, a raczej możnaby rzec, że sejmik jakowyś się w nim odprawuje. Szlachta piła pod wiechami piwo pruskie i rozprawiała, a coraz ktoś nowiny przywoził. Nie dopytując się o nic i tylko nadstawiając bacznie ucha, dowiedział się pan Babinicz, że Prusy Królewskie i możne w nich miasta stanowczo opowiedziały się po stronie Jana Kazimierza i już układ z elektorem zawarły, aby się wspólnie przeciw każdemu nieprzyjacielowi bronić. Mówiono jednak, że mimo układu, znamienitsze miasta nie chciały przyjąć załóg elektorskich, bojąc się, aby ów przebiegły książę, raz usadowiwszy się w nich zbrojną ręką, nie chciał potem na zawsze ich zagarnąć, albo żeby w stanowczej chwili ze Szwedami się zdradziecko nie połączył, do czego wrodzona chytrość zdolnym go czyniła.

Szlachta szemrała na tę nieufność mieszczan, ale pan Andrzej, znający praktyki radziwiłłowskie z elektorem, gryzł się tylko w język, by nie wypowiedzieć wszystkiego, co mu było wiadome. Powstrzymywała go od tego myśl, że niebezpiecznie było w Prusach elektorskich mówić głośno przeciwko elektorowi, a po wtóre, że szaremu szlachetce, który na targ z końmi przyjechał, nie wypadało wdawać się w zawiłe materje polityczne, nad którémi najbieglejsi statyści próżno głowy łamali.

Przedawszy więc parę koni, a dokupiwszy natomiast nowych, jechali dalej wzdłuż granicy pruskiej, ale już traktem prowadzącym z Łęgu do Szczuczyna, leżącego

w samym kącie województwa mazowieckiego, między Prusami z jednej a województwem podlaskiem z drugiej strony. Do Szczuczyna samego nie chciał jednak pan Andrzej jechać, a to z tej okazji, że dowiedział się, iż w mieście stoi kwaterą jedna chorągiew konfederacka, której pułkownikuje pan Wołodyjowski.

Widocznie pan Wołodyjowski musiał iść mniej więcej tą samą drogą, którą jechał teraz Kmicic i zatrzymał się w Szczuczynie, bądź dla krótkiego odpoczynku przed samą granicą podlaską, bądź na czasowe kwatery, w której łatwiej musiało być o żywność dla ludzi i koni. niż w mocno już wypłókanem Podlasiu.

Ale pan Kmicic nie chciał napotkać teraz słynnego pułkownika, albowiem sądził, że nie mając innych dowodów, prócz słów, nie zdoła go przekonać o swem nawróceniu i szczerości intencyj. Wskutek tego, w dwóch milach od Szczuczyna kazał skręcić w stronę Wąsoszy, ku zachodowi. Co do listu, który miał dla pana Wołodyjowskiego, postanowił przesłać go przez pierwszą pewną okazję.

Tymczasem, nie dojeżdżając Wąsoszy, zatrzymali się w przydrożnej karczmie, Pokrzyk zwanej i roztasowali się na nocleg, który obiecywał się być wygodny, bo w karczemce, prócz karczmarza Prusaka, nie było nikogo z gości.

Lecz zaledwie Kmicic z trzema Kiemliczami i Soroką zasiedli do wieczerzy, gdy z zewnątrz dał się słyszeć hurkot kół i tętent koni.

Że słońce jeszcze nie zaszło, Kmicic wyszedł przed karczmę popatrzeć, kto przyjeżdża, bo był ciekaw, czy nie jaki podjazd szwedzki, ale zamiast Szwedów, ujrzał brykę, za nią dwa wozy i ludzi zbrojnych około wozów.

Na pierwszy rzut oka łatwo było poznać, że to jakiś personat nadjeżdża. Bryka była zaprzężona w cztery konie, dobre, pruskie, o grubych kościach i malikowatych grzbietach, foryś siedział na jednym z lejcowych, trzymając dwa psy piękne na smyczy; na koźle woźnica, a obok hajduczek przybrany z węgierska, na tylnem zaś siedzeniu sam pan,

wsparty pod boki, z wilczurą bez rękawów, spinaną na rzęsiste złocone guzy.

Ztyłu szło dwa wozy, dobrze pakowne, a przy każdym po czterech czeladzi, zbrojnych w szable i bandolety.

Sam pan, był to człowiek bardzo jeszcze młody, choć personat, lat ledwie dwudziestu kilku. Twarz miał pucołowatą, czerwoną, a i na całej osobie znać było, że sobie na jadło nie żałował.

Gdy bryka stanęła, hajduczek skoczył rękę podawać, a pan ujrzawszy Kmicica stojącego w progu, kiwnął rękawicą i zawołał:

— A bywaj-no przyjacielu!

Kmicic, zamiast się zbliżyć, cofnął się do karczmy, bo go nagle złość wzięła. Nie przywykł jeszcze ani do szarej świty, ani do tego, by nań kiwano rękawicą. Wróciwszy tedy, siadł za stołem i wziął się znowu do jadła. Nieznajomy pan wszedł wślad za nim.

Wszedłszy, przymrużył oczy, bo w izbie mroczno było, gdyż tylko na kominie palił się niewielki ogień.

— A czemu to nikt nie wychodzi, gdy zajeżdżam? — rzekł nieznajomy pan.

— Bo karczmarz poszedł do komory, — odparł Kmicic, — a my podróżni, jako i wasza mość.

— Dziękuję za konfidencję. A co za podróżny?

— Szlachcic z końmi jadący.

— A kompanja także szlachta?

— Chudopachołcy, ale szlachta.

— Tedy czołem, czołem mopankowie. Dokąd Bóg prowadzi?

— Z jarmarku na jarmark, byle tabunku zbyć.

— Jeżeli tu nocujecie, to jutro po dniu obejrzę, może i ja co wybiorę. A tymczasem pozwólcie, mopankowie, przysiąść się do stołu.

Nieznajomy pan pytał wprawdzie, czy mu się przysiąść pozwolą, ale takim tonem, jakby był tego zupełnie pewien, jakoż nie omylił się, bo młody koniucha odrzekł grzecznie:

— Prosim bardzo wdzięcznie waszą mość, choć i nie mamy na co prosić, bo jeno grochem z kiełbasą możem częstować.

— Mam ja w puzdrach lepsze od tego specjały, — odparł nie bez pewnej pychy młody panek, — ale u mnie żołnierskie podniebienie, i groch z kiełbasą. byle dobrze podlany, nad wszystko przekładam.

To rzekłszy (a mówił bardzo powoli, chociaż spoglądał bystro i roztropnie), zasiadł na ławie, gdy zaś Kmicic usunął mu się tak, aby uczynić wygodne miejsce, dodał łaskawie:

— Proszę, proszę, nie inkomoduj się waćpan. W drodze się na godność nie uważa, a chociaż mnie też łokciem trącisz, to mi korona z głowy nie spadnie.

Kmicic, który właśnie przysuwał nieznajomemu miskę z grochem, a który, jako się rzekło, nie przywykł jeszcze do podobnego traktowania, byłby niezawodnie rozbił ją na głowie nadętego młodzika, gdyby nie to, że było coś w tej nadętości takiego, co bawiło pana Andrzeja, więc nietylko, że zaraz wewnętrzny impet powściągnął, ale się uśmiechnął i rzekł:

— Takie to teraz czasy wasza mość, że i z najwyższych głów korony spadają: exemplum nasz król Jan Kazimierz, który wedle prawa dwie powinien nosić, a nie ma żadnej, chyba jedną cierniową...

Na to nieznajomy spojrzał bystro na Kmicica, poczem westchnął i rzekł:

— Takie teraz czasy, że lepiej o tem nie mówić, chyba z konfidentami.

Po chwili zaś dodał:

— Aleś to roztropnie waćpan wywiódł. Musiałeś gdzieś po dworach przy politycznych ludziach sługiwać, bo mowa edukację wyższą, niż jest waćpanowa kondycja, pokazuje.

— Ocierając się między ludźmi. słyszało się to i owo, alem nie sługiwał.

— Skądże to rodem, proszę?

— Z zaścianka, z województwa trockiego.

— Nic to, że z zaścianka, byle szlachcic, bo to grunt. A co tam słychać na Litwie?

— Po staremu. zdrajców nie brak.

— Zdrajców? mówisz waćpan. A cóż to, proszę, za zdrajcy?

— Ci, którzy króla i Rzeczypospolitej odstąpili.

— A jak się ma książę wojewoda wileński?

— Chory, mówią: dech mu zatyka.

— Daj mu Boże zdrowie, zacny to Pan!

— Dla Szwedów zacny, bo im wrota narozcież otworzył.

— To waćpan, widzę, nie jego partyzant?

Kmicic spostrzegł, że nieznajomy, wciąż niby dobrodusznie wypytując, bada go.

— Co mnie tam! — odrzekł — niech o tem inni myślą... Mnie strach, by mi Szwedzi koni w rekwizycję nie zabrali.

— To trzeba je było na miejscu zbyć. Ot i na Podlasiu stoją podobno te chorągwie, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, a które pewnie nie mają koni do zbytku?

— Tego ja nie wiem, bom między niemi nie bywał, chociaż jakiś przejezdny pan dał mi list do jednego z ich pułkowników, abym go przy okazji oddał.

— Jakże to ów przejezdny pan mógł dać waćpanu list, skoro na Podlasie nie jedziesz?

— Bo w Szczuczynie stoi jedna konfederacka chorągiew, więc ów jegomość rzekł mi tak: albo sam oddasz, albo okazję znajdziesz, wedle Szczuczyna przejeżdżając.

— A to się dobrze składa, bo ja do Szczuczyna jadę.

— Wasza mość także przed Szwedami ucieka?

Nieznajomy, zamiast odpowiedzieć, popatrzył na Kmicica i spytał flegmatycznie:

— Czemu to waćpan mówisz: także, skoro sam nietylko nie uciekasz, ale między nich jedziesz i konie im będziesz sprzedawał, jeśli ci ich siłą nie zabiorą?

Na to Kmicic ruszył ramionami.

— Mówiłem: także, bom w Łęgu widział wiele szlachty, którzy się przed nimi chronili, a co do mnie, niechby im się wszyscy przysługiwali, ile ja mam chęci im służyć, to tak myślę. żeby tu długo miejsca nie zagrzali...

— I nie boisz się tego mówić? — pytał nieznajomy.

— Nie boję się, bom też nie płochliwy, a po drugie, jegomość do Szczuczyna jedziesz, a w tamtej stronie wszyscy głośno mówiąc, co myślą, daj zaś Boże, by jak najprędzej od gadania do roboty przyszło.

— Widzę, że bystry z waszeci człowiek, nad kondycję! — powtórzył nieznajomy. — Ale kiedy tak Szwedów nie kochasz, czemu od onych chorągwi, które się przeciw hetmanowi zbuntowały, odchodzisz? Zali to one zbuntowały się dla zatrzymanego żołdu. albo dla swywoli? Nie! jeno, że hetmanowi i Szwedom nie chciały służyć. Lepiejby było tym żołnierzom niebożętom pod hetmanem zostać, a przecie woleli narazić się na miano buntowników, na głód, niewywczasy i przeliczne zgubne terminy, niż przeciw królowi czynić. Że tam przyjdzie między nimi i Szwedami do wojny, to pewna, a możeby już i przyszło, gdyby nie to, że Szwedzi jeszcze do tego kąta nie zaleźli... Poczekaj, zalazą, trafią tu, a wówczas zobaczysz waszeć!

— Tak i ja myślę, że tu się najprędzej wojna rozpocznie! — rzekł Kmicic.

— Ba, jeśli tak myślisz, a masz szczery ku Szwedom dyzgust (co ci i z oczu patrzy, że prawdę mówisz, bo ja się na tem znam), to czemu tedy do tych zacnych żołnierzów nie przystaniesz? Alboż to nie pora, alboż im nie potrzeba rąk i szabel? Niemało to tam zacnych służy, którzy woleli swojego pana nad cudzego i coraz ich więcej będzie. Jedziesz waszeć z tych stron, w których Szwedów jeszcze wcale nie zaznali, ale ci, co ich zaznali, rzewnemi łzami płaczą. W Wielkopolsce, choć się im dobrowolnie poddała, już palce szlachcie w kurki od muszkietów wkręcają, a rabują. a rekwizycje czynią, co mogą zabierają... W tutejszym województwie nielepszy ich proceder. Jenerał Stenbok wydał

manifest, by każdy spokojnie w domu siedział, to go uszanują i jego dobro. Ale gdzie tam! Jenerał swoje, a komendanci pomniejsi swoje, tak, że nikt jutra nie pewien, ani tego, co od fortuny ma. Każdy chce się cieszyć z tego, co posiadł, aby zaś w spokoju używał i aby mu dobrze było. A tu przyjedzie pierwszy lepszy przybłęda i „daj"! Nie dasz, to ci winę znajdą, aby z majętności cię wyzuć, albo winy nie szukając, szyję utną. Niejeden się już łzami rzewnemi zalewa, dawnego pana wspomniawszy, a wszyscy w opresji, ciągle ku onym konfedaratom spoglądają, czy od nich jakowy ratunek dla ojczyzny i obywatelów nie przyjdzie...

— Wasza mość, — rzekł Kmicic, — widzę, nie lepiej Szwedom ode mnie życzy?

Nieznajomy pan obejrzał się jakby z pewnym strachem wokoło, ale wprędce uspokoił się i tak dalej mówił:

— Życzę im, żeby ich mór wytłukł i tego przed waszecią nie ukrywam, gdyż widzi mi się, żeś poczciwy, a choćbyś i nie był poczciwy, to mnie nie zwiążesz i Szwedom nie odwieziesz, bo się nie dam, mając zbrojną czeladź i szablę przy boku.

— Możesz wasza mość być pewien, że tego nie uczynię; owszem: po sercu mi waścina fantazja. Już i to mi się podoba, żeś waszmość nie wahał się substancji zostawić, na której nieprzyjaciel mścić się nie omieszka. Bardzo się chwali taka życzliwość ku ojczyźnie.

Kmicic mimowoli począł mówić tonem protekcjonalnym, jak zwierzchnik do podwładnego, nie zastanowiwszy się, że takie słowa mogły się dziwnie wydawać w ustach szlachetki-koniuchy, ale widocznie i młody pan nie zwrócił na to uwagi, bo począł tylko chytrze mrugać oczyma i odrzekł:

— Albo ja głupi? U mnie pierwsza reguła, żeby moje nie przepadło, bo co Pan Bóg dał, to trzeba szanować. Siedziałem cicho do sprzętów i omłotów. Dopieroż, jakem całą krescencję do Prus sprzedał i inwentarze i wszelki statek, tak pomyślałem sobie: czas w drogę! Niechże się teraz na mnie

mszczą, niech mi zabierają, co im do smaku przypadnie.

— Zawsze zostawiłeś wasza mość ziemię i budynki.

— Ba, kiedy ja starostwo wąsockie dzierżawą trzymam od wojewody mazowieckiego, a właśnie mi się kontrakt skończył. Jeszczem ostatniej raty nie zapłacił i nie zapłacę, bo jako słyszę i pan wojewoda mazowiecki ze Szwedem trzyma. Niechże mu za to rata przepadnie, a mnie się gotowy grosz przyda.

Kmicic począł się śmiać.

— Bodajże waszmości! Widzę, żeś nietylko mężny kawaler, ale i roztropny!

— Jakże? — odrzekł nieznajomy. — Roztropność, to grunt! Ale nie o roztropności z waćpanem mówiłem. Czemu to, czując krzywdy ojczyzny i pana miłościwego, nie pójdziesz do onych zacnych żołnierzów na Podlasie i pod znak się nie zaciągniesz? I Bogu się przysłużysz i samemu może się poszczęścić, bo to już niejednemu się przytrafiło, że z chudopachołka na pana z wojny wyszedł. Widać po waści, żeś człek śmiały i rezolutny, a gdy ci urodzenie nie staje na przeszkodzie, możesz wprędce do jakiej takiej fortuny dojść, jeśli Bóg łupu przysporzy. Byle nie trwonić tego, co tu i owdzie w ręce wpadnie, to i mieszek napęcznieje. Nie wiem, czyli masz jakową zagrodę, czyli nie masz, ale mógłbyś mieć: z mieszkiem o dzierżawę nietrudno, a z dzierżawy, przy pomocy boskiej, i do dziedzictwa niedaleko. A tak, zacząwszy od pachołka, możesz towarzyszem umrzeć, albo na jakim urzędzie ziemskim, byleś się pracy nie lenił, bo kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.

Kmicic wąsy gryzł, bo go pusty śmiech brał; więc twarz mu drgała, a zarazem krzywił się, bo od czasu do czasu od przyschniętej rany boleści go brały.

Nieznajomy pan mówił dalej:

— Przyjąć cię tam, przyjmą, bo ludzi potrzebują, a zresztą udałeś mi się waćpan i biorę cię pod opiekę, przy której i promocji możesz być pewien.

Tu młodzieńczyk podniósł z dumą pucołowatą twarz i począł ręką po wąsikach się gładzić; wreszcie rzekł:

— Chcesz-li być moim rękodajnym? Szablę będziesz za mną nosił i nad czeladzią miał dozór.

Kmicic nie wytrzymał i parsknął szczerym, wesołym śmiechem, aż mu wszystkie zęby zabłysły.

— Czego się wasze śmiejesz? — pytał nieznajomy, marszcząc brwi.

— To z ochoty do tej służby.

Lecz młody personat obraził się na dobre i rzekł:

— Głupi, kto waćpana tych manier nauczył i bacz z kim mówisz, abyś w konfidencji miary nie przebrał.

— Wasza mość wybaczy, — rzekł wesoło Kmicic, — bo właśnie nie wiem, przed kim stoję.

Młody pan wziął się w boki:

— Jestem pan Rzędzian z Wąsoszy — rzekł z dumą.

Kmicic otwierał już usta, ażeby powiedzieć swoje przybrane nazwisko, gdy wtem Biłous wszedł śpiesznie do izby.

— Panie komen...

Tu urwał żołnierz, powstrzymany groźnym wzrokiem Kmicica, zmieszał się, zaciął i wreszcie wykrztusił z wysileniem:

— Proszę waszmości, ludzie jacyś jadą.

— Skąd?

— Od Szczuczyna.

Teraz pan Kmicic stropił się nieco, ale pokrywając prędko pomieszanie, odparł:

— A mieć się na baczności. Duża kupa idzie?

— Będzie z dziesięć koni.

— Bandoleciki mieć gotowe. Ruszaj!

Poczem, gdy żołnierz wyszedł, zwrócił się do pana Rzędziana z Wąsoszy i rzekł:

— Czy aby nie Szwedzi?

— Przecie ku nim waćpan idziesz, — odparł pan Rzędzian, który od niejakiego czasu poglądał ze zdziwieniem

na młodego szlachcica, — więc prędzej później musisz ich spotkać.

— Wolałbym też Szwedów, aniżeli jakowych hultajów, których wszędy pełno... Kto jedzie z końmi, musi zbrojno jechać i mieć się na baczeniu, bo okrutnie to łasa rzecz.

— Jeżeli prawda, że w Szczuczynie stoi pan Wołodyjowski, — odparł Rzędzian, — to pewnie jego podjazd. Nim się zakwaterują, chcą się przekonać, czyli kraj bezpieczny, bo ze Szwedami o miedzę trudnoby spokojnie usiedzieć.

Usłyszawszy to pan Andrzej, zakręcił się po izbie i usiadł w najciemniejszym jej kącie, gdzie okap komina rzucał gruby cień na róg stołu, a tymczasem z przed sieni doszedł tętent i parskanie koni i po chwili kilku ludzi weszło do izby.

Idący na czele, chłop olbrzymi, stukał drewnianą nogą w luźne deski, któremi izba była wyłożona. Kmicic spojrzał nań i serce zabiło mu w piersiach.

Był to Józwa Butrym, zwany Beznogim.

— A gdzie gospodarz? — spytał, stanąwszy na środku izby.

— Jestem! — odrzekł karczmarz — do usług waszmości.

— Dla koni obrok!

— Niema u mnie obroków, chyba ci panowie użyczą.

To rzekłszy, karczmarz wskazał na Rzędziana i koniuchów.

— Czyi to ludzie! — spytał Rzędzian.

— A ktoś waćpan sam?

— Starosta z Wąsoszy.

Rzędziana, jako dzierżawcę starostwa, zwali zwykle właśni jego ludzie starostą i on się sam tak nazywał w ważniejszych okazjach.

Ale Józwa Butrym zmieszał się, widząc, z jak wysoką osobą ma do czynienia, więc zdjął czapkę i rzekł łagodnym tonem:

— Czołem, wielmożny panie... Pociemku nie można godności rozeznać.

— Czyi ludzie? — powtórzył Rzędzian, biorąc się w boki.

— Laudańscy, z chorągwi dawniej billewiczowskiej, a dziś pana Wołodyjowskiego.

— Dlaboga! To pan Wołodyjowski jest w Szczuczynie?

— Osobą swoją i z innymi pułkownikami, którzy ze Żmudzi przyszli.

— Bogu chwała, Bogu chwała! — powtarzał uradowany pan starosta. ... A jacyż to pułkownicy są z panem Wołodyjowskim?

— Był pan Mirski, — mówił Butrym, — ale go szlag po drodze trafił, a jest pan Oskierka, pan Kowalski, dwóch panów Skrzetuskich...

— Jakich Skrzetuskich? — zakrzyknął Rzędzian. — Zali jeden z nich nie pan Skrzetuski z Burca?

— Tego nie wiem skąd, — odparł Butrym, — jeno wiem, że to jest pan Skrzetuski zbarażczyk.

— Rety! to mój pan!

Tu spostrzegł Rzędzian, jak dziwnie brzmi taki okrzyk w ustach pana starosty i dodał:

— Mój pan kum, chciałem rzec.

Tak mówiąc, nie zmyślał pan starosta, bo istotnie pierwszego syna Skrzetuskiego, Jaremkę, do chrztu trzymał w drugą parę.

Tymczasem Kmicicowi, siedzącemu w ciemnym kącie, izby, myśli jedna za drugą poczęły się cisnąć do głowy. Najprzód zburzyła się w nim dusza na widok groźnego szaraka i ręka mimowoli chwyciła za szablę. Wiedział bowiem Kmicic, że to głównie Józwa przyczynił się do rozsiekania kompanjonów i jego samego najzaciętszym był wrogiem. Dawny pan Kmicic kazałby go w tej chwili porwać i końmi włóczyć, lecz dzisiejszy pan Babinicz przemógł się. Owszem, niepokój go ogarnął na myśl, że jeżeli szlachta go pozna, mogą stąd wypaść rozmaite dla dalszej podróży i całego

przedsięwzięcia niebezpieczeństwa... Postanowił więc nie dać się poznać i coraz głębiej zasuwał się w cień; wreszcie oparł się łokciami o stół i wziąwszy głowę w dłonie, począł udawać, że drzemie.

Lecz jednocześnie szepnął do siedzącego obok Soroki:

— Ruszaj do stajni, niech konie będą wpogotowiu. Jedziemy na noc!

Soroka wstał i wyszedł.

Kmicic udawał dalej, że drzemie. Rozmaite wspomnienia poczęły mu cisnąć się do głowy. Ludzie ci przypomnieli mu Laudę, Wodokty i tę przeszłość krótką, która jak sen minęła. Gdy przed chwilą Józwa rzekł, iż należą do chorągwi dawniej billewiczowskiej, to panu Andrzejowi aż serce zatrzęsło się w piersi na samo miano. I przyszło mu na myśl, że taki był właśnie wieczór, tak samo na kominie palił się ogień, gdy on jakoby ze śniegiem spadł niespodzianie do Wodoktów i po raz pierwszy ujrzał w czeladnej Oleńkę między prządkami.

Widział teraz przez zamknięte powieki tak, jakby na jawie, tę pannę jasną, spokojną — wspominał wszystko, co zaszło, jako ona chciała mu być aniołem stróżem, w dobrem go umocnić, od złego zasłonić, prostą, zacną drogę pokazać. Gdyby jej był słuchał, gdyby jej był słuchał!... Toż ona wiedziała, co czynić, po jakiej stronie stanąć; wiedziała, gdzie cnota, uczciwość, obowiązek — i poprostu wzięłaby go za rękę i poprowadziła, gdyby był chciał jej słuchać.

Tu miłość, podniecona rozpamiętywaniem, tak wezbrała w sercu pana Andrzeja, że gotów byłby wszystką krew wytoczyć, byle do nóg tej pannie paść, a w tej chwili gotów byłby porwać w ramiona nawet tego niedźwiedzia laudańskiego, który mu kompanjonów wygubił, dlatego tylko, że był z tamtych stron, że Billewiczów wspominał, że Oleńkę widywał.

Z zadumy zbudziło go dopiero jego własne nazwisko, powtórzone kilkakrotnie przez Józwę Butryma. Dzierżawca

z Wąsoszy wypytywał o znajomych, a Józwa opowiadał mu, co zaszło w Kiejdanach od czasu pamiętnej ugody hetmana ze Szwedami — mówił więc o opozycji wojska, o uwięzieniu pułkowników, o zesłaniu ich do Birż i szczęśliwem ocaleniu. Nazwisko Kmicica powtarzało się oczywiście w tych opowiadaniach, pokryte całą zgrozą zdrady i okrucieństwa. O tem, że pan Wołodyjowski, Skrzetuscy, i Zagłoba winni byli życie Kmicicowi, nie wiedział Józwa, natomiast tak opowiadał to, co zaszło w Billewiczach:

— Schwycił nasz pułkownik tego zdrajcę w Billewiczach, jak lisa w jamie i zaraz go kazali na śmierć prowadzić; prowadziłem go sam z wielką uciechą, że go ręka Boska dosięgła i coraz tom mu latarką w oczy zaświecił, żeby obaczyć, czy też skruchy nie okaże. Ale nie! Szedł śmiele, nie bacząc, że przed sądem Bożym stanie. Taka już natura zatwardziała. A gdym mu doradził, żeby się choć przeżegnał, to mi odrzekł: „Stul gębę pachołku, nie twoja sprawa!" Postawiliśmy go tedy za wsią, pod gruszą i już począłem komendę, kiedy pan Zagłoba, który szedł z nami, kazał go obszukać, czyli jakich papierów przy nim niema. Jakoż znalazł się list. Powiada pan Zagłoba: „Poświeć!" — i zaraz do czytania. Ledwie zaczął czytać, kiedy to się nie porwie za głowę: „Jezus Marja! dawaj go napowrót do dwora!" Sam skoczył na konia i pojechał, a my go odprowadzili w tej myśli, że go każą jeszcze przypiec przed śmiercią, żeby języka od niego zasięgnąć. Ale gdzie tam! Puścili zdrajcę wolno. Nie moja głowa wchodzić w to, co tam wyczytali, ale jabym go nie był puścił.

— Cóż w tych listach było? — pytał dzierżawca z Wąsoszy.

— Nie wiem, co było; miarkuję tylko, że musieli byó jeszcze różni oficyjerowie w rękach księcia wojewody, których zarazby kazał rozstrzelać, gdyby mu Kmicica rozstrzelali. A przytem, może się nasz pułkownik i łez panny Billewiczówny ulitował, bo podobno przez ręce leciała, że ledwie mogli jej docucić... A wszelako... nie śmiem ja

mówić, ale źle się stało, bo co ten człowiek złego naczynił, tegoby się sam Lucyper nie powstydził. Cała Litwa na niego płacze, a co wdów, co sierot, co ubóstwa na niego narzeka, Bogu tylko wiadomo! Kto jego zgładzi, będzie miał zasługę w niebiesiech i przed ludźmi, jakoby psa wściekłego zabił!

Tu rozmowa przeszła znowu na pana Wołodyjowskiego, na panów Skrzetuskich, na chorągwie stojące na Podlasiu.

— O wiwendę ciężko, —mówił Butrym, — bo dobra księcia hetmana doszczętu już wypłókane, ani człeku, ani koniowi na ząb w nich nie znaleźć, a co jest szlachty, to uboga, po zaściankach, jako u nas na Żmudzi, siedząca. Postanowili tedy pułkownicy, żeby się po sto koni rozdzielić i co milę, albo co dwie od siebie stać. Ale jak przyjdzie zima, nie wiem, co będzie.

Kmicic, który słuchał dotąd cierpliwie, póki o nim była mowa — poruszył się teraz i już usta otworzył, by ze swego ciemnego kąta powiedzieć:

— To was hetman tak podzielonych pojedyńczo ręką wybierze, jako raki z saka.

Lecz w tej chwili drzwi się otworzyły i stanął w nich Soroka, którego Kmicic posłał był, by konie do drogi gotowano. Światło z komina padało wprost na srogą twarz wachmistrza; Józwa Butrym spojrzał na niego, popatrzył długą chwilę, poczem zwrócił się do Rzędziana i rzekł:

— Czy to waszej wielmożności człowiek?... Ja jego skądści znam!

— Nie, — odparł Rzędzian, — to szlachta, która z końmi na jarmarki jedzie.

— A dokąd jedziecie? — pytał Józwa.

— Do Soboty — odparł stary Kiemlicz.

— Gdzie to jest?

— Niedaleko Piątku.

Józwa również, jak poprzednio Kmicic, poczytał za żart niewczesny tę odpowiedź i rzekł, namarszczywszy brwi:

— Odpowiadaj, kiedy pytają!

— Jakiem prawem pytasz?

— Mogę ci się z tego wywieść: bo mnie na podjazd wysłali, bym obaczył, czy podejrzanych ludzi w okolicy niemasz. Jakoż widzi mi się, że są, którzy nie chcą powiedzieć dokąd jadą!

Kmicic obawiając się, żeby jaka zwada z tej rozmowy nie wynikła rzekł, nie ruszając się z ciemnego kąta:

— Nie sierdź się, mości żołnierzu, bo Piątek i Sobota są takie miasta, jako i inne, w których się jarmarki jesienne na konie odbywają. Nie wierzysz, to się pana starosty spytaj, który musi o nich wiedzieć.

— Jakże! — rzekł Rzędzian.

Na to Butrym:

— Kiedy tak, to co innego. Ale poco wam do onych miast jechać? Możecie i w Szczuczynie koni zbyć, bo nam siła nie staje, a te, cośmy w Pilwiszkach zagarnęli, nanic, bo wszystko odsednione.

— Każdy tam jedzie, gdzie mu lepiej, a my swoją drogę znamy — odpowiedział Kmicic.

— Nie wiem, gdzie waści lepiej, ale nam nie lepiej, byś Szwedom koni doprowadzał i z językiem do nich jeździł.

— Dziwne mi to — rzekł dzierżawca z Wąsoszy. — Ci ludzie na Szwedów wymyślają, a jakoś im pilno ku nim się przebrać?

Tu zwrócił się ku Kmicicowi:

— A waćpan też mi niebardzo do koniuchy podobny, bo pierścień zacny na ręku widziałem, któregoby się niejeden pan nie powstydził...

— Jeśli się waszmości tak udał, to go ode mnie kup, bo ja dwie orty za niego w Łęgu zapłacił — odpowiedział Kmicic.

— Dwie orty?... To chyba nie szczery, ale przednio udany... Pokaż waść!

— Weź, wasza mość.

— A sam to się nie możesz ruszyć?... Ja mam chodzić?

— Bom się okrutnie strudził.

— Ej, bratku! rzekłby kto, że oblicze chcesz ukryć!

Słysząc to Józwa, nie rzekł ani słowa, jeno zbliżył się do komina, wyciągnął palącą się głownię i trzymając ją wysoko nad głową, poszedł wprost do Kmicica i zaświecił mu w oczy.

Kmicic podniósł się w jednej chwili na całą wysokość i przez mgnienie powieki patrzyli sobie oko w oko — nagle głownia wypadła z rąk Józwy, rozsypując tysiące skier po drodze.

— Jezus Marja! — zakrzyknął Butrym — to Kmicic.

— Jam jest! — odrzekł pan Andrzej, widząc, że niema dłużej sposobu ukryć się.

Lecz Józwa zaczął krzyczeć na żołnierzy, którzy zostali przed sienią:

— Bywaj! bywaj! trzymaj!

Poczem zwrócił się do pana Andrzeja:

— Tyżeś to piekielniku, zdrajco! Tyżeś to djable wcielony! Raz się wymknąłeś z moich rąk, a teraz do Szwedów w przebraniu dążysz? Tyżeś to Judaszu, kacie męża i niewiasty? mam cię!

To rzekłszy, chwycił za kark pana Andrzeja, a pan Andrzej chwycił jego; lecz poprzednio już dwaj młodzi Kiemlicze, Kosma i Damjan, podnieśli się z ławy, sięgając rozczochranemi głowami aż do pułapu i Kosma spytał:

— Ociec, prać?

— Prać! — odrzekł stary Kiemlicz, dobywając szabli.

Wtem drzwi pękły i żołnierze Józwy zwalili się do izby; ale tuż za nimi, prawie na ich karkach, wjechała czeladź Kiemliczów.

Józwa chwycił lewą ręką za kark pana Andrzeja, a w prawej trzymał już goły rapier, czyniąc nim wokoło siebie wicher i błyskawice. Lecz pan Andrzej, choć tak olbrzymiej siły nie posiadał, chwycił go także jakby kleszczami za gardziel. Józwie oczy wylazły nawierzch, rękojeścią swego rapiera chciał strzaskać Kmicicową rękę i nie zdążył, bo go wpierw Kmicic głownią swej szabli w czuprynę gruchnął. Palce Józwy, trzymające kark przeciwnika, otwo-

rzyły się odrazu, a sam zachwiał się i wtył przeważył pod ciosem. Kmicic popchnął go jeszcze, by mieć do cięcia pole i całym rozmachem przez pysk szablą go chlasnął. Józwa padł nawznak, jak dąb, czaszką uderzywszy o podłogę.

— Bij! — krzyknął Kmicic, w którym odrazu rozbudził się dawny zabijaka.

Lecz nie potrzebował zachęcać, bo w izbie gotowało się, jak w garnku. Dwaj młodzi Kiemlicze siekli szablami, a czasem bodli łbami, jak dwa byki, kładąc za każdem uderzeniem człeka na ziemię; tuż za nimi następował stary, przykucając co chwila aż do ziemi, przymrużając oczy i przesuwając co chwila sztych szabli pod ramionami synów.

Lecz Soroka, przywykły do bitew po karczmach i w ciasnocie, szerzył najwięcej zniszczenia. Przypierał on tak zbliska przeciwnika, że ostrzem nie mogli go dosięgnąć i wystrzeliwszy uprzednio w tłum pistolety, tłukł teraz po głowach ich rękojeściami, miażdżąc nosy, wybijając zęby i oczy. Czeladź Kiemliczów i dwaj Kmicicowi żołnierze szli w pomoc panom.

Zawierucha przewaliła się od stołu w drugi koniec izby. Laudańscy bronili się z wściekłością, lecz od chwili, w której Kmicic obaliwszy Józwę, skoczył w ukrop i zaraz rozciągnął drugiego Butryma, zwycięstwo poczęło się przechylać na jego stronę.

Rzędzianowa czeladź wpadła również do izby z szablami i szturmakami, ale choć Rzędzian krzyczał: — Bij! — nie wiedziała co uczynić, nie mogąc przeciwników rozeznać, bo laudańscy nie nosili żadnych mundurów. To też w zamieszaniu obrywało się starościńskim parobkom od jednych i od drugich.

Rzędzian trzymał się ostrożnie poza walką, pragnąc rozeznać Kmicica i wskazać go do strzału, ale przy słabem świetle łuczywa Kmicic ustawicznie ginął mu z oczu; to zjawiał się znów jak djabeł czerwony, to znów ginął w pomroce.

Opór ze strony laudańskich słabł z każdą chwilą, bo

odjął im serce upadek Józwy i straszliwe imię Kmicica. Lecz walczyli z zaciekłością. Tymczasem karczmarz przesunął się cicho wedle walczących z wiadrem wody w ręku i chlusnął na ogień. W izbie nastała ciemność zupełna; walczący zbili się w kupę tak ciasną, że jeno pięściami mogli się grzmocić; przez chwilę krzyki ustały, słychać było tylko zdyszane oddechy i bezładny tupot butów. Wtem przez drzwi wywalone uskoczyli najprzód Rzędzianowi, za nimi laudańscy, za nimi Kmicicowi.

Rozpoczął się pościg w sieni, w pokrzywach przed sienią i w szopie. Rozległo się kilka strzałów, następnie wrzaski i kwik koni. Zawrzała bitwa przy Rzędzianowych wozach, pod które jego czeladź się schroniła; laudańscy szukali również pod niemi ucieczki i wówczas to właśnie parobcy, biorąc ich zapastników, dali kilkakroć do nich ognia.

— Poddajcie się! — krzyczał stary Kiemlicz, zapuszczając ostrze swej szabli między szprychy woza i bodąc naoślep ukrytych pod nim ludzi.

— Stój! poddajem się! — odpowiedziało kilka głosów.

I wnet czeladź z Wąsoszy poczęła wyrzucać z pod wozu szable i szturmaki, następnie samych wyciągali za łeb młodzi Kiemlicze, aż stary zakrzyknął:

— Do wozów! brać, co w ręce wpadnie! Żywo! żywo! do wozów!

Młodzi nie dali sobie trzeci raz rozkazu powtórzyć i rzucili się do odpinania opony, z pod której łuby Rzędzianowe ukazywały wypukłe boki. Już poczęli i łuby wyrzucać, gdy nagle zabrzmiał głos Kmicica:

— Stój!

I Kmicic, popierając ręką rozkaz, począł ich płazować krwawą szablą.

Kosma i Damjan uskoczyli pośpiesznie na bok.

— Wasza miłość!... nie można? — pytał pokornie stary.

— Wara! — krzyknął Kmicic. — Szukaj mi starosty!

Kopnęli się tedy w mig Kosma i Damjan, a za nimi ojciec i po kwadransie ukazali się znowu, prowadząc Rzędziana, który ujrzawszy Kmicica, skłonił się nisko i rzekł:

— Z przeproszeniem waszej miłości, krzywda mi się tu dzieje, bo ja z nikim wojny nie szukał, a że znajomych jadę odwiedzić, to wolno każdemu...

Kmicic wsparty na szabli, oddychał ciężko i milczał, więc Rzędzian mówił dalej:

— Ja tam ni Szwedom, ni księciu hetmanowi żadnej szkody nie uczynił, jenom do pana Wołodyjowskiego jechał, bo stary mój znajomy i na Rusi my razem wojowali... Ale poco mnie guza szukać! Nie byłem w Kiejdanach i nic mi do tego, co tam było... Ja patrzę, bym skórę całą wywiózł i żeby to, co mi Bóg dał, nie przepadło... Bom tego też nie ukradł, ale w pocie czoła zarobił... Nic mnie do całej tej sprawy! Niech mnie wasza wielmożność pozwoli wolno jechać...

Kmicic oddychał ciężko, patrząc wciąż jakby z roztargnieniem na Rzędziana.

— Proszę pokornie waszej wielmożności — zaczął znów starosta. — Wasza wielmożność widziała, że ja tych ludzi nie znał i przyjacielem im nie byłem. Napadli na waszą miłość, to mają za swoje, ale za co ja mam cierpieć, za co moje ma przepadać? Com ja zawinił? Jeżeli nie może inaczej być, to ja żołnierzom waszej wielmożności wykupię się, choć mnie ubogiego człeka na wiele nie stać... Po talarze im dam, żeby im fatyga na darmo nie wyszła... Dam i po dwa... a wasza wielmożność przyjmie też ode mnie...

— Zakryć te wozy! — krzyknął nagle Kmicic — a waszeć bierz rannych i jedź do djabła!

— Dziękuję pokornie jegomości — rzekł pan dzierżawca z Wąsoszy.

Wtem zbliżył się stary Kiemlicz, wysuwając naprzód dolną wargę z resztkami zębów i jęcząc:

— Wasza miłość... to nasze... Zwierciadło sprawiedliwości... to nasze...

Lecz Kmicic spojrzał na niego tak, że stary skurczył się aż do ziemi i nie śmiał wymówić ani słowa.

Czeladź Rzędzianowa rzuciła się konie co duchu do wozów zakładać. Kmicic zaś zwrócił się znów do pana starosty:

— Bierz tych wszystkich rannych i zabitych, którzy się znajdą, odwieź ich panu Wołodyjowskiemu i powiedz mu ode mnie., żem mu nie wróg, a może i lepszy przyjaciel niż myśli... Alem go chciał minąć, bo nie teraz jeszcze pora, abyśmy się spotkali. Może później przyjdzie ten czas, ale dziś, ani onby nie uwierzył, ani ja nie miałbym go czem przekonać... Może później... Uważaj waćpan! Powiedz mu, że ci ludzie mnie napadli i że musiałem się bronić.

— Po sprawiedliwości tak i było — rzekł Rzędzian.

— Czekaj... Powiedz jeszcze panu Wołodyjowskiemu, żeby się kupy trzymali, że Radziwiłł, niech jeno się jazdy od Pontusa doczeka, to wnet ruszy na nich. Może już jest w drodze. Obaj z księciem koniuszym i elektorem praktykują i blisko granicy niebezpiecznie stać. A przedewszystkiem niech się kupy trzymają, bo poginą marnie. Wojewoda witebski chce się na Podlasie przedrzeć... Niech mu idą naprzeciw, aby w razie przeszkody dać pomoc.

— Wszystko powiem, jakoby mi za to płacono.

— Choć to Kmicic mówi, choć Kmicic ostrzega, niechże mu wierzą, niech się poradzą z innymi pułkownikami i zastanowią, że w kupie będą mocniejsi. Powtarzam, że hetman już w drodze, a ja panu Wołodyjowskiemu nie wróg.

— Żeby ja to miał jaki znak od waszej miłości, toby lepiej jeszcze było — rzekł Rzędzian.

— Poco ci znaku?

— Bo i pan Wołodyjowski zarazby lepiej w szczerość afektu waszej miłości uwierzył i takby pomyślał, że musi być coś w tem, jeśli znak przysyła.

— To masz ten sygnet, — rzekł Kmicic, — chociaż znaków po mnie nie brak na łbach u tych ludzi których panu Wołodyjowskiemu odwieziesz.

To rzekłszy, zdjął pierścień z palca. Rzędzian zaś przyjął go skwapliwie i rzekł:

— Dziękuję pokornie jegomości.

W godzinę później, Rzędzian wraz ze swemi wozami, czeladzią, trochę jeno poturbowaną, jechał spokojnie ku Szczuczynowi, odwożąc trzech zabitych i resztę rannych, między którymi Józwę Butryma z przeciętą twarzą i rozbitą głową. Jadąc, spoglądał na pierścień, którego kamień cudnie błyszczał przy księżycu i rozmyślał o tym dziwnym i strasznym człowieku, który tyle złego sprawiwszy konfederatom, a tyle dobrego Szwedom i Radziwiłłowi, chciał jednak widocznie ratować konfederatów od ostatniej zaguby.

— Bo to, co radził, to szczerze — mówił do siebie Rzędzian. — Kupy zawsze się lepiej trzymać. Ale czemu ostrzega? Czyba z afektu dla pana Wołodyjowskiego, że go to zdrowiem w Billewiczach udarował. Chyba z afektu! Ba, aleć księciu hetmanowi na złe może wyjść ten afekt. Dziwny to człek. Radziwiłłowi służy, a naszym ludziom życzy... I do Szwedów jedzie... Tego ja nie rozumiem...

Po chwili zaś dodał:

— Hojny pan... Jeno źle mu w drogę włazić.

Równie ciężko i równie bezskutecznie jak Rzędzian, łamał sobie głowę stary Kiemlicz, pragnąc znaleźć odpowiedź na pytanie: Komu pan Kmicic służy?

— Do króla jedzie, a konfederatów bije, którzy właśnie przy królu stoją. Co to jest? I Szwedom nie ufa, bo się kryje... Co z nami będzie?

Tu nie mogąc dojść do żadnej konkluzji, zwrócił się ze złości ku synom.

— Szelmy! Bez błogosławieństwa pozdychacie! A nie mogliście choć tamtych pobitych obmacać?

— Balim się! — odpowiedział Kosma i Damjan.

Jeden Soroka był zadowolony i człapał wesoło tuż za swym pułkownikiem.

— Już nas zły urok minął, — myślał, — skorośmy tamtych pobili. Ciekaw jestem, kogo teraz będziemy bili?

I było mu to wszystko jedno, również jak i to, gdzie jechał.

Do Kmicica nikt nie śmiał przystąpić, ani pytać go o cokolwiek, bo młody pułkownik jechał chmurny jak noc. I gryzł się strasznie, że tych ludzi musiał pobić, obok których radby w szeregu jak najprędzej stać. Lecz gdyby nawet poddał się i pozwolił odprowadzić do pana Wołodyjowskiego, coby pomyślał pan Wołodyjowski, gdyby się dowiedział, że schwytano go przebierającego się pod zmienioną postacią ku Szwedom i z glejtami do szwedzkich komendantów.

— Stare grzechy mnie ścigają i prześladują... — mówił sobie Kmicic. — Ucieknę jak najdalej, a Ty Boże mnie prowadź...

I począł się modlić żarliwie i opędzać sumieniu, które powtarzało mu:

— Znów trupy za tobą i nie szwedzkie...

— Boże bądź miłościw!... — odpowiadał Kmicic, jadę do pana mego. tam mi się służba rozpocznie...

ROZDZIAŁ V.

Rzędzian nie miał zamiaru zostawać na noc w Pokrzyku, bo z Wąsoszy do Szczuczyna było niedaleko — pragnął więc tylko dać wytchnienie koniom, zwłaszcza tym, które wozy ładowne ciągnęły. Gdy więc Kmicic pozwolił mu jechać dalej, nie tracił Rzędzian czasu i w godzinę później wjeżdżał już do Szczuczyna późną nocą i opowiedziawszy się strażom, roztasował się w rynku, bo domy były przez żołnierzy pozajmowane, którzy i tak nie wszyscy mogli się pomieścić. Ów Szczuczyn uchodził za miasto, ale niem nie był rzeczywiście, nie miał albowiem jeszcze ani wałów, ani ratusza. ani sądów. ani kolegjum pijarskiego, które dopiero za czasów króla Jana III powstało, a domów szczupło i więcej chałup, niż domów, które dlatego tylko miastem się

zwały, że w kwadrat były pobudowane, tworząc rynek, niewiele zresztą mniej błotnisty od stawu, nad którym mieścina leżała.

Przespawszy się pod ciepłą wilczurą, doczekał Rzędzian ranka i zaraz udał się do pana Wołodyjowskiego, który nie widziawszy go od wieków, przyjął radośnie i zaraz poprowadził do kwatery panów Skrzetuskich i pana Zagłoby. Rozpłakał się aż Rzędzian na widok dawnego pana, któremu tyle lat służąc wiernie, tyle przygód razem z nim przebył i fortuny się wkońcu dorobił. Nie wstydząc się więc dawnej służby, począł po rękach pana Jana całować i powtarzać z rozrzewnieniem:

— Mój jegomość... mój jegomość... W jakich to czasach my się znów spotykamy!...

— Jęli tedy razem wszyscy na czasy narzekać — Wreszcie pan Zagłoba rzekł:

— Ale ty, Rzędzian, zawsze u fortuny za pazuchą siedzisz i jako widzę, na pana wyszedłeś. Pamiętasz. azalim ci nie prorokował, że jeżeli cię nie powieszą, to będzie z ciebie pociecha!... Cóż się teraz z tobą dzieje?

— Mój jegomość, za co mnie mieli wieszać, kiedy ja ani przeciw Bogu, ani przeciw prawu nic nie uczynił. Służyłem wiernie, a jeżelim kogo zdradził, to chyba nieprzyjaciół, co sobie jeszcze za zasługę poczytuję. A żem tu i owdzie jakiego hultaja fortelem starł, jako to z rebelizantów, albo oną czarownicę — pamięta jegomość? — to też nie grzech, a choćby był grzech, to jegomościn, nie mój, bom ja się właśnie od jegomości fortelów wyuczył.

— O, nie może być!... Patrzajcie go! — rzekł Zagłoba. — Jeżeli chcesz, bym ja za twoje grzechy po śmierci wył, to mi za życia fructa ich oddaj. Samże używasz onych wszystkich bogactw, któreś między kozakami zebrał i samegoć za to w piekle na skwarki przetopią!

— Bóg łaskaw, mój jegomość, chociaż to jest nieprawda, żebym sam używał, bo ja najprzód złych sąsiadów zeszczętem sprocesowałem i rodziciel opatrzyłem, którzy

teraz spokojnie w Rzędzianach siedzą, żadnej dyferencji już nie mając, bo Jaworscy z torbami poszli, a ja się opodal dorabiam, jak mogę.

— To nie mieszkasz już w Rzędzianach? — pytał pan Jan Skrzetuski.

— W Rzędzianach rodziciele po dawnemu żywią, a ja mieszkam w Wąsoszy i nie mogę się skarżyć, bo Bóg mi błogosławił. Ale jakem usłyszał, że waszmościowie w Szczuczynie jesteście, jużem nie mógł dosiedzieć, bom sobie pomyślał: widać czas się znowu ruszyć! Ma być wojna, to niech będzie!

— Przyznajże się, — rzekł Zagłoba, — że cię Szwedzi z Wąsoszy wystraszyli?

— Szwedów jeszcze w ziemi widzkiej niemasz, chyba podjazdki małe zachodzą i to ostrożnie, bo chłopstwo na nich okrutnie zawzięte.

— To mi dobrą nowinę przynosisz, — rzekł Wołodyjowski, — gdyż ja wczoraj umyślnie podjazd wysłałem, aby języka o Szwedach zasięgnąć, bom nie wiedział, czy można bezpiecznie w Szczuczynie popasać. Pewnie cię ten podjazd tu przyprowadził?

— Ten podjazd? Mnie? To ja jego przyprowadził, a raczej przywiózł, bo tam i jednego człowieka między tymi ludźmi niemasz, któryby o własnej mocy na koniu mógł usiedzieć!

— Jakżeto?... Co zaś prawisz?... Cóż się stało? — pytał Wołodyjowski.

— Bo ich okrutnie pobito — objaśnił Rzędzian.

— Kto ich pobił?!

— Pan Kmicic.

Panowie Skrzetuscy i Zagłoba aż porwali się z ław, pytając jeden przez drugiego:

— Pan Kmicic? A coby on tu robił?... Czyliby sam książę hetman już tu przyciągnął? Nuże! Powiadaj wraz, co się stało?

Lecz pan Wołodyjowski wypadł tymczasem z izby,

chcąc widać naocznie sprawdzić rozmiary klęski i ludzi obejrzeć; więc Rzędzian rzekł:

— A poco mam opowiadać, lepiej poczekać, aż pan Wołodyjowski wróci, bo to najwięcej jego sprawa, a szkoda gęby dwa razy jedno powtarzać.

— Widziałżeś Kmicica na własne oczy? — pytał pan Zagłoba.

— Jako jegomości widzę!

— I gadałeś z nim?

— Jakżem nie miał gadać, kiedy my się w Pokrzyku niedaleko stąd zjechali; ja koniom wypoczywałem, a on na nocleg stał. Mało godzinę gadaliśmy, bo nie było co innego robić. Ja narzekałem na Szwedów, a on też narzekał...

— Na Szwedów? On także narzekał? — pytał Skrzetuski.

— Jak na djabłów, choć między nich jechał.

— Siła było wojska z nim?

— Żadnego z nim wojska nie było, ino czeladzi kilku, prawda, że zbrojnych i z takiemi mordami, że już chyba i ci, którzy świętych młodzianków za Herodowym ordynansem wycinali, srozszych i szpetniejszych nie mieli. Powiadał mi się chodaczkowym szlachcicem i mówił, że z końmi na jarmarki jedzie. Ale choć koni mieli kilkanaście w tabunku, przecie mi się to nie wydało, bo to i osoba inna i fantazja nie taka, jak u koniuchów i pierścień zacny na ręku widziałem... Ten właśnie!

Tu błysnął Rzędzian przed oczy słuchaczom kosztownym kamieniem, a pan Zagłoba uderzył się po pole i zakrzyknął:

— Już go od niego wycyganił! Po tem jednem poznałbym cię, Rzędzian, na końcu świata!

— Z przeproszeniem jegomości, nie cyganiłem, bom też szlachcic, do równości się z każdym poczuwający, nie Cygan, chociaż dzierżawami chodzę, póki Bóg nie da osiąść na swojem. A ten pierścień dał mi pan Kmicic na znak, że to, co mówił, to prawda, a ja zaraz waszmościom słowa jego

wiernie powtórzę, bo widzi mi się, że tu o skóry nasze chodzi.

— Jakto? — pytał Zagłoba.

Wtem wszedł pan Wołodyjowski, cały wzburzony i od gniewu blady, czapką o stół rzucił i zawołał:

— To przechodzi imaginację! Trzech ludzi zabitych, Józwa Butrym usieczony, ledwie tchnie!

— Józwa Butrym?... Toż to człowiek niedźwiedziej siły! — rzekł zdumiony Zagłoba.

— Jego w moich oczach sam pan Kmicic rozciągnął — wtrącił Rzędzian.

— A dość mi tego pana Kmicica! — mówił w uniesieniu Wołodyjowski — gdzie się tylko ten człowiek pokaże, trupy za sobą jak mór zostawuje. Dość tego! Kwit za kwit, gardło za gardło... Ale teraz nowy rachunek... Ludzi mi napsuł, dobrych pachołków napadł... To mu się do pierwszego widzenia zakarbuje...

— Jużci coprawda, to nie on ich napadł, tylko oni jego, bo on w najciemniejszy kąt się zaszył, aby go nie poznali — rzekł Rzędzian.

— A ty, zamiast coś miał moim pomagać, to jeszcze za nim świadczysz! — rzekł z gniewem pan Wołodyjowski.

— Ja po sprawiedliwości... A co do pomocy, chcieli moi pomagać, jeno niezręcznie im było, bo w tumulcie nie wiedzieli kogo bić, kogo oszczędzić i samym się przez to dostało. Żem z duszą i łubami uszedł, to jeno przez pana Kmicica wyrozumiałość, bo posłuchajcie waszmościowie, jak co się przytrafiło.

Tu Rzędzian począł opisywać szczegółowo bitkę w Pokrzyku, niczego nie opuścił, a gdy wreszcie powiedział i to, co mu Kmicic powiedzieć rozkazał, zdumieli się okrutnie towarzysze.

— Onże sam to mówił? — pytał Zagłoba.

— Sam — odrzekł Rzędzian. — „Ja (powiada) panu Wołodyjowskiemu, ani konfederatom nie wróg, choć inaczej myślą. Później to się pokaże, a tymczasem niech się kupy,

na miły Bóg, trzymają, bo ich wojewoda wileński jako raki ze saka wybierze".

— I powiedział, że wojewoda już w pochodzie? — pytał Jan Skrzetuski.

— Mówił jeno, że tylko na posiłki szwedzkie czeka i że zaraz na Podlasie ruszy.

— Co waćpanowie o tem wszystkiem myślicie? — pytał Wołodyjowski, spoglądając na towarzyszów.

— Zadziwiająca rzecz! — odpowiedział Zagłoba. — Albo ten człowiek Radziwiłła zdradza albo nam jakąś zasadzkę gotuje. Ale jaką? Radzi się kupy trzymać, co może za szkoda stąd dla nas wyniknąć?

— Że głodem zniszczejem — odrzekł Wołodyjowski. — Właśnie mam wiadomość, że i Żeromski i Kotowski i Lipnicki mają rozdzielić chorągwie po kilkadziesiąt koni i po całem województwie rozłożyć, bo w kupie nie mogą się wyżywić.

— A jeśli Radziwiłł istotnie nadejdzie? — pytał Stanisław Skrzetuski — to kto mu się wówczas oprze?

Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie, bo rzeczywiście było jasnem jak słońce, że gdyby hetman w. litewski nadciągnął i zastał siły konfederackie rozproszone, tedyby poznosił je z największą łatwością.

— Zadziwiająca rzecz! — powtórzył Zagłoba.

I po chwili milczenia mówił dalej:

Wszelako Kmicic okazał już, że nam szczerze życzliwy. Pomyślałbym, że może Radziwiłła porzucił... Ale w takim razie nie przemykałby się w przebraniu i to dokąd — do Szwedów?

Tu zwrócił się do Rzędziana:

— Wszakże ci mówił, że na Warszawę jedzie?

— Tak jest! — rzekł Rzędzian.

— No, to tam już moc szwedzka.

— Ba! Już o tej godzinie musiał Szwedów napotkać, jeżeli całą noc jechał — odpowiedział Rzędzian.

— Widzieliście kiedy takiego człowieka? — pytał Zagłoba, poglądając na towarzyszów.

— Że w nim jest złe z dobrem pomieszane, jak plewy z ziarnem, to pewna, — rzekł Jan Skrzetuski, — ale żeby w tej radzie, jaką nam teraz daje, była jakowa zdrada, temu wprost neguję. Nie wiem, dokąd jedzie, dlaczego się w przebraniu przemyka i próżnobym głowę nad tem łamał, bo to jakowaś tajemnica... Ale radzi dobrze, ostrzega szczerze, na to przysięgnę, jak również i na to, że jedyny dla nas ratunek tej rady usłuchać. Kto wie, czy mu znów zdrowia i życia nie zawdzięczamy.

— Dlaboga! — zakrzyknął Wołodyjowski — jakże Radziwiłł ma tu przyjść, kiedy mu na drodze stoją Zołtareńkowi i piechota Chowańskiego. Co innego my! Jedna chorągiew się prześliźnie, a i to w Pilwiszkach musieliśmy sobie szablami drogę otwierać. Co innego Kmicic, który w kilku ludzi się przemykał, ale książę hetman jak przejdzie z całem wojskiem? Chyba tamtych wprzód zniesie...

Jeszcze nie skończył mówić pan Wołodyjowski, gdy drzwi się otworzyły i wszedł pachołek służbowy.

— Posłaniec z listem do pana pułkownika — rzekł.

— Dawaj go sam! — odrzekł Wołodyjowski.

Pachołek wyszedł i po chwili wrócił z listem. Pan Michał prędko złamał pieczęć i począł czytać:

„Czegom wczoraj nie dopowiedział dzierżawcy z Wąsoszy, to dziś dopisuję. Hetman i sam wojska ma na was dosyć, ale umyślnie na posiłki szwedzkie czeka, aby pod powagą króla szwedzkiego na was iść. Bo gdyby go septentrionowie wówczas zaczepili, tedyby musieli i na Szwedów uderzyć, a toby znaczyło wojnę z królem szwedzkim. Czego oni nie będą śmieli uczynić, nie mając rozkazów, bo się Szweda boją i odpowiedzialności za rozpoczęcie wojny na się nie wezmą. Poznali się już na tem, że Radziwiłł wszędy umyślnie Szwedów im chce nadstawiać; niechby choć jednego ustrzelili, albo usiekli, zarazby wojna była. Sami teraz septentrionowie nie wiedzą, co czynić, gdy Litwa

Szwedom poddana; stoją więc w miejscu, czekając jeno, co będzie i dalej nie wojując. Dla tych przyczyn i Radziwiłła nie powstrzymają, ani mu wstrętu nie uczynią, który prosto na was pójdzie i będzie pokolei znosił, jeśli się w kupę nie zbierzecie. Na Boga! uczyńcie to i pilno wojewodę witebskiego do się zapraszajcie, bo i jemu teraz do was przez septentrionów łatwiej, dopóki jako ogłupieli stoją. Chciałem was przestrzec pod innem nazwiskiem, byście łatwiej uwierzyli, ale że się już wydało od kogo wiadomość, tedy swoje podpisuję. Zguba, jeśli nie uwierzycie, bo i ja już nie ten, co byłem, a da Bóg całkiem inaczej jeszcze o mnie usłyszycie.

Kmicic."

— Chciałeś wiedzieć, jak Radziwiłł przyjdzie do nas, ot, masz odpowiedź! — rzekł Jan Skrzetuski.

— Prawda jest... Dobre racje daje! — odpowiedział Wołodyjowski.

— Co to dobre! święte racje! — zawołał Zagłoba. — Tu nie może być wątpliwości. Jam się pierwszy na tym człowieku poznał i choć niema przekleństwa, któregoby nad jego głową nie miotano, ja wam powiadam, że jeszcze go będziem błogosławić. U mnie dość na człeka spojrzeć, żeby wiedzieć, co wart. A pamiętacie jako mi do serca przypadł w Kiejdanach? Sam on też nas kocha, jako ludzi rycerskich, a gdy moje nazwisko pierwszy raz usłyszał, to mnie mało nie udusił z admiracji i przeze mnie wszystkich was ocalił.

— Jegomość to się nic nie zmienił: — zauważył Rzędzian — czegożby to pan Kmicic miał więcej jegomości od mego pana, albo od pana Wołodyjowskiego admirować?

— Głupiś! — odpowiedział Zagłoba. — Na tobie odrazu się poznał i jeżeli cię zowie dzierżawcą, nie kpem z Wąsoszy, to jeno przez politykę!

— To może i jegomości przez politykę admirował? — odparł Rzędzian.

— Obacz jak chleb bodzie; ożeń się panie dzierżawco a będziesz jeszcze lepiej bódł... Ja w tem!

— Wszystko to dobre, — rzekł Wołodyjowski, — ale

jeśli on tak szczerze nam życzy, to czemu sam do nas nie przyjechał, zamiast się jako wilk koło nas przemykać i ludzi nam kąsać?

— Nie twoja głowa, panie Michale — odpowiedział Zagłoba. — Co my uradzimy, to ty rób, a źle na tem nie wyjdziesz. Żeby twój dowcip wart był twojej szabli, tobyś już hetmanem wielkim na miejscu pana Rewery Potockiego był. A poco Kmicic miał tu przyjeżdżać?... Czy nie poto, żebyś mu tak samo nie wierzył, jak pismu jego nie wierzysz, z czegoby zaraz i do wielkiej kłótni dojść mogło, bo to zadzierzysty kawaler? A dajmy, żebyś ty uwierzył, to coby rzekli inni pułkownicy, jako Kotowski, Żeromski, albo Lipnicki? Coby rzekli twoi ludzie laudańscy, czyby go nie usiekli, gdybyś tylko głowę odwrócił?

— Ojciec ma rację, — rzekł Jan Skrzetuski, — on tu nie mógł przyjechać.

— To czego do Szwedów jedzie? — powtórzył uparty pan Michał.

— Djabeł go wie, czy do Szwedów, djabeł wie, co w tę szaloną pałkę mogło strzelić! Nic nam do tego, my oto z ostrzeżenia korzystajmy, jeśli głowy chcemy unieść.

— Tu niema się co i namyślać — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Trzeba co prędzej zawiadomić Kotowskiego, Żeromskiego, Lipnickiego i tego drugiego Kmicica — mówił Jan Skrzetuski. — Wyszli do nich. Michale, co prędzej wieści, ale nie pisz im. kto ostrzega, bo z pewnościąby nie uwierzyli.

— My jedni będziemy wiedzieli, czyja zasługa i w swoim czasie nie omieszkamy jej promulgować! — zakrzyknął Zagłoba. — Dalej, żywo Michale!

— A sami pod Białystok ruszymy, wszystkim tam zbór naznaczywszy. Dałby Bóg wojewodę witebskiego jak najprędzej! — rzekł Jan.

— Z Białegostoku trzeba będzie do niego deputatów od wojska wysłać. Da Bóg, staniemy do oczu panu hetmanowi litewskiemu — mówił Zagłoba — w równej, albo

i lepszej sile. Nam się na niego nie porywać, ale pan wojewoda witebski, to co innego. A zacnyż to pan! a cnotliwy! niemasz takiego drugiego w Rzeczypospolitej!

— Jegomość znasz pana Sapiehę? — pytał Stanisław Skrzetuski.

— Czy znam? Znałem go pachołkiem, nie większym od mojej szabli. Ale już był jako anioł.

— Toż on teraz nietylko majętności, nietylko srebra i klejnoty, ale ponoś i skówki na rzędzikach na pieniądze przetopił, byle jak najwięcej wojska przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny zaciągnąć? — rzekł pan Wołodyjowski.

— Dzięki Bogu, że choć taki jeden jest, — odrzekł Stanisław, — bo pamiętacie, jakeśmy to i Radziwiłłowi ufali?

— Bluźnisz waść! — krzyknął Zagłoba. — Wojewoda witebski! ba! ba! Niech żyje wojewoda witebski!... A ty, Michale, do ekspedycji! żywo do ekspedycji! Niechże tu piskorze w tem błocie szczuczyńskiem zostają, a my pójdziemy do Białegostoku, gdzie może i innych ryb dostaniem... Chały też tam bardzo przednie Żydzi na szabas wypiekają. No! przynajmniej wojna się rozpocznie. Bo mi już tęskno... A kiedy Radziwiłłem przetrącim, to się i do Szwedów weźmiem. Pokazaliśmy im już, co umiemy!... Do ekspedycji, Michale, bo periculum in mora.

— A ja pójdę podnieść na nogi chorągiew! — rzekł pan Jan.

I w godzinę później kilkunastu posłańców wylatywało, co koń wyskoczy, ku Podlasiowi, a za nimi wkrótce ruszyła cała chorągiew laudańska. Starszyzna jechała na przedzie, naradzając się i dyskutując, a żołnierzy prowadził pan Roch Kowalski, namiestnik. Szli na Osowiec i Goniądz, prostując sobie drogę ku Białemustokowi, gdzie się innych konfederackich chorągwi spodziewali.

ROZDZIAŁ VI.

Listy pana Wołodyjowskiego, donoszące o pochodzie Radziwiłła, znalazły posłuch u wszystkich pułkowników, rozproszonych po całem województwie podlaskiem. Niektórzy już byli porozdzielali chorągwie na mniejsze oddziały, aby tem łatwiej przezimować, inni pozwolili rozjechać się towarzystwu po domach prywatnych, tak, że pod znakami zaledwie kilkunastu towarzyszów i po kilkudziesięciu pocztowych zostało. Pułkownicy pozwolili na to poczęści z obawy przed głodem, a poczęści dla trudności utrzymania w należytej dyscyplinie chorągwi, które raz wypowiedziawszy właściwej władzy posłuszeństwo, skłonne teraz były do opozycji i względem swych przywódców z lada powodu. Gdyby był znalazł się dowódca należytej powagi i odrazu poprowadził je do boju przeciw któremukolwiek z dwóch nieprzyjaciół, albo nawet przeciw Radziwiłłowi, karność pozostałaby zapewne niewzruszoną; ale zepsuła się w próżnowaniu na Podlasiu, gdzie czas schodził na ostrzeliwaniu jeno radziwiłłowskich zameczków, na rabunku dóbr księcia wojewody i na paktowaniu z księciem Bogusławem. W tych warunkach żołnierz przyuczał się tylko do swawoli i uciskania spokojnych mieszkańców województwa. Niektórzy żołnierze, zwłaszcza pocztowi i czeladź. zbiegłszy z pod chorągwi, potworzyli kupy swawolne i trudnili się rozbojem na gościńcach. I tak owo wojsko, które nie połączywszy się z żadnym nieprzyjacielem, było jedyną nadzieją króla i patriotów, marniało z dniem każdym. Podział chorągwi na drobne oddziały dopełnił rozprężenia. Prawda, że w kupie trudno było się wyżywić, ale jednak może i umyślnie przesadzano obawy głodu, bo przecie była to jesień, a zbiory udały się szczęśliwie — zwłaszcza, że żaden nieprzyjaciel nie zniszczył poprzednio ogniem i mieczem województwa. Zniszczyły je poniekąd właśnie rabunki konfederackich żołnierzy,. tak, jak samych żołnierzy zniszczyła bezczynność.

Albowiem rzeczy tak się złożyły dziwnie, iż nieprzyjaciel zostawił w spokoju te chorągwie. Szwedzi, zalewając kraj od zachodu i ciągnąc na południe, nie doszli jeszcze do tego kąta, jaki między województwem mazowieckiem a Litwą tworzyło Podlasie — z drugiej zaś strony zastępy Chowańskiego, Trubeckiego i Srebrnego, stały w pozajmowanych przez się okolicach bezczynnie, wahając się, a raczej same nie wiedząc, co począć. Na Rusi Buturlin z Chmielnickim rozpuszczali po dawnemu zagony i właśnie w tych czasach porazili pod Gródkiem garść wojska, której przywodził hetman wielki koronny, pan Potocki. Ale Litwa była pod protektoratem szwedzkim. Pustoszyć i zajmować ją dalej, znaczyło to samo, jak słusznie zauważył w liście swym Kmicic, co wypowiadać wojnę straszliwym i wzbudzającym powszechną w świecie trwogę Szwedom. „Była tedy chwila folgi od septentrionów“ — i niektórzy doświadczeni ludzie przepowiadali nawet, że wkrótce zwrócą się oni, jako sprzymierzeńcy Jana Kazimierza i Rzeczypospolitej, przeciw królowi szwedzkiemu, którego potęga, gdyby panem całej Rzeczypospolitej został, nie miałaby równej w Europie.

Nie zaczepiał tedy Chowański ni Podlasia, ni skonfederowanych chorągwi, a one wzajem, pozbawione wodza, rozproszone, nie zaczepiały i nie były w sile zaczepić kogokolwiek lub przedsięwziąć coś ważniejszego nad rabunek dóbr radziwiłłowskich. Natomiast marniały. Jednakże listy pana Wołodyjowskiego o grożącym pochodzie Radziwiłła rozbudziły pułkowników z uśpienia i bezczynności. Poczęto ogarniać chorągwie, rozpisywać awizy, wzywające rozproszonych żołnierzy pod znaki i grożące karami tym, którzyby się nie stawili. Pierwszy Żeromski, najpoważniejszy między pułkownikami i którego chorągiew w najlepszym była stanie, ruszył, nie omieszkując, pod Białystok; za nim przybył w tygodniu Jakób Kmicic, prawda, że tylko w sto dwadzieścia ludzi — poczem zaczęli się ściągać żołnierze Kotowskiego i Lipnickiego, to pojedyńczo, to gromadkami; szła także na ochotnika i drobna szlachta z okolicznych

zaścianków, jako Zięcinkowie, Świderscy, Jaworscy, Rzędzianowie, Mazowieccy; przybywali wolentariusze nawet z województwa lubelskiego, jako Karwowscy i Turowie; od czasu do czasu przybywał i zamożniejszy szlachcic z jakim takim pocztem sług dobrze zbrojnych. Wysłano deputatów od chorągwi do egzakcyj, którzy pieniądze i żywność za kwitami mieli wybierać, słowem, ruch zapanował wszędy, zawrzały przygotowania wojenne i gdy pan Wołodyjowski ze swą laudańską chorągwią nadciągnął, stało już kilka tysięcy ludzi pod bronią, którym tylko przywódcy brakowało.

Wszystko to było i dość bezładne i dość niesforne, ale ani tak bezładne, ani tak niesforne, jak owa szlachta wielkopolska, która przed kilku miesiącami miała pod Ujściem Szwedom przeprawy bronić; albowiem owi Podlasianie, Lublinianie i Litwa, byli to ludzie z wojną obyci i nie było nawet między tymi ochotnikami ani jednego, prócz wyrostków, któryby prochu nie wąchał i z „tabakiery Gradywa nie zażywał". Każdy w swojem życiu czynił to przeciw kozakom, to przeciw Turkom, to przeciw Tatarom; byli tacy, którzy jeszcze szwedzkie wojny pamiętali. Nad wszystkimi zaś górował doświadczeniem wojennym i wymową pan Zagłoba i rad się znalazł w tem zbiegowisku żołnierskiem, w którem o suchem gardle nie radzono.

Gasił więc powagą najpoważniejszych pułkowników. Laudańscy ludzie opowiadali, że gdyby nie on, tedyby Wołodyjowski, Skrzetuscy, Mirski i Oskierka zginęli z rąk radziwiłłowskich, bo już ich na stracenie do Birż wieziono. On sam zasług swych nie ukrywał i sprawiedliwość sobie zupełną oddawał, aby wszyscy wiedzieli, kogo mają przed sobą.

— Nie lubię się chwalić, — mówił, — ani gadać o tem, czego nie było, bo u mnie prawda grunt, co może i mój siostrzan poświadczyć.

Tu zwracał się do pana Rocha Kowalskiego, który

występował wówczas z za pleców pana Zagłoby i mówił dobitnym stentorowym głosem:

— Wuj... nie... łże!

I sapiąc, toczył oczyma po obecnych, jakby szukał zuchwalca, któryby mu śmiał zaprzeczyć.

Ale nikt nigdy nie przeczył, więc pan Zagłoba poczynał opowiadać o swych dawnych przewagach: jako jeszcze za życia pana Koniecpolskiego przyczynił się dwukrotnie do zwycięstwa nad Gustawem Adolfem, jak potem Chmielnickiego splantował, co pod Zbarażem dokazywał, jako książę Jeremi na jego radach we wszystkiem polegał i jako mu prowadzenie wycieczek powierzał...

— A po każdej wycieczce (mówił) gdyśmy na pięć albo na dziesięć tysięcy hultajstwa napsuli, to Chmielnicki aż łbem z desperacji w ścianę trykał i powtarzał: „Nikt inny tego nie uczynił, tylko ten djabeł Zagłoba!“ a kiedy już do paktów zborowskich przyszło, to chan sam jako dziwo mnie oglądał i o konterfekt upraszał, bo chciał go sułtanowi w prezencie posłać.

— Takich nam dziś trzeba, więcej niż kiedy! — powtarzali słuchacze.

A gdy wielu i bez tego o nadzwyczajnych czynach pana Zagłoby słyszało, o których wieści po całej Rzeczypospolitej chodziły, gdy i świeże wypadki w Kiejdanach, jako to: uwolnienie pułkowników i bitwa klawańska ze Szwedami potwierdzały dawną opinję męża, sława jego rosła coraz bardziej i chodził w niej pan Zagłoba, jak w słońcu, wszystkim na oczach, nad innych promienisty i jasny,

— Gdyby takich tysiąc było w Rzeczypospolitej, nie przyszłoby do tego, co się zdarzyło! — powtarzano w obozie.

— Dziękujmy Bogu, że choć jednego mamy między sobą!

— Onże pierwszy Radziwiłła zdrajcą zakrzyknął.

I zacnych ludzi z jego rąk wyrwał i po drodze Szwedów pod Klawanami tak poraził, że i świadek klęski nie uszedł.

— Pierwsze zwycięstwo on odniósł!

— Da Bóg i nie ostatnie!

Pułkownicy, jako Żeromski, Kotowski, Jakób Kmicic i Lipnicki patrzyli także na Zagłobę z wielkim szacunkiem. Wydzierano go sobie z rąk do rąk i zasięgano jego rady we wszystkiem, podziwiając roztropność, prawie męstwu wyrównywającą.

A właśnie radzono teraz nad ważną sprawą. Wysłano wprawdzie deputatów do wojewody witebskiego, by przyjeżdżał objąć dowództwo, ale ponieważ nikt dobrze nie wiedział, gdzie w tej chwili pan wojewoda się znajduje, deputaci więc pojechali i jakby w wodę wpadli. Były wieści, że ich Zołtareńkowe podjazdy ogarnęły, które zapuszczały się pod Wołkowysk, rabując na własną rękę.

Postanowili tedy pułkownicy pod Białymstokiem obrać tymczasowo regimentarza, któryby aż do przyjazdu pana Sapiehy rząd nad wszystkimi sprawował. Nie potrzeba mówić, że z wyjątkiem pana Wołodyjowskiego, każdy pułkownik o sobie myślał.

Rozpoczęły się zabiegi i kaptowania. Wojsko oświadczyło, że chce mieć udział w wyborach i to nie przez deputatów, ale w kole jeneralnem, które wnet w tym celu złożono.

Wołodyjowski, po naradzie ze swymi towarzyszami, polecał mocno pana Żeromskiego, który był człowiek cnotliwy, poważny, a przytem imponował wojsku samą urodą i senatorską brodą w pas. Żołnierz przytem był biegły i doświadczony. Sam przez wdzięczność polecał pana Wołodyjowskiego, ale Kotowski, Lipnicki i Jakób Kmicic opierali się temu, twierdząc, że nie można najmłodszego wiekiem wybierać, bo regimentarz musi i przed obywatelstwem największą reprezentować powagę.

— A któż tu najstarszy? — zapytały liczne głosy.

— Wuj najstarszy! — zakrzyknął nagle pan Roch Kowalski tak gromkim głosem, że aż wszyscy zwrócili głowy w jego stronę.

— Szkoda tylko, że chorągwi nie ma — rzekł pan Jachowicz, namiestnik Żeromskiego.

Lecz inni poczęli wołać:

— To i co z tego! Czy to nam niewola pułkownika koniecznie obierać?... Zali to nie w mocy naszej? Zali nie in liberis suffragiis? Toż królem wolno każdego szlachcica obrać, nie dopiero regimentarzem...

Wtem pan Lipnicki, który niechętny był dla Żeromskiego i nie chciał wszelkiemi sposobami jego wyboru dopuścić, zabrał głos:

— Jako żywo! wolno waszmościom głosować, jak się podoba! A nie obierzecie pułkownika, to się i lepiej stanie, bo nie będzie nikomu krzywdy, ani invidii.

Wtedy powstał hałas straszliwy. Liczne głosy wołały: — Do wotów! do wotów! — inni zaś: — Kto tu od pana Zagłoby sławniejszy? Kto większy rycerz? Kto żołnierz doświadczeńszy? Pana Zagłobę prosimy... Niech żyje pan Zagłoba! Niech żyje regimentarz!

— Niech żyje! niech żyje! — wrzeszczało coraz więcej gardzieli.

— Na szable opornych!... — krzyczeli znowu burzliwsi.

— Niema opornych! unanimitate! — odpowiadały tłumy.

— Niech żyje! On Gustawa Adolfa poraził! On Chmielnickiemu sadła za skórę nalał!

— I pułkowników samych ratował!

— I Szwedów pod Klawanami poraził!

— Vivat! vivat! Zagłoba dux! Vivat! vivat!

I tłumy poczęły podrzucać czapki, biegać po obozie i szukać pana Zagłoby.

On zaś zdumiał się i zmieszał w pierwszej chwili, bo o godność nie zabiegał, chciał jej dla Skrzetuskiego, i takiego obrotu rzeczy się nie spodziewał.

To też, gdy kilkutysięczny tłum począł wykrzykiwać jego nazwisko, tchu mu zabrakło i zaczerwienił się, jak burak.

Wtem opadli go towarzysze; ale w uniesieniu wszystko

tłumaczyli sobie na dobre, bo widząc jego zmieszanie, poczęli wołać:

— Patrzcie! jako panna się zapłonił! Modestja męstwu w nim równa! Niech żyje i niech nas do wiktorji prowadzi!

Tymczasem nadeszli i pułkownicy, radzi nieradzi, winszując godności, a niektórzy może i radzi byli, że współzawodników minęła. Pan Wołodyjowski tylko wąsikami coś ruszał, nie mniej od pana Zagłoby zdumiony, a Rzędzian otworzywszy oczy i usta, patrzył z niedowierzaniem, ale już i z szacunkiem na pana Zagłobę, który zwolna do siebie przychodził, a po chwili wziął się w boki i głowę do góry zadarł, przyjmując z odpowiednią godności powagą życzenia.

Winszował pierwszy Żeromski od pułkowników, a potem od wojska przemówił bardzo wymownie towarzysz z chorągwi Kotowskiego, pan Żymirski, cytując maksymy różnych mędrców.

Zagłoba słuchał, głową kiwał; wreszcie, gdy mówca skończył, pan regimentarz przemówił w następujące słowa:

— Mości panowie! Choćby kto w niezbrodzonym chciał prawdziwą utopić zasługę oceanie, albo niebotycznemi przysypać ją Karpatami, przecie ona, jakoby oleju przyrodzenie mając, nawierzch wypłynie, z pod ziemi się wydobędzie, ażeby do oczu ludzkich powiedzieć: „Jam jest, która się światła nie wzdragam, sądu nie lękam, nagrody czekam“. Ale że jako drogi kamień w złoto, tak cnota w modestję powinna być oprawiona, przeto pytam was, mości panowie, stojąc tu przed wami: Zalim się ze swemi zasługami nie krył? Zalim się przed wami chwalił? Zalim o tę godność, któraście mnie ozdobili, tentował? Wyście to sami zasług mych dopatrzyli, bom ja i teraz jeszcze je negować gotów i powiedzieć wam: są tu lepsi ode mnie, jako pan Żeromski, pan Kotowski, pan Lipnicki, pan Kmicic, pan Oskierka, pan Skrzetuski, pan Wołodyjowski, tak wielcy kawalerowie, jakimi sama starożytność chlubićby się mogła... Przecz mnie, a nie którego z nich, obraliście sobie

wodzem? Jeszcze czas... Zdejmcie mi tę godność z barków, a zacniejszego w ten płaszcz przyozdóbcie!

— Nie może być! nie może być! — zaryczały setne i tysiączne głosy.

— Nie może być! — powtórzyli pułkownicy uradowani z publicznej pochwały. a chcący zarazem przed wojskiem swoją skromność okazać.

— Widzę i ja, że nie może być inaczej! — odrzekł Zagłoba — niech się tedy wola waszmościów spełni. Dziękuję z serca, panowie bracia, i tak tuszę, że da Bóg, nie zawiedziecie się w tej ufności, którąście we mnie położyli. Jako wy przy mnie. tak i ja do gardła stać przy was przyrzekam, a czyli wiktorję, czyli zgubę fata nam niezbadane przyniosą, sama śmierć nas nie rozłączy, bo i po śmierci sławą się dzielić będziem!

Okrutne uniesienie zapanowało w zebraniu. Jedni do szabel się imali, drudzy łzy poczęli ronić; panu Zagłobie pot kroplami osiadł na łysinie, ale zapał w nim wzra[illegible]

— Przy królu naszym prawowitym, prz[illegible] elekcie i przy miłej ojczyźnie stać będziem! — zak[illegible] dla nich żyć! dla nich umierać! Mości panowie! [illegible] ojczyzna ojczyzną, nigdy takowe klęski na nią nie [illegible] Zdrajcy otworzyli wrota i niemasz już piędzi ziemi, kro[illegible] tego województwa, w którejby nie grasował nieprzyjacie[illegible] W was ojczyzny nadzieja a we mnie wasza, na was i na mnie cała Rzeczpospolita ma oczy obrócone! Ukażmyż jej, że niepróżno ręce wyciąga. Jak wy ode mnie męstwa i wiary, tak ja od was karności żądam i posłuszeństwa, a gdy będziemy zgodni, gdy przykładem naszym otworzymy oczy tym, których nieprzyjaciel uwiódł — tedy pół Rzeczypospolitej do nas się zleci! Kto ma Boga i wiarę w sercu, ten przy nas stanie, moce niebieskie nas wesprą i któż nam wówczas sprosta?!

— Tak będzie! Dlaboga, tak będzie! Salomon mówi: Bić! Bić! — wołały grzmiące głosy,

A Zagłoba ręce ku północy wyciągnął i począł krzyczeć:

— Przychodź teraz, Radziwille! przychodź, panie hetmanie! panie heretyku! lucyperowy wojewodo! Czekamy cię, nie w rozproszeniu, ale w kupie, nie w dyskordji, ale w zgodzie, nie z papierami, paktami, ale z mieczami w ręku! Czeka cię tu wojsko cnotliwe i ja regimentarz. Dalej! wychodź! dawaj Zagłobie pole! Wezwij czartów na pomoc i próbujmy się!... Wychodź!

Tu zwrócił się znowu do wojska i krzyczał dalej, aż się w całym obozie rozlegało:

— Dlaboga, mości panowie! Proroctwa mnie wspierają! Zgody jeno, a pobijemy tych szelmów, pludrów, pończoszników, rybojadów i innych wszarzy, brodafjanów, kożuszników, co w lato saniami jeżdżą!... Damy im pieprzu, aż pięty pogubią, umykając. Bijże tych psubratów kto żyw! Bij kto w Boga wierzy, komu cnota i ojczyzna miła!

Kilka tysięcy szabel zabłysło naraz. Tłumy otoczyły na Zagłobę, cisnąc się, depcąc, popychając i wrzeszcząc:

— Prowadź! prowadź!

— Jutro poprowadzę! Gotować się! — krzyknął w zapał Zagłoba.

Wybór ów odbywał się rano, a po południu odbywał się przegląd wojska. Stały więc chorągwie na choroszczańskich błoniach, jedna przy drugiej w wielkim porządku, z pułkownikami i chorążymi na czele, a przed pułkami jeździł regimentarz, pod buńczukiem, z pozłocistą buławą w ręku i czaplem piórem przy czapce. Rzekłbyś: hetman urodzony! I tak przeglądał kolejno chorągwie, jak pasterz przegląda trzodę, a żołnierzom aż serca przybywało na widok tej wspaniałej postaci. Każdy pułkownik wyjeżdżał kolejno ku niemu, a on z każdym pogadał, coś pochwalił, coś zganił i nawet ci z przywódców, którzy z początku nieradzi byli z wyboru, musieli przyznać w duchu, że z nowego regimentarza żołnierz bardzo materyj wojskowych świadom, dla którego przywództwo nie nowina.

Jeden tylko pan Wołodyjowski dziwnie jakoś wąsikami ruszał, gdy nowy regimentarz poklepał go na przeglądzie wobec innych pułkowników po ramieniu i rzekł:

— Panie Michale, kontent jestem z ciebie, bo chorągiew tak porządna, jako żadna nie jest. Wytrwaj jeno tak dalej, a możesz być pewien, że cię nie zapomnę!

— Dalibóg! — szepnął pan Wołodyjowski Skrzetuskiemu, wracając z przeglądu — coby mi mógł innego prawdziwy hetman powiedzieć?

Tegoż samego dnia rozesłał pan Zagłoba podjazdy w te strony, w które było trzeba i w te, w które nie było potrzeby. Gdy wróciły nazajutrz rano, wysłuchał pilnie wszystkich doniesień, poczem udał się do kwatery pana Wołodyjowskiego, który mieszkał razem ze Skrzetuskimi.

— Przy wojsku muszę powagę zachowywać, — rzekł łaskawie, — ale gdyśmy sami, możemy w dawnej konfidencji zostawać... Tum przyjaciel nie zwierzchnik! Waszą radą też nie pogardzę, choć własny rozum mam, gdyż wiem, żeście ludzie doświadczeni, jak mało żołnierzy w całej Rzeczypospolitej.

Przywitali go więc po dawnemu i wprędce „konfidencja" zapanowała zupełna, jeden tylko Rzędzian nie śmiał być z nim jak dawniej i na samym brzeżku ławy siedział.

— Co ojciec myślisz robić? — zapytał Jan Skrzetuski.

— Przedewszystkiem porządek i dyscyplinę utrzymać i żołnierzy zająć, żeby próżnowaniem nie sparcieli. Widziałem to dobrze, panie Michale, żeś jako sysun mamrotał, gdym te podjazdy na cztery strony świata wysyłał, ale ja musiałem to uczynić, by ludzi do służby wdrożyć, bo znacznie pole zalegli. To raz, a po wtóre, czego nam brak? Nie ludzi, bo nalazło i nalezie ich dosyć. Ta szlachta, która do Prus uciekła przed Szwedami z województwa mazowieckiego, także tu przyjdzie. Ludu i szabel nie zbraknie, jeno wiwendy niedość, a bez zapasów żadne wojsko w świecie w polu nie wytrzyma. Owóż mam taką myśl, żeby podjazdom nakazać sprowadzać wszystko, co jeno im

w ręce popadnie: bydło, owce, świnie, zboże, siano i z tego województwa i z ziemi widzkiej na Mazowszu, która także nie widziała dotąd nieprzyjaciela i wszystkiego ma obfitość.

— Ale to szlachta będzie wniebogłosy krzyczeć, — zauważył Skrzetuski, — jeżeli się im plon i dobytek zabierze?

— Więcej mi znaczy wojsko, niż szlachta. Niech krzyczą! Zresztą, darmo się nie będzie brać, bo każę kwity wydawać, których tyle już nagotowałem przez dzisiejszą noc, że pół Rzeczypospolitej wziąćby można za nie w rekwizycję. Pieniędzy nie mam, ale po wojnie i po wypędzeniu Szwedów Rzeczpospolita to zapłaci. Co mi tam gadacie! Szlachcie gorzej, gdy wojsko zgłodniałe zajeżdża i rabuje. Mam też myśl lasy splondrować, bo słyszę, że tam siła chłopstwa z dobytkiem pouciekało. Niechże to wojsko duchowi świętemu dziękuje, że je natchnął do obrania mnie regimentarzem, bo niktby tu inny sobie tak nie poradził.

— U waszej wielmożności senatorska głowa, to pewno! — rzekł Rzędzian.

— Co? hę? — rzekł Zagłoba uradowany pochlebstwem — i ciebie, szelmo, w ciemię nie bito. Rychło patrzeć, jak namiestnikiem cię uczynię, niech się jeno vacans otworzy.

— Dziękuję pokornie waszej wielmożności... — odpowiedział Rzędzian.

— Ot, moja myśl! — mówił dalej Zagłoba. — Najprzód wiwendy tyle zgromadzić, jakobyśmy mieli oblężenie wytrzymać, potem obóz warowny założymy, a wówczas niech przychodzi Radziwiłł ze Szwedami, czy z djabłami. Szelmą jestem, jeżeli tu drugiego Zbaraża nie uczynię!

— Jak mi Bóg miły, tak to grzeczna myśl, — zawołał Wołodyjowski, — jeno skąd dział weźmiemy?

— Pan Kotowski ma dwie haubice, u Kmicica jedna wiwatówka, w Białymstoku są cztery oktawy, które do zamku tykocińskiego miały być wyprawione; bo waćpanowie nie wiecie, że Białystok na utrzymanie zamku tykocińskiego przez pana Wiesiołowskiego jest zapisany, i te armaty

jeszcze zeszłego roku z czynszów zakupiono, o czem mi pan Stępalski, gubernator tutejszy, powiedział. Mówi też, że i prochów jest na sto strzałów do każdej. Damy sobie radę, mości panowie, jeno popierajcie mnie z duszy, a i o ciele nie zapominajcie, któreby rade napić się czego, bo i pora już potemu.

Wołodyjowski kazał przynieść pić i dalej gawędzili przy kielichach.

— Myśleliście, że będziecie mieć malowanego regimentarza — mówił Zagłoba, siorbając zlekka miód wystały. — Nunquam! Nie prosiłem ja o ten fawor, ale kiedyście mnie nim przyozdobili, to i posłuch i porządek musi być. Wiem ja, co każda godność znaczy i obaczycie, czy każdej nie dorosnę. Drugi Zbaraż tu urządzę, nic jeno drugi Zbaraż! Zadławi się dobrze Radziwiłł, zadławią się i Szwedzi nim mnie przełkną. Albo też chciałbym, by Chowański się o nas pokusił, pochowałbym go tak, żeby go i na sąd ostateczny nie znaleźli. Niedaleko stoją, niech przyjdą! niech popróbują! Miodu, panie Michale!

Wołodyjowski nalał, pan Zagłoba duszkiem wypił, zmarszczył brwi i jakby sobie coś przypominając, rzekł:

— O czem to ja mówiłem? Czego to ja chciałem?... Aha! miodu, panie Michale!

Wołodyjowski nalał znowu.

— Powiadają, — mówił Zagłoba, — że i pan Sapieha lubi w dobrej kompanji pociągnąć. Nie dziw! każdy zacny człowiek to lubi. Zdrajcy tylko, którzy nieszczere myśli dla ojczyzny żywią, boją się wina, żeby się z praktyk nie wygadać. Radziwiłł brzezinowy sok pija, a po śmierci będzie smołę pijał. Tak mi Pan Bóg dopomóż! Zgaduję to snadnie, że się z panem Sapiehą pokochamy, bośmy do siebie podobni, jako jedno ucho końskie do drugiego, albo jak para butów. I przytem on jeden regimentarz, ja drugi, ale już tak tu wszystkie sprawy urządzę, żeby, jak on przyjedzie, wszystko było gotowe. Siła rzeczy na mojej głowie, ale cóż robić! Nie ma kto w ojczyźnie myśleć, to ty myśl, stary

Zagłobo, póki ci pary w nozdrzach. Najgorsza sprawa, że kancelarji nie mam.

— A poco ojcu kancelarja? — pytał Skrzetuski.

— A poco król ma swego kanclerza? A poco przy wojsku musi być pisarz wojskowy? Trzeba będzie i tak posłać do jakiego miasta, żeby mi pieczęć zrobili.

— Pieczęć?... powtórzył z zachwytem Rzędzian, spoglądając z coraz większem uszanowaniem na pana Zagłobę.

— A co waćpan będziesz pieczętował? — pytał Wołodyjowski.

— W tak poufnej kompanji możesz mi, panie Michale, mówić po dawnemu: „waćpan". Nie ja będę pieczętował, ale mój kanclerz... To sobie najprzód zakonotujcie!

Tu Zagłoba spojrzał z dumą i powagą po obecnych, aż Rzędzian zerwał się z ławy, a pan Stanisław Skrzetuski mruknął:

— Honores mutant mores!

— Poco mnie kancelarja? Posłuchajcie jeno — mówił pan Zagłoba. — Najprzód wiedzcie o tem, że te klęski, które na ojczyznę naszą spadły, według mojego mniemania, nie z innej przyczyny przyszły, jak z rozpusty, jak ze swawoli i zbytków (miodu panie Michale!), jak ze zbytków, mówię, które nakształt zarazy nas toczą. Ale w pierwszym rzędzie, z przyczyny heretyków, coraz śmielej prawdziwej wierze bluźniących, z ujmą dla Przenajświętszej Patronki naszej, która o te bezeceństwa w słuszną cholerę wpaść mogła...

— To słusznie mówi! — ozwali się chórem rycerze — dysydenci pierwsi przystali do nieprzyjaciół, a kto wie, czy nie sami ich sprowadzili?!

— Exemplum hetman wielki litewski!

— Lecz że i w tem województwie, gdzie ja jestem regimentarzem, także heretyków nie brak, jako w Tykocinie i w innych miejscach, przeto dla zyskania na początek błogosławieństwa bożego dla naszej imprezy, wyda się uniwersał,

aby, kto w błędach żyje, we trzech dniach z nich się nawrócił, a tym, którzy tego nie uczynią, majętności mają być na wojsko skonfiskowane.

Rycerze spoglądali na siebie ze zdumieniem. Wiedzieli, że nie zbywa panu Zagłobie na obrotnym rozumie i fortelach, ale nie przypuszczali, aby pan Zagłoba był takim statystą i tak doskonale umiał sprawy publiczne sądzić.

I wy się pytacie, — rzekł z triumfem Zagłoba, — skąd wezmę pieniędzy na wojsko?... A konfiskaty? a wszystkie dobra radziwiłłowskie, które tem samem przejdą na własność wojska?

— Czy aby będzie prawo po naszej stronie? — wtrącił Wołodyjowski.

— Dziś takie czasy, że kto ma szablę, ten ma prawo! A jakie prawo mają Szwedzi i ci wszyscy nieprzyjaciele którzy w granicach Rzeczypospolitej grasują?

— Prawda jest! — odpowiedział z przekonaniem pan Michał.

— Niedość na tem! — zawołał, zapalając się, Zagłoba. — Drugi uniwersał wyda się do szlachty województwa podlaskiego i do tych ziem w województwach sąsiednich, które jeszcze nie są w nieprzyjacielskich ręku, aby jako na pospolite ruszenie stawały. Szlachta ma czeladź uzbroić, aby nam piechoty nie brakło. Wiem to, że niejedenby rad iść, jeno się za jakiem pismem i za jakimś rządem ogląda. Będą tedy mieli i rząd i uniwersały...

— Waćpan naprawdę tyle masz rozumu, ile kanclerz wielki koronny! — zakrzyknął pan Wołodyjowski.

— Miodu, panie Michale!... Trzecie pismo wyszle się do Chowańskiego, by sobie szedł do paralusa, a nie, to go ze wszystkich miast i zamków wykurzymy. Stojąc oni teraz wprawdzie na Litwie spokojnie i zamków nie dobywają, ale kozacy Zołtareńkowi rabują, kupami po tysiącu i dwa jeżdżąc. Niechże ich powstrzyma, bo inaczej będziem ich znosić.

— Pewnie, że moglibyśmy to robić: — rzekł Jan Skrzetuski — wojsko nie zależałoby pola.

— Myślę ja nad tem i właśnie ku Wołkowyskowi dziś nowe podjazdy wysyłam, ale et haec facienda et haec non omittenda... Trzecie pismo chcę posłać do naszego elekta, pana dobrego, aby go w smutku pocieszyć, że przecie jeszcze są tacy, którzy go nie opuścili, że są serca i szable na jego skinienie gotowe. Niechże na obczyźnie ma choć tę pociechę nasz ojciec, nasz pan kochany, nasza krew jagiellońska, która tułać się musi oto... oto...

Tu pan Zagłoba zakrztusił się, bo już miał mocno w głowie i wreszcie ryknął z żałości nad losem królewskim, a pan Michał zaraz mu zawtórował trochę cieniej. Rzędzian chlipał także, albo udawał, że chlipie, a Skrzetuscy wsparli głowy na rękach i siedzieli w milczeniu.

Przez chwilę cisza trwała, nagle pan Zagłoba wpadł w złość.

— Co mi tam elektor! — krzyknął. — Kiedy zawarł pakt z miastami pruskiemi, niechże występuje w pole przeciw Szwedom, niech nie praktykuje na obie strony, niech uczyni to, co wierny lennik czynić powinien i w obronie pana swego i dobrodzieja stawa.

— Kto tam zgadnie, czy on się jeszcze za Szwedami nie opowie? — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Za Szwedami się opowie? To ja mu się opowiem! Pruska granica niedaleko, a u mnie kilka tysięcy szabel na zawołanie! Zagłoby w pole nie wywiedzie! Jako mnie tu widzicie, jakom regimentarz nad tem zacnem wojskiem, tak go ogniem i mieczem nawiedzę. Niema wiwendy, dobrze! znajdziemy jej dość w pruskich gumnach!

— Matko Boska! — zakrzyknął w uniesieniu Rzędzian. — Wasza wielmożność już i koronowanym głowom zdzierży.

— Zaraz do niego napiszę: „Mości elektorze! Dość kota ogonem odwracać! Dość wykrętów i mitręgi! Wychodź przeciw Szwedom, a nie, to ja w odwiedziny do Prus przy-

jadę. Nie może inaczej być...“ Inkaustu, piór, papieru! Rzędzian, pojedziesz z pismem!

— Pojadę! — rzekł dzierżawca z Wąsoszy, uradowany nową godnością.

Lecz nim przygotowano panu Zagłobie inkaust, pióra i papier, krzyki wszczęły się przed domem i tłumy żołnierzy zaczerniały przed oknami. Jedni krzyczeli: „vivat!“ — drudzy hałłakowali po tatarsku. Zagłoba z towarzyszami wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

Pokazało się, że prowadzą owe oktawy, o których pan Zagłoba wspominał, a których widok rozradował teraz serca żołnierskie.

Pan Stępalski, gubernator białostocki, przystąpił do pana Zagłoby i przemówił:

— Jaśnie wielmożny regimentarzu! Od czasu, jak nieśmiertelnej pamięci pan marszałek Wielkiego Księstwa Litewskiego zapisał dobra białostockie na utrzymanie zamku tykocińskiego, ja, będąc tychże dóbr gubernatorem, wiernie i poczciwie wszelkie czynsze na pożytek tegoż zamku obracałem, czego i rejestrami mogę przed całą Rzecząpospolitą dowieść. Tak przeszło dwadzieścia lat pracując, opatrywałem on zamek w prochy, działa i spiżę, mając to sobie za święty obowiązek, aby każdy grosz tam szedł, dokąd jaśnie wielmożny marszałek W. Księstwa Litewskiego iść mu nakazał. Ale gdy w zmiennej losów kolei zamek tykociński został nieprzyjaciół ojczyzny największą w tem województwie podporą, pytałem się Boga i własnego sumienia, zali mam mu i nadal siły przysparzać, zali nie powinienem tych dostatków i wojennych porządków z tegorocznego czynszu nagromadzonych, do waszej wielmożności rąk oddać...

— Powinieneś... — przerwał z powagą pan Zagłoba.

— O jedno też jeno proszę, aby wasza wielmożność raczyła wobec całego wojska zaświadczyć i na piśmie mnie pokwitować jako nic z onych dóbr na własny pożytek nie

obróciłem i wszystko w ręce Rzeczypospolitej, godnie tu przez władzę jw. regimentarza reprezentowanej, zdałem.

Zagłoba kiwnął głową na znak przyzwolenia i zaraz zaczął przeglądać rejestry.

Pokazało się. że prócz oktaw, na strychach spichrzów ukrytych jest i trzysta muszkietów niemieckich bardzo porządnych, dwieście berdyszów moskiewskich dla piechoty, do obrony murów i wałów i sześć tysięcy złotych gotowizny.

— Pieniądze między wojsko się rozdzieli, — rzekł Zagłoba, — a co do muszkietów i berdyszów...

Tu obejrzał się naokoło.

— Panie Oskierka, — rzekł, — weźmiesz je waść i pieszą chorągiew uformujesz... jest tu trochę piechoty z radziwiłłowskich zbiegów, a ilu braknie, tylu z młynarzy dobierzesz.

Poczem zwrócił się do wszystkich obecnych:

— Mości panowie! Są pieniądze, są działa, będzie piechota i wiwenda... Takie moje rządy na początek!

— Vivat! — krzyknęło wojsko.

— A teraz, mości panowie, wszyscy pachołcy wskok po wsiach po rydle, łopaty i motyki. Obóz warowny założym, Zbaraż drugi! Jeno towarzysz czy nie towarzysz, niech się nie wstydzi łopaty i do roboty!

To rzekłszy, pan regimentarz udał się do swojej kwatery, przeprowadzony okrzykami wojska.

— Dalibóg, że ten człowiek ma jednak głowę na karku — mówił do Jana Skrzetuskiego Wołodyjowski — i rzeczy zaczynają iść lepszym porządkiem.

— Byle tylko Radziwiłł zaraz nie nadszedł, — wtrącił Stanisław Skrzetuski, — bo to wódz, jak drugiego niemasz w Rzeczypospolitej, a nasz pan Zagłoba dobry do prowjantowania obozu, ale nie jemu mierzyć się z takim wojennikiem.

— Prawda jest! — odpowiedział Jan — jak przyjdzie co do czego, to go będziem radą wspomagali, bo on się na

wojnie mniej rozumie. Zresztą, skończy się jego panowanie, niech tylko pan Sapieha nadciągnie.

— Ale przez ten czas siła dobrego może zrobić — rzekł pan Wołodyjowski.

Jakoż istotnie wojska owe potrzebowały jakiegokolwiek naczelnika, choćby nawet pana Zagłoby, bo od dnia jego wyboru lepszy ład zapanował w obozie. Nazajutrz skoro dzień, poczęto sypać wały nad białostockiemi stawami. Pan Oskierka, który w cudzoziemskich wojskach sługiwał i znał się na sztuce sypania obronnych miejsc, kierował całą robotą. Powstał więc w trzech dniach nader silny okop, naprawdę podobien nieco do zbaraskiego, bo boków i tyłu broniły mu błotniste stawy. Widok jego podniósł serca żołnierzy; całe wojsko poczuło, że ma jakowyś grunt pod nogami. Lecz jeszcze bardziej począł się duch krzepić na widok zapasów żywności, sprowadzanych przez silne podjazdy. Codziennie wpędzano do okopu woły, owce, świnie, codzień szły fury, wiozące wszelakie ziarno i siano. Niektóre przychodziły aż z ziemi łukowskiej, inne aż z widzkiej. Napływała także coraz liczniej szlachta drobna i większa, albowiem gdy wieść się rozeszła, że jest już rząd, wojsko i regimentarz, więcej też znalazło się w ludziach ufności. Mieszkańcom ciężko było żywić „całą dywizję“, ale po pierwsze pan Zagłoba o to nie pytał, po wtóre lepiej było oddać na wojsko połowę, a reszty w spokoju zażywać, niż być narażonym co chwila na stratę wszystkiego od kup swawolnych, które rozmnożyły się były znacznie i grasowały nakształt Tatarów, a które pan Zagłoba nakazał podjazdom ścigać i znosić.

— Jeśli takim okaże się hetmanem, jakim jest gospodarzem, — mówiono o nowym regimentarzu w obozie. — tedy Rzeczpospolita nie wie jeszcze, jak wielkiego ma męża.

Sam pan Zagłoba myślał z pewnym niepokojem o przyjściu Janusza Radziwiłła. Przypominał sobie wszystkie zwycięstwa Radziwiłła, a wówczas postać hetmańska przy-

bierała potworne kształty w wyobraźni nowego regimentarza i w duszy sobie mówił:

— Oj, kto się tam temu smokowi oprze!... Mówiłem, że się mną zadławi, ale on mnie, jako sum kaczkę, połknie.

I obiecywał sobie pod przysięgą nie wydawać jeneralnej bitwy Radziwiłłowi.

— Będzie oblężenie, — myślał, — a to zawsze długo trwa. Można też będzie i traktatów tentować, a przez ten czas pan Sapieha nadejdzie.

Na wypadek, gdyby nie nadszedł, postanowił sobie pan Zagłoba słuchać we wszystkiem pana Jana Skrzetuskiego, gdyż pamiętał, jak książę Jeremi cenił wysoko tego oficera i jego zdolności wojskowe.

— Ty, panie Michale, — mówił pan Zagłoba do Wołodyjowskiego, — jenoś do ataku stworzony, albo i z podjazdem, chociażby znacznym, można cię wysłać, bo umiesz się sprawić i jako wilk na owce, na nieprzyjaciela wpadniesz; ale gdyby ci całem wojskiem hetmanić kazano, pasz! pasz! sklepu z rozumem nie założysz, bo go na sprzedanie nie posiadasz, a Jan, to regimentarska głowa i gdyby mnie nie stało, on jeden mógłby mnie zastąpić.

Tymczasem przychodziły wieści odmienne; raz donoszono, że Radziwiłł już idzie przez Prusy elektorskie, drugi raz, że pobiwszy wojska Chowańskiego, zajął Grodno i stamtąd ciągnie z wielką potęgą; ale byli i tacy, którzy twierdzili, że to nie Radziwiłł, jeno Sapieha poraził Chowańskiego przy pomocy księcia Michała Radziwiłła. Podjazdy jednak nie przywoziły żadnych pewnych wieści, prócz tych, że pod Wołkowyskiem stanęła kupa Zołtareńkowych ludzi wynosząca około dwóch tysięcy wojowników i miastu zagraża. Okolica cała płonęła już ogniem.

W dzień po podjazdach zaczęli napływać i zbiegowie, którzy potwierdzili wiadomość, donosząc przytem, że mieszczanie wyprawili posłów do Chowańskiego i Zołtareńki z prośbą o miłosierdzie nad miastem, na co uzyskali od Chowańskiego odpowiedź, że to jest luźna wataha, nie ma-

jąca z jego wojskiem nic wspólnego. Co do Zołtareńki, ten dał mieszczanom radę, by się wykupili, lecz oni, jako ubodzy ludzie, po niedawnym pożarze i kilkunastu rabunkach, nie mieli czem.

Błagali więc o miłosierdzie pana regimentarza, aby im na ratunek pośpieszył, póki układy o wykup się prowadzą, bo później nie będzie już czasu. Pan Zagoba wybrał półtora tysiąca ludzi dobrych, między któremi chorągiew laudańską i przywoławszy Wołodyjowskiego, rzekł mu:

— No. panie Michale, czas pokazać, co umiesz! Pójdziesz pod Wołkowysk i zetrzesz mi tam tych hultajów, którzy miastu nieobronnemu grożą. Nie pierwszyzna ci taka wyprawa i myślę, że za fawor sobie poczytasz, że tobie tę funkcję powierzam.

Tu zwrócił się do innych pułkowników:

— Sam muszę w obozie zostać, bo cała odpowiedzialność na mnie, to raz! A po wtóre, nie przystoi mojej godności na hultajów wyprawy czynić. Niech jeno Radziwiłł nadciągnie, tedy się w wielkiej wojnie pokaże, kto lepszy, czy pan hetman, czy pan regimentarz...

Wołodyjowski ruszył chętnie, bo się nudził w obozie i tęsknił za krwi rozlewem. Komenderowane chorągwie wychodziły też ochoczo ze śpiewaniem, a regimentarz stał konno na wale i błogosławił odchodzących, żegnając ich krzyżem na drogę. Byli nawet tacy, którzy dziwili się, że pan Zagłoba tak uroczyście ów podjazd wyprawia, ale on pamiętał, że i Żółkiewski i inni hetmani mieli zwyczaj żegnać idące do boju chorągwie — zresztą. lubił wszystko czynić uroczyście, bo to powagę jego w oczach żołnierzy podnosiło.

Zaledwie jednak chorągwie znikły we mgle oddalenia, gdy już zaczął się o nie niepokoić.

— Janie! — rzekł — a możeby podesłać jeszcze Wołodyjowskiemu z garść ludzi?

— Daj ojciec pokój — odpowiedział Skrzetuski. — Wołodyjowskiemu na taką wyprawę iść, to to samo, co zjeść

miskę jajecznicy. Boże miły, toż on całe życie nic innego nie robił.

— Ba, a jeśli go za wielka siła opadnie?... Nec Hercules contra plures.

— Co tu o takim żołnierzu gadać! Spenetruje on wszystko dobrze, zanim uderzy, a jeśli tam siła za wielka, to urwie co będzie mógł i wróci, albo sam przyszle o posiłki. Możesz ojciec spać spokojnie.

— Aha! wiedziałem też, kogo wysyłam, ale to ci mówię, że musiał mi ten pan Michał czegoś zadać, taką mam do niego słabość. Prócz nieboszczyka pana Podbipięty i ciebie, nikogom tak nie miłował... Nie może być inaczej, tylko mi ów chłystek czegoś zadał.

Upłynęło trzy dni.

Do obozu zwożono ciągle prowjanty, ochotnicy także nadciągali, ale o panu Michale nie było słychu. Niepokój Zagłoby wzrastał i mimo przedstawień Skrzetuskiego, że żadną miarą nie mógł jeszcze Wołodyjowski z pod Wołkowyska wrócić, wyprawił pan Zagłoba sto koni petyhorskich Kmicica po wiadomości.

Ale podjazd wyszedł i znowu upłynęło dwa dni bez wieści.

Aż siódmego dnia dopiero, o szarym mglistym zmierzchu, pachołcy wyprawieni po potrawy do Borownik, przyjechali bardzo śpiesznie napowrót do obozu z doniesieniem, że widzieli jakieś wojsko, wychodzące z lasów za Bobrownikami.

— Pan Michał! — zakrzyknął radośnie Zagłoba.

Lecz pachołcy przeczyli. Nie pojechali na spotkanie właśnie dlatego, że widzieli jakieś znaki obce, których w wojsku pana Wołodyjowskiego nie było. A przytem siła szła większa. Pachołcy, jak to pachołcy, nie umieli jej dokładnie oznaczyć; jedni mówili, że ze trzy tysiące, drudzy, że pięć albo i więcej.

— Wezmę dwadzieścia koni i pojadę na spotkanie — rzekł pan rotmistrz Lipnicki.

Pojechał.

Upłynęła godzina i druga, aż wreszcie dano znać, że zbliża się nie podjazd, ale całe wielkie wojsko.

I niewiadomo dlaczego, gruchnęła nagle po obozie:

— Radziwiłł idzie!

Wieść ta, jakby iskra elektryczna, poruszyła i wstrząsnęła cały obóz; żołnierze wypadli na wały, na niektórych twarzach znać było przestrach; nie stawano w należytym porządku; jedna tylko piechota Oskierki zajęła wskazane miejsca. Natomiast między wolentarzami wszczął się w pierwszej chwili popłoch. Z ust do ust przelatywały najrozmaitsze wieści. — Radziwiłł zniósł zeszczętem Wołodyjowskiego i ten drugi Kmicicowy podjazd — powtarzali jedni. — Ani świadek klęski nie uszedł — mówili drudzy. — A ot teraz pan Lipnicki jakoby pod ziemię się zapadł. — Gdzie regimentarz? gdzie regimentarz?

Wtem przypadli pułkownicy ład czynić, a że prócz niewielu wolentarzy, zresztą sam stary żołnierz był w obozie, wnet stanęli w sprawie, czekając, co się okaże.

Pan Zagłoba, gdy go doszedł okrzyk: — Radziwiłł idzie! — zmieszał się bardzo, ale w pierwszej chwili wierzyć nie chciał. Cóżby się stało z Wołodyjowskim? Czyliby się pozwolił tak ogarnąć, żeby ani jeden człowiek nie przybiegł z ostrzeżeniem? A ów drugi podjazd? A pan Lipnicki?

— Nie może być! — powtarzał sobie pan Zagłoba, obcierając czoło, które pociło mu się obficie. — Ten smok, ten mężobójca, ten lucyper, miałby już z Kiejdan zdążyć? Zali to ostatnia godzina się zbliża?!

Tymczasem ze wszystkich stron coraz liczniejsze głosy wołały: — Radziwiłł! Radziwiłł! — Pan Zagłoba przestał wątpić. Zerwał się i wpadł do kwatery Skrzetuskiego.

— Janie, ratuj! teraz pora!

— Co się stało? — pytał Skrzetuski.

— Radziwiłł idzie! Na twoją głowę wszystko zdaję,

bo o tobie książę Jeremi mówił, żeś wódz urodzony. Ja sam będę doglądał, ale ty radź i prowadź!

— To nie może być Radziwiłł — rzekł Skrzetuski. — Skądże wojsko nadciąga?

— Od Wołkowyska. Mówią, że ogarnęli Wołodyjowskiego i tamten drugi podjazd, który niedawno posłałem.

— Wołodyjowski dałby się ogarnąć? To ojciec jego nie znasz. On to sam wraca, nikt inny.

— Kiedy mówią, że potęga okrutna.

— Chwała Bogu! to widać pan Sapieha nadciągnął.

— Na Boga! co mówisz? przeciećby dali znać, Lipnicki pojechał naprzeciw?

— Właśnie to dowód, że nie Radziwiłł idzie. Poznali kto, przyłączyli się i razem wracają. Chodźmy! chodźmy!

— Zaraz to mówiłem! — zakrzyknął Zagłoba. — Wszyscy się stropili, a ja pomyślałem: nie może być! Zaraz to pomyślałem! Chodźmy! żywo, Janie! żywo! A tamci się skonfundowali... ha!

Obaj wyszli śpiesznie i wstąpiwszy na wały, na których już wojska tkwiły, poczęli iść wpodłuż; ale twarz Zagłoby była promienna, przystawał co chwila i wołał, ażeby go wszyscy słyszeli:

— Mości panowie! gości mamy! serca mi nie tracić! Jeśli to Radziwiłł, to ja mu drogę napowrót do Kiejdan pokażę!

— Pokażemy mu! — krzyczało wojsko.

— Stosy na wałach rozpalić! Nie będziem się chowali, niech nas widzą, gotowiśmy! Stosy rozpalić!

Wnet naniesiono drew i w kwadrans później zapłonął cały obóz, aż niebo zaczerwieniło się, jakoby od zorzy. Żołnierze, odwracając się od światła, patrzyli w ciemność, w stronę Bobrownik. Niektórzy wołali, że słyszą już chrzęst i tętent.

Wtem w ciemnościach rozległy się zdaleka strzały muszkietów. Pan Zagłoba porwał za połę Skrzetuskiego.

— Ogień rozpoczynają! — rzekł niespokojnie.

— Na wiwaty — odparł Skrzetuski.

Po strzałach rozległy się okrzyki radosne. Nie było co dłużej wątpić; w minutę później nadbiegło na spienionych koniach kilkunastu jeźdźców, wołając:

— Pan Sapieha! pan wojewoda witebski!

Zaledwie to usłyszeli żołnierze, gdy jak wezbrana rzeka płynęli z wałów i biegli naprzeciw, wrzeszcząc tak, że ktoś, coby słyszał zdala te głosy, mógłby mniemać, że to wycinanego w pień miasta wrzaski.

Zagłoba, siadłszy na koń, wyjechał także na czele pułkowników przed wały, przybrany we wszystkie oznaki swej godności: pod buńczukiem, z buławą i czaplem piórem przy czapce.

Po chwili pan wojewoda witebski wjechał w krąg światła, na czele swych oficerów, mając i pana Wołodyjowskiego przy boku. Był to człowiek już w wieku poważnym, średniej tuszy, o twarzy niepięknej, ale rozumnej i dobrotliwej. Wąsy miał już siwe, równo nad górną wargą przystrzyżone i takąż niewielką bródkę, co czyniło go podobnym do cudzoziemca, choć się po polsku ubierał. Jakkolwiek wielu dziełami wojennemi wsławiony, wyglądał więcej na statystę, niż na wojownika; ci, którzy go bliżej znali, mówili też, że w obliczu pana wojewody Minerwa nad Marsem przemaga. Ale obok Minerwy i Marsa, była w tej twarzy rzadsza w owych czasach ozdoba, to jest uczciwość, która z duszy płynąc, odbijała się w oczach, jak światło słońca w wodzie. Na pierwszy rzut oka poznali, że był to mąż zacny i sprawiedliwy.

— My tak czekali, jak za ojcem! — wołali żołnierze.

— A taki przyszedł nasz wódz — powtarzali z rozczuleniem inni.

— Vivat! vivat!

Pan Zagłoba skoczył ku niemu na czele pułkowników, a on konia wstrzymał i począł się kłaniać rysim kołpaczkiem.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rozpoczął przemowę Zagłoba. — Chocbym starożytnych Rzymian, ba!

i samego Cycerona, albo, sięgając dawniejszych czasów, słynnego owego Ateńczyka Demostenesa posiadał wymowę, jeszczebym nie umiał tej radości wypowiedzieć, jaką wezbrały serca nasze na widok dostojnej jaśnie wielmożnego pana osoby. Cieszy się w sercach naszych cała Rzeczpospolita, najmędrszego witając senatora i najlepszego syna, tem większą, bo niespodzianą radością. Oto staliśmy na tych okopach pod bronią, nie witać, ale walczyć gotowi... Nie radosnych słuchać okrzyków, ale spiżowych gromów... Nie łzy wylewać, ale krew naszą!... Gdy zatem stujęzyczna fama rozniosła, że obrońca to ojczyzny, nie zdrajca nadchodzi, że wojewoda witebski nie hetman wielki litewski, że Sapieha nie Radziwiłł...

Lecz panu Sapieże pilno widać było wjechać, bo nagle kiwnął ręką z dobroduszną, choć wielkopańską niedbałością i rzekł:

— Idzie i Radziwiłł. We dwóch dniach już tu będzie!

Pan Zagłoba zmieszał się, bo raz, że mu się wątek mowy przerwał, a po wtóre, iż wieść o Radziwille wielkie na nim uczyniła wrażenie. Stał więc przez chwilę przed panem Sapiehą, nie wiedząc, co dalej mówić; lecz prędko oprzytomniał i wyciągnąwszy śpiesznie buławę z za pasa, rzekł uroczyście, przypominając sobie, co było pod Zbarażem:

— Mnie wojsko wodzem swym uczyniło, lecz ja w godniejsze ręce ów znak oddaję, aby młodszym dać przykład, jak pro publico bono największych zaszczytów zrzec się należy.

Żołnierze zaczęli pokrzykiwać, lecz pan Sapieha uśmiechnął się tylko i rzekł:

— Panie bracie! aby was tylko Radziwiłł nie posądził, że ze strachu przed nim buławę oddajecie. Byłby rad!

— Już on mnie zna, — odparł Zagłoba — i o bojaźń nie posądzi, bom go pierwszy w Kiejdanach splantował i innych przykładem pociągnąłem.

— Kiedy tak, to prowadźcie do obozu — rzekł Sa-

pieha. — Powiadał mi przez drogę Wołodyjowski, żeście przedni gospodarz i że jest u was się czem pożywić, a myśmy strudzeni i głodni.

To rzekłszy, ruszył koniem, a za nim ruszyli inni i wjechali wszyscy do obozu, wśród niezmiernej radości. Pan Zagłoba przypomniał sobie, co o panu Sapieże mówią, że się w ucztach i kielichach kocha, więc postanowił godnie uczcić dzień jego przybycia. Jakoż wystąpił z ucztą tak wspaniałą, jakiej dotąd w obozie nie było. Jedli wszyscy i pili. Przy kielichach opowiadał pan Wołodyjowski co pod Wołkowyskiem zaszło, jak nagle otoczyły go znacznie większe siły, które zdrajca Zołtareńko na pomoc wysłał, jak już ciężko było, gdy nagle przyjście pana Sapiehy zmieniło rozpaczliwą obronę w najświetniejsze zwycięstwo.

— Daliśmy im takie pro memoria, — mówił, — że odtąd ucha z obozu nie wytkną.

Poczem rozmowa zeszła na Radziwiłła. Pan wojewoda witebski miał bardzo świeże wiadomości i wiedział przez zaufanych ludzi o wszystkiem co się w Kiejdanach stało. Opowiadał więc, że wysłał hetman litewski niejakiego Kmicica z listem do króla szwedzkiego i z prośbą, aby z dwóch stron razem uderzyć na Podlasie.

— Dziw mi to nad dziwy! — zawołał Zagłoba — bo gdyby nie ten Kmicic, to do tej pory nie zebralibyśmy się w kupę i mógł nas zjeść Radziwiłł, gdyby był nadszedł, jednego po drugim, jako siedleckie obwarzanki.

— Powiadał mi to wszystko pan Wołodyjowski, — odrzekł Sapieha, — z czego wnoszę, że ma on chyba do was osobisty afekt. Szkoda, że dla ojczyzny go nie ma. Ale tacy ludzie, którzy nic nad siebie nie widzą, nikomu dobrze nie służą i każdego tak zdradzić gotowi, jako w tym przypadku Kmicic Radziwiłła.

— Jeno między nami niemasz zdrajców i wszyscyśmy do gardła przy jaśnie wielmożnym wojewodzie stać gotowi! — rzekł Żeromski.

— Wierzę, że tu sami zacni żołnierze — odparł wo-

jewoda — i anim się spodziewał, bym tu taki ład i dostatek zastał, za co jegomość panu Zagłobie muszę być wdzięczny.

Pan Zagłoba aż pokraśniał z zadowolenia, bo jakoś mu się dotąd wydawało, że jakkolwiek wojewoda witebski traktuje go łaskawie, przecie nie z takiem uznaniem i powagą, jakiejby sobie pan eks-regimentarz życzył. Począł więc opowiadać, jak rządził, co uczynił, jakie zapasy zebrał, jak działa sprowadził i piechotę uformował, wreszcie jak obszerną musiał prowadzić korespondencję.

I nie bez chełpliwości wspomniał o listach, wysłanych do króla wygnanego, do Chowańskiego i elektora.

— Po moim liście musi się jegomość elektor jasno opowiedzieć za nami, albo przeciw nam — rzekł z dumą.

Ale wojewoda witebski był człek wesoły, może też i podochocił trochę, więc pogładził wąsa, uśmiechnął się złośliwie i rzekł:

— Panie bracie, a do cesarza niemieckiego nie pisaliście?

— Nie! — rzekł zdziwiony Zagłoba.

— A to szkoda: — odrzekł wojewoda — rozmawiałby równy z równym.

Pułkownicy wybuchnęli gromkiem śmiechem, lecz pan Zagłoba zaraz okazał, iż jeśli pan wojewoda chciał być kosą, to w nim trafił na kamień.

— Jaśnie wielmożny panie! — rzekł — do elektora mogę pisać, bom i sam, jako szlachcic, elektor, i nie tak to dawno jeszcze, jakom dawał głos za Janem Kazimierzem.

— Toś waćpan dobrze wywiódł! — odpowiedział wojewoda witebski.

— Ale z takim potentatem jak cesarz, nie koresponduję, — mówił dalej Zagłoba, — żeby o mnie nie powiedział pewnego przysłowia, którem na Litwie słyszał...

— Cóż to za przysłowie?

— „Jakaś głowa kiepska — musi być z Witebska!“ — odparł niezmieszany Zagłoba.

Słysząc to pułkownicy, aż zalękli się, ale wojewoda witebski przechylił się wtył i wziął się w boki ze śmiechu.

— A to mnie splantował!... Niechże waści uściskam!... Jak będę chciał brodę golić, to języka od waści pożyczę!

Uczta przeciągnęła się do późna w noc; przerwało ją dopiero przybycie kilku szlachty z pod Tykocina, którzy przywieźli wieść, że podjazdy Radziwiłła sięgają już tego miasta.

ROZDZIAŁ VII.

Radziwiłł dawnoby był uderzył na Podlasie, gdyby nie to, że rozmaite powody zatrzymywały go w Kiejdanach. Najprzód czekał na posiłki szwedzkie, z których przysłaniem Pontus de la Gardie umyślnie zwłóczył. Jakkolwiek jenerała szwedzkiego łączyły węzły pokrewieństwa z samym królem, przecie ani świetnością rodu, ani znaczeniem, ani obszernemi związkami krwi nie mógł sprostać temu magnatowi litewskiemu, a co do fortuny, to jakkolwiek w tej chwili w skarbcu radziwiłłowskim nie było gotowizny, jednakowoż połową dóbr książęcych mogliby się obdzielić wszyscy jenerałowie szwedzcy i jeszcze uważać się za bogatych. Owóż, gdy z kolei losów tak wypadło, że Radziwiłł znalazł się zależnym od Pontusa, nie umiał sobie jenerał odmówić tej satysfakcji, aby owemu panu nie dać uczuć tej zależności i własnej przewagi.

Radziwiłł zaś nie potrzebował posiłków do pobicia konfederatów, bo na to miał i własnych sił dosyć, ale byli mu Szwedzi potrzebni z tych powodów, o których wspominał Kmicic w liście do pana Wołodyjowskiego. Od Podlasia przegradzały Radziwiłła zastępy Chowańskiego, które mogły mu bronić drogi; gdyby zaś Radziwiłł szedł z wojskami szwedzkiemi i pod egidą króla szwedzkiego, wówczas wszelki krok nieprzyjacielski ze strony Chowańskiego musiałby być uważany jako wyzwanie Karola Gustawa. Radziwiłł w duszy chciał tego, dlatego niecierpliwie oczekiwał przybycia choćby jednej chorągwi szwedzkiej i zżymając się na Pontusa, mawiał nieraz do swych dworzan:

— Parę lat temu za faworby sobie poczytywał, gdyby pismo ode mnie otrzymał i potomkomby je w testamencie przekazał, a dziś zwierzchnika maniery przybiera!

Na co pewien szlachcic, gębacz i weredyk znany na całą okolicę, tak raz sobie pozwolił odpowiedzieć:

— To wedle przysłowia, mości książę, jak kto sobie pościele, tak się wyśpi.

Radziwiłł wybuchnął gniewem i do wieży go wtrącić rozkazał, ale na drugi dzień wypuścił i guzem złocistym obdarzył, bo o szlachcicu mówiono, że ma gotowiznę, a książę pieniędzy od niego chciał na skrypt pożyczyć. Szlachcic guz przyjął. ale pieniędzy nie dał.

Posiłki szwedzkie nadeszły wreszcie w liczbie ośmiuset koni, ciężkich rajtarów; trzysta piechoty i sto lżejszej jazdy wyekspedjował Pontus wprost do tykocińskiego zamku. chcąc na wszelki przypadek mieć w nim własną załogę.

Wojska Chowańskiego rozstąpiły się przed owymi ludźmi, nie czyniąc im żadnego wstrętu, którzy też dostali się szczęśliwie do Tykocina, bo to działo się wówczas, gdy jeszcze konfederackie chorągwie stały rozproszone po całem Podlasiu i zajmowały się tylko rabunkiem dóbr radziwiłłowskich.

Spodziewano się, że książę, doczekawszy się pożądanych posiłków, ruszy zaraz, ale on jeszcze zwlóczył. Powodem tego były wieści z Podlasia o nieładzie, panującym w tem województwie, o braku jedności między konfederatami i nieporozumieniach, jakie wynikły między Kotowskim, Lipnickim i Jakóbem Kmicicem.

Lecz nagle zaczęły przychodzić przeciwne wiadomości; pułkownicy nietylko się nie pobili ze sobą, ale zebrali się w jedną kupę pod Białymstokiem. Książę w głowę zachodził, co mogło być powodem takiej odmiany. Nareszcie nazwisko Zagłoby, jako regimentarza, doszło do uszu książęcych. Dano też znać o założeniu warownego obozu, o prowjantowaniu wojska, o działach wygrzebanych w Białymstoku przez Zagłobę, o wzrastaniu potęgi konfederackiej i o ochot-

nikach napływających z zewnątrz. Książę Janusz wpadł w taki gniew. że Ganchof, nieustraszony żołnierz, nie śmiał przez dobę zbliżyć się do niego.

Nakoniec wyszedł rozkaz do chorągwi, by się gotowały do drogi. W jeden dzień cała dywizja stanęła gotowa; jeden regiment piechoty niemieckiej, dwa szkockie, jeden litewskiej; pan Korf prowadził artylerję; Ganchof objął dowództwo jazdy. Prócz dragonji Charłampowej i rajtarów szwedzkich, był lekki znak Niewiarowskiego i poważna chorągiew własna książęca, w której namiestnikiem był Ślizień. Była to siła znaczna i złożona z samych weteranów. Z niewiększą potęgą książę za czasów pierwszych wojen z Chmielnickim, odniósł owe zwycięstwa, które imię jego nieśmiertelną przyozdobiły sławą; z niewiększą siłą zbił półksiężyca, Nebabę! rozgromił na głowę pod Łojowem kilkudziesięciotysięczną watahę przesławnego Krzeczowskiego; wyciął Mozyrz, Turów, wziął szturmem Kijów i tak przycisnął w stepach Chmielnickiego, że ten w układach musiał szukać ratunku.

Lecz gwiazda tego potężnego wojownika zachodziła widocznie i sam nie miał dobrych przeczuć. Zapuszczał oczy w przyszłość i nie widział nic jasno. Pójdzie na Podlasie, rozniesie na końskich kopytach buntowników, każe obedrzeć ze skóry nienawistnego Zagłobę—i cóż z tego? co dalej? Jaka nadejdzie losów odmiana? Czy wówczas uderzy na Chowańskiego, pomści cybichowską klęskę i nowym wawrzynem głowę przyozdobi? Książę mówił tak, ale wątpił, bo właśnie zaczęły już chodzić szeroko słuchy o tem, że północne zastępy, bojąc się wzrostu szwedzkiej potęgi, przestaną wojować, a może nawet wejdą w przymierze z Janem Kazimierzem. Sapieha urywał je jeszcze i gromił gdzie mógł, ale jednocześnie już układał się z niemi. Miał też same plany i pan Gosiewski.

Owoż w razie ustąpienia Chowańskiego, zamknęłoby się i to pole działania, znikłaby dla Radziwiłła ostatnia sposobność okazania swej siły; gdyby zaś Jan Kazimierz

zdołał zawrzeć przymierze i popchnąć na Szwedów dotychczasowych wrogów, podówczas szczęście mogłoby się przechylić na jego stronę przeciw Szwedom, a tem samem przeciw Radziwiłłowi.

Z Korony dochodziły wprawdzie księcia najpomyślniejsze wieści. Powodzenie Szwedów przechodziło wszelkie nadzieje. Województwa poddawały się jedne za drugiemi; w Wielkopolsce panowali jak w Szwecji, w Warszawie rządził Radziejowski; Małopolska nie stawiała oporu; Kraków upaść miał lada chwila; król opuszczony od wojska i szlachty, ze złamaną w sercu ufnością do swego narodu, uszedł na Śląsk i sam Karol Gustaw dziwił się łatwości, z jaką skruszył ową potęgę, zawsze dotąd w walce ze Szwedami zwycięską.

Ale właśnie w tej łatwości widział Radziwiłł niebezpieczeństwo dla siebie, bo przeczuwał, że zaślepieni powodzeniem Szwedzi nie będą się z nimi liczyli, nie będą uważali na niego, zwłaszcza, że nie okazał się tak potężnym i tak władnym na Litwie, jak wszyscy, nie wyjmując i jego samego myśleli.

Czy tedy król szwedzki odda mu Litwę, albo chociaż Białą Ruś? Zali nie będzie wolał jakim wschodnim okrawkiem Rzeczypospolitej zaspokoić raczej wiecznie głodnego sąsiada, aby mieć ręce rozwiązane w reszcie Polski?

To były pytania, które ustawicznie dręczyły duszę księcia Janusza. Dnie i noce trawił w niepokoju. Podejrzywał, że i Pontus de la Gardie nie śmiałby go traktować tak dumnie, prawie lekceważąco, gdyby się nie spodziewał, że król potwierdzi takie postępowanie, albo co gorzej, gdyby nie miał gotowych już instrukcyj.

— Póki stoję na czele kilku tysięcy ludzi (myślał Radziwiłł), póty jeszcze będą się na mnie oglądali, ale gdy zabraknie mi pieniędzy i gdy najemne pułki rozbiegną się — co będzie?

A właśnie intrata z olbrzymich dóbr nie nadeszła;

część ich niezmierna, rozproszona po całej Litwie i hen aż do Polesia kijowskiego, leżała w ruinie; podlaskie zaś wypłókali docna konfederaci.

Chwilami zdawało się księciu, że upada w przepaść. Ze wszystkich jego robót i knowań mogło mu tylko pozostać miano zdrajcy — nic więcej.

Straszyła go też i inna mara — mara śmierci. Co noc prawie ukazywała się ona przed firankami jego łoża i kiwała nań ręką, jakby chciała rzec: „Pójdź w ciemność, na drugą stronę nieznanej rzeki...“

Gdyby był stał na szczycie sławy, gdyby ową pożądaną tak namiętnie koronę mógł choć na dzień jeden, choć na godzinę włożyć na skronie, byłby przyjął to straszne, milczące widmo nieulękłem okiem. Ale umrzeć i zostawić po sobie niesławę i pogardę ludzką, wydawało się dla tego pana, jak sam szatan pysznego, piekłem za życia.

Nieraz też, gdy był samotny, albo tylko ze swym astrologiem, w którym ufność największą pokładał, chwytał się za skronie i powtarzał przyduszonym głosem:

— Gorzeję! gorzeję! gorzeję!

W tych warunkach zbierał się do pochodu na Podlasie, gdy mu na dzień przed wymarszem dano znać, że Książę Bogusław zjechał z Taurogów.

Na samą wieść o tem książę Janusz, jeszcze nim brata ujrzał, jakoby odżył, bo ów Bogusław przywoził z sobą młodość, ślepą wiarę w przyszłość. W nim miała się odrodzić linja birżańska, dla niego już tylko książę Janusz pracował.

Dowiedziawszy się, że nadciąga, chciał koniecznie jechać naprzeciw, lecz, że etykieta nie pozwalała przeciw młodszemu wyjeżdżać, posłał więc po niego złoconą kolasę i całą chorągiew Niewiarowskiego dla asysty, a z szańczyków sypanych przez Kmicica i z samego zamku kazał walić z moździerzy, zupełnie tak, jakby na przyjazd króla.

Gdy bracia, po ceremonjalnem powitaniu, zostali

wreszcie sam na sam, Janusz chwycił Bogusława w objęcia i począł powtarzać wzruszonym głosem:

— Zaraz mi młodość wróciła... Zaraz i zdrowie wróciło!

Lecz książę Bogusław popatrzył na niego pilnie i rzekł:

— Co waszej ks. mości jest?

— Nie mośćmy się mościami, skoro nas nikt nie słyszy... Co mi jest? Choroba mnie drąży, aż zwalę się, jak spróchniałe drzewo... Ale mniejsza z tem! Jak się żona moja ma i Maryśka?

— Wyjechały z Taurogów do Tylży. Zdrowe obie, a Marie jako pączek różany; cudnaż to będzie róża, gdy rozkwitnie... Ma foi! Piękniejszej nogi w świecie nikt nie ma, a kosy do samej ziemi jej spływają...

— Takaż ci się wydała urodziwa? To i dobrze. Bóg cię natchnął, żeś tu wpadł. Lepiej mi na duszy, gdy cię widzę!... Ale co mi de publicis przywozisz?... Cóż elektor?

— To wiesz, że zawarł przymierze z miastami pruskiemi?

— Wiem.

— Jeno, że mu niebardzo ufają. Gdańsk nie chciał przyjąć jego załogi... Mają Niemcy nos dobry.

— I to wiem. A nie pisałeś do niego? Co o nas myśli?

— O nas?... — powtórzył z roztargnieniem Bogusław.

I jął rzucać oczyma po komnacie, poczem wstał: książę Janusz myślał, że czegoś szuka, ale on pobiegł do zwierciadła, stojącego w kącie i odchyliwszy je odpowiednio, począł macać palcem prawej ręki po całej twarzy, wreszcie rzekł:

— Skóra mi trochę przez drogę opierzchła, ale do jutra to przejdzie... Co elektor o nas myśli? Nic... Pisał mi, że o nas nie zapomni.

— Jakto, nie zapomni?

— Mam list ze sobą, to ci go pokażę... Pisze, że co bądź się stanie, on o nas nie zapomni... A ja mu wierzę, bo

jego własna korzyść tak mu nakazuje. Elektor tyle o Rzeczpospolitą dba, ile ja o starą perukę i chętnieby ją Szwedom oddał, byle mógł Prusy zacapić; ale szwedzka potęga zaczyna go niepokoić, więc radby na przyszłość mieć gotowego sprzymierzeńca, a będzie go miał, jeśli ty zasiądziesz na tronie litewskim.

— Oby się tak stało!... Nie dla siebie ja tego tronu chcę!

— Całej Litwy nie uda się może na początek wytargować, ale choć dobry kawał, z Białorusią i Żmudzią.

— A Szwedzi?

— Szwedzi będą się też radzi nami od wschodu przegrodzić.

— Balsam mi wlewasz...

— Balsam! aha!... Jakiś czarnoksiężnik w Taurogach chciał mi sprzedać balsam, o którym powiadał, że kto się nim wysmaruje, ma być od szabli, szpady i włóczni bezpieczen. Kazałem go zaraz wysmarować i trabantowi pchnąć dzidą, wyimajnuj sobie... nawylot przeszła!...

Tu książę Bogusław począł się śmiać, ukazując przytem białe, jak kość słoniowa, zęby. Ale Januszowi nie w smak była ta rozmowa, więc znowu zaczął de publicis.

— Wysłałem listy do króla szwedzkiego i do wielu innych naszych dygnitarzy — rzekł. Musiałeś i ty odebrać pismo przez Kmicica.

— A czekajże! Toć ja poniekąd w tej sprawie przyjechałem. Co ty o Kmicicu myślisz?

— To gorączka, szalona głowa, człowiek niebezpieczny i wędzidła znieść nie umiejący, ale to jeden z tych rzadkich ludzi, którzy z dobrą wiarą nam służą.

— Pewno, — odrzekł Bogusław, — mnie się nawet o mało do królestwa niebieskiego nie przysłużył.

— Jakto? — pytał z niepokojem Janusz.

— Mówią, panie bracie, że byle w tobie żółć poruszyć, zaraz cię dusić poczyna. Przyrzeczże mi, że będziesz słuchał

cierpliwie i spokojnie, a ja ci opowiem coś o twoim Kmicicu, z czego poznasz go lepiej, niż dotąd poznałeś.

— Dobrze! będę cierpliwy, jeno przystąp do rzeczy.

— Cud boski mnie z rąk tego wcielonego djabła wydostał ... odrzekł książę Bogusław.

I rozpoczął opowiadać o wszystkiem, co się w Pilwiszkach zdarzyło.

Nie mniejszy to był cud, że książę Janusz ataku astmy nie dostał, ale natomiast można było sądzić, że go apopleksja zabije. Trząsł się cały, zębami zgrzytał, palcami oczy zatykał, nakoniec począł wołać zachrypłym głosem:

— Tak?... dobrze!... Zapomniał jeno, że jego koczotka jest w moich rękach...

— Pohamuj się, na miły Bóg! i słuchaj dalej! — odrzekł Bogusław. — Spisałem się więc z nim dość po kawalersku i jeśli tej przygody w diarjuszu nie zapiszę, ani nią się chwalić nie będę, to tylko dlatego, że mi wstyd, iżem się temu gburowi dał tak podejść, jak dziecko, ja, o którym Mazarin mówił, że w intrydze i przebiegłości nie mam równego na całym dworze francuskim. Ale mniejsza z tem... Sądziłem owóż z początku, żem tego twego Kmicica zabił, tymczasem mam teraz dowód w ręku, że się wylizał.

— Nic to! znajdziemy go! wykopiemy! dostaniemy choćby z pod ziemi!... A tymczasem ja mu tu boleśniejszy cios zadam, niż gdybym go ze skóry kazał żywcem obedrzeć.

— Żadnego ciosu mu nie zadasz, jeno zdrowiu własnemu zaszkodzisz. Słuchaj! Jadąc tutaj, zauważyłem jakiegoś prostaka na srokatym koniu, który ciągle trzymał się nieopodal od mojej kolasy. Zauważyłem właśnie dlatego, że koń był srokaty i kazałem go wreszcie wołać. — Gdzie jedziesz? — Do Kiejdan. — Co wieziesz? — List do księcia wojewody. — Kazałem sobie ten list oddać, a że arkanów między nami niema, więc przeczytałem... Masz!

To rzekłszy, podał księciu Januszowi list Kmicica, pisany z lasu, w chwili gdy z Kiemliczami w drogę ruszał.

Książę przebiegł go oczyma, mnąc z wściekłością, wreszcie począł wołać:

— Prawda! na Boga, prawda! On ma moje listy, a tam są rzeczy, o które i król szwedzki nietylko podejrzenie, ale i śmiertelną urazę powziąć może...

Tu chwyciła go czkawka i atak spodziewany nadszedł. Usta otwarły mu się szeroko i chwytały szybko powietrze, ręce rwały szaty pod gardłem; książę Bogusław, widząc to, zaklaskał w ręce, a gdy służba nadbiegła, rzekł:

— Ratujcie księcia pana, a jak dech odzyska, proście go, by przyszedł do mojej komnaty, ja tymczasem spocznę nieco.

I wyszedł.

W dwie godziny później, Janusz z oczyma nabiegłemi krwią, z obwisłemi powiekami i siną twarzą, zapukał do komnaty Bogusławowej. Bogusław przyjął go, leżąc w łożu, z twarzą wysmarowaną migdałowem mlekiem, które miało nadawać skórze miękkość i połysk. Bez peruki na głowie, bez barwiczki na twarzy i z odczernionemi brwiami, wyglądał wiele starzej., niż w całkowitym stroju, ale książę Janusz nie zwrócił na to uwagi.

— Zastanowiłem się jednak, — rzekł, — że Kmicic nie może tych listów opublikować, bo gdyby to uczynił, tem samemby wyrok śmierci na tę dziewkę napisał. Zrozumiał on to dobrze, że tylko tym sposobem ma mnie w ręku, ale też i ja nie mogę zemsty wywrzeć i to mnie gryzie, jakobym rozżartego psa w piersi nosił.

— Te listy trzeba będzie jednak koniecznie odzyskać! — rzekł Bogusław.

— Ale quo modo?

— Musisz nasłać na niego jakiego zręcznego człeka; niech jedzie, niech z nim w przyjaźń wejdzie i przy zdarzonej sposobności listy zachwyci, a samego nożem pchnie. Trzeba nagrodę wielką obiecać...

— Kto się tu tego podejmie?

— Żeby to tak w Paryżu, albo choćby w Niemczech,

w jeden dzień znalazłbym ci stu ochotników, ale w tym kraju nawet i tego towaru nie dostanie...

— A trzeba swojego człowieka, bo cudzoziemca będzie się strzegł.

— To zdaj to na mnie, ja może kogo w Prusach wynajdę.

— Ej, żeby to go żywcem schwytać można, a mnie do rąk dostawić! Zapłaciłbym mu za wszystko odrazu. Powiadam ci, że zuchwalstwa tego człowieka przechodziły wszelką miarę. Dlategom go wyprawił, bo mną samym potrząsał, bo mi do oczu, o byle co, jak kot skakał, bo swoją wolę mi tu we wszystkiem narzucał... Mało nie sto razy, już, już, miałem w gębie rozkaz, by go rozstrzelać... Ale nie mogłem, nie mogłem...

— Powiedz mi, czy naprawdę on nam krewny?...

— Kiszków naprawdę krewny, a przez Kiszków i nasz.

— Swoją drogą, to djabeł jest... i niebezpieczny całą gębą przeciwnik!

— On? Mogłeś mu kazać do Carogrodu jechać i sułtana z tronu ściągnąć, albo królowi szwedzkiemu brodę oderwać i do Kiejdan ją przywieźć! Co on tu w czasie wojny wyrabiał!

— Tak i patrzy. A przyrzekł nam zemstę do ostatniego odechu. Szczęściem dostał ode mnie naukę, że z nami niełatwo. Przyznaj, żem się po radziwiłłowsku z nim obszedł i gdyby jaki francuski kawaler mógł się podobnym uczynkiem pochwalić, toby o nim łgał po całych dniach, z wyjątkiem godzin snu, obiadu i całowania; bo oni, jak się zejdą, to łżą jeden przez drugiego tak, że aż słońcu wstyd świecić...

— Prawda, żeś go przycisnął, wolałbym jednak, żeby się to nie przygodziło.

— A jabym wolał, żebyś sobie lepszych zauszników wybierał, mających więcej respektu dla radziwiłłowskich kości.

— Te listy! te listy!...

Bracia umilkli na chwilę, poczem Bogusław pierwszy ozwał się:

— Co to za dziewka?

— Billewiczówna.

— Billewiczówna, czy Mieleszkówna, jedna drugiej równa. Uważasz, że mnie rym znaleźć tak łatwo, jak drugiemu splunąć. Ale ja nie o jej nazwisko pytam, jeno czy urodziwa?

— Ja tam na takie rzeczy nie patrzę, ale to pewna, że i królowa polska mogłaby się nie powstydzić takiej urody.

— Królowa polska? Marja Ludwika? Za czasów Cinq-Marsa może i była gładka, a teraz psi na widok baby wyją. Jeśli twoja Billewiczówna taka, to ją sobie zachowaj... Ale jeżeli naprawdę cudna, to mi ją do Taurogów oddaj, a już tam zemstę na współkę z nią nad Kmicicem obmyślę.

Janusz zamyślił się na chwilę.

— Nie dam ci jej, — rzekł wreszcie, — bo ty ją siłą zniewolisz, a wówczas Kmicic listy opublikuje.

— Ja miałbym siły używać przeciw jednej waszej dzierlatce?... Nie chwaląc się, nie z takiemi miałem do czynienia, a nie niewoliłem żadnej... Raz tylko, ale to było we Flandrji... Głupia była... córka złotnika... Nadciągnęli potem piechurowie hiszpańscy i na ich karb to poszło.

— Ty tej dziewki nie znasz... Z zacnego domu, cnota chodząca, rzekłbyś: mniszka.

— Znamy się i z mniszkami...

— A przytem nienawidzi nas ona, bo to hic mulier, patrjotka... Ona to Kmicica spraktykowała... Niemasz takich wiele między naszemi niewiastami... Rozum zgoła męski... i Jana Kazimierza najżarliwsza partyzantka.

— To mu obrońców przysporzymy...

— Nie może być, bo Kmicic listy opublikuje... Muszę jej strzec, jak oka w głowie... do czasu. Potem oddam ci ją, albo twoim dragonom, wszystko mi jedno!

— Daję ci więc parol kawalerski, że jej nie będę siłą niewolił, a słowa, które prywatnie daję, zawsze dotrzymuję.

W polityce co innego... Wstyd byłoby mi nawet, gdybym sam przez się nie umiał nic wskórać.

— Nie wskórasz.

— To w najgorszym razie wezmę w pysk, a od niewiasty to nie dyshonor... Ty idziesz na Podlasie, co tedy będziesz z nią robił? Ze sobą jej nie weźmiesz, tu nie zostawisz, bo tu przyjdą Szwedzi, a trzeba, żeby comme otage dziewka została zawsze w naszym ręku... Czy nie lepiej, że ją do Taurogów wezmę... a do Kmicica poszlę nie zbója, ale posłańca z pismem, w którem napiszę: oddaj listy, oddam ci dziewkę.

— Prawda jest! — rzekł książę Janusz — to dobry sposób.

— Jeśli zaś — mówił dalej Bogusław — oddam mu ją niezupełnie taką, jaką wziąłem, to będzie i zemsty początek.

— Aleś dał słowo, że gwałtu nie użyjesz?

— Dałem i powtarzam jeszcze, że wstydby mi było...

— To musisz wziąć i jej stryja, miecznika rosieńskiego, który tu z nią bawi.

— Nie chcę. Szlachcic pewnie waszym obyczajem wiechcie w butach nosi, a ja tego znieść nie mogę.

— Ona sama nie zechce jechać.

— To jeszcze zobaczymy. Zaproś ich dziś na wieczerzę, bym ją obejrzał i uznał, czy warto na ząb brać, a ja tymczasem sposoby na nią obmyślę. Na Boga jeno, nie mów jej tylko o Kmicicowym uczynku, bo toby go w jej oczach podniosło i w wierności dla niego utwierdziło. A przy wieczerzy nie kontruj mnie w niczem, co bądźbym mówił. Obaczysz moje sposoby i własne młode lata ci się przypomną.

Książę Janusz machnął ręką i wyszedł, a książę Bogusław założył obie ręce pod głowę i począł nad sposobami rozmyślać.

ROZDZIAŁ VIII.

Na wieczerzę, oprócz miecznika rosieńskiego z Oleńką, zaproszono także znaczniejszych oficerów kiejdańskich i kilku dworzan księcia Bogusława. On sam nadszedł tak strojny i wspaniały, że oczy rwał. Peruka jego pozakręcana była w misterne i faliste pukle, twarz delikatnością barwy przypominała mleko i róże; wąsik zdawał się być pelą jedwabną, a oczy gwiazdami. Ubrany był czarno w kaftan zszywany z pasów materjalnych i aksamitnych, u którego rękawy rozcięte, spinane były wzdłuż ręki. Naokoło szyi miał wyłożony szeroki kołnierz z najcudniejszych koronek brabanckich, wartości nieoszacowanej i takież mankiety wedle dłoni. Złoty łańcuch spadał mu na piersi, a przez prawe ramię, wzdłuż całego kaftana, szedł aż do lewego biodra pendent od szpady z holenderskiej skóry, ale tak nasiany diamentami, że wyglądał jak smuga mieniącego się światła. Zarówno błyszczała od diamentów i rękojeść szpady, a w kokardach jego trzewików świeciły dwa największe, tak wielkie, jak laskowe orzechy. Cała postać wydawała się wyniosłą, a równie szlachetną, jak piękną.

W jednej ręce trzymał koronkową chusteczkę, drugą dłonią podtrzymywał zwieszony ówczesną modą na rękojeści kapelusz, zdobny we fryzowane czarne pióra strusie, niezmiernie długie.

— Wszyscy, nie wyłączając księcia Janusza, patrzyli nań z podziwem i uwielbieniem. Księciu wojewodzie przychodziły na pamięć młode lata, gdy tak samo gasił wszystkich na dworze francuskim urodą i bogactwem. Lata te były już daleko, ale teraz zdawało się hetmanowi, że odżył w tym świetnym kawalerze, który toż samo nosił nazwisko.

Rozochocił się tedy książę Janusz i przechodząc mimo, dotknął wskazującym palcem piersi brata.

— Łuna od ciebie bije, jakby od miesiąca — rzekł. — Czyś nie dla Billewiczówny się tak wystroił?

— Miesiącowi wszędy łatwo się wcisnąć — odparł chełpliwie Bogusław.

I dalej począł rozmawiać z Ganchofem, przy którym może i umyślnie stanął, ażeby się lepiej wydać, bo Ganchof był to mąż dziwnie szpetny; twarz miał ciemną i ospą podziobaną, nos krogulczy i zadarte do góry wąsy; wyglądał jak duch ciemności, a Bogusław przy nim jak duch światła.

Wtem weszły damy: pani Korfowa i Oleńka. Bogusław rzucił na nią bystrym wzrokiem i skłoniwszy się naprędce pani Korfowej, już, już przyłożył palce do ust, aby Billewiczównie przesłać, wedle kawalerskiej mody, od ust całusa, gdy spostrzegłszy jej urodę wykwintną, a dumną i poważną, w jednej chwili zmienił taktykę. W prawą rękę chwycił kapelusz i podsunąwszy się ku pannie, skłonił się tak nisko, że prawie zgiął się we dwoje, pukle peruki spadły mu po obu stronach ramion, szpada przybrała poziome położenie, a on stał tak, poruszając umyślnie kapeluszem i zamiatając piórami na znak czci posadzkę przed Oleńką. Bardziej dworskiego ukłonu nie mógł oddać królowej francuskiej. Billewiczówna, która wiedziała o jego przyjeździe, domyśliła się natychmiast, kto przed nią stoi, więc chwyciwszy końcami palców za suknię, oddała mu również dyg głęboki.

Wszyscy podziwiali obojga urodę i układność manier, widną z samego powitania, a niezbyt znaną w Kiejdanach, bo księżna Januszowa więcej kochała się, jako Wołoszka, we wschodnim przepychu, niż w dworności; zaś księżniczka była jeszcze małą dziewczyną.

Wtem Bogusław podniósł głowę, strząsnął pukle peruki na plecy i szurgając mocno nogami, podsunął się żywo do Oleńki; jednocześnie rzucił paziowi kapelusz, a jej podał rękę.

— Oczom nie wierzę... i chyba we śnie widzę to, co widzę, — mówił, prowadząc ją do stołu, — ale powiedz

mi piękna bogini, jakim cudem zeszłaś z Olimpu do Kiejdan?

— Choć prostą jestem szlachcianką, nie boginią, — odparła Oleńka, — nie taka znów prostaczka ze mnie, bym za co innego, jak za dworność, słowa waszej ks. mości brać miała.

— Chocbym też chciał być najdworniejszym, zwierciadło twoje powie ci więcej ode mnie.

— Powie nie więcej, ale szczerzej — odrzekła, ściągając wedle ówczesnej mody usta.

— Gdyby w tej komnacie było chociaż jedno, wrazbym cię do niego zaprowadził... Tymczasem przejrzyj się w oczach moich, a poznasz, czyli ich podziw nie szczery!

Tu Bogusław przechylił głowę i przed Oleńką zabłysły oczy jego, wielkie i czarne jak aksamit, a słodkie, przenikliwe i jednocześnie palące. Pod wpływem ich żaru, twarz dziewczyny powlokła się purpurowym rumieńcem, spuściła powieki i odsunęła się nieco, bo uczuła, że Bogusław ramieniem przycisnął zlekka do swego boku jej rękę.

Tak przyszli do stołu. On zasiadł przy niej i znać było, że naprawdę jej uroda nadzwyczajne na nim uczyniła wrażenie. Spodziewał się zapewne znaleźć szlachciankę hożą jak łania, śmiejącą się i wrzaskliwą jak sójka i czerwoną jak kwiat maku, tymczasem znalazł dumną pannę, w której czarnych brwiach widać było nieugiętą wolę, w oczach rozum i powagę, w całej twarzy jasny spokój dziecinny, a tak przytem szlachetną w postawie, tak wdzięczną i cudną, że na każdym dworze królewskim mogłaby się stać celem hołdów i zabiegów najpierwszych w kraju kawalerów.

Piękność jej niewysłowiona budziła podziw i żądze, ale był w niej zarazem jakiś majestat, który nakładał im wędzidło, tak, że mimowoli pomyślał Bogusław: — Za wcześniem przycisnął jej rękę... z taką trzeba polityką, nie obcesem!

Ale tem niemniej postanowił sobie posiąść jej serce i doznawał dzikiej radości na myśl, że przyjdzie chwila,

w której ów majestat dziewiczy i owa piękność przeczysta zda się na jego łaskę i niełaskę. Groźna twarz Kmicica stawała wpoprzek tym marzeniom, ale dla zuchwałego młodziana była to tylko jedna więcej podnieta. Pod wpływem tych uczuć rozpromienił się cały, krew poczęła w nim grać, jak we wschodnim rumaku. wszystkie jego władze ożywiły się niezwykle i światło tak biło od całej jego postaci, jak od jego diamentów.

Rozmowa przy stole stała się ogólną, a raczej zmieniła się w ogólny chór pochwał i pochlebstw dla Bogusława, których świetny kawaler słuchał z uśmiechem, ale bez zbytniego zadowolenia, jako rzeczy zwykłej i codziennej. Mówiono najprzód o jego czynach wojennych i pojedynkach. Nazwiska pokonanych książąt, margrabiów, baronów, sypały się jak z rękawa. On sam jeszcze od czasu do czasu dorzucał niedbale jedno więcej. Słuchacze zdumiewali się, książę Janusz gładził swe długie wąsy z zadowoleniem, nakoniec Ganchof rzekł:

— Choćby fortuna i urodzenie nie stawała na przeszkodzie, nie chciałbym ja w. ks. mości w drogę wejść i to mi tylko dziwno, że się jeszcze śmiałkowie tacy znajdują.

— Co chcesz, panie Ganchof! — rzekł książę. — Są ludzie z żelazną twarzą i żbiczym wzrokiem, których sam widok przestrasza, ale mnie Bóg tego odmówił... Mego oblicza nie ulęknie się nawet panna.

— Jako ćma nie boi się pochodni, — odrzekła wdzięcząc się i krygując pani Korfowa, — póki w niej nie zgorzeje...

Bogusław rozśmiał się, a pani Korfowa mówiła dalej, nie ustając się krygować:

— Panów żołnierzy więcej pojedynki obchodzą, a my niewiasty radebyśmy też coś o amorach waszej książęcej mości usłyszeć, o których wieści aż tu do nas dochodziły.

— Nieprawdziwe, pani dobrodziejko, nieprawdziwe... Wszystko jeno przez drogę urosło... Swatano mnie, to prawda... Jejmość królowa francuska była tak łaskawa...

— Z księżniczką de Rohan — dorzucił Janusz.

— Z drugą, de la Forse, — dodał Bogusław, — ale że właśnie sercu ani nawet sam król nie może kochania nakazać, a dostatków, chwała Bogu, nie potrzebujemy we Francji szukać, przeto nie mogło być chleba z tej mąki... Grzeczne to były panny, coprawda, i nad imaginację urodziwe, ale przecie są u nas jeszcze urodziwsze... i nie potrzebowałbym z tej komnaty wychodzić, by takie znaleźć...

Tu rzucił długie spojrzenie na Oleńkę, która udając, że nie słyszy, poczęła coś mówić do pana miecznika rosieńskiego, a poni Korfowa znów głos zabrała:

— Nie brak i tu gładkich, niemasz jeno takich, któreby waszej ks. mości fortuną i urodzeniem wyrównać mogły.

— Pozwolisz jejmość dobrodziejka, że zaneguję, — odparł żywo Bogusław, — bo naprzód nie myślę, ja tego, aby szlachcianka polska czemś podlejszem od Rohanówien i od Forsów być miała, po drugie nie pierwszyzna to Radziwiłłom ze szlachciankami się żenić, jako i dzieje liczne podają tego przykłady. Upewniam też jejmość dobrodziejkę, że ta szlachcianka, która Radziwiłłową zostanie, nawet na dworze francuskim przed tamtejszemi księżniczkami krok i prym weźmie.

— Ludzki pan!... — szepnął Oleńce miecznik rosieński.

— Tak ja to zawsze rozumiałem, — mówił dalej Bogusław, — choć nieraz wstyd mi za szlachtę polską, gdy ją z zagraniczną porównam, bo nigdyby się tam nie zdarzyło to, co się tu zdarzyło, że wszyscy pana swego opuścili, ba, że dybać na jego zdrowie gotowi. Szlachcic francuski najgorszego uczynku się dopuści, ale pana swego nie zdradzi...

Obecni poczęli spoglądać na siebie i na księcia z zadziwieniem. Książę Janusz zmarszczył się i nasrożył, a Oleńka utkwiła swe niebieskie oczy z wyrazem podziwu i wdzięczności w twarzy Bogusławowej.

— Wybacz wasza ks. mość, — rzekł Bogusław, zwracając się do Janusza, który jeszcze ochłonąć nie zdołał, —

wiem, że nie mogłeś inaczej postąpić, że cała Litwaby zginęła, gdybyś był za moją radą poszedł; ale przecie, czcząc cię jako starszego i kochając jak brata, nie przestanę z tobą o Jana Kazimierza się spierać. Jesteśmy między sobą, więc mówię, co myślę: nieopłakany pan, dobry, łaskawy, pobożny, ą mnie podwójnie drogi! Toż ja go pierwszy z Polaków odprowadzałem, gdy go z francuskiego więzienia wypuszczono. Dzieckiem jeszcze prawie byłem podówczas, ale tem bardziej nigdy tego nie zapomnę i chętniebym krew moją oddał, by go przyjnajmniej od tych zasłonić, którzy praktyki przeciw świętej jego osobie poczynają.

Januszowi, jakkolwiek zrozumiał już grę Bogusławową, wydała się ona jednak zbyt śmiałą i zbyt hazardowną dla tak błahego celu, więc nie ukrywając niezadowolenia, mówił:

— Na Boga! o jakichże zamysłach przeciw zdrowiu naszego eks-króla w. ks. mość mówisz? Kto je czyni? Gdzie się takowe monstrum w polskim narodzie znaleźć mogło?... To się, jako żywo, od początku świata w Rzeczypospolitej nie przygodziło!

Bogusław zwiesił głowę.

— Nie dawniej jak miesiąc temu, — rzekł ze smutkiem w głosie, — gdym z Podlasia do Prus elektorskich, do Taurogów jechał, przybył do mnie jeden szlachcic... z zacnego domu... Szlachcic ów, nie znając widać moich prawdziwych dla pana naszego miłościwego afektów, myślał, żem mu wrogiem, jako inni. Owóż, za znaczną nagrodę, obiecywał mi pojechać na Śląsk, porwać Jana Kazimierza i żywego lub umarłego Szwedom wydać...

Wszyscy oniemieli ze zgrozy.

— A gdym z gniewem i abominacją takową propozycję odrzucił, — kończył Bogusław, — ów człek z miedzianem czołem rzekł mi: „Pojadę do Radziejowskiego, ten kupi i od funta złotem mi zapłaci“...

— Nie jestem eks-królowi przyjacielem, — rzekł Janusz, — ale gdyby mnie podobną propozycję uczynił,

kazałbym go bez sądu pod murem postawić, a sześciu muszkieterów naprzeciw.

— W pierwszej chwili i ja chciałem tak postąpić, — odparł Bogusław, — ale rozmowa była na cztery oczy i dopierożby krzyczano na tyraństwo a na samowolę Radziwiłłów! Nastraszyłem go jeno, że i Radziejowski i król szwedzki, ba, sam Chmielnicki nawet, pewnieby go za to gardłem skarali; słowem, doprowadziłem owego zbrodniarza do tego, że się zamysłu wyrzekł.

— Nic to! nie trzeba go było żywym puszczać, bo najmniej pala był wart! — zawołał Korf.

Bogusław zwrócił się nagle do Janusza:

— Mam też nadzieję, że go kara nie minie i pierwszy wnoszę, by zwykłą śmiercią nie zginął, a wasza ks. mość sam jeden możesz go ukarać, bo to twój dworzanin i twój pułkownik...

— Na Boga! mój dworzanin?... Mój pułkownik? Co za jeden!? Kto?... Mów w. ks. mość!

— Zwie się Kmicic! — rzekł Bogusław.

— Kmicic?!... — powtórzyli wszyscy w przerażeniu.

— To nieprawda! — krzyknęła nagle Billewiczówna, wstając z krzesła z iskrzącemi oczyma i falującą piersią.

Nastało głuche milczenie. Jedni nie ochłonęli jeszcze po strasznej Bogusławowej nowinie, drudzy zdumieli się nad zuchwalstwem tej panny, która śmiała młodemu księciu fałsz w oczy zadać; miecznik rosieński począł bełkotać: — Oleńka! Oleńka! — a Bogusław przyoblekł twarz w smutek i rzekł bez gniewu:

— Jeśli to krewny lub narzeczony waćpanny, to boleję, żem tę nowinę powiedział, ale wyrzuć go z serca, bo nie wart on ciebie, panienko...

Ona stała jeszcze chwilę w bólu, w płomieniach i przerażeniu; lecz zwolna oblicze jej stygło, aż stało się zimne i blade; opuściła się napowrót na krzesło i rzekła:

— Przebacz w. ks. mość... Niesłuszniem przeczyła... Do tego człowieka wszystko podobne...

— Niechże mnie Bóg ukarze, jeżeli co innego czuję, prócz litości — odpowiedział łagodnie książę Bogusław.

— To był narzeczony tej panny — rzekł książę Janusz — i sam ich swatałem. Człek był młody, gorączka, nabroił siła... Ratowałem go przed prawem, bo żołnierz dobry. Wiedziałem, że warchoł to był i będzie... Ale żeby szlachcic do podobnego bezeceństwa był zdolen, tegom się nawet po nim nie spodziewał.

— To zły był człowiek, dawno to wiedziałem! — rzekł Ganchof.

— I nie ostrzegłeś mnie? Czemuto? — spytał tonem wymówki Janusz.

— Bom się bał, że wasza ks. mość o inwidję mnie posądzi, gdyż on wszędy miał pierwszy krok przede mną.

— Horribile dictu et auditu — rzekł Korf.

— Mości panowie, — zawołał Bogusław, — dajmy temu pokój! Jeśli wam ciężko tego słuchać, cóż dopiero pannie Billewiczównie.

— Wasza ks. mość raczy nie zważać na mnie, — rzekła Oleńka, — mogę wszystkiego już wysłuchać.

Ale już i wieczerza miała się ku końcowi; podano wodę do umycia rąk, poczem książę Janusz wstał pierwszy i podał rękę pani Korfowej, a książę Bogusław Oleńce.

— Zdrajcę już Bóg pokarał, — rzekł do niej, — bo kto ciebie stracił, niebo stracił... Niemasz dwóch godzin, jakem cię poznał, wdzięczna panienko, a radbym cię widzieć wiecznie, nie w boleści i we łzach, ale w rozkoszy i szczęściu...

— Dziękuję waszej książęcej mości — odrzekła Oleńka.

Po rozejściu się dam, mężczyźni wrócili jeszcze do stołu szukać uciechy w kielichach, które krążyły gęsto. Książę Bogusław pił na umór, bo był kontent z siebie. Książę Janusz rozmawiał z panem miecznikiem rosieńskim.

— Ja jutro wyjeżdżam z wojskiem na Podlasie ... rzekł mu — Do Kiejdan przyjdzie szwedzka załoga. Bóg

wie, kiedy wrócę... Waszmość nie możesz tu z dziewczyną zostawać, bo i dla niej między żołnierstwem nieprzystojnie. Pojedziecie oboje z księciem Bogusławem do Taurogów, gdzie dziewka przy żonie mojej może we fraucymerze znaleźć pomieszczenie.

— Wasza ks. mość — odparł miecznik rosieński. — Bóg nam dał własne kąty, poco nam do obcych krajów jeździć. Wielka to łaska waszej ks. mości, że o nas pamięta... Ale nie chcąc faworu nadużywać, wolelibyśmy pod własną strzechę powrócić.

Książę nie mógł wyjaśnić panu miecznikowi wszystkich powodów, dla których za żadną cenę nie chciał wypuszczać z rąk Oleńki, ale część ich powiedział z całą szorstką otwartością magnata.

— Jeśli chcesz to waćpan przyjąć za fawor, to i lepiej... Ale ja waćpanu powiem, że to i ostrożność. Waćpan tam będziesz zakładnikiem! waćpan mi tam za wszystkich Billewiczów odpowiesz, którzy, wiem to dobrze, nie liczą się do moich przyjaciół i gotowi podnieść Żmudź, gdy odejdę... Dajże im waćpan radę, by tu siedzieli spokojnie i przeciw Szwedom nic nie poczynali, bo głowa twoja i twej synowicy za to odpowie.

Na to miecznikowi widocznie zabrakło cierpliwości, bo odrzekł żywo:

— Próżnobym się na moje prawa szlacheckie powoływał. Siła przy waszej książęcej mości, a mnie wszystko jedno, gdzie mam w więzieniu siedzieć; wolę nawet tam, niż tu!

— Dość tego! — rzekł groźnie książę.

— Co dość, to dość! — odrzekł miecznik. — Bóg też da, że gwałty się skończą, a prawo znów zapanuje. Krótko mówiąc, wasza ks. mość mi nie groź, bo się nie boję!

Bogusław dojrzał widocznie błyskawice gniewu, migocące na twarzy Janusza, zbliżył się więc szybko.

— O co idzie? — rzekł, stawając między rozmawiającymi.

— Powiedziałem panu hetmanowi, — odparł z rozdrażnieniem miecznik, — że wolę więzienie w Taurogach, niż w Kiejdanach.

— W Taurogach niemasz więzienia, jest jeno dom mój, w którym waszmość będziesz jako u siebie. Wiem, że hetman chce widzieć w waszmości zakładnika, ja widzę tylko miłego gościa.

— Dziękuję waszej książęcej mości — odpowiedział miecznik.

— To ja dziękuję waszmości. Trąćmy się i wypijmy razem. bo mówią, że przyjaźń trzeba zaraz podlać, aby nie zwiędła w zarodku.

To rzekłszy, zawiódł Bogusław pana miecznika do stołu i poczęli się trącać przypijać do siebie często gęsto.

W godzinę później miecznik wracał nieco chwiejnym krokiem do swej izby, powtarzając półgłosem:

— Ludzki pan! Zacny pan! Uczciwszego z latarnią nie znaleźć... Złoto, złoto szczere... Chętnie krwibym dla niego utoczył.

Tymczasem bracia zostali sam na sam. Mieli ze sobą jeszcze do pogadania, a przytem i listy przyszły jakieś, po które wysłali pazia, aby je od Ganchofa przyniósł.

— Oczywiście. — rzekł Janusz. — niemasz w tem i słowa prawdy, coś o Kmicicu mówił?

— Oczywiście... Sam wiesz najlepiej. Ale co? Przyznaj! Nie miał Mazarin słuszności? Za jednym zachodem zemścić się okrutnie nad wrogiem i uczynić wyłom w tej ślicznej fortecy... Co? Kto to potrafi?... To się nazywa intryga, godna pierwszego w świecie dworu! A perłaż to ta Billewiczówna. a wdzięczne to, a wspaniałe, a paniątko, jakoby z krwi książęcej! Myślałem. że ze skóry wyskoczę!

— Pamiętaj, żeś dał słowo... Pamiętaj, że zgubisz nas, jeśli tamten listy opublikuje.

— Co to za brwi! Co za wejrzenie królewskie, aż respekt bierze... Skąd w takiej dziewce taki nieledwie królewski majestat?... Widziałem raz w Antwerpji Dianę, na

gobelinie misternie wyszytą, psami ciekawego Akteona szczującą... Kubek w kubek ona!

— Bacz, by Kmicic listów nie opublikował, bo nasby wtedy psi na śmierć zagryźli.

— Nieprawda! Ja to Kmicica w Akteona zmienię i na śmierć zaszczuję. Na dwóch polach jużem go zbił na głowę, a przyjdzie między nami jeszcze do sprawy!

Dalszą rozmowę przerwało wejście pazia z listem.

Wojewoda wileński wziął pismo do ręki i przeżegnał. Zawsze tak czynił, by od złych nowin się zabezpieczyć; następnie, zamiast otworzyć, począł je oglądać starannie.

Nagle zmienił się na twarzy.

— Sapiehów klejnot na pieczęci! — zakrzyknął — to od wojewody witebskiego.

— Otwórz prędzej! — rzekł Bogusław.

Hetman otworzył i począł czytać, przerywając od czasu do czasu wykrzykami!

— Idzie na Podlasie!... Pyta, czy nie mam poleceń do Tykocina!... Urąga mi!... Gorzej jeszcze, bo słuchaj, co dalej pisze:

„Chcesz wasza ks. mość wojny domowej, chcesz jeden więcej miecz w łono matki pogrążyć? To przybywaj na Podlasie, czekam cię i ufam w Bogu, że pychę twą mojemi rękoma ukarze... Ale jeśli masz miłosierdzie nad ojczyzną, jeśli sumienie cię ruszyło, jeśli wasza ks. mość żałujesz dawnych uczynków i poprawę chcesz okazać, tedy pole przed tobą. Miasto wojnę domową zaczynać, zwołaj pospolite ruszenie, podnieś chłopstwo i uderz na Szwedów, póki ubezpieczony Pontus niczego się nie spodziewa i żadnej baczności nie okazuje. Od Chowańskiego przeszkody w tem mieć wasza ks. mość nie będziesz, bo mnie słuchy z Moskwy dochodzą, że oni tam sami o wyprawie do Inflant myślą, chociaż trzymają to w tajemnicy. Wreszcie, jeśliby Chowański chciał co przedsięwziąć, to ja utrzymam go na wodzy i bylem szczerze mógł zaufać, pewnie ze wszystkich sił w ratowaniu ojczyzny waszej ks. mości pomagać będę. Wszystko to od waszej

ks. mości zależy, bo jeszcze czas nawrócić z drogi i winy zmazać. Wtedy okaże się jawnie, żeś wasza książęca mość nie w widokach osobistych, ale dla odwrócenia ostatniej klęski od Litwy przyjął szwedzką protekcję. Niechże waszą książęcą mość Bóg tak natchnie, o co codziennie Go proszę. choć mnie wasza książęca mość o inwidję pomawiać raczysz.

P. S. Słyszałem. że oblężenie Nieświeża zdjęte i że książę Michał z nami się chce połączyć, jak tylko szkody naprawi. Patrzże wasza ks. mość, jak zacni z twojej familji czynią i na ich przykład się zapatruj, a w każdym terminie pomyśl, że masz teraz wóz i przewóz".

— Słyszałeś? — rzekł, skończywszy czytać, książę Janusz.

— Słyszałem... i co? — odpowiedział Bogusław, patrząc bystro na brata.

— Trzebaby się wszystkiego wyrzec. wszystkiego zaniechać, własną robotę własnemi poszarpać rękoma...

— I z potężnym Karolem Gustawem zadrzeć. a wygnanego Kazimierza za nogi imać, by raczył przebaczyć i do służby napowrót przyjąć... a i pana Sapiehę o instancję prosić...

Twarz Janusza nabrzmiała krwią.

— Uważasz, jak to on do mnie pisze: „Popraw się, a przebaczę ci", — jakby zwierzchnik do podwładnego!

— Inaczejby pisał. gdyby mu sześć tysięcy szabel nad karkiem zawisło.

— Wszelako... — tu zamyślił się posępnie książę Janusz.

— Wszelako co?

— Dla ojczyzny byłby może ratunek tak uczynić, jak Sapieha radzi?

— A dla ciebie? Dla mnie? Dla Radziwiłłów?...

Janusz nic nie odpowiedział, oparł głowę na złożonych pięściach i myślał.

— Niechże tak będzie! — rzekł wreszcie. — Niech się spełni...

— Coś postanowił?

— Jutro ruszam na Podlasie, a za tydzień uderzę na Sapiehę.

— Toś Radziwiłł — rzekł Bogusław.

I podali sobie ręce.

Po chwili Bogusław udał się na spoczynek. Janusz pozostał sam. Raz i drugi przeszedł ciężkim krokiem przez komnatę, nakoniec zaklaskał w ręce.

Paź pokojowiec wszedł do izby.

— Niech astrolog za godzinę przyjdzie do mnie z gotową figurą — rzekł.

Paź wyszedł, a książę znów począł chodzić i odmawiać swe kalwińskie pacierze. Poczem zaczął śpiewać półgłosem psalm, przerywając często, bo mu oddechu brakło i spoglądając od czasu do czasu przez okno na gwiazdy migocące na firmamencie.

Powoli światła gasły w zamku, ale oprócz astrologa i księcia, jedna jeszcze istota czuwała w swej komnacie, a mianowicie Oleńka Billewiczówna.

Klęcząc przed swem łóżkiem, splotła obie ręce na głowie i szeptała z zamkniętemi oczyma:

— Zmiłuj się nad nami... Zmiłuj się nad nami!

Pierwszy raz od czasu wyjazdu Kmicica nie chciała, nie mogła modlić się za niego.

ROZDZIAŁ IX.

Pan Kmicic posiadał wprawdzie glejty radziwiłłowskie do wszystkich kapitanów, komendantów i gubernatorów szwedzkich, aby mu wszędy wolny przejazd dano i wstrętu nie czyniono, lecz nie śmiał z tych glejtów korzystać. Spodziewał się bowiem, że książę Bogusław zaraz z Pilwiszek pchnął na wszystkie strony posłańców z ostrzeżeniem do Szwedów o tem, co się stało i z rozkazem chwytania Kmicica. Dlatego to pan Andrzej i obce nazwisko przyjął i nawet

stan odmienił. Omijając więc Łomżę i Ostrołękę, do których pierwej ostrzeżenia dojść mogły, pędził swe konie wraz z kompanją ku Przasnyszowi, skąd na Pułtusk pragnął się przebrać do Warszawy.

Nim jednak do Przasnysza doszedł, czynił krąg nad granicą pruską na Wąsosz, Kolno i Myszyniec, dlatego, że Kiemlicze, znając dobrze tamtejsze puszcze, byli świadomi przejść leśnych, a prócz tego mieli swe „komitywy" między Kurpiami, od których w nagłym razie mogli się pomocy spodziewać.

Kraj nad granicą był już po większej części zajęty przez Szwedów, którzy jednak ograniczając się na zajmowaniu miast znaczniejszych, niezbyt śmiele zapuszczali się w drzemiące i niezgłębione lasy, zamieszkałe przez ludność zbrojną, myśliwą, nigdy z lasów się nie wychylającą i tak jeszcze dziką, że właśnie rok temu królowa Marja Ludwika kazała wznieść kaplicę w Myszyńcu i osadziła w niej jezuitów, którzy mieli uczyć wiary i łagodzić obyczaje puszczańskiego ludu.

— Im dłużej nie napotykamy Szwedów, — mówił stary Kiemlicz, — tem dla nas lepiej.

— Musimy ich wkońcu napotkać — odpowiadał pan Andrzej.

— Kto ich napotką przy większem mieście, temu często boją się krzywdy uczynić, bo jako w mieście, jest zawsze jakowyś rząd i jakowyś starszy komendant, do którego można skarżyć. Już ja się o to ludzi rozpytywał i wiem, że są rozkazy od króla szwedzkiego, zabraniające swawoli i zdzierstwa. Ale mniejsze podjazdy, daleko od oczu komendantów wysyłane, nic na rozkazy nie zważają i spokojnych ludzi łupią.

Płynęli więc lasami, nigdzie Szwedów nie spotykając, nocując po smolarniach i osadach leśnych. Między Kurpiami, chociaż prawie nikt z nich nie widział dotąd Szwedów, chodziły najrozmaitsze wieści o najściu kraju. Mówiono, że przybył lud z za morza, mowy ludzkiej nie rozumiejący, nie

wierzący w Chrystusa Pana, Najświętszą Pannę, ani we wszystkich świętych, i dziwnie drapieżny. Inni prawili o nadzwyczajnem łakomstwie tych nieprzyjaciół na bydło, skóry, orzechy. miód i grzyby suszone, których jeśli im odmawiano, wówczas podpalali puszczę. Niektórzy twierdzili przeciwnie, że to jest naród wilkołaków, chętnie ludzkiem mięsem, a mianowicie mięsem dziewczyn się karmiący.

Pod wpływem tych groźnych wieści, które w największe głębie puszczańskie zaleciały, jęli się Kurpikowie „poczuwać“ i zhukiwać po lasach. Ci, którzy wyrabiali potaż i smołę i ci, którzy zbieraniem chmielu się trudnili i drwale i rybitwowie, którzy zastawiali więcierze po zarosłych wybrzeżach Rosogi i wnicznicy i myśliwi i pszczołowody i bobrownicy, zbierali się teraz po znaczniejszych osadach, słuchając opowiadań, udzielając sobie nowin i radząc, jakby nieprzyjaciela, jeśliby się w puszczy pokazał, wyżenąć.

Kmicic, jadąc ze swym orszakiem, nieraz spotykał większe i mniejsze kupy tego ludu, przybranego w konopne koszule i skóry wilcze, lisie lub niedźwiedzie. Nieraz też zastępowano mu na przesmykach i pasach, pytając:

— Kto ty? Czy nie Szwed?

— Nie! — odpowiadał pan Andrzej.

— Niech c i e b i e Bóg broni!

Pan Andrzej przypatrywał się z ciekawością tym ludziom. żyjącym ustawicznie w mrokach leśnych, których twarzy nie opalało nigdy odkryte słońce; podziwiał ich wzrost, śmiałość wejrzenia. szczerość mowy i wcale nie chłopską fantazję.

Kiemlicze, którzy ich znali, zapewniali pana Andrzeja, że niemasz nad nich strzelców w całej Rzeczypospolitej. Jakoż zauważył, że wszyscy mieli dobre niemieckie rusznice, które z Prus za skóry wymieniali. Kazał im też swą sprawność w strzelaniu okazywać i zdumiewał się jej widokiem, a w duszy myślał:

— Gdyby mi przyszło partję zbierać, tu-bym przyszedł.

W Myszyńcu samym znalazł wielkie zgromadzenie.

Przeszło stu strzelców trzymało ustawicznie straż przy misji, bo obawiano się, że Szwedzi tu najpierwej się pokażą, zwłaszcza, że starosta ostrołęcki kazał wyciąć drogę w lasach, aby księża w misji osiedli, mogli mieć „do świata przystęp“.

Chmielarze, którzy swój towar dostawiali aż do Przasnysza, tamtejszym sławnym piwowarom i z tego powodu uchodzili za ludzi bywałych, opowiadali, że w Łomży, w Ostrołęce i Przasnyszu roi się od Szwedów, którzy tak już tam gospodarują, jak w domu i podatki wybierają.

Kmicic jął namawiać Kurpiów, by nie czekając Szwedów w puszczy, uderzyli na Ostrołękę i wojnę rozpoczęli, a sam ofiarował się ich poprowadzić. Wielką też między nimi znalazł ochotę, ale dwaj księża odwiedli ich od tego szalonego czynu, przedstawiając, aby czekali, aż cały kraj się ruszy i przedwczesnem wystąpieniem nie ściągali na się okrutnej zemsty nieprzyjaciela.

Pan Andrzej odjechał, ale żałował straconej sposobności. Ta mu tylko pociecha została, iż przekonał się, że byle gdziekolwiek prochy wybuchły, to ani Rzeczypospolitej, ani królowi nie zbraknie w tych stronach na obrońcach.

— Jeśli tak jest i gdzie indziej, tedyby można poczynać — myślał.

I gorąca jego natura rwała się ku prędkiemu poczynaniu, ale rozsądek mówił: — Kurpie sami Szwedów nie zwojują... Przejedziesz kawał kraju, obaczysz, przyjrzysz się, a potem posłuchasz królewskiego rozkazu.

Jechał więc dalej. Wyjechawszy z puszcz głębokich na rubieże leśne, w okolicę gęściej osiadłą, ujrzał po wszystkich wioskach ruch nadzwyczajny. Po drogach pełno było szlachty, jadącej w brykach, kałamaszkach, kolasach lub konno. Wszystko to zdążało do najbliższych miast i miasteczek, by na ręce komendantów szwedzkich składać przysięgę na wierność nowemu panu. Wydawano im za to świadectwa, które miały osoby i majętności ochraniać. W stolicach ziem i powiatów ogłaszano „kapitulacje“, wa-

rujące wolność wyznania i przywileje, stanowi szlacheckiemu przysługujące.

Szlachta dążyła z powinną przysięgą nietyle ochotnie, ile skwapliwie, bo opornym rozmaite groziły kary, a zwłaszcza konfiskaty i rabunki. Mówiono, że tu i owdzie poczęli już Szwedzi, tak jak w Wielkopolsce, wkręcać podejrzanym palce w kurki od muszkietów. Powtarzano też z trwogą, że na bogatszych umyślnie rzucano podejrzenia, aby ich złupić.

Wobec tego wszystkiego niebezpiecznie było zostawać na wsi; zamożniejsi więc dążyli do miast, aby siedząc pod bezpośrednim dozorem komendantów szwedzkich, uniknąć posądzenia o praktyki przeciw królowi szwedzkiemu.

Pan Andrzej pilnie nadstawiał ucha na to, co mówiła szlachta, a chociaż niebardzo chciano z nim rozmawiać, jako z chudopachołkiem, tyle jednak wyrozumiał, że nawet najbliżsi sąsiedzi, znajomi, ba! i przyjaciele, nie mówią między sobą o Szwedach i o nowem panowaniu szczerze. Narzekano wprawdzie głośno na „rekwizycje“ i rzeczywiście było o co, do każdej bowiem wsi, każdego miasteczka, przychodziły listy komendantów z rozkazem dostawienia wielkich ilości zboża, chleba, soli, bydła, pieniędzy i często owe rozkazy przechodziły możność, zwłaszcza, że gdy wyczerpano jedne zapasy, żądano drugich; kto zaś nie płacił, temu przysyłano egzekucję, która w trójnasób tyle brała.

Ale minęły dawne czasy! Każdy wyciągał się jak mógł, sobie od ust odejmował i dawał i płacił, narzekając i jęcząc, a w duszy myśląc, że dawniej bywało inaczej. Do oczu pocieszano się wszakże, iż gdy czasy wojenne przeminą, skończą się owe rekwizycje. Obiecywali to i sami Szwedzi, mówiąc, że niech jeno król cały kraj opanuje, zaraz po ojcowsku rządzić zacznie.

Szlachcie, która odstąpiła własnego monarchy i ojczyzny, która przedtem, niedawno jeszcze, nazywała tyranem dobrego Jana Kazimierza, posądzając go, że do absolutum dominium dąży, która sprzeciwiała mu się we wszystkiem, protestując na sejmikach i sejmach, a w łaknieniu nowości

i przemiany doszła do tego, że niemal bez oporu uznała panem najeźdźcę, byle mieć jakowąś odmianę — wstyd było teraz nawet i narzekać. Wszak Karol Gustaw uwolnił ich od tyrana, wszak dobrowolnie opuścili prawego monarchę, wszak mieli ową odmianę, której pożądali tak silnie.

Dlatego to nawet najpoufalsi nie mówili szczerze pomiędzy sobą, co o owej odmianie myślą, chętnie nakłaniając ucha tym, którzy twierdzili, że i zajazdy i rekwizycje i rabunki i konfiskaty tylko czasowe, a konieczne onera, które wnet przeminą, jak się Carolus Gustavus na polskim tronie upewni.

— Ciężko, panie bracie, ciężko — mówił czasem szlachcic do szlachcica, — ale taki powinniśmy być radzi z nowego pana. Potentat to i wojownik wielki; ukróci on kozaków, Turczyna pohamuje i septentrionów od granic odżenie, a my ze Szwecją we współce zakwitniem.

— Choćbyśmy też i nieradzi byli, — odpowiadał drugi, — co robić przeciw takiej potędze? Z motyką się na słońce nie porwiemy...

Czasem też powoływano się na świeżą przysięgę. Kmicic burzył się, słuchając podobnych głosów i rozumowań, a raz, gdy pewien szlachcic mówił przy nim w zajeździe, że musi być wierny temu, komu poprzysiągł, pan Andrzej wykrzyknął i rzekł mu:

— Musisz mieć waćpan dwie gęby, jedną od prawdziwych, drugą od fałszywych przysiąg, boś i Janowi Kazimierzowi przysięgał!

Było przy tem wiele i innej szlachty, bo się to zdarzyło już niedaleko od Przasnysza. Usłyszawszy więc słowa Kmicica, poruszyli się wszyscy; na jednych twarzach znać było podziw dla śmiałości pana Andrzeja, inni zapłonili się, wreszcie najpoważniejszy rzekł:

— Nikt tu przysięgi dawnemu królowi nie łamał. Sam on nas uwolnił od niej, gdy z kraju zbiegł, do obrony jego się nie poczuwając.

— Bodaj was zabito! — zakrzyknął Kmicic. — A król

Łokietek, ile to razy musiał z kraju uchodzić, a przecie wrócił. bo go naród nie odstąpił. gdyż bojaźń Boża jeszcze w sercach była? Nie Jan Kazimierz zbiegł, jeno przedawczykowie od niego odbiegli i teraz go kąsają, by własne winy przed Bogiem i ludźmi koloryzować!

— Za śmiele mówisz, młodziku. Skądżeś jest, który nas, tutejszych ludzi, chcesz bojaźni Bożej uczyć? Patrz, aby cię Szwedzi nie usłyszeli!

— Kiedyście ciekawi, to wam powiem, żem jest z Prus Książęcych i do elektora należę... Ale z sarmackiej krwi pochodząc, do życzliwości się ku ojczyźnie poczuwam i wstyd mi za zatwardziałość tego narodu.

Tutaj szlachta, zapomniawszy gniewu, otoczyła go kołem i poczęła wypytywać ciekawie i skwapliwie:

— Toć waćpan z Prus Książęcych?... A nuże, powiadaj co wiesz! Cóże tam elektor? Nie myśli nas ratować z opresji?

— Z jakiej opresji?... Radziście z nowego pana, to nie gadajcie o opresji. Jakeście sobie posłali, tak śpijcie.

— Radziśmy. bo nie możemy inaczej. Z mieczami nam nad karkiem stoją. Ale ty powiadaj tak, jakbyśmy byli nieradzi.

Dajcie mu się czego napić, niechże mu się język rozwiąże. Mów śmiele, niemasz tu zdrajców między nami.

— Wszyscyście zdrajcy! — huknął pan Andrzej — i nie chcę z wami pić! parobcy szwedzcy!

To rzekłszy, wyszedł z izby, drzwiami trzasnąwszy, a oni pozostali we wstydzie i w zdumieniu; żaden nie chwycił za szablę, żaden nie ruszył za Kmicicem. aby się pomścić za obelgę.

On zaś ruszył prost do Przasnysza. Na kilkanaście stajań przed miastem ogarnął go patrol szwedzki i wiódł do komendy. Rajtarów było w owym patrolu tylko sześciu i podoficer siódmy. więc Soroka i trzej Kiemlicze poczęli poglądać na nich łakomie, jak wilcy na owce, a potem pytali oczyma Kmicica, czy się nie każe koło nich zawinąć.

Pan Andrzej niemałej także doznawał pokusy, zwłaszcza, że blisko płynęła Węgierka z brzegami obrosłemi sitowiem; ale się pohamował i pozwolił spokojnie prowadzić do komendy.

Tam opowiedział się komendantowi, kto jest, że z kraju elektorskiego pochodzi i corocznie do Soboty z końmi jeździ. Kiemlicze mieli też świadectwa, w które się w Łęgu, jako w dobrze sobie znajomem mieście zaopatrzyli; więc komendant, który sam był pruski Niemiec, nie czynił im trudności, wypytywał tylko troskliwie. jakie konie prowadzą i żądał je widzieć.

A gdy je czeladź Kmicicowa, zgodnie z jego żądaniem przypędziła, obejrzał je starannie i rzekł:

— To ja kupię. Innemu zabrałbym i tak, ale żeś z Prus, to cię i nie pokrzywdzę.

Kmicic stropił się nieco; gdyby przyszło do sprzedaży, tem samem upadłby pozór jechania dalej i wypadałoby mu zawrócić do Prus. Podał więc cenę tak wysoką, że niemal dwa razy większą od rzeczywistej wartości koni. Nadspodziewanie, oficer ani się oburzył, ani targował.

— Dobrze — rzekł. — Wegnać konie do szopy, a wam zapłatę wraz wyniosę.

Kiemlicze uradowali się w sercach, lecz pan Andrzej wpadł w gniew i począł kląć. Nie było jednak innej rady, jak zagnać konie. Inaczej padłoby zaraz podejrzenie na sprzedających, że pozornie tylko handlują.

Tymczasem oficer wyszedł napowrót i podał Kmicicowi kawałek zapisanego papieru.

— Co to? — rzekł pan Andrzej.

— Pieniądze, albo to samo, co pieniądze, bo kwit.

— A gdzie mnie zapłacą?

— W głównej kwaterze.

— A gdzie główna kwatera?

— W Warszawie — odrzekł oficer, uśmiechając się złośliwie.

— My za gotówkę tylko handlujem... Jakżeto? co

to?... — począł jęczeć stary Kiemlicz. — Furto niebieska!

Lecz Kmicic zwrócił się ku niemu i patrząc nań groźnie rzekł:

— U mnie słowo pana komendanta tyle, co gotowizna. a do Warszawy chętnie pojedziem, bo tam u Ormian towarów zacnych dostać można, za które w Prusach dobrze zapłacą.

Następnie, gdy oficer odszedł, rzekł pan Andrzej na pociechę Kiemliczowi.

— Cicho, szelmo! Te kwity, to najlepsze glejty, bo choćby i do Krakowa zajedziem z niemi, skarżąc się, że nam płacić nie chcą. Łatwiej z kamienia ser wycisnąć, niż pieniądze ze Szwedów... Ale to mi właśnie na rękę. Pludrak myśli, że nas wywiódł w pole, tymczasem nie wie, jakową przysługę nam oddał... Tobie zaś ja z własnej szkatuły za konie zapłacę, ażebyś uszczerbku nie poniósł.

Stary odetchnął i już tylko ze zwyczaju nie przestawał narzekać przez czas jakiś:

— Obdarli, zniszczyli, do nędzy przywiedli!

Ale pan Andrzej rad był, widząc drogę przed sobą otwartą, bo to zgóry przewidywał, że i w Warszawie mu nie zapłacą. a prawdopodobnie i nigdzie — będzie więc mógł jechać coraz dalej, niby swojej poszukując krzywdy, chociażby do króla szwedzkiego, który pod Krakowem się znajdował, zajęty oblężeniem dawnej stolicy.

Tymczasem postanowił pan Andrzej zostać na noc w Przasnyszu, koniom wypocząć i nie odmieniając swego przybranego nazwiska, porzucić jednak skórę chudopacholską. Zauważył bowiem, że ubogiego koniuchę lekceważą wszyscy i prędzej każdy napadnie, mniej się odpowiedzialności za pokrzywdzenie charłaka obawiając. Trudniej mu też było w tej skórze i do zamożniejszej szlachty mieć przystęp, a stąd trudniej wyrozumieć, co kto myślał.

Przybrał więc szaty stanowi swemu i urodzeniu odpowiednie i poszedł pod wiechy, aby się z bracią szlachtą nagadać. Lecz nie uradowało go to, co słyszał. Po za-

jazdach i szynkach szlachta piła zdrowie króla szwedzkiego i na szczęście protektora trącała się kielichami ze starszyzną szwedzką, śmiała się z drwin, jakich oficerowie pozwalali sobie z króla Jana Kazimierza i Czarnieckiego.

Tak strach o własną skórę i mienie upodlił ludzi, że wdzięczyli się do najeźdźców, skwapliwie podtrzymując ich dobry humor. Jednakże i owo upodlenie miało swoją granicę. Szlachta pozwalała drwić z siebie, z króla, z hetmanów, z pana Czarnieckiego, byle nie z religji i gdy pewien kapitan szwedzki oświadczył, że taka dobra wiara luterska, jak i katolicka, siedzący obok młody pan Grabkowski, nie mogąc znieść bluźnierstwa uderzył go w skroń obuszkiem, sam zaś, korzystając z tumultu, wymknął się z szynkowni i zginął w tłumie.

Zaczęto go ścigać, lecz przyszły wieści, które zwróciły uwagę w inną stronę. Oto kurjerowie nadbiegli z doniesieniami, że Kraków się poddał, że pan Czarniecki w niewoli i ostatnia zapora szwedzkiego panowania zniesiona.

Szlachta oniemiała w pierwszej chwili, lecz Szwedzi poczęli weselić się i wiwatować. W kościele Świętego Ducha, w kościele bernardynów i w niedawno wzniesionym przez panią Mostowską klasztorze bernardynek, kazano bić w dzwony. Piechota i rajtarja wystąpiły na rynek z browarów i postrzygalni w bojowym porządku i nuż dawać ognia z dział i muszkietów. Następnie wytoczono beczki z gorzałką, miodem i piwem, dla wojska i mieszczan, porozpalano beczki ze smołą i ucztowano do późnej nocy. Szwedzi powyciągali mieszczanki z domostw, by tańczyć z niemi, weselić się i swawolić. A wśród tłumów rozhukanego żołnierstwa włóczyły się gromady szlachty, która piła wraz z rajtarami i musiała udawać radość z upadku Krakowa i klęski pana Czrnieckiego.

Kmicica obrzydzenie porwało i wcześnie schronił się do swej kwatery na przedmieściu, ale spać nie mógł. Trawiła go gorączka i wątpliwości obsiadły mu duszę, czy nie za późno nawrócił z drogi, gdy już cały kraj był w ręku

szwedzkich. Przychodziło mu do głowy, że już wszystko stracone i Rzeczpospolita nigdy nie wydźwignie się z upadku.

— To już nie wojna nieszczęśliwa, — myślał sobie, — która się utratą prowincji jakowej skończyć może, to zguba zupełna, to cała Rzeczpospolita prowincją szwedzką się staje... Samiśmy się do tego przyczynili, a ja lepiej, niż kto inny!

Ta myśl paliła go, a sumienie gryzło. Sen od niego uciekał... Sam nie wiedział, co ma czynić: jechać dalej, zostać w miejscu, czy wracać?... Choćby też kupę zebrał i Szwedów począł podchodzić, będą go ścigać jak rozbójnika, nie jak żołnierza. Zresztą jest już w obcej okolicy, w której go nikt nie zna. Kto do niego przystanie? Zlatywali się do niego nieustraszeni ludzie na Litwie, gdy jako przesławny Kmicic ich zwoływał, ale tu, choćby kto słyszał o Kmicicu, to go miał za zdrajcę i szwedzkiego przyjaciela, z pewnością zaś nikt nie słyszał o Babiniczu.

Nanic to, nanic i do króla jechać, bo za późno... Nanic i na Podlasie jechać, bo go konfederaci za zdrajcę mają, nanic się na Litwę wracać, bo tam Radziwiłł włada, nanic zostawać, bo tu roboty niema żadnej. Najlepiejby ducha wyzionąć, by na ten świat nie patrzeć i przed zgryzotami uciec!

Lecz na tamtym świecie zali będzie lepiej tym, którzy nagrzeszywszy, niczem win swych nie zgładzili i z całym ich ciężarem przed sądem staną? Kmicic rzucał się na swem łożu, jak gdyby na łożu tortur leżał. Podobnie nieznośnych mąk nie przechodził nawet w chacie leśnej Kiemliczów.

Czuł się silnym, zdrowym, przedsiębiorczym, dusza rwała się w nim do tego, by coś poczynać, by działać, a tu wszystkie drogi zamknięte, choć tłuc głową o ścianę, niemasz wyjścia, niemasz ratunku i niemasz nadziei!

Przemęczywszy się przez noc na łożu, zerwał się dodnia, zbudził ludzi i ruszył z nimi przed siebie. Jechał ku Warszawie, ale sam nie wiedział poco i dlaczego? Byłby na Sicz uciekł z desperacji, gdyby nie to, że czasy się zmieniły

i że Chmielnicki, razem z Buturlinem, przycisnęli właśnie hetmana w. koronnego pod Gródkiem, roznosząc przytem ogień i miecz na południowo-wschodnich krainach Rzeczypospolitej i zapuszczając aż pod Lublin drapieżne swe zagony.

Po drodze do Pułtuska spotykał wszędy pan Andrzej oddziały szwedzkie, eskortujące wozy z żywnością, zbożem, chlebami, piwem i stada wszelkiego rodzaju bydła. Przy stadach i wozach szły gromady chłopów, albo drobnej szlachty, płacząc i jęcząc, bo ich z podwodami po kilkanaście mil ciągano. Szczęśliwy, komu z wozem do domu wrócić pozwolono, co niezawsze się zdarzało, albowiem po dostawieniu spiży, pędzili Szwedzi chłopstwo i brać zagonową do robót, do poprawiania zamków, budowania szop, magazynów.

Widział też pan Kmicic, że w pobliżu Pułtuska srożej obchodzili się Szwedzi z ludźmi, niż w Przasnyszu i nie mogąc powodów zrozumieć, wypytywał o nie napotykaną po drodze szlachtę.

— Im dalej ku Warszawie waść pojedziesz, — odpowiedział jeden z jadących, — tem ich sroższymi obaczysz ciemiężycielami. Gdzie świeżo przyjdą i jeszcze się nie ubezpieczą, tam są łaskawsi, rozkazy królewskie przeciw ciemiężycielom sami promulgują i kapitulacje ogłaszają; ale gdzie się już czują pewni i gdzie w pobliżu zamki jakowe obsadzili, tam wnet wszystkie przyrzeczenia łamią, względów żadnych nie zachowują, krzywdzą, obdzierają, rabują, na kościoły, duchownych i na święte panienki nawet ręce podnoszą. Nic tu jeszcze, ale co się w szczerej Wielkopolsce dzieje, na to słów w ludzkiej gębie brakuje...

Tu począł opowiadać szlachcic, co działo się w Wielkopolsce, jakich zdzierstw, gwałtów i zabójstw dopuszczał się srogi nieprzyjaciel, jak palce do kurków wkręcano, mękami morzono, ażeby się o pieniądzach wywiedzieć, jak księdza prowincjała Braneckiego w samym Poznaniu zabito, a nad

ludem prostym znęcano się tak okropnie, że włosy w czuprynie dębem na samą myśl stawały.

— Przyjdzie do tego wszędzie — mówił szlachcic. — Kara Boska... Sąd ostateczny bliski... Coraz gorzej i gorzej, a znikąd poratowania!...

— Dziwne mi to, — rzekł Kmicic, — bo ja nie tutejszy i humorów ludzkich w tych stronach nie znam, że tak waszmościowie znosicie cierpliwie owe uciski, szlachtą i ludźmi rycerskimi będąc?

— Z czemże się porwiemy?—odpowiedział szlachcic— z czem?... W ich ręku zamki, fortece, armaty, prochy, muszkiety, a nam ptaszniczki nawet poodejmowano. Była jeszcze nadzieja w panu Czarnieckim, ale gdy on w więzach, a król jegomość na Śląsku, kto o oporze pomyśli?... Ręce są, jeno niema nic w rękach i głowy niema...

— I nadziei niema! — rzekł głucho Kmicic.

Tu przerwali rozmowę, bo nadjechali na oddział szwedzki, wiodący wozy, drobną szlachtę i „rekwizycje". Dziwny to był widok. Wąsaci i brodaci rajtarowie siedzieli na spasłych, jak byki koniach; każdy wsparty w bok prawą ręką, z kapeluszem na bakier, z dziesiątkami gęsi i kur natroczonych przy kulbace, jechał wśród tumanu pierza. Patrząc na ich wojownicze i dumne twarze, łatwo było poznać, jak im było pańsko, wesoło i bezpiecznie. A bracia drobna szła piechotą przy wozach, niejeden boso, z głowami pospuszczanemi na piersi, zhukana, trwożliwa, częstokroć biczami do pośpiechu naglona.

Kmicicowi, gdy to ujrzał, wargi poczęły się trząść, jak w febrze i jął powtarzać do owego szlachcica, z którym jechał:

— Oj! ręce swędzą, ręce swędzą, ręce swędzą!

— Cicho waść, na miłosierdzie Boże! — odrzekł szlachcic — zgubisz siebie, mnie i dziatki moje!

Nieraz jednak miał pan Andrzej przed sobą jeszcze dziwniejsze widoki. Oto czasem, między oddziałami rajtarskiemi, spostrzegał idące z niemi mniejsze lub większe gro-

madki szlachty polskiej, ze zbrojną czeladzią, wesołe, śpiewające, pijane, a ze Szwedami i z Niemcami zapanbrat.

— Jakżeto? — pytał Kmicic — jedną szlachtę prześladują i gnębią, z drugą w komitywę wchodzą? Muszą to być chyba zagorzali sprzedawczykowie owi obywatele, których między żołnierstwem widzę?

— Nietylko to sprzedawczykowie zagorzali, ale gorzej, bo heretycy — odpowiedział szlachcic. — Cięższi oni od Szwedów nam katolikom; oni to najwięcej rabują, dwory palą, panny porywają, prywatnych uraz dochodzą. Cały kraj od nich w trwodze, bo całkiem bezkarnie im wszystko uchodzi i łatwiej u komendantów szwedzkich na Szweda znajdziesz sprawiedliwość, niż na swojego heretyka. Każdy komendant, byleś słowo pisnął, zaraz ci odpowie: „Nie mam ja go prawa ścigać, bo nie mój człowiek — idźcie do waszych trybunałów". A jakie tam teraz trybunały i jaka egzekucja, gdy wszystko w szwedzkich ręku? Gdzie Szwed nie trafi, tam heretycy go doprowadzą, a na kościoły i duchownych głównie oni ich excitant. Tak się mszczą na ojczyźnie matce za to, iż gdy w innych chrześcijańskich krajach słusznie za swoje praktyki i bezeceństwa byli prześladowani, ona im przytułek zapewniła i wolność ich bluźnierczej wiary...

Tu szlachcic urwał i spojrzał niespokojnie na Kmicica.

— Ale waszmość powiadasz się być z Prus Książęcych, toś sam może luter?

— Niech mnie Bóg od tego uchroni — odrzekł pan Andrzej. — Z Prus jestem, ale z rodu od wieków katolickiego, bo my do Prus z Litwy przyszli.

— To chwała Najwyższemu, bom się zląkł. Mój mospanie, quod attinet Litwy i tam dysydentów nie brak i naczelnika swego potężnego w Radziwille mają, który tak wielkim zdrajcą się okazał, że chyba z jednym Radziejowskim w paragon wejść może.

— Bogdaj mu djabli duszę z gardła wyciągnęli, nim Nowy Rok nadejdzie! — krzyknął z zawziętością Kmicic.

— Amen! — odrzekł szlachcic — jeszcze i jego sługom, jego pomocnikom, jego katom, o których aż tu do nas wieści zabiegły, a bez których nie byłby on się ważył na zgubę tej ojczyzny.

Kmicic podbladł i nie odrzekł ani słowa. Nie wypytywał też, nie śmiał pytać, o jakich to pomocnikach, sługach i katach ów szlachcic prawi.

Jadąc wolno, dojechali późnym wieczorem do Pułtuska; tam wezwano Kmicica do biskupiego pałacu, alias zamku, żeby się komendantowi opowiedział.

— Dostawiam konie wojskom jego szwedzkiej miłości — rzekł pan Andrzej — i mam kwity, z któremi do Warszawy po pieniądze jadę.

Pułkownik Izrael (tak nazywał się ów komendant) uśmiechnął się pod wąsami i rzekł:

— O, śpiesz się waść, śpiesz się, a weź z powrotem wóz, abyś miał na czem owe pieniądze odwozić.

— Dziękuję za radę — odrzekł pan Andrzej — i tak rozumiem, że wasza miłość drwi sobie ze mnie... Ale ja po swoje pojadę, choćby mi do samego króla jegomości jechać przyszło!

— Jedź, swego nie daruj! — rzekł Szwed — wcale grzeczna kwota ci się należy.

— Przyjdzie taki czas, że mi zapłacicie! — odrzekł wychodząc Kmicic.

W samem mieście trafił znów na uroczystości, bo uciecha z powodu wzięcia Krakowa trzy dni trwać miała. Dowiedział się jednak, że w Przasnyszu przesadzono może umyślnie triumf szwedzki; pan kasztelan kijowski nie dostał się wcale do niewoli, ale uzyskał prawo wyjścia z wojskiem, bronią i zapalonemi lontami przy działach z miasta. Mówiono, że miał się udać na Śląsk. Niewielka to była pociecha, ale zawsze pociecha.

W Pułtusku stały znaczne siły, które stamtąd pod wodzą Izraela miały się udać nad granicę pruską, aby nastraszyć elektora; więc ani miasto, ani zamek, lubo bardzo

obszerny, ani przedmieścia nie mogły pomieścić żołnierzy. Tu po raz pierwszy ujrzał też Kmicic wojsko w kościele stojące. We wspaniałej gotyckiej kolegjacie, fundowanej przeszło dwieście lat temu przez biskupa Giżyckiego, stała najemna niemiecka piechota. Wnętrze świątyni płonęło światłem, jak w czasie rezurekcji, bo na kamiennej posadzce płonęły porozpalane ognie. Kotły dymiły w ogniskach. Około beczek z piwem kupiło się obce żołnierstwo, złożone ze starych rabusiów, którzy całe Niemcy katolickie splondrowali i którym zapewne nie pierwszy raz przyszło nocować w kościele. Więc wewnątrz rozlegał się gwar i okrzyki. Zachrypłe głosy śpiewały obozowe pieśni; słychać było wrzaski i uciechy niewiast, które w owych czasach włóczyły się zwykle za wojskiem.

Kmicic stanął w otwartych drzwiach; przez dymy wśród czerwonych płomieni ujrzał czerwone, porozpalane trunkiem, wąsate twarze żołdaków, siedzących na beczkach i pijących piwo; innych rzucających kości lub grających w karty; innych sprzedających ornaty; innych obejmujących ladaszczyce, poprzybierane w jaskrawe suknie. Wrzask, śmiechy, brzęk kuflów i szczęk muszkietów, echa grzmiące w sklepieniach, głuszyły go. Głowa mu się zakręciła, oczy nie chciały wierzyć temu, na co patrzyły, dech zamarł mu w piersi; piekło nie mniejby go przeraziło.

Wreszcie porwał się za włosy i wybiegł, powtarzając jak w obłąkaniu.

— Boże ujmij się! Boże skarz! Boże ratuj!

ROZDZIAŁ X.

W Warszawie oddawna gospodarowali już Szwedzi. Ponieważ Wittemberg, właściwy rządca miasta i przywódca załogi, znajdował się w tej chwili w Krakowie, więc rządy w jego zastępstwie sprawiał Radziejowski. Nie mniej nad dwa tysiące żołnierza stało we właściwem mieście, objętem

wałami, i po jurydykach do wałów przylegających, zabudowanych wspaniałemi gmachami kościelnemi i świeckiemi. Zamek i miasto nie były zniszczone, bo pan Wessel, starosta makowski, oddał je bez boju, sam zaś wraz z załogą umknął pośpiesznie, obawiając się zemsty osobistego swego nieprzyjaciela Radziejowskiego.

Lecz gdy pan Kmicic zaczął się rozglądać bliżej i dokładniej, ujrzał na wielu domach ślady drapieżnych rąk. Były to domy tych mieszkańców, którzy pouciekali z miasta, nie chcąc znosić obcego panowania lub którzy stawili opór w chwili, gdy Szwedzi wdzierali się na wały.

Z pałaców pańskich, po jurydykach się wznoszących, te tylko zachowały dawną świetność, których właściciele duszą i ciałem stali przy Szwedach. Stał więc w całej świetności pałac Kazanowskich, bo Radziejowski go chronił, i jego własny i pana chorążego Koniecpolskiego i ów, który Władysław IV wystawił, a który potem Kazimirowskim zwano; lecz księże gmachy zrujnowano znacznie; Denhofowy był nawpół zburzony, kanclerski, albo tak zwany Ossolińskich przy Reformackiej ulicy, zrabowany doszczętu. Przez okna wyglądali najemnicy niemieccy, a owe kosztowne meble, które nieboszczyk kanclerz takim nakładem z Włoch sprowadzał, owe skóry florenckie, gobeliny holenderskie, misterne biurka, perłową macicą wykładane, obrazy, statuy bronzowe i marmurowe, zegary weneckie i gdańskie, szkła przednie — albo leżały jeszcze w bezładnych stosach na podwórcu albo już spakowane czekały, by je, gdy się pora zdarzy, wysłano Wisłą ku Szwecji. Pilnowały tych kosztowności straże, ale tymczasem niszczały na powietrzu i deszczu.

W wielu innych miejscach mogłeś to samo ujrzeć, a choć stolica poddała się bez boju, przecie stało już trzydzieści olbrzymich szkut na Wiśle, gotowych do wywiezienia łupu.

Miasto wyglądało jakby cudzoziemskie. Na ulicach słychać było więcej obcych mów, niż polskiej; wszędy spotykałeś żołnierzy szwedzkich, niemieckich, najemników

francuskich, angielskich i szkockich, w najrozmaitszych strojach, w kapeluszach, w czółnowych grzebieniastych hełmach, w kaftanach, pancerzach, półpancerzach, w pończochach lub szwedzkich butach z cholewami jak konwie. Wszędy obca pstrocizna, obce stroje, obce twarze, obce pieśni. Nawet konie miały inne kształty od tych, do których oko przywykło.

Nazlatywało się też mnóstwo Ormian o ciemnych twarzach i czarnych włosach, przykrytych kolorowemi jarmułkami; ci łup skupywać przybyli.

Ale najbardziej dziwiła niezmierna ilość Cyganów, którzy niewiadomo dlaczego przyciągnęli ze wszystkich stron kraju za Szwedami do stolicy. Szatry ich stały wedle pałacu Ujazdowskiego i po całej jurydyce kapitulnej, tworząc jakoby osobne płócienne miasto w murowanem.

Wśród tych tłumów różnojęzycznych, miejscowi mieszkańcy nikli prawie; dla własnego też bezpieczeństwa radzi siedzieli zamknięci w domostwach, mało się pokazując i śpiesznie chodząc po ulicach. Czasem tylko jaka kareta pańska, śpiesząca po Krakowskiem Przedmieściu ku zamkowi, otoczona hajdukami, pajukami lub wojskiem w strojach polskich, przypominała, że to jest polskie miasto.

Tylko w niedziele i święta, gdy dzwony oznajmiały nabożeństwo, tłumy wychodziły z domów i stolica dawny przybierała pozór, chociaż i wówczas przed kościołami stawały płotem szeregi obcych żołdaków, aby przypatrywać się niewiastom, pociągać je za suknie, gdy przechodziły ze spuszczonemi oczyma, śmiać się, a czasem śpiewać pieśni bezecne przed kościołami, właśnie wówczas, gdy w kościołach msze śpiewano.

Wszystko to przemknęło jak majak przed zdziwionemi oczyma pana Andrzeja, ale długo w Warszawie miejsca nie zagrzał, bo nie znając nikogo, nie miał przed kim duszy otworzyć. Nawet z ową szlachtą polską, która bawiła w mieście i zajmowała publiczne gospody, pobudowane od czasu króla Zygmunta III na ulicy Długiej, nie wszedł

pan Kmicic w bliższą komitywę. Zaczepiał wprawdzie tego i owego, by się nowin wywiedzieć, ale byli to zagorzali stronnicy szwedzcy, którzy w oczekiwaniu na powrót Karola Gustawa, wieszali się przy Radziejowskim i przy szwedzkich oficerach, w nadziei uzyskania starostw, skonfiskowanych majętności prywatnych i kościelnych i rozmaitych wyderkafów. Wart był każdy z nich, by mu w oczy plunąć, od czego pan Kmicic zresztą niebardzo się wstrzymywał.

O mieszczanach tylko słyszał Kmicic, iż dawnych czasów, pogrążonej ojczyzny i dobrego króla żałują. Szwedzi prześladowali ich srodze, zabierali domy, wyciskali kontrybucje, więzili.

Mówiono też, że cechy miały broń ukrytą, zwłaszcza płatnerze, rzeźnicy, kuśnierze i potężny cech szewiecki, że wyglądają ciągle powrotu Jana Kazimierza, nadziei nie tracą i przy lada pomocy z zewnątrz, gotowiby byli na Szwedów uderzyć.

Kmicic słysząc to, uszom nie wierzył i w głowie nie chciało mu się mieścić, żeby ludzie nikczemnego stanu i nikczemnej kondycji więcej mieli okazywać miłości dla ojczyzny i wiary dla prawego pana, niż szlachta, która wraz z urodzeniem powinna te sentymenta na świat przynosić.

Ale właśnie szlachta i magnaci stawali przy Szwedach, a lud prosty najwięcej miał chęci do oporu i nieraz bywały zdarzenia, że gdy Szwedzi zapędzali w celu wzmocnienia Warszawy prostactwo do robót, prostacy woleli znosić chłostę i więzienie, śmierć nawet samą, aniżeli się do utwierdzenia szwedzkiej potęgi przyczyniać.

Za Warszawą wrzało w kraju, jak w ulu. Wszystkie drogi, miasta i miasteczka zajęte były przez żołnierstwo, poczty pańskie i szlacheckie, panów i szlachtę, Szwedom służącą. Wszystko było zabrane, ogarnięte, podbite, wszystko było tak szwedzkie, jakby ten kraj zawsze był w ich ręku.

Pan Andrzej nie spotykał innych ludzi, tylko albo Szwedów, albo stronników szwedzkich, albo ludzi zdesperowanych, obojętnych, którzy do głębi duszy byli przekonani,

że już wszystko przepadło. Nikt o oporze nie myślał, spełniano cicho i z pośpiechem takie rozkazy, o których połowę, albo i dziesiątą część, pełnoby w dawniejszych czasach było opozycyj i protestacyj. Postrach doszedł do tego stopnia, że ci nawet, których krzywdzono, wysławiali głośno łaskawego protektora Rzeczypospolitej.

Dawniej nieraz bywało, że swoich własnych, cywilnych i wojskowych deputatów do egzakcyj, przyjmował szlachcic z rusznicą i na czele zbrojnej czeladzi — dziś rozpisywano podatki, jakie się Szwedom rozpisać podobało, a szlachta oddawała je tak pokornie, jak owce oddają wełnę postrzygaczom. Zdarzało się nieraz, że jeden i ten sam podatek wybierano dwa razy. Próżno było zasłaniać się kwitami — dobrze jeszcze, jeżeli egzekwujący oficer nie umoczył w winie dawnego kwitu i nie kazał go zjeść okazicielowi. Nic i to! — Vivat protector! — wykrzykiwał szlachcic, a gdy oficer odjechał, kazał co prędzej parobkowi leźć na dach patrzyć, czy drugi nie nadjeżdża. I gdybyż tylko kończyło się wszystko na kontrybucjach szwedzkich, ale gorsi od nieprzyjaciela byli tak tu, jak i wszędzie, przedawczykowie. Dochodzono dawnych prywat, dawnych uraz, przesypywano kopce, zajmowano łąki i lasy, a przyjacielowi szwedzkiemu wszystko uchodziło płazem. Najgorsi zaś byli dysydenci. Mało tego. Z ludzi nieszczęśliwych, desperatów, swawolników i kosterów potworzyły się kupy zbrojne. Te napadały chłopów i szlachtę. Pomagali im maruderowie szwedzcy, niemieccy i wszelkiego rodzaju hultajstwo. Kraj zapłonął pożarami; nad miastami ciążyła zbrojna pięść żołnierska, w lasach zbój napadał. O poprawie Rzeczypospolitej, o ratunku, o zrzuceniu jarzma, nikt nie myślał... Nadziei nikt nie miał...

Zdarzyło się, że pod Sochaczewem hultajstwo szwedzkie i niemieckie obległo pana Łuszczewskiego, starostę sochaczewskiego, zaskoczywszy go w prywatnej jego majętości, w Strugach. Ów, wojennego humoru będąc, choć stary, bronił się mocno. Nadjechał właśnie na to pan Kmicic, a że

mu już cierpliwość jako wrzód nabrała, gotowy pęknąć z lada powodu, więc pękła właśnie pod Strugami. Pozwolił tedy „prać“ Kiemliczom i sam uderzył na szturmujących tak potężnie, że rozbił ich, wysiekł, nikogo nie żywił, jeńców nawet potopić kazał. Pan starosta, któremu pomoc jako z nieba spadła, przyjął wybawiciela dziękczynnie i zaraz częstował, a pan Andrzej, widząc przed sobą personata i statystę, a przytem człowieka starej daty, wyznał mu swą nienawiść do Szwedów i jął wypytywać, co też o przyszłych losach Rzeczypospolitej myśli, w tej nadziei, że mu pan starosta wleje jakowyś balsam do duszy.

Lecz pan starosta całkiem odmienne miał na to, co się stało, zapatrywanie i rzekł:

— Mój mości panie! Nie wiem, cobym był waćpanu powiedział, gdybyś mnie był spytał wówczas, kiedy miałem jeszcze rude wąsy i umysł cielesnemi humorami zaćmiony, ale dziś mam wąsy siwe i eksperjencję siedmdziesięciu lat na karku; widzę rzeczy przyszłe, bom grobu bliski, przeto ci powiem, że potęgi szwedzkiej nietylko my, choćbyśmy się poprawili z błędów naszych, ale cała Europa nie złamie...

— Jakże to być może? Skądże się to wzięło?! — zakrzyknął Kmicic. — Kiedyż to Szwecja taką potęgą była? Zali polskiego narodu nie więcej na świecie, zali nie możem mieć wojska więcej? Zali to wojsko w męstwie Szwedom kiedykolwiek ustępowało?

— Naszego narodu jest dziesięć razy tyle; dostatków Bóg nam tak przymnożył, że w mojem starostwie sochaczewskiem więcej się pszenicy rodzi, niż w całej Szwecji, a co do męstwa, to ja byłem pod Kircholmem, gdzieśmy w trzy tysiące husarji ośmnaście tysięcy najlepszego szwedzkiego wojska w proch rozniesli.

— Ba, jeśli tak, — rzekł Kmicic, któremu aż oczy zaświeciły na kircholmskie wspomnienie, — jakież są tedy ziemskie przyczyny, dla którychbyśmy ich i teraz nie mogli pokonać?

— Najpierw to, — mówił starzec powolnym głosem, — żeśmy zmaleli, a oni urośli, że nas przez nas samych własnemi rękoma naszemi zwojowali, jako poprzednio zwojowali Niemców przez Niemców. Taka wola Boża i niemasz potęgi, powtarzam, któraby się im dziś oprzeć mogła!

— A jeśli szlachta do upamiętania przyjdzie i wedle pana swego się skupi, jeżeli wszyscy za broń schwycą, co wasza mość radzisz wtedy uczynić i co sam uczynisz?

— Tedy pójdę z innymi, polegnę i każdemu radzę polec, bo potem przyjdą takie czasy, na które lepiej nie patrzeć...

— Nie mogą przyjść gorsze, jako żywo, nie mogą!... To niepodobieństwo!... — zawołał Kmicic.

— Widzisz waszmość, — rzekł pan starosta, — przed końcem świata i przed sądem ostatecznym przyjdzie antychryst i powiedziano jest, że źli wezmą wtedy górę nad sprawiedliwymi, szatani będą po świecie chodzić, wiarę przeciwną prawdziwej opowiadać i do niej ludzi nawracać. Z dopuszczenia Bożego złe wszędzie zwycięży, aż do onego momentu, w którym trębacze anielscy otrąbią koniec świata...

Tu pan starosta przechylił się na tył fotelu, na którym siedział, przymknął oczy i mówił dalej cichym, tajemniczym głosem:

— Powiedziano jest, że znaki będą... Znaki na słońcu w postaci ręki i miecza były... Boże, bądź miłościw nam grzesznym!... Źli biorą górę nad sprawiedliwymi, bo Szwed i jego stronnicy zwyciężają... Wiara prawdziwa upada, bo oto luteranie się podnoszą... Ludzie! zali nie widzicie, że dies irae, dies illa się zbliża... Ja mam lat siedmdziesiąt, nad brzegiem Styksu stoję, przewoźnika i łodzi wyglądam... Ja widzę!...

Tu umilkł pan starosta, a Kmicic począł patrzeć na niego ze strachem, bo racje wydały mu się słuszne, wywody trafne, więc zląkł się sądu i zastanowił się mocno.

Lecz pan starosta na niego nie patrzył, jeno przed siebie i wkońcu rzekł:

— I jakże tu Szwedów zwyciężyć, kiedy to dopuszczenie Boże, wola wyraźna, w proroctwach odgadnięta i przepowiedziana... Oj, do Częstochowy ludziom, do Częstochowy!...

I znowu pan starosta umilkł.

Słońce zachodziło właśnie i już tylko bokiem zaglądając do komnaty, łamało się w tęczę na gomółkach szklannych, w ołów oprawnych i czyniło smugi siedmiobarwne na podłodze. Reszta komnaty była w mroku. Kmicicowi coraz bardziej stawało się straszno i chwilami zdawało mu się, że niech tylko światło ono zginie, a wraz trębacze anielscy czwą się na sąd.

— O jakich proroctwach wasza mość mówisz? — spytał wreszcie starostę, bo milczenie jeszcze wydało mu się straszniejsze.

Starosta zamiast odpowiedzieć, zwrócił się ku drzwiom przyległej komnaty i zawołał:

— Oleńka! Oleńka!

— Na Boga! — krzyknął pan Kmicic — kogo waść wołasz?...

W tej chwili wierzył we wszystko, wierzył, że jego Oleńka, cudem z Kiejdan przeniesiona, ukaże się jego oczom.

I zapomniał o wszystkiem, wzrok utkwił we drzwiach i czekał bez tchu w piersi.

— Oleńka! Oleńka! — powtórzył starosta.

Drzwi się otworzyły: weszła nie Billewiczówna, ale panna piękna, szczupła, wysoka, trochę do Oleńki podobna z powagi w twarzy i spokoju, rozlanego w obliczu. Była blada, może chora, a może niedawnym napadem przerażona i szła z oczyma spuszczonemi, tak jakoś lekko i cicho, jak gdyby ją jaki powiew posuwał.

— To córka moja — rzekł starosta. — Synów niemasz w domu. Są przy panu krakowskim, a z nim razem przy naszym elekcie nieszczęsnym.

Poczem zwrócił się do córki:

— Waćpanna podziękuj najprzód temu mężnemu ka-

walerowi za ratunek, a po wtóre przeczytaj nam proroctwo świętej Brygidy.

Dziewczyna skłoniła się przed panem Andrzejem i wyszła, a po chwili wróciła z drukowanemi świstkami w ręku i stanąwszy w owem świetle tęczowem, poczęła czytać dźwięcznym i słodkim głosem:

— Proroctwo świętej Brygidy: „Pokażę ci wprzód pięciu królów i państwa ich: Gustaw syn Eryka, osieł leniwy, ponieważ zaniedbawszy prawe nabożeństwo, przeszedł na fałszywe. Porzuciwszy apostolską wiarę, wprowadził do królestwa augsburskie wyznanie, kładąc skazę za sławę sobie. Patrz Eklezjastę, gdzie o Salomonie powiada, że skaził sławę swoją przez bałwochwalstwo...“

— Słyszysz waść? — spytał starosta, pokazując Kmicicowi wielki palec lewej ręki, inne zaś trzymając gotowe do porachunku.

— Słyszę.

„Eryk, syn Gustawa, wilk dla nienasyconej chciwości (czytała panna), czem wszystkich ludzi i braterską Janową ściągnął na się nienawiść. Najprzód Jana (podejrzywając go o praktyki z Duńczykiem i Polską) wojną utrapił, a ująwszy go wraz z żoną, przez cztery lata w podziemiu trzymał. Jan wreszcie z więzienia wydobyty i przez odmienność fortuny wspomożon, zwojowawszy Eryka, wyzuł go z korony i do wiekuistej strącił ciemnicy. Otóż nieprzewidziany wypadek!“

— Uważaj — rzekł starosta. — To już drugi.

Panna czytała dalej:

„Jan, brat Eryka, orzeł wyniosły, trzykrotnie zwycięzca nad Erykiem, Duńczykiem i septentrionem. Syn jego Zygmunt na tron polski obrany, w którego krwi zacność mieszka. Chwała latoroślom jego!“

— Pojmujesz? — pytał starosta.

— Niech Bóg przysporzy lat Janowi Kazimierzowi! — odrzekł Kmicic.

„Karol, książę Sudermanji: baran, gdyż jako barany

prowadzą trzodę, tak on Szwedów przywiódł ku nieprawości. Tenże miotał się przeciw sprawiedliwości“.

— To już czwarty! — przerwał starosta.

„Piąty Gustaw Adolf (czytała panna) baranek zabity, lecz nie bez skazy, którego krew była przyczyną utrapienia i niezgody“.

— Tak! to Gustaw Adolf — rzekł starosta. — O Krystynie niemasz wzmianki, bo tylko sami mężowie są wyliczeni. Czytaj teraz waćpanna zakończenie, które do dzisiejszych czasów akurat się odnosi.

Panna czytała co następuje:

„Szóstego ci pokażę, któren ląd i morze zakłóci i prostych zasmuci... który czas kary mojej w ręku swoich położy. Jeśli chyżo swego nie doścignie, zbliży się nań sąd mój i pozostawi państwo w utrapieniu i stanie się jako napisano: rokosz sieją, a utrapienie i boleść odmierzą. Nietylko nawiedzę to królestwo, ale miasta bogate i możne, albowiem przywołano głodnego, który dostatki ich pożre. Nie zabraknie zła wewnętrznego i obfitować będą niezgody. Panować będą głupi. a mędrcy i starce nie podejmą głowy. Cześć i prawda upadną, aż przyjdzie, który gniew mój przebłaga i który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy“.

— Masz waść! — rzekł starosta.

— Wszystko się tak sprawdza, że ślepy chybaby wątpił! — odrzekł Kmicic.

— Przeto i Szwedzi nie mogą być zwyciężeni — odrzekł starosta.

— Aż przyjdzie ten, który duszy nie oszczędzi dla miłości prawdy! — zakrzyknął Kmicic. — Nadzieję proroctwo zostawuje! Więc nie sąd, jeno zbawienie nas czeka!

— Sodoma miała być oszczędzona, gdyby w niej dziesięciu sprawiedliwych się znalazło, — odrzekł starosta, — ale się ich i tylu nie znalazło. Tak samo nie znajdzie się ów, który duszy nie oszczędzi dla miłości prawdy i godzina sądu wybije.

— Panie starosto, panie starosto, nie może być! — odrzekł Kmicic.

Nim pan starosta odpowiedział, drzwi się otwarły i do izby wszedł niemłody już człowiek, w pancerzu i z muszkietem w ręku.

— Pan Szczebrzycki? — pytał starosta.

— Tak jest, — odpowiedział nowo przybyły, — słyszałem, iż hultajstwo jw. pana obległo i na ratunek z czeladzią pośpieszam.

— Bez woli bożej włos człekowi z głowy nie spadnie — odrzekł starzec. — Już mnie ten kawaler z opresji uwolnił... A waść skąd jedziesz?

— Z Sochaczewa.

— Słyszałeś co nowego?

— Co nowina, to gorsza, jw. starosto. Nowe nieszczęście...

— Co się stało?

— Województwa: krakowskie, sandomierskie, ruskie, lubelskie, bełzkie, wołyńskie i kijowskie poddały się Karolowi Gustawowi. Akt już podpisany i przez posłów i przez Karola.

Starosta począł kiwać głową, wreszcie zwrócił się do Kmicica:

— Patrz — rzekł — i ty jeszcze myślisz, że znajdzie się ów, który duszy swej nie oszczędzi dla miłości prawdy?

Kmicic szarpać począł włosy w czuprynie.

— Desperacja! desperacja! — powtarzał w uniesieniu.

A pan Szczebrzycki mówił dalej:

— Prawią też, że te resztki wojska, które przy panu hetmanie Potockim się znajdują, już wypowiadają posłuszeństwo i do Szweda chcą iść. Hetman podobno zdrowia i życia między nimi nie pewien, musi uczynić, co zechcą.

— Rokosz sieją, a utrapienie i boleść odmierzą — rzekł starosta. — Kto chce pokutować za grzechy, temu czas!

Lecz Kmicic nie mógł już słuchać dłużej ani proroctw, ani nowin; chciał jak najprędzej siąść na koń i na wietrze

głowę ochłodzić. Zerwał się więc i począł żegnać starostę.

— A dokąd to tak śpieszno? — zapytał go starzec.

— Do Częstochowy, bom też grzesznik!

— Tedy nie zatrzymuję, chociaż radbym ugościć, ale to sprawa pilniejsza, bo dzień sądu niedaleko.

Kmicic wyszedł, a za nim wyszła panna, chcąc w zastępstwie ojca honory odjeżdżającemu uczynić, bo starosta na nogi już szwankował.

— Ostawaj w dobrem zdrowiu, panienko, — rzekł Kmicic, — nie wiesz, jakom ci życzliwy!

— Jeśliś mi waćpan życzliwy, — odrzekła na to panna, — to uczyńże mi jedną przysługę. Waćpan jedziesz do Częstochowy... oto czerwony złoty... weź go, proszę i daj na mszę w kaplicy...

— Na czyją intencję? — spytał Kmicic.

Prorokini spuściła oczy, smutek oblał jej twarz, a jednocześnie słabe rumieńce wybiły na policzki i odrzekła cichym, do szmeru liści podobnym głosem:

— Na intencję Andrzeja, aby go Bóg z grzesznej drogi nawrócił...

Kmicic cofnął się dwa kroki, oczy wytrzeszczył i ze zdumienia przez chwilę nic przemówić nie mógł.

— Na rany Chrystusa! — rzekł wreszcie — co to za dom? Gdzie ja jestem?... Same proroctwa, wróżby i wskazówki... Waćpanna zwiesz się Oleńka i na intencję grzesznego Andrzeja na mszę dajesz? To nie może być prosty trafunek, to palec boży... to... to... jać oszaleję!... Na Boga, oszaleję!...

— Co waćpanu jest?

Lecz on chwycił ją gwałtownie za ręce i począł niemi potrząsać.

— Prorokujże mi dalej, mów do końca!... Jeżeli ów Andrzej się nawróci i winy zmaże, zali Oleńka jemu wiary dochowa?... Mów, odpowiadaj, bo nie odjadę bez tego!...

— Co waćpanu jest?

— Zali Oleńka mu wiary dochowa? — powtarzał Kmicic.

Pannie nagle łzy puściły się z oczu.

— Do ostatniego tchnienia, do godziny śmierci! — odrzekła ze łkaniem.

Jeszcze nie dopowiedziała, a już pan Kmicic grzmotnął się jak długi jej do nóg. Chciała uciekać, nie puścił i całując jej stopy, powtarzał:

— Jam także grzeszny Andrzej, który nawrócić się pragnie!... Ja mam także swoją Oleńkę umiłowaną. Niechże twój się nawróci, a moja mi wiary dochowa... Niech słowa twoje proroctwem będą... Balsam i nadzieję wlałaś mi do duszy strapionej... Bóg ci zapłać, Bóg zapłać!

Poczem zerwał się, siadł na koń i odjechał.

ROZDZIAŁ XI.

Słowa panny starościanki sochaczewskiej wielką napełniły pana Kmicica otuchą i przez trzy dni nie wychodziły mu z głowy. W dzień na koniu, w nocy na łożu, rozmyślał o tem, co się przytrafiło i zawsze dochodził do wniosku, że nie mógł to być prosty przypadek, ale prędzej wskazówka Boża i przepowiednia, że jeśli wytrwa, jeśli z dobrej drogi nie zejdzie, z tej właśnie, którą mu Oleńka ukazała, to dziewczyna mu wiary dochowa i dawnym afektem obdarzy.

— Bo jeśli starościanka — rozmyślał pan Kmicic — dochowuje obserwancji swojemu Andrzejowi, który dotąd poprawy nie zaczął, to i dla mnie, mającego szczerą intencję służenia ojczyźnie, cnocie i królowi, nie zagasła jeszcze nadzieja!

Lecz z drugiej strony nie brakło panu Andrzejowi i umartwień. Intencję szczerą miał, ale czy nie za późno się z nią wybrał? Czy jeszcze była jakakolwiek droga, jakakolwiek sposobność? Rzeczpospolita z każdym dniem zdawała się być więcej pogrążoną i trudno było zamykać oczu

na straszliwą prawdę, że niemasz dla niej ratunku. Niczego sobie więcej nie życzył Kmicic, jak poczynać jakowąś robotę, lecz ludzi chętnych nie widział. Coraz nowe postacie, coraz nowe twarze przewijały się przed nim w czasie podróży, ale ich widok, słuchanie ich rozmów i dyskusyj odbierało tylko resztę nadziei.

Jedni duszą i ciałem przeszli do szwedzkiego obozu, szukając w nim własnej prywaty; ci pili, hulali i weselili się jak na stypie, topiąc w kielichach i rozpuście wstyd i szlachecki honor.

Drudzy rozprawiali w niepojętem zaślepieniu o potędze, jaką utworzy Rzeczpospolita w połączeniu ze Szwecją, pod berłem pierwszego w świecie wojownika i tacy byli najniebezpieczniejsi, bo przekonani szczerze, że orbis terrarum musi przed takim aljansem uchylić głowy.

Trzeci, jak pan starosta sochaczewski, ludzie zacni i ojczyźnie życzliwi, badali znaki na ziemi i niebie, powtarzali proroctwa i dopatrując woli Bożej we wszystkiem, co się działo, i nieugiętego przeznaczenia, dochodzili do wniosku, że niemasz nadziei, że niemasz ratunku, że koniec świata się zbliża — więc byłoby szaleństwem o ziemskiem wybawieniu, nie o niebieskiem zbawieniu myśleć.

Inni nakoniec kryli się po lasach lub z życiem uchodzili zagranicę.

Tak więc spotykał pan Kmicic jeno wyuzdanych, zepsutych, szalonych, albo trwożliwych, albo zdesperowanych; nie spotykał ufających.

A tymczasem fortuna szwedzka rosła. Wieść, że resztki wojska buntują się, zmawiają, grożą hetmanom i chcą przejść do Szwedów, nabierała z każdym dniem pewności. Pogłoska, że pan chorąży Koniecpolski ze swoją dywizją poddał się Karolowi Gustawowi, jak grom rozegrzmiała po wszystkich krańcach Rzeczypospolitej i wypędziła resztę wiary z serc, bo przecie pan Koniecpolski był to zbaraski rycerz. Za nim poszli pan starosta Jaworski i książę Dymitr

Wiśniowiecki, którego nie powstrzymało nieśmiertelną sławą okryte nazwisko.

Poczęto już wątpić i o panu marszałku Lubomirskim. Ci, którzy go dobrze znali, twierdzili, że ambicja rozum w nim i miłość do ojczyzny przewyższa, że dotąd stał przy królu, bo mu pochlebiało. że oczy wszystkich były nań zwrócone, iż go jedni i drudzy ciągnęli, zapraszali, iż mu wmawiano, że losy ojczyzny trzyma w ręku. Lecz wobec szczęścia szwedzkiego począł się wahać, ociągać i coraz wyraźniej dawał, gwoli własnej dumie, uczuć nieszczęsnemu Janowi Kazimierzowi, iż może go zbawić, albo ostatecznie pogrążyć.

Król tułacz siedział w Głogowie, i z garści wiernych, którzy los jego dzielili, coraz ktoś go opuszczał i do Szwedów przechodził. Tak słabi łamią się w dniach niedoli, nawet tacy, którym pierwszy poryw serca uczciwą i ciernistą drogą iść każe. Karol Gustaw przyjmował ich z otwartemi rękoma, nagradzał, obietnicami obsypywał, resztę wiernych kusił i przeciągał, coraz szerzej panowanie roztaczał; sama fortuna usuwała mu z przed nóg wszelkie przeszkody, polskiemi siłami Polskę podbijał, bez boju zwyciężał.

Szeregi wojewodów, kasztelanów, urzędników koronnych i litewskich, całe tłumy zbrojnej szlachty, całe chorągwie niezrównanej jazdy polskiej, stały w jego obozie, patrząc w oczy nowego pana, gotowe na jego skinienie.

Resztki wojsk koronnych coraz natarczywiej wołały na swego hetmana: — Idź! skłoń siwą głowę przed majestatem Karola... Idź, bo chcemy do Szwedów należeć!

— Do Szwedów! do Szwedów!

I na poparcie słów błyskało tysiące szabel.

Jednocześnie zaś wojna paliła się ciągle na wschodzie. Straszliwy Chmielnicki Lwów znowu obległ, a zastępy jego sprzymierzeńców, przepływając wedle niezdobytych murów Zamościa, rozlewały się po całem województwie lubelskiem, samego Lublina sięgając.

Litwa była w rękach szwedzkich i Chowańskiego. Ra-

dziwiłł rozpoczął wojnę na Podlasiu; elektor zwłóczył i lada chwila mógł ostatni cios konającej Rzeczypospolitej zadać. tymczasem w Prusach Królewskich się umacniał.

Poselstwa ze wszech stron dążyły do króla szwedzkiego, winszując mu szczęśliwego podboju.

Zbliżyła się zima. liście spadały z drzew, stada kruków, wron i kawek. opuściwszy lasy. unosiły się nad wsiami i miastami Rzeczypospolitej.

Za Piotrkowem wjechał znów Kmicic w oddziały szwedzkie. które zajmowały wszystkie trakty i gościńce. Niektóre. po zdobyciu Krakowa, maszerowały ku Warszawie, mówiono bowiem. że Karol Gustaw odebrawszy hołd od południowych i wschodnich województw i podpisawszy „kapitulację“. czeka tylko jeszcze na poddanie się owych resztek wojska. stojących pod panem Potockim i Lanckorońskim. poczem zaraz do Prus ruszy i dlatego wojska naprzód wysyła. Panu Andrzejowi nie tamowano nigdzie drogi. bo wogóle szlachta nie wzbudzała podejrzeń i mnóstwo zbrojnych pocztów ciągnęło razem ze Szwedami; inni jechali do Krakowa. to pokłonić się nowemu panu, to uzyskać od niego cokolwiek. nikogo więc nie pytano ani o glejty. ani o paszporty. tem bardziej. że w pobliżu Karola. udającego łaskawość, nie śmiano nikogo turbować.

Ostatni nocleg przed przybyciem do Częstochowy, wypadł panu Andrzejowi w Kruszynie, ale zaledwie się roztasował. przybyli tam goście. Najprzód nadciągnął oddział szwedzki. około stu koni wynoszący, pod dowództwem kilku oficerów i poważnego jakiegoś kapitana. Był to mąż w średnim wieku. postawy dość wspaniałej, rosły, silny, pleczysty, z bystremi oczyma. a jakkolwiek i strój nosił obcy i zgoła na cudzoziemca wyglądał, jednakże wszedłszy do karczmy. przemówił do pana Andrzeja najczystszą polszczyzną. wypytując się go, kto jest i dokąd jedzie?

Pan Andrzej powiedział tym razem. iż jest szlachcicem z Sochaczewskiego, albowiem dziwnem mogłoby się to wydawać oficerowi. gdyby poddany elektorski zapuścił się aż

w tak odległe strony. Natomiast dowiedziawszy się, iż pan Andrzej jedzie do króla szwedzkiego ze skargą. iż mu należnej sumy nie chcą wypłacić, oficer ów rzekł:

— Przy wielkim ołtarzu najlepiej się modlić i słusznie waćpan czynisz, że do samego króla jedziesz, bo choć u niego tysiące spraw na głowie, przecie nikomu ucha nie odmawia, a już na was szlachtę tak łaskaw, że aż Szwedzi wam zazdroszczą.

— Aby tylko pieniądze były w skarbie...

— Karol Gustaw, to nie wasz dawny Jan Kazimierz, który nawet u Żydów zapożyczać się musiał, bo co miał, to zaraz pierwszemu proszącemu oddał. Zresztą, byle się pewna impreza udała, to pieniędzy w skarbcu nie zabraknie.

— O jakiej imprezie wasza mość mówisz?

— Za mało się znamy, panie kawalerze, abym ci się miał spuścić z sekretu. Wiedz jeno to, że za tydzień albo za dwa, skarbiec króla szwedzkiego tak będzie ciężki, jako sułtański.

— To chyba jaki alchemik pieniędzy mu narobi, bo ich w tym kraju skądinąd nie dostać.

— W tym kraju? Dość rękę śmiele wyciągnąć. A na śmiałości nam nie braknie. Dowód w tem, że tu panujem.

— Prawda! prawda! — rzekł Kmicic — bardzośmy z tego panowania radzi, zwłaszcza, jeśli nas nauczycie, jakim sposobem pieniądze jak wióry zbierać...

— Te sposoby były w waszej mocy, ale wybyście woleli z głodu poginąć, niż jeden grosz stamtąd wziąć.

Kmicic spojrzał bystro na oficera.

— Bo są takie miejsca, na które strach nawet i Tatarom rękę podnieść! — rzekł.

— Zanadtoś domyślny, panie kawalerze — odpowiedział oficer — i to pamiętaj, że nie do Tatarów, jeno do Szwedów po pieniądze jedziesz.

Dalszą rozmowę przerwało przybycie nowego pocztu. Oficer widocznie go oczekiwał, bo wypadł pośpiesznie

z karczmy. Kmicic zaś wyszedł za nim i stanął we drzwiach sieni, aby się przyjrzeć, kto przyjeżdża.

Najprzód zajechała zamknięta kolaska, zaprzężona w cztery konie, a otoczona oddziałem szwedzkich rajtarów i zatrzymała się przed karczmą. Ów oficer, który z Kmicicem rozmawiał, posunął się ku niej żywo i otworzywszy drzwiczki, złożył głęboki ukłon siedzącej wewnątrz osobie.

— Musi być ktoś znaczny... — pomyślał Kmicic.

Tymczasem z karczmy wyniesiono płonące pochodnie. Z karety wysiadł poważny personat, czarno z cudzoziemska ubrany w płaszcz długi do kolan, podbity tołubem lisim i w kapeluszu z piórami.

Oficer chwycił pochodnię z rąk rajtara i skłoniwszy się raz jeszcze, rzekł:

— Tędy ekscelencjo!

Kmicic cofnął się co prędzej do zajazdu, a oni weszli zaraz za nim. Ów oficer skłonił się po raz trzeci i rzekł:

— Ekscelencjo! Jestem Weyhard Wrzeszczowicz, ordinarius proviantmagister jego królewskiej mości Karola Gustawa, wysłany z eskortą na spotkanie waszej ekscelencji.

— Miło mi poznać tak zacnego kawalera — rzekł czarno ubrany personat, oddając ukłon za ukłon.

— Czy ekscelencja chce zatrzymać się dłużej, czy dalej zaraz jechać?... Jego kr. mość pilno życzy sobie widzieć waszą ekscelencję.

— Miałem zamiar zatrzymać się w Częstochowie dla nabożeństwa, — odrzekł nowoprzybyły, — ale w Wieluniu odebrałem wiadomość, że jego kr. mość rozkazuje mi śpieszyć, więc trochę wypocząwszy, ruszymy dalej, a tymczasem odpraw wasza mość dawną eskortę i podziękuj kapitanowi, który ją prowadził.

Oficer poszedł wydać odpowiednie rozkazy. Pan Andrzej zatrzymał go po drodze.

— Kto to jest? — spytał.

— Baron Lisola, wysłannik cesarski, który z branden-

burskiego dworu udaje się do naszego pana — odpowiedział oficer.

To rzekłszy wyszedł, a po chwili wrócił.

— Rozkazy waszej ekscelencji spełnione — rzekł do barona.

— Dziękuję — odpowiedział Lisola.

I z wielką, chociaż bardzo pańską uprzejmością wskazał Wrzeszczowiczowi miejsce naprzeciw siebie.

— Wicher coś poczyna na dworcu świstać — rzekł — i deszcz zacina. Może wypadnie dłużej popaść. Tymczasem pogawędzimy przed wieczerzą. Co tu słychać? Słyszałem, że małopolskie województwa poddały się jego szwedzkiej miłości.

— Tak jest, ekscelencjo. Jego kr. mość czeka tylko jeszcze na poddanie się reszty wojsk, poczem zaraz do Warszawy i do Prus wyruszy.

— Zali to pewna, że oni się poddadzą?

— Deputaci wojskowi już są w Krakowie. Zresztą, nie mogą inaczej uczynić, bo nie mają wyboru. Jeśli do nas nie przejdą, Chmielnicki ich do nogi wytępi.

Lisola pochylił swą rozumną głowę na piersi.

— Straszne, niesłychane rzeczy! — rzekł.

Rozmowa była prowadzona w niemieckim języku. Kmicic nie tracił z niej ani jednego słowa.

— Ekscelencjo, — odpowiedział Wrzeszczowicz — co się stało, to się stać musiało.

— Może być; trudno jednak nie mieć kompasji dla tej potęgi, która w oczach naszych upadła i kto nie jest Szwedem, boleć nad tem musi.

— Ja nie jestem Szwedem, ale gdy sami Polacy nie boleją, nie poczuwam się i ja do tego — odparł Wrzeszczowicz.

Lisola spojrzał na niego uważnie.

— Prawda, że nazwisko waszmości nie szwedzkie. Z jakiego narodu, proszę?

— Jestem Czech.

— Proszę! Zatem cesarza niemieckiego poddany?... Więc z pod jednego pana jesteśmy.

— Jestem w służbie najjaśniejszego króla szwedzkiego — odrzekł z ukłonem Wrzeszczowicz.

— Nie chcę ja bynajmniej tej służbie ubliżyć, — odparł Lisola. — ale takie służby bywają przemijające, będąc zaś poddanym naszego miłościwego pana, gdziekolwiek waszmośćbyś był, komukolwiekbyś służył, nie możesz kogo innego za przyrodzonego zwierzchnika uważać.

— Tego nie neguję.

— Więc też powiem szczerze waszmości, że pan nasz boleje nad tą prześwietną Rzecząpospolitą, nad losem wspaniałego jej monarchy i nie może łaskawem, ani chętnem okiem spoglądać na tych swoich poddanych, którzy się do ostatecznej ruiny przyjaznego państwa przykładają. Co waszmości uczynili Polacy, że im taką nieżyczliwość okazujesz?...

— Ekscelencjo! siła mógłbym na to odpowiedzieć, ale obawiam się nadużyć cierpliwości waszej ekscelencji.

— Waszmość wydajesz mi się być nietylko znamienitym oficerem, ale i rozumnym człowiekiem, a mnie mój urząd nakazuje patrzeć, słuchać, o racje wypytywać; mów więc waszmość, choćby najobszerniej i nie obawiaj się znużyć mej cierpliwości. Owszem, jeśli zgłosisz się kiedy do służby cesarskiej, czego ci najmocniej życzę, znajdziesz wasza mość we mnie przyjaciela, który cię wytłumaczy i racje twoje powtórzy, jeśliby ci za złe twoją dzisiejszą służbę poczytać chciano.

— Tedy wypowiem wszystko, co mam na myśli. Jako wielu szlachty, młodszych synów, tak i ja musiałem fortuny poza granicami kraju szukać, przybyłem więc tutaj gdzie i naród jest mojemu pokrewny i cudzoziemców chętnie do służby zażywają.

— Źle waszą mość przyjęto?

— Dano mi żupy solne w zawiadywanie. Znalazłem przystęp do chleba, do ludzi i do samego króla. Obecnie

służę Szwedom, a jednak, gdyby mnie kto za niewdzięcznika chciał poczytać, wręczbym mu musiał zanegować.

— A to z jakich racyj?

— A z jakich racyj można więcej ode mnie wymagać, niż od Polaków samych? Gdzie są dziś Polacy? Gdzie senatorowie tego królestwa, książęta, magnaci, szlachta, rycerstwo, jeśli nie w obozie szwedzkim? A przecie oni to pierwsi powinni wiedzieć, co im czynić należy, gdzie zbawienie, a gdzie zguba dla ich ojczyzny. Ja idę za nimi, więc któryż z nich ma mnie prawo nazwać niewdzięcznikiem? Czemu to ja, cudzoziemiec, mam być wierniejszym królowi polskiemu i Rzeczypospolitej niż oni sami? Czemu miałbym pogardzać tą służbą, o którą oni sami się proszą?

Lisola nie odrzekł nic. Wsparł głowę na ręku i zamyślił się. Zdawałoby się, że słucha poświstu wiatru i szumu jesiennego dżdżu, który począł zacinać w okna karczmy.

— Mów waszmość dalej: — rzekł wreszcie — zaprawdę, szczególne rzeczy mi mówisz.

— Ja szukam fortuny tam, gdzie ją znaleźć mogę, — rzekł Wrzeszczowicz, — a że ten naród ginie, nie potrzebuję się o to więcej troszczyć od niego samego. Zresztą, choćbym się troszczył, niceby to nie pomogło, bo oni zginąć muszą!

— A to dlaczego?

— Najprzód dlatego, że sami tego chcą; po wtóre, że na to zasługują. Ekscelencjo! jest-li na świecie drugi kraj, gdzieby tyle nieładu i swawoli dopatrzeć można?... Co tu za rząd? Król nie rządzi, bo mu nie dają... Sejmy nie rządzą, bo je rwą... Niemasz wojska, bo podatków płacić nie chcą; niemasz posłuchu, bo posłuch wolności się przeciwi; niemasz sprawiedliwości, bo wyroków niema komu egzekwować i każdy możniejszy je depce; niemasz w tym narodzie wierności, bo oto wszyscy pana swego opuścili; niemasz miłości do ojczyzny, bo ją Szwedowi oddali za obietnicę, że im po staremu w dawnej swawoli żyć nie przeszkodzi... Gdzieby indziej mogło się co podobnego przytrafić? Któryby w świecie naród nieprzyjacielowi do zawojowania

własnej ziemi pomógł? Któryby tak króla opuścił, nie za tyraństwo, nie za złe uczynki, ale dlatego, że przyszedł drugi mocniejszy? Gdzie jest taki, coby prywatę więcej ukochał, a sprawę publiczną więcej podeptał? Co oni mają, ekscelencjo?... Niechże mi kto choć jedną cnotę wymieni: czy stateczność. czy rozum czy przebiegłość, czy wytrwałość, czy wstrzemięźliwość? Co oni mają? Jazdę dobrą? tak! i nic więcej... To i Numidowie ze swej jazdy słynęli i Gallowie, jak to w rzymskich historykach czytać można, sławnego mieli komunika. a gdzież są? Zginęli, jak i ci zginąć muszą. Kto ich chce ratować. ten jeno czas próżno traci, bo oni sami nie chcą się ratować!... Jeno szaleni, swawolni, źli i przedajni tę ziemię zamieszkują!

Wrzeszczowicz ostatnie słowa wymówił z prawdziwym wybuchem nienawiści, dziwnej w cudzoziemcu, który chleb znalazł wśród tego narodu; ale Lisola nie dziwił się. Wytrawny dyplomata znał świat i ludzi, wiedział, że kto nie umie płacić sercem swemu dobroczyńcy. ten gorliwie szuka w nim win, by niemi własną niewdzięczność osłonić. Zresztą może i przyznawał on słuszność Wrzeszczowiczowi, więc nie protestował; natomiast spytał nagle:

— Panie Weyhard, czy waćpan jesteś katolikiem?

Wrzeszczowicz zmieszał się.

— Tak jest, ekscelencjo! — odpowiedział.

— Słyszałem w Wiedniu, że są tacy, którzy namawiają j. kr. mość Karola Gustawa, ażeby klasztor jasnogórski zajął... Czy to prawda?

— Ekscelencjo! klasztor leży blisko śląskiej granicy, i Jan Kazimierz snadnie od niego zasiłki mieć może. Musimy go zająć, aby temu przeszkodzić... Jam pierwszy zwrócił na to uwagę i dlatego j. kr. mość mnie tę funkcję powierzył.

Tu Wrzeszczowicz urwał nagle, przypomniał sobie Kmicica. siedzącego w drugim końcu izby i podszedłszy ku niemu, spytał:

— Panie kawalerze, rozumiesz po niemiecku?

— Ani słowa, choćby mi kto zęby rwał! — odpowiedział pan Andrzej.

— A to szkoda, bo chcieliśmy do rozmowy zaprosić.

To rzekłszy, zwrócił się do Lisoli:

— Jest tu obcy szlachcic, ale po niemiecku nie rozumie, możemy mówić swobodnie.

— Nie mam nic tajnego do powiedzenia, — odrzekł Lisola, — ale ponieważ jestem także katolik, nie chciałbym, aby świętemu miejscu stała się jaka krzywda... Że zaś jestem pewien, iż i najjaśniejszy cesarz ten sam ma sentyment, tedy będę prosił j. kr. mości, aby mnichów oszczędził. A waćpan nie śpiesz się z zajmowaniem aż do nowej rezolucji.

— Mam wyraźne, chociaż tajemne instrukcje; waszej ekscelencji tylko ich nie zatajam, bo cesarzowi, panu memu, zawsze chcę wiernie służyć. Mogę jednak waszą ekscelencję w tem uspokoić, że świętemu miejscu żadna profanacja się nie stanie. Jam katolik...

Lisola uśmiechnął się i chcąc prawdę z mniej doświadczonego człowieka wydobyć, spytał żartobliwie:

— Ale skarbca mnichom przetrząśniecie? Nie będzie bez tego? Co?

— To się może zdarzyć — odrzekł Wrzeszczowicz. — Najświętsza Panna talarów w przeorskiej skrzyni nie potrzebuje. Skoro wszyscy płacą, niechże i mnichy płacą.

— A jeśli się będą bronili?

Wrzeszczowicz rozśmiał się:

— W tym kraju nikt się nie będzie bronił, a dzisiaj już i nie może się nikt bronić. Mieli potemu czas!... teraz za późno!

— Za późno — powtórzył Lisola.

Na tem skończyła się rozmowa. Po wieczerzy odjechali. Kmicic pozotał sam. Była to dla niego najgorsza noc ze wszystkich, jakie spędził od czasu wyjazdu z Kiejdan.

Słuchając słów Weyharda Wrzeszczowicza, musiał się wszelkiemi siłami powstrzymywać, aby nie krzyknąć mu: —

Łżesz psie! — i z szablą na niego nie wpaść. I jeśli tego nie uczynił, to dlatego, że niestety czuł i uznawał prawdę w słowach cudzoziemca, straszną, palącą jak ogień, ale rzetelną.

— Cobym mu mógł rzec? — mówił sobie — czem prócz pięści zanegować? jakie dowody przytoczyć?... Prawdę szczekał... Bodaj go zabito!... A i ów cesarski statysta przyznał mu, że już po wszystkiem i na wszelką obronę za późno.

Kmicic w znacznej części może dlatego tak cierpiał, że owo za późno było wyrokiem nietylko dla ojczyzny, ale i dla jego prywatnego szczęścia. A przecie już tej męki miał dosyć; już mu i sił nie stawało, bo przez całe tygodnie nic innego nie słyszał, tylko: że wszystko przepadło, że nie czas już, że za późno. Żaden promyk nadziei nie padł mu nigdzie w duszę.

Jadąc coraz dalej, dlatego się tak śpieszył, dlatego dniami i nocami jechał, żeby uciec przed temi wróżbami, żeby wreszcie znaleźć jaką okolicę, jakiego człowieka, któryby mu wlał chociaż kroplę pociechy. Tymczasem znajdował coraz większy upadek, coraz większą desperację. Wreszcie słowa Wrzeszczowicza przepełniły ten kielich goryczy i żółci; wykazały mu jasno to, co było dotąd niewyraźnem poczuciem, że nietyle Szwedzi, septentrionowie i kozacy zabili ojczyznę, ile cały naród.

— „Szaleni, swawolni, źli i przedajni tę ziemię zamieszkują — powtarzał za Wrzeszczowiczem pan Kmicic — i niemasz innych!... Króla nie słuchają, sejmy rwą, podatków nie płacą, nieprzyjacielowi sami do zawojowania tej ziemi pomagają. Muszą zginąć!“

— Dlaboga! żeby choć jedno łgarstwo mu zadać! Zali, prócz jazdy, niemasz w nas nic dobrego, żadnej cnoty, jeno złe samo?

Pan Kmicic szukał w duszy odpowiedzi. Tak już był zmęczony i drogą i zmartwieniami i wszystkiem, co przeszedł, że mu się zaczęło w głowie mącić. Poczuł, że jest

chory i owładnęło go śmiertelne znużenie. W mózgu czynił mu się coraz większy chaos. Przesuwały się twarze znajome i nieznajome, te, które znał dawniej i te, które w czasie drogi napotkał.

Owe figury rozprawiały, jakby na sejmie, przytaczały sentencje, proroctwa, a wszystkim chodziło o Oleńkę. Ona czekała ratunku od pana Kmicica, ale Wrzeszczowicz powstrzymywał go za ramiona i patrząc mu w oczy, powtarzał: — Za późno! co szwedzkie, to szwedzkie! — a Bogusław Radziwiłł śmiał się i wtórował Wrzeszczowiczowi. Poczem wszyscy poczęli krzyczeć: — Za późno! za późno! za późno! — i chwyciwszy Oleńkę, znikli z nią gdzieś w ciemnościach.

Kmicicowi wydało się, że Oleńka i ojczyzna to to samo i że obie zgubił i dobrowolnie Szwedom wydał.

Wówczas chwytał go żal tak niezmierny, że się budził i spoglądał zdumionemi oczyma wokoło siebie, albo też nasłuchiwał wiatru, który w kominie, w ścianach, w dachu, świstał różnemi głosami i wygrywał przez wszystkie szpary, jak na organach.

Lecz widzenia wracały. Oleńka i ojczyzna znów zlewały się w jego umyśle w jedną istotę, którą Wrzeszczowicz uprowadzał, mówiąc: — Za późno! za późno!

Tak przegorączkował pan Andrzej całą noc. W chwilach przytomności myślał, że przyjdzie mu zachorować obłożnie i już chciał wołać Sorokę, by mu krew puszczał. Lecz tymczasem poczęło świtać; Kmicic zerwał się i wyszedł przed zajazd.

Zaledwie pierwszy brzask rozpraszał ciemności; dzień zapowiadał się pogodnie; chmury pozbijały się w długie taśmy i pasma na zachodzie, ale wschód był czysty; na bladnącem zwolna niebie migotały niepoprzesłaniane oparami gwiazdy. Kmicic zbudził ludzi, sam przybrał się w świąteczne suknie, bo nadchodziła właśnie niedziela i ruszyli w drogę.

Po złej, bezsennej nocy, był Kmicic znużony na ciele i duszy.

Ani ów ranek jesienny, blady, ale rzeźwy, szronisty i pogodny, nie mógł rozproszyć smutku, gniotącego serce rycerza. Nadzieja wypaliła się w nim do ostatniego źdźbła i zgasła jak lampa, w której oliwy zabrakło. Co mu przyniesie ten dzień? Nic! te same smutki, to samo utrapienie, prędzej przyrzuci ciężaru na duszę, z pewnością nie ujmie.

Jechał więc w milczeniu, utkwiwszy oczy w jakiś punkt, bardzo błyszczący na widnokręgu. Konie parskały na pogodę; ludzie poczęli śpiewać sennemi głosami jutrznię.

Tymczasem rozwidniało się coraz bardziej, niebo z bladego stawało się zielone i złote, a ów punkt na widnokręgu począł tak błyszczeć, że oczy mrużyły się od tego blasku.

Ludzie przestali śpiewać i wszyscy patrzyli w tamtą stronę, wreszcie Soroka rzekł:

— Dziwo, czy co?... Toć tam zachód, a jakby słońce wschodziło?

Istotnie owo światło rosło w oczach, z punktu uczyniło się kołem, z koła koliskiem — zdala, rzekłbyś, że ktoś zawiesił nad ziemią olbrzymią gwiazdę, siejącą blaski niezmierne.

Kmicic i jego ludzie patrzyli ze zdumieniem na owo zjawisko świetliste, drgające, promienne, nie wiedząc, co mają przed oczyma.

Wtem od Kruszyny chłop nadjechał w drabinkach. Kmicic zwróciwszy się ku niemu, ujrzał, iż chłop czapkę trzymał w ręku i patrząc w owo światło, modlił się.

— Chłopie? — spytał pan Andrzej — a co się to tak świeci?

— Kościół jasnogórski! — odrzekł kmieć.

— Chwała Najświętszej Pannie! — zakrzyknął Kmicic i czapkę zdjął z głowy, za nim uczynili toż samo jego ludzie.

Po tylu dniach zmartwień, zwątpienia i zawodów, uczuł nagle pan Andrzej, że staje się z nim coś dziwnego. Ledwie słowa: — Kościół jasnogórski! — przebrzmiały mu w

uszach, gdy smutek opadł z niego, jakoby kto ręką odjął.

Ogarnęła rycerza jakaś niewypowiedziana bojaźń, pełna czci, ale zarazem nieznana radość wielka, błoga. Od tego kościoła, jarzącego się na wysokości w pierwszych promieniach słońca, biła nadzieja, której pan Kmicic dawno nie zaznał, otucha, której napróżno szukał, siła niepokonana, na której chciał się oprzeć. Wstąpiło weń jakoby nowe życie i poczęło krążyć po żyłach wraz ze krwią. Odetchnął tak głęboko, jak chory, budzący się z gorączki, z nieprzytomności.

A kościół lśnił się coraz bardziej, jakby wszystko światło słoneczne w siebie zabrał. Cała kraina leżała u jego stóp, a on patrzył na nią z wysokości, rzekłbyś: stróż jej i opiekun.

Kmicic długo oczu nie mógł oderwać od tego światła i nasycał i koił się jego widokiem. Ludzie jego mieli twarze poważne i przejęte obawą.

Wtem odgłos dzwonu rozległ się w cichem rannem powietrzu.

— Z koni! — zawołał pan Andrzej.

Zeskoczyli wszyscy z kulbak i klęknąwszy na drodze, rozpoczęli litanję. Kmicic ją odmawiał, a żołnierze odpowiadali chórem. Nadjechały przez ten czas nowe wozy; chłopi, widząc modlących się na drodze ludzi, przyłączyli się do nich i coraz większa czyniła się gromada.

Gdy wreszcie skończono modlitwy, powstał pan Andrzej, a za nim i jego ludzie, lecz szli już dalej piechotą, prowadząc konie za uzdy i śpiewając: „Witajcie jasne podwoje".

Pan Andrzej szedł tak rzeźwy, jakby skrzydła miał u ramion. W skrętach drogi, kościół to niknął, to ukazywał się naprzemian. Gdy przesłoniły go wyniosłości lub parowy, zdawało się Kmicicowi, że ciemność świat ogarnia, lecz gdy znowu rozbłyskał, wówczas rozpromieniały się i wszystkie twarze.

Tak szli długo. Kościół, klasztor i otaczające go mury widniały coraz wyraźniej, stawały się coraz wspanialsze,

ogromniejsze. Dojrzeli wreszcie i miasto wdali, a pod górą całe szeregi domów i chat, które przy ogromie kościelnym wydawały się tak małe, jako gniazda ptasie.

Była to niedziela, więc gdy słońce wybiło się już dobrze w górę, droga zaroiła się wozami i pieszym ludem, ciągnącym na nabożeństwo. Z wysokich wież poczęły huczeć dzwony większe i mniejsze, napełniając powietrze wspaniałym dźwiękiem. Była w tym widoku i w tych głosach spiżowych jakaś potęga, jakiś niezmierny majestat, a zarazem i spokój. Ten szmat ziemi u stóp Jasnej Góry wcale był niepodobny do reszty kraju.

Tłumy ludu czerniały naokół murów kościelnych. Pod górą stały setki wozów, bryczek, kolasek, bied; gwar ludzki mieszał się ze rżeniem koni poprzywiązywanych do palików. Dalej na prawo, wedle głównej drogi, prowadzącej na górę, widać było całe szeregi straganów, w których sprzedawano wota metalowe i woskowe, świece, obrazy, szkaplerze. Fala ludzka płynęła wszędy swobodnie.

Bramy były szeroko otwarte, kto chciał wchodził, kto chciał wychodził; na murach, przy działach, zgoła nie było żołnierzy. Strzegła widocznie kościoła i klasztoru sama świętość miejsca — a może ufano listom Karola Gustawa, któremi bezpieczeństwo zaręczył.

ROZDZIAŁ XII.

Od bramy fortecznej chłopi i szlachta, mieszczanie z różnych okolic, ludzie wszelkiego wieku, obojej płci i wszystkich stanów, czołgali się ku kościołowi na kolanach, śpiewając pieśni pobożne. Płynęła ta rzeka bardzo wolno i bieg jej zatrzymywał się co chwila, gdy ciała zbiły się zbyt ciasno. Chorągwie wiały nad nią nakształt tęczy. Chwilami pieśni milkły i tłumy poczynały odmawiać litanję, a wówczas grzmot słów rozlegał się z jednego końca w drugi. Między pieśnią a pieśnią, między litanją a litanją, tłumy

milkły i biły czołem w ziemię lub rzucały się krzyżem; słychać było tylko głosy błagalne i przeraźliwe żebraków, którzy siedząc po dwóch brzegach rzeki ludzkiej, odsłaniali na widok publiczny swe skaleczałe członki. Wycie ich mieszało się z brzękiem grosiwa wrzucanego do blaszanych i drewnianych mis. I znowu rzeka głów toczyła się dalej i znowu brzmiały pieśni.

W miarę jak fala zbliżała się do drzwi kościoła, zapał wzrastał i zmieniał się w uniesienie. Widziałeś ręce wyciągnięte ku niebu, oczy wzniesione, twarze blade ze wzruszenia lub rozpalone modlitwą.

Różnice stanu znikły: chłopskie sukmany zmieszały się z kontuszami, żołnierskie kolety z żółtemi kapotami mieszczan.

We drzwiach kościoła ścisk powiększył się jeszcze. Ciała ludzkie utworzyły już nie rzekę, ale most, tak zbity, iż możnaby było przejść po głowach. ramionach, nie dotknąwszy stopą ziemi. Piersiom brakło oddechu, ciałom przestrzeni, lecz duch, który je ożywiał, dawał im żelazną odporność. Każdy się modlił, nikt nie myślał o niczem innem; każdy dźwigał na sobie tłok i ciężar całej tej masy, lecz nikt nie upadał i popychany przez tysiące, czuł w sobie siłę za tysiąc i z tą siłą parł naprzód. pogrążon w modlitwie, w upojeniu, w egzaltacji.

Kmicic, czołgający się ze swymi ludźmi w pierwszych szeregach. dostał się wraz z pierwszymi do kościoła, potem prąd wniósł go do cudownej kaplicy, gdzie tłumy rzuciły się na twarz, płacząc. obejmując rękoma posadzkę i całując ją z uniesieniem. Tak czynił i pan Andrzej, a gdy wreszcie ośmielił się podnieść głowę. uczucie rozkoszy, szczęścia i zarazem śmiertelnej obawy, odjęło mu prawie przytomność.

W kaplicy panował mrok czerwony, którego nie rozpraszały zupełnie płomyki świec, jarzących się przed ołtarzem. Barwne światła wpadały także przez szyby i wszystkie one blaski czerwone, fioletowe, złote, ogniste, drgały na ścianach, ślizgały się po rzeźbach, załamaniach, przedzie-

rały się w zaciemnione głębie, wydobywając najaw jakieś niewyraźne przedmioty, pogrążone jakoby we śnie. Tajemnicze połyski rozbiegały się i skupiały z mrokiem tak nieznacznie, że nikła wszelka różnica między światłem a cieniem. Świece na ołtarzu miały glorje złote. Dymy z kadzielnic tworzyły mgłę purpurową; biały ornat zakonnika, odprawiającego ofiarę, grał przyćmionemi kolorami tęczy. Wszystko tu było pół widne, pół przesłonięte, nieziemskie: blaski nieziemskie, mroki nieziemskie — tajemnicze, uroczyste, błogosławione, przepełnione modlitwą, adoracją, świętością...

Z głównej nawy kościoła dochodził szum zmieszany głosów ludzkich, jak ogromny szum morza, a tu panowała cisza głęboka, przerywana tylko głosem zakonnika, śpiewającego wotywę.

Obraz jeszcze był przysłonięty, więc oczekiwanie tłumiło dech w piersiach. Widać tylko było oczy wpatrzone w jedną stronę, nieruchome twarze, jakoby już z ziemskiem życiem rozbratane, ręce złożone przed ustami, jak u aniołów na obrazach.

Śpiewowi zakonnika wtórowały organy, wydając tony łagodne a słodkie, płynące jakoby z fletni zaziemskich. Chwilami zdawały się one sączyć jak woda w źródle, to znów padały ciche a gęste, jak rzęsisty deszcz majowy.

Wtem huknął grzmot trąb i kotłów — dreszcz przebiegł serca.

Zasłona obrazu rozsunęła się w dwie strony i potok brylantowego światła lunął z góry na pobożnych.

Jęki, płacz i krzyki rozległy się w kaplicy.

— Salve Regina! — zawrzasła szlachta — monstra Te esse matrem! — a chłopi wołali: — Panienko Najświętsza! Panno złota! Królowa anielska! ratuj, wspomóż, pociesz, zmiłuj się nad nami!

I długo brzmiały te krzyki wraz ze szlochaniem niewiast, ze skargami nieszczęśliwych, z prośbami o cud chorych lub kalek.

Z Kmicica dusza nieomal wyszła; czuł tylko, że ma

przed sobą niezmierność, której nie pojmie i nie ogarnie, a wobec której wszystko niknie. Czemże były zwątpienia wobec tej ufności, której cała istność nie mogła pomieścić; czem niedola wobec tej pociechy; czem potęga szwedzka wobec takiej obrony; czem ludzka złość wobec takiego patronatu?...

Tu myśli w nim ustały i zmieniły się w czucia same; zapomniał się, zapamiętał, przestał rozeznawać kim jest, gdzie jest... Zdawało mu się, że umarł, że dusza jego leci z głosami organów, miesza się z dymami kadzielnic; ręce, przywykłe do miecza i rozlewu krwi, wyciągnął do góry i klęczał w upojeniu, w zachwycie.

Tymczasem ofiara kończyła się. Pan Andrzej sam nie wiedział, jakim sposobem znalazł się wreszcie znowu w głównej nawie kościelnej. Ksiądz prawił naukę z kazalnicy, ale Kmicic długo jeszcze nic nie słyszał, nic nie rozumiał, jak człowiek zbudzony ze snu nie odrazu miarkuje, gdzie kończy się sen a rozpoczyna jawa.

Pierwsze słowa, jakie usłyszał, były: — Tu się odmienią serca i dusze naprawią, ani bowiem Szwed mocy tej nie zmoże, ani w ciemnościach brodzący prawdziwego światła nie zwyciężą!

— Amen! — rzekł w duchu Kmicic i począł się bić w piersi, bo mu się teraz zdawało, że grzeszył ciężko, sądząc, że już wszystko przepadło i że znikąd niemasz nadziei.

Po ukończonem nabożeństwie zatrzymał pierwszego napotkanego zakonnika i oznajmił mu, że w sprawie kościoła i klasztoru chce się widzieć z przeorem.

Przeor dał mu natychmiast posłuchanie. Był to człowiek w dojrzałym wieku, który już ku wieczorowi się zbliżał. Twarz miał niezmiernie pogodną. Czarna gęsta broda okalała mu oblicze, a oczy miał niebieskie, spokojne i patrzące przenikliwie. W swoim białym habicie wyglądał poprostu jak święty. Kmicic ucałował go w rękaw szaty, a on ścisnął go za głowę i spytał: kto jest i skąd przybywa?

— Przybywam ze Żmudzi, — odrzekł pan Andrzej, —

aby Najświętszej Pannie, utrapionej ojczyźnie i opuszczonemu panu służyć, przeciw którym dotąd grzeszyłem, co wszystko na spowiedzi świętej wyznam obszernie i o to proszę, abym dziś jeszcze lub jutro dodnia mógł być wyspowiadany, gdyż żal za winy do tego mnie skłania. Nazwisko swoje prawdziwe też powiem ci, ojcze wielebny, pod tajemnicą spowiedzi, nie inaczej, bo źle do mnie ludzi uprzedza i do poprawy przeszkadzać mi może. Przed ludźmi chcę się zwać Babiniczem, od jednej mojej majętności, przez nieprzyjaciela ogarniętej. Tymczasem ważną przywożę wiadomość, której wysłuchaj, ojcze, cierpliwie, gdyż o ten przybytek święty i o klasztor chodzi!

— Chwalę intencje waszmości i poprawy życia przedsięwzięcie — odrzekł ksiądz przeor Kordecki. — Co do spowiedzi, nieleniwie chęci twojej dogodzę, a teraz słucham.

— Długom jechał, — rzekł na to Kmicic, — siła widziałem i namartwiłem się niemało... Wszędy umocnił się nieprzyjaciel, wszędy heretykowie głowę podnoszą, ba, sami nawet katolicy do obozu nieprzyjaciela przechodzą, który tem, jako i zdobyciem dwóch stolic uzuchwalony, na Jasną Górę teraz świętokradzką rękę podnieść zamierza.

— Od kogo masz waszmość tę wiadomość? — spytał ksiądz Kordecki.

— Nocowałem ostatniej nocy w Kruszynie. Przyjechali tam Weyhard Wrzeszczowicz i cesarski poseł Lisola, który z dworu brandenburskiego wracał, a do króla szwedzkiego zdążał.

— Króla szwedzkiego niema już w Krakowie — odrzekł na to ksiądz, patrząc przenikliwie w oczy pana Kmicica.

Lecz pan Andrzej powiek nie spuścił i tak mówił dalej:

— Nie wiem ja, czy on jest, czy go niema... Wiem, że Lisola do niego jechał, a Wrzeszczowicza przysłano, aby eskortę zluzował i dalej go prowadził. Obaj rozmawiali przy mnie po niemiecku, nic się mojej obecności nie strzegąc, gdyż nie myśleli, abym mógł ich mowę wyrozumieć, którą

ja z dzieciństwa znając tak dobrze, jak i polską, to wymiarkowałem, że Weyhard instygował, aby klasztor zająć i do skarbca się dostać, na co od króla otrzymał pozwolenie.

— I waszmość to na własne uszy słyszałeś!

— Tak, jako tu stoję.

— Stanie się wola boska! — rzekł spokojnie ksiądz.

Kmicic zląkł się. Sądził, że ksiądz nazywa wolą boską rozkaz króla szwedzkiego i o oporze nie zamyśla, więc rzekł zmieszany:

— W Pułtusku widziałem kościół w szwedzkich rękach, żołnierzy w karty w przybytku bożym grających, beczki piwa na ołtarzach i niewiasty bezwstydne z żołnierzami.

Ksiądz wciąż patrzył prosto w oczy rycerza.

— Dziwna rzecz, — rzekł, — szczerość i prawda patrzą ci z oczu...

Kmicic spłonął.

— Niech tu trupem padnę, jeśli to nieprawda, co mówię!

— W każdym razie ważne to wieści, nad któremi naradzić się wypadnie. Waszmość pozwolisz, że poproszę tu starszych ojców i kilku zacnej szlachty, tu u nas teraz mieszkających, którzy nas radą w tych okrutnych czasach wspierają. Waszmość pozwolisz...

— Chętnie przed nimi to powtórzę.

Ksiądz Kordecki wyszedł i po kwadransie wrócił z czterema starszymi ojcami.

Wskrótce potem wszedł pan Różyc-Zamoyski, miecznik sieradzki, człowiek poważny; pan Okielnicki, chorąży wieluński; pan Piotr Czarniecki, młody kawaler o groźnej marsowej twarzy, podobien do dębu ze wzrostu i siły i kilku innej szlachty różnego wieku. Ksiądz Kordecki prezentował im pana Babinicza ze Żmudzi, poczem powtórzył wszem wobec Kmicicowe nowiny. Oni zaś dziwili się okrutnie i poczęli mierzyć oczyma pana Andrzeja badawczo i z niedowierzaniem, a gdy nikt pierwszy głosu nie zabierał, wówczas ksiądz Kordecki ozwał się:

— Niechże mnie Bóg broni, abym tego kawalera miał o złą intencję lub o kłamstwo posądzać, ale te nowiny, które przyniósł, tak mi się wydają nieprawdopodobne, iż za słuszną rzecz uznałem , abyśmy je razem zbadali. W najszczerszej chęci mógł się ów kawaler omylić, albo źle słyszeć, albo źle wyrozumieć, albo umyślnie w błąd przez jakowych heretyków być wprowadzonym. Przestrachem serca nasze napełnić, popłoch w świętem miejscu wywcłać, nabożeństwu przeszkodzić, to dla nich radość niezmierna, któreiby pewnie żaden sobie w złośliwości swej odmówić nie chciał.

— Widzi mi się to bardzo do wiary podobnem — odrzekł ojciec Nieszkowski, najstarszy w zgromadzeniu.

— Trzebaby najprzód wiedzieć, czy ów kawaler sam nie jest heretykiem? — rzekł Piotr Czarniecki.

— Katolik jestem, jak i waćpan! — odparł Kmicic.

— Zważyć nam pierwiej konjunktury wypada — wtrącił pan Zamoyski.

— Owóż konjunktury są takie, — odrzekł ksiądz Kordecki, — że chybaby Bóg i Najświętsza Jego Rodzicielka umyślnie na tego nieprzyjaciela zesłali zaślepienie, aby miarę w swych nieprawościach przebrał. Inaczej nigdyby on na ten święty przybytek nie odważył się wznieść miecza. Nie własną siłą cn tę Rzeczpospolitą podbił, sami jej synowie do tego mu dopomogli; ale jakkolwiek naród nasz nisko upadł, jakkolwiek w grzechu brodzi, to przecie i w grzechu samym jest pewna granica, której nie śmiałby przestąpić. Pana swego opuścił, Rzeczypospolitej odstąpił, ale Matki swej, Patronki i Królowej, czcić nie zaniechał. Szydzi z nas i pogardza nami nieprzyjaciel, pytając, co nam z dawnych cnót pozostało? A ja odpowiem: wszystkie zginęły, jednak coś jeszcze pozostało, bo pozostała wiara i cześć dla Najświętszej Panny, na którym to fundamencie reszta odbudowaną być może. I widzę to jasno, że niechby jedna kula szwedzka wyszczerbiła te święte mury, tedyby się najzatwardzialsi odwrócili od Szwedów, z przyjaciół staliby się wrogami, przeciw nim mieczeby podnieśli. Ale

i Szwedzi mają na własną zgubę oczy otwarte i rozumieją to dobrze... Przeto, jeśli Bóg, jak wspomniałem, ślepoty umyślnej na nich nie zesłał, nigdy oni się na Jasną Górę nie ośmielą uderzyć, bo ten dzień byłby dniem przemiany ich fortuny, a upamiętania naszego.

Kmicic słuchał ze zdumieniem słów księdza Kordeckiego, które były zarazem odpowiedzią na to, co z ust Wrzeszczowicza przeciw narodowi polskiemu wyszło. Lecz ochłonąwszy ze zdziwienia, w następujące ozwał się słowa.

— Czemuż to, ojcze wielebny, nie mamy wierzyć, że właśnie Bóg zaślepieniem nieprzyjaciół nawiedził? Zważmy ich pychę, ich chciwość na ziemskie dobra, zważmy na nieznośny ucisk i podatki, jakie nawet na duchownych nakładają, a snadnie przyjdzie zrozumieć, że przed żadnem świętokradztwem się nie cofną.

Ksiądz Kordecki nie odpowiedział wprost Kmicicowi, lecz zwróciwszy się do całego zgromadzenia, tak dalej mówił:

— Powiada ów kawaler, że widział posła Lisolę, do króla szwedzkiego jadącego; jakże to być może, skoro ja mam od krakowskich paulinów niemylną wiadomość, że króla niemasz już w Krakowie, ani w całej Małopolsce, gdyż zaraz po poddaniu się Krakowa do Warszawy wyjechał?

— Nie może to być, — odrzekł Kmicic, — a najlepszy dowód, że na poddanie się i na hołd kwarcianych czeka, którzy pod panem Potockim zostają.

— Hołd ma przyjmować w imieniu królewskiem generał Duglas; — odrzekł ksiądz — tak mi z Krakowa piszą.

Kmicic umilkł; nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Ale przypuszczę, — mówił dalej ksiądz, — że król szwedzki nie chciał widzieć cesarskiego posła i umyślnie wolał się z nim rozminąć. Lubi tak czynić Carolus: nagle przyjeżdżać, nagle odjeżdżać; gniewa go przytem cesarska medjacja, chętnie więc wierzę, że pojechał udając, iż o przybyciu posła nie wie. Mniej mnie i to dziwi, że hrabiego Wrzeszczowicza, tak znamienitą osobę, przeciw posłowi z eskortą

wysłano, bo może chciano polityką nadrobić i zawód posłowi ucukrować, ale jak uwierzyć, aby hrabia Wrzeszczowicz zaraz się zwierzał z zamiarami baronowi Lisoli, który jest katolik, nam i całej Rzeczypospolitej i naszemu wygnanemu królowi przychylny?

— Niepodobieństwo! — rzekł ojciec Nieszkowski.

— I mnie to w głowie się nie mieści — dorzucił pan miecznik sieradzki.

— Wrzeszczowicz sam katolik i nasz dobrodziej — rzekł inny pater.

— I ten kawaler powiada, że słyszał to na własne uszy? — spytał szorstko pan Piotr Czarniecki.

— Pomyślcie waszmościowie i nad tem, — dodał ksiądz przeor, — że ja mam salwę-gwardję od Carolusa Gustawa, jako klasztor i kościół mają być na zawsze od zajęcia i postoju wolne.

— Przyznać trzeba, — rzekł z powagą pan Zamoyski, — że w tych wiadomościach nic się jedno drugiego nie trzyma: Szwedom byłaby strata, nie korzyść na Częstochowę uderzać, króla niema, więc Lisola nie mógł do niego jechać, Wrzeszczowicz nie mógł mu się zwierzać, dalej nie heretyk to, ale katolik, nie wróg klasztoru, ale jego dobroczyńca, nakoniec, choćby go i szatan do napadu kusił, nie śmiałby napadać przeciw rozkazowi i salwie-gwardji królewskiej.

Tu zwrócił się do Kmicica:

— Cóż tedy opowiadasz kawalerze i dlaczego, w jakim zamiarze chcesz wielebnych ojców i nas tu obecnych przestraszyć?

Kmicic stał jak oskarżony przed sądem. Z jednej strony brała go rozpacz, iż jeśli mu nie uwierzą, klasztor stanie się łupem nieprzyjaciela, z drugiej wstyd go palił, bo sam widział, że wszytkie pozory przemawiają przeciw jego wiadomościom i że łatwo za kłamcę poczytany być może. Na myśl o tem gniew szarpał go, rozbudzała się w nim przyrodzona popędliwość, grała obrażona ambicja, budził się

dawny, półdziki Kmicic. Ale łamał się póty sam z sobą, aż się złamał, przywołał wszystką cierpliwość i powtarzając sobie w duszy: — Za grzechy moje! za grzechy moje!... odrzekł z mieniącą się twarzą:

— Com słyszał, powtarzam raz jeszcze: Weyhard Wrzeszczowicz ma napaść na klasztor. Terminu nie wiem, ale myślę, że prędko się to stanie... Ja ostrzegam, a na waszmościów spadnie odpowiedzialność, jeśli nie usłuchacie!...

Na to pan Piotr Czarniecki odrzekł z przyciskiem:

— Powoli, kawalerze, powoli... Głosu nie podnoś!

Poczem pan Piotr Czarniecki przemówił do zgromadzonych:

— Pozwólcie mnie, zacni ojcowie, zadać kilka pytań temu przybyszowi...

— Waćpan nie masz prawa mi ubliżać! — krzyknął Kmicic.

— Nie mam i chęci — odrzekł zimno pan Piotr. — Ale tu o klasztor i o Najświętszą Pannę chodzi, o Jej stolicę. Dlatego to waćpan musisz na bok odłożyć urazę, albo jeżeli nie na bok, to na czas, bo bądź pewien, że ci się wszędzie sprawię. Waćpan wieści przynosisz, my je chcemy sprawdzić, to słuszna i dziwić cię nie powinno, a jeśli nie zechcesz odpowiadać, pomyślimy, że się boisz zaplątać.

— Dobrze! pytaj waść! — rzekł Babinicz przez zaciśnięte zęby.

— Otóż to. Waćpan powiadasz, że jesteś ze Żmudzi?

— Tak jest.

— I przybywasz tu, aby Szwedom i Radziwiłłowi zdrajcy nie służyć?

— Tak jest.

— A przecie tam są tacy, którzy mu nie służą i przy ojczyźnie się oponują, są chorągwie, które posłuszeństwo wypowiedziały, jest pan Sapieha, czemuś to do nich nie przystał?...

— To moja sprawa!

— Aha! waści sprawa! — rzekł Czarniecki. — To może mi na inne pytanie odpowiesz?

Ręce pana Andrzeja drżały, oczy wpiły się w ciężki miedziany dzwonek, stojący przed nim na stole i z tego dzwonka przenosiły się na głowę pytającego. Brała go szalona, nieprzezwyciężona chęć, porwać ów dzwon i puścić go na czaszkę pana Czarnieckiego. Dawny Kmicic coraz więcej brał górę nad pobożnym i skruszonym Babiniczem. Lecz się przełamał raz jeszcze i rzekł:

— Pytaj!

— Jeśliś ze Żmudzi, to musisz wiedzieć, co się na dworze zdrajcy dzieje. Wymień mi tych, którzy mu do zguby ojczyzny dopomogli, wymień tych pułkowników, którzy przy nim stoją.

Kmicic pobladł jak chusta, jednak wymienił kilka nazwisk.

Pan Czarniecki wysłuchał i rzekł:

— Mam ja przyjaciela, dworzanina królewskiego, pana Tyzenhauza, który mi jeszcze o jednym najznamienitszym powiadał. Nie wiesz nic o tym arcyłotrze?...

— Nie wiem...

— Jakżeto? Nie słyszałeś o tym, który braterską krew jak Kain rozlewał?... Nie słyszałeś, będąc na Żmudzi, o Kmicicu?

— Ojcowie wielebni! — zakrzyknął nagle pan Andrzej, trzęsąc się jak w febrze. — Niechże mnie duchowna osoba pyta, to wszystko zniosę... Ale na Boga żywego, nie pozwólcie temu szlachetce dręczyć mnie dłużej!...

— Daj waść spokój! — rzekł ksiądz Kordecki, zwracając się do pana Piotra. — Nie o tego kawalera tu chodzi.

— Jedno tylko jeszcze pytanie — rzekł pan miecznik sieradzki.

I zwróciwszy się do Kmicica, spytał:

— Waćpan nie spodziewałeś się, abyśmy nie uwierzyli jego wieściom?

— Jak Bóg na niebie! ... odparł pan Andrzej.

— Jakiejżeś nagrody za nie wyglądał?

Pan Andrzej zamiast odpowiedzieć, zanurzył gorączkowo obie ręce w mały sak skórzany, który zwieszony miał na brzuchu przy pasie i wydobywszy je, sypnął na stół dwie garście pereł, szmaragdów, turkusów i innych drogich kamieni.

— Ot co!... — rzekł przerywanym głosem. — Nie po pieniądze ja tu przyszedł!... Nie po wasze nagrody!... To perły i inne kamuszki... Wszystko zdobyczne... z bojarskich kołpaków zerwane!... Macie mnie!... Zali nagrody potrzebuję?... Chciałem to Najświętszej Pannie ofiarować... ale dopiero po spowiedzi... z czystem sercem!... Oto są... Tak nagrody potrzebuję... Mam i więcej... Bodaj was!...

Umilkli wszyscy zdziwieni i widok klejnotów, tak łatwo jak kasza z worka wysypywanych, niemałe uczynił wrażenie; każdy bowiem mimowoli pytał się siebie: coby za przyczynę mógł mieć ten człowiek zmyślać, jeśli nie o nagrodę mu chodziło?

Pan Piotr Czarniecki stropił się, bo taka jest natura ludzka, że ją widok cudzej potęgi i bogactw olśniewa. Wreszcie i podejrzenia jego upadły, bo jakże przypuścić, żeby ów wielki pan, klejnotami sypiący, dla zysku chciał mnichów straszyć?

Spoglądali tedy po sobie obecni, a on stał nad klejnotami z podniesioną głową, podobną do głowy rozdrażnionego orlika, z ogniem w źrenicach i rumieńcem na twarzy. Świeża rana, idąca przez skroń i policzek, zsiniała i straszny był pan Babinicz, grożąc drapieżnym wzrokiem Czarnieckiemu, ku któremu szczególniej zwrócił się gniew jego.

— Przez sam gniew waszmości prawda przebija, — rzekł ksiądz Kordecki. — ale te klejnoty schowaj, bo nie może Najświętsza Panna przyjąć tego, co w gniewie, choćby i słusznym, ofiarowane. Zresztą, jakom rzekł, nie o ciebie tu chodzi, ale o wiadomości, które strachem i zgrozą nas przejęły. Bóg raczy wiedzieć, czy niemasz w tem jakowegoś nieporozumienia, albo pomyłki, bo, jakeś sam waszmość

widział, nie składa się to z prawdą, co mówisz. Jakże to nam więc pobożnych wypędzać, czci Najświętszej Pannie ujmować i bramy dzień i noc trzymać zamknięte?

— Bramy trzymajcie zamknięte! przez miłosierdzie boże! bramy trzymajcie zamknięte!... krzyknął pan Kmicic, łamiąc ręce, aż palce zatrzeszczały mu w stawach.

W głosie jego tyle było prawdy i nieudanej rozpaczy, że obecni mimowoli zadrżeli, jakoby niebezpieczeństwo było już bliskie, a pan Zamoyski rzekł:

— Przecie i tak pilną uwagę mamy na okolicę i reparacje w murach się prowadzą. W dzień możemy puszczać ludzi na nabożeństwo, ale ostrożność godzi się zachować, choćby właśnie dlatego, że król Carolus odjechał, a Wittemberg żelazną podobno ręką rządzi w Krakowie i duchownych nie mniej od świeckich uciska.

— Choć w napad nie wierzę, ale przeciw ostrożności nic nie mam! — odpowiedział pan Piotr Czarniecki.

— A ja zakonników do Wrzeszczowicza wyszlę — rzekł ksiądz Kordecki — z zapytaniem: czyli to salwagwardja królewska nic już nie znaczy?

Kmicic odetchnął.

— Chwała Bogu! chwała Bogu! — zawołał.

— Panie kawalerze! — rzekł do niego ksiądz Kordecki — Bóg ci zapłać za dobrą intencję... Jeśliś nas słusznie ostrzegł, wiekopomną będziesz miał zasługę względem Najświętszej Panny i ojczyzny; ale się nie dziwuj, żeśmy twoją chęć z niedowierzaniem przyjęli. Nieraz nas już tutaj straszono; jedni czynili to z zawziętości przeciw wierze, aby czci Najświętszej Pannie umknąć; drudzy z chciwości, aby coś uzyskać; trzeci dlatego tylko, aby nowinę przynieść i powagi w oczach ludzkich nabrać, a może byli i tacy, których złudzono, jako przypuszczamy, że i ciebie złudzono. Dziwnie szatan jest na to miejsce zawzięty i dokłada wszelkich starań, aby nabożeństwu tu przeszkodzić i wiernych jak najmniej do udziału w niem dopuścić, bo nic do takiej desperacji piekielnego dworu nie przywodzi, jak widok czci dla Tej,

która głowę węża starła... A teraz czas na nieszpor. Wybłagajmy Jej łaskę, polećmy się Jej opiece i niech każdy pójdzie spać spokojnie, bo gdzież ma być spokój i bezpieczeństwo, jeśli nie pod Jej skrzydłami?

I rozeszli się wszyscy.

Gdy nieszpor się skończył, sam ksiądz Kordecki wziął do spowiedzi pana Andrzeja i spowiadał go długo w pustym już kościele; poczem leżał pan Andrzej krzyżem przed zamkniętemi drzwiami kaplicy aż do północy.

O północy wrócił do celi, rozbudził Sorokę i kazał się przed spoczynkiem ćwiczyć, aż mu barki i plecy krwią spłynęły.

ROZDZIAŁ XIII.

Nazajutrz zrana dziwny i niezwykły ruch zapanował w klasztorze. Bramy były wprawdzie otwarte i nie tamowano przystępu pobożnym, nabożeństwo odbywało się zwykłym trybem, ale po nabożeństwie nakazano wszystkim obcym opuścić obręb klasztoru. Sam ksiądz Kordecki w towarzystwie pana miecznika sieradzkiego i pana Piotra Czarnieckiego, oglądał szczegółowo blanki i skarpy, podtrzymujące mury z wewnątrz i z zewnątrz. Nakazano też tu i owdzie poprawki; kowale w mieście dostali rozkaz przygotowania osęków, dzid, poosadzanych na długich drągach kos, sztorcem na drzewca zatkniętych, maczug i kłod ciężkich, nabijanych hufnalami. A ponieważ wiedziano, że i tak w klasztorze był znaczny zapas podobnych narzędzi, wnet też poczęto gadać po całem mieście, że klasztor rychłego oczekuje napadu. Coraz nowe rozporządzenia zdawały się potwierdzać tę pogłoskę.

Pod noc dwustu już ludzi pracowało wedle murów. Ciężkie działa, przysłane jeszcze przed oblężeniem Krakowa przez pana Warszyckiego, kasztelana krakowskiego, w liczbie dwunastu, osadzono na nowych lawetach i rychtowano odpowiednio.

Z lamusów klasztornych zakonnicy i pachołkowie wynosili kule, które układano w stosy przy armatach; wytaczano jaszcze z prochem, rozwiązywano snopy muszkietów i rozdawano je między załogę. Na wieżach i narożnikach stanęły straże, mające dawać dniem i nocą pilne baczenie na okolicę; oprócz tego ludzie wysłani na zwiady rozeszli się po okolicy do Przystajni, Kłobucka, Krzepic, Kruszyny i Mstowa.

Do obficie i tak zaopatrzonych śpiżarni klasztornych, szły zapasy z miasta, z Częstochówki i innych wsi do klasztoru należących.

Pogłoska gruchnęła jak grom po całej okolicy. Mieszczanie i chłopi poczęli się zbierać, a radzić. Wielu nie chciało wierzyć, aby jakikolwiek nieprzyjaciel śmiał targnąć się na Jasną Górę.

Twierdzono, że sama tylko Częstochowa ma być zajętą; lecz i to już wzburzyło umysły, zwłaszcza, gdy inni przypominali, że przecie Szwedzi są heretykami, których nic nie wstrzyma i którzy umyślnie afront Najświętszej Pannie uczynić gotowi.

Więc też wahano się, wątpiono i wierzono naprzemian. Jedni łamali ręce, oczekując straszliwych zjawisk na ziemi i niebie, widomych znaków gniewu bożego; drudzy pogrążali się w bezradnej i niemej rozpaczy; trzecich gniew chwytał nadludzki, jakoby głowy ich zajmowały się płomieniem. A gdy raz fantazja ludzka rozwinęła skrzydła do lotu, zaraz poczęły krążyć wieści coraz inne, coraz bardziej gorączkowe, coraz potworniejsze.

I jak gdy kto w mrowisko kij zanurzy lub żaru narzuci, natychmiast wysypują się niespokojnie roje, kłębią się, rozbiegają i zbiegają, tak zawrzało miasto i wsie okoliczne.

Po południu gromady mieszczan i chłopstwa, wraz z niewiastami i dziećmi, opasały mury klasztorne i trzymały je jakby w oblężeniu, płacząc i jęcząc. O samym zachodzie słońca wyszedł ku nim ksiądz Kordecki i pogrążywszy się w ciżbę, pytał:

— Ludzie, czego tu chcecie?

— Chcemy na załogę iść do klasztoru, Bogarodzicielki bronić! — wołali mężczyźni, potrząsając cepami, widłami i inną bronią wieśniaczą.

— Chcemy na Najświętszą Pannę ostatni raz popatrzyć! — jęczały niewiasty.

Ksiądz Kordecki stanął na wzniesionym załomie skały i rzekł:

— Bramy piekielne nie przemogą mocy niebieskich. Uspokójcie się i otuchy w serca nabierzcie. Nie wstąpi noga heretyka w te święte mury, nie będzie luterski, ani kalwiński zabobon guseł swych odprawował w tym przybytku czci i wiary. Nie wiem zaiste, azali przyjdzie tu zuchwały nieprzyjaciel, ale to wiem, iż gdyby przyszedł, ze wstydem i hańbą odstąpić musi, bo moc jego większa moc pokruszy, złość jego złamie się, potęga startą będzie i odmieni się szczęście jego. Otuchy w serca nabierzcie! Nie ostatni raz wy tę Patronkę naszą widzicie, w większej owszem chwale oglądać Ją będziecie i nowe cuda ujrzycie. Nabierzcie otuchy, otrzyjcie łzy i wzmocnijcie się w wierze, gdyż powiadam wam, — a nie ja to mówię, jeno duch boży mówi przeze mnie — że nie wejdzie Szwed do tych murów — łaska stąd spłynie i ciemności tak nie zagaszą światła, jako ta noc, która się dziś zbliża, bożemu słońcu jutro wstać nie przeszkodzi!

A właśnie zachód był. Ciemność powlokła już okolicę, jeno kościół gorzał czerwono w ostatnich promieniach słońca. Widząc to ludzie, poklękali wkoło murów i otucha zaraz spłynęła w ich serca. Tymczasem na wieżach poczęto sygnować na Angelus. Ksiądz Kordecki rozpoczął śpiewać: „Anioł Pański“, a za nim tłumy całe. Stojąca na murach szlachta i żołnierze, połączyli z nimi swe głosy, dzwony większe i mniejsze dzwoniły do wtóru i zdało się, że cała góra śpiewa i brzmi, jak olbrzymie organy, na cztery strony świata głośne.

Śpiewano do późna; odchodzących błogosławił na drogę ksiądz Kordecki, wreszcie rzekł:

— Który z mężów w wojnie sługiwał, z bronią umie się obchodzić i serce czuje mężne, niech jutrzejszego rana przyjdzie do klasztoru.

— Jam służył, ja w piechocie byłem, ja przyjdę! — wołały liczne głosy.

I tłumy rozpłynęły się zwolna. Noc zeszła spokojnie. Wszyscy zbudzili się z radosnym okrzykiem: — Niema Szweda! — Jednakże rzemieślnicy zwozili cały dzień zamówione roboty.

Wyszedł też rozkaz do kramników, którzy zwłaszcza przy wschodnim murze mają swe kramy, aby towar do klasztoru znieśli, a w samym klasztorze nie zaprzestano pracy przy murach. Ubezpieczano zwłaszcza tak zwane „przeszkody“, to jest szczupłe otwory w murach, które nie były bramami, a które mogły służyć do czynienia wycieczek. Pan Różyc-Zamoyski kazał je zakładać belkami, cegłami, nawozem, tak, aby w danym razie łatwo od wewnątrz mogły być rozgrodzone.

Cały dzień też ciągnęły jeszcze wozy z zapasami i żywnością, zjechało także kilka rodzin szlacheckich, które potrwożyła była wieść o bliskiem nadciągnięciu nieprzyjaciela.

Koło południa wrócili ludzie, wysłani zeszłego dnia na zwiady, ale żaden nie widział Szwedów, ani nawet nie słyszał o nich, prócz o tych, którzy najbliżej w Krzepicach stali.

Nie zaniechano jednak w klasztorze przygotowań. Wedle rozkazu księdza Kordeckiego, nadciągnęli ci z mieszczan i chłopów, którzy poprzednio w piechocie sługiwali i ze służbą byli obznajomieni. Oddano ich w komendę panu Zygmuntowi Mosińskiemu, pilnującemu północno-wschodniej baszty. Pan Zamoyski zaś cały dzień rozstawiał ludzi, przyuczał, co kto ma czynić lub naradzał się w refektarzu z ojcami.

Kmicic z radością w sercu patrzył na przygotowania

wojenne, na musztrujących się żołnierzy, na działa, stosy muszkietów, łuków, dzid i osęków. To był jego żywioł właściwy. Wśród tych groźnych machin, wśród krzątaniny, przygotowań i gorączki wojennej było mu dobrze, lekko i wesoło. Było tem lżej i weselej, że jeneralną spowiedź z całego życia odbył, jak czynią konający i nad spodziewanie własne, rozgrzeszenie otrzymał, bo kapłan zważył jego intencję, szczerą chęć poprawy i to, że już na tę drogę wstąpił.

Tak więc zbył się pan Andrzej brzemienia, pod którem już prawie upadał. Pokuty zadano mu ciężkie i codzień grzbiet jego krwawił się pod kańczugiem Soroki; kazano mu praktykować pokorę i to było jeszcze cięższe, bo jej w sercu nie miał; przeciwnie, pychę miał i chełpliwość — kazano mu wreszcie uczynkami cnotliwemi poprawę stwierdzić, ale to znów było najlżejsze. Sam niczego więcej nie pragnął, nie pożądał. Cała dusza młoda rwała się w nim ku uczynkom, bo oczywiście pod uczynkami rozumiał wojnę i bicie Szwedów od rana do wieczora, bez spoczynku i miłosierdzia. A właśnie jakże piękna, jak wspaniała otwierała się do tego droga! Bić Szwedów nietylko w obronie ojczyzny, nietylko w obronie pana, któremu wierność poprzysiągł, ale jeszcze w obronie Królowej Anielskiej, było to szczęście nad jego zasługę.

Gdzież się podziały te czasy, gdy stał, jakoby na rozdrożu, pytając się siebie, którędy iść; gdzież te czasy, w których nie wiedział, co począć, w których wszędy spotykał się ze zwątpieniem i sam począł tracić nadzieję?

A przecie tu ludzie, te białe mnichy i ta garść chłopów i szlachty, gotowali się poprostu do obrony, do walki na śmierć i życie. Jedyny to był kąt taki w Rzeczypospolitej i właśnie pan Andrzej do niego zajechał, jakoby go jaka szczęśliwa gwiazda prowadziła. Bo przytem wierzył święcie w zwycięstwo, choćby cała potęga szwedzka miała otoczyć te mury. W sercu miał tedy modlitwę, radość i wdzięczność.

W tem usposobieniu chodził po murach, z jasną twarzą, rozpatrywał się, przyglądał i widział, że dobrze się dzieje.

Okiem znawcy wnet poznał z samych przygotowań, że czynią je ludzie doświadczeni, którzy potrafią pokazać się i wówczas, gdy przyjdzie do sprawy. Podziwiał spokój księdza Kordeckiego, dla którego głębokie powziął uwielbienie; podziwiał stateczność pana miecznika sieradzkiego, a nawet panu Czarnieckiemu, choć mu mruczno na niego było, nie pokazywał krzywego oblicza.

Lecz ów rycerz spoglądał na niego surowie i spotkawszy go u muru, na drugi dzień po powrocie wysłańców klasztornych, rzekł.

— Jakoś Szwedów nie widać, panie kawalerze, a jak nie nadejdą. to reputację waćpanową psi zjedzą.

— Jeśliby z ich przybycia miała jaka szkoda dla świętego miejsca wyniknąć, to niech moją reputację lepiej psi zjedzą! — odpowiedział Kmicic.

— Wolałbyś ich prochu nie wąchać. Znamy się na takich rycerzach, co buty mają zajęczą skórką podszyte!

Kmicic spuścił oczy jak panna.

— Wolałbyś kłótni poniechać: — rzekł — com ci winien? Zapomniałem ja swojej urazy, zapomnij i ty swojej.

— A nazwałeś mnie szlachetką — rzekł ostro pan Piotr. — Proszę! cóżeś sam za jeden? W czem to Babinicze od Czarnieckich lepsi?... Takiż to senatorski ród?

— Mój mospanie, — odrzekł wesoło Kmicic, — żeby nie pokora, którą mam na spowiedzi nakazaną, żeby nie one batożki, które mi codzień za dawne burdy grzbiet porą, wnet jabym tu inaczej jeszcze waćpana nazwał, jeno mi strach, żeby w dawne grzechy nie popaść. A co do tego, czy Babinicze, czy Czarnieccy lepsi, to się pokaże, jak Szwedzi nadejdą.

— A jakąż to szarżę myślisz otrzymać?... Zali mniemasz, że cię jednym z komendantów uczynią?

Kmicic spoważniał.

— Posądziliście mnie, że mi o zysk chodzi, teraz waćpan o szarży gadasz. Wiedzże, iż nie po zaszczyty tu przyjecha-

łem, bo mogłem gdzie indziej do wyższych dojść. Prostym żołnierzem zostanę, choćby pod twoją komendą.

— Czemu, choćby?

— Boś mi krzyw i gotówbyś mi dopiekać.

— Hm! Niema co! Pięknie to z waści strony, że chcesz choćby prostym żołnierzem zostać, gdyć widać, że fantazja u ciebie okrutna i pokora niełatwo ci przychodzi. Radbyś się bić?

— Pokaże się to ze Szwedami, jakom już rzekł.

— Ba, a jeśli Szwedzi nie przyjdą?

— Tedy wiesz co waćpan? Pójdziemy ich szukać! — rzekł Kmicic.

— A to mi się podobasz! — zakrzyknął pan Piotr. — Możnaby grzeczną partję zebrać... Tu Śląsk niedaleko i zarazby się żołnierzów nazbierało. Starszyzna, jako i stryj mój, słowo dali, ale prostych nawet o nie nie pytano. Siłaby ich można mieć na pierwsze zawołanie!

— I dobry przykład innymby się dało! — rzekł z zapałem Kmicic. — Ja mam też garść ludzi... Obaczyłbyś ich waćpan przy robocie!

— Bo... bo... — rzekł pan Piotr — jak mi Bóg miły!... Dajże pyska!

— A daj i ty! — rzekł Kmicic.

I niewiele myśląc, rzucili się sobie w objęcia.

Przechodził właśnie ksiądz Kordecki i widząc, co się stało, począł ich błogosławić, oni zaś wyznali mu zaraz, o co się umówili. Ksiądz jeno uśmiechnął się spokojnie i poszedł dalej, rzekłszy jakby do samego siebie:

— Choremu zdrowie poczyna wracać.

Do wieczora ukończono przygotowania i twierdza była zupełnie do obrony gotowa. Niczego jej nie brakło: ni zapasów, ni prochów, ni dział, jeno murów, dostatecznie silnych i licznej załogi.

Częstochowa, a raczej Jasna Góra, jakkolwiek z natury i sztuką wzmocniona, liczyła się do pomniejszych i słabszych fortec Rzeczypospolitej. A co do załogi można było mieć

na zawołanie tylu ludzi, iluby kto chciał, ale księża umyślnie nie przeciążali murów załogą, by zapasów na dłużej starczyło.

Przeto byli i tacy, zwłaszcza między puszkarzami Niemcami, którzy byli przekonani, że Częstochowa się nie obroni.

Głupi! Mniemali, że jej nic więcej prócz murów nie broni i nie wiedzieli, co to są serca wiarą natchnięte. Ksiądz Kordecki, obawiając się, by nie szerzyli między ludźmi zwątpienia, wydalił ich, prócz jednego, który za mistrza w swej sztuce uchodził.

Tego samego dnia przyszedł do Kmicica stary Kiemlicz, wraz z synami z prośbą, żeby ich ze służby uwolnił.

Pana Andrzeja złość porwała.

— Psy! — rzekł — dobrowolnie się takiego szczęścia wyrzekacie i Najświętszej Panny nie chcecie bronić!... Dobrze, niechże tak będzie! Zapłatę za owe konie otrzymaliście, resztę zasług wnet odbierzecie!

Tu wydobył kieskę z sepetu i rzucił im ją na ziemię.

— Ot, wasza lafa! Wolicie z tamtej strony murów łupu szukać! Wolicie być zbójcami, niż obrońcami Marji?!... Precz z moich oczu! Niegodniście tu się znajdować, niegodniście chrześcijańskiej społeczności!... Niegodniście taką śmiercią, jaka nas tu czeka, polec!... Precz! precz!

— Niegodniśmy, — odrzekł stary, rozkładając ręce i schylając głowę, — niegodniśmy, by nasze ślepia spoglądały na splendory jasnogórskie. Furto niebieska! Gwiazdo zaranna! Ucieczko grzesznych! Niegodniśmy, niegodni!

Tu schylił się nisko, tak nisko, że aż zgiął się we dwoje, a zarazem wychudłą, drapieżną ręką chwycił kieskę leżącą na podłodze.

— Ale i za murami — rzekł — nie przestaniemy służyć... Wasza miłość... W nagłym razie damy znać o wszystkiem... Pójdziemy, gdzie trzeba... Uczynimy, co trzeba... Wasza miłość będzie miała za murami sługi gotowe...

— Precz! — powtórzył pan Andrzej.

Oni zaś wyszli. bijąc pokłony, bo ich strach dławił i szczęśliwi byli, że się tak wszystko skończyło. Pod wieczór nie było ich już w fortecy.

Noc nastała ciemna i dżdżysta. Był to ósmy listopada. Nadchodziła wczesna zima i wraz z falami deszczu leciały na ziemię pierwsze płatki rozmokłego śniegu. Ciszę przerywały tylko przeciągłe głosy straży, wołając od baszty do baszty: — Czuwaaaj! — w ciemnościach przemykał się tu i owdzie biały habit księdza Kordeckiego. Kmicic nie spał; był na murach przy panu Czarnieckim, z którym gwarzyli o przebytych wojnach. Kmicic opowiadał przebieg wojny z Chowańskim, nic oczywiście nie mówiąc o tem, jaki sam brał w niej udział: a pan Piotr prawił o potyczkach ze Szwedami pod Przeborzem, Żarnowcami i w okolicach Krakowa, przyczem chełpił się on nieco i tak mówił:

— Robiło się, co mogło. Każdego, widzisz, Szweda, którego udało mi się rozciągnąć, znaczyłem sobie węzełkiem na rapciach. Mam już sześć węzełków, a Bóg da, będzie więcej! Dlatego szablę coraz wyżej pod pachą noszę... Niedługo rapcie będą nanic, ale ich nie porozwiązuję, jeno w każdy węzeł każę turkus wprawić i po wojnie jako votum zawieszę. A waćpan maszże już z jednego Szweda na sumieniu?

— Nie! — odparł ze wstydem Kmicic. — Nieopodal Sochaczewa rozbiłem kupę, ale to było hultajstwo...

— Zato hiperborców huk pewnie mógłbyś zakarbować?

— A, tych toby się znalazło.

— Ze Szwedami trudniej, bo rzadko który nie charakternik... Od Finnów się sztuki zażywania czarnych nauczyli i każdy ma dwóch albo trzech djabłów do posługi, a są i tacy, którzy mają po siedmiu. Ci ich w czasie potyczki okrutnie strzegą. Ale jeśli tu przyjdą, to djabli nic nie wskórają, bo tu w takim okręgu, z jakowego wieże widać, moc djabelska nie może nic sprawić. Waszmość słyszałeś o tem?

Kmicic nie odpowiedział, pokręcił głową i począł nasłuchiwać pilnie.

— Idą! — rzekł nagle.

— Co? Na Boga! Co waćpan mówisz?

— Jazdę słyszę.

— To jeno wiatr z deszczem tętni.

— Na rany Chrystusa! to nie wiatr, to konie! Ucho mam wprawne okrutnie. Idzie moc jazdy... i blisko już są, jeno wiatr właśnie głuszył. Rata! rata!!!

Głos Kmicica zbudził drzemiące w pobliżu i skostniałe straże, lecz jeszcze nie przebrzmiał, gdy wdole, w ciemności ozwały się przeraźliwe dźwięki trąb i poczęły grać długo, żałośnie, strasznie. Zerwali się wszyscy ze snu w osłupieniu, w przerażeniu i pytali się siebie wzajem:

— Zali to nie trąby na sąd grają w tej głuchej nocy?...

Poczem zakonnicy, żołnierze, szlachta, poczęli wysypywać się na majdan. Dzwonnicy pobiegli do dzwonów i wkrótce ozwały się wszystkie: wielkie, mniejsze i małe, jakby na pożar, mieszając swe jęki z odgłosem trąb, które grać nie ustawały.

Rzucono zapalone lonty do beczek ze smołą, umyślnie przygotowanych i przywiązanych na łańcuchach, następnie pociągnięto je korbami w górę. Czerwone światło oblało podnóże i skały i wówczas to jasnogórcy ujrzeli najprzód oddział konnych trębaczy, najbliżej stojących, z trąbami przy ustach, za nim długie i głębokie szeregi rajtarji z rozwianemi banderjami.

Trębacze grali jeszcze czas jakiś, jakby chcieli temi mosiężnemi dźwiękami wypowiedzieć całą potęgę szwedzką i doreszty przerazić zakonników; nakoniec umilkli; jeden z nich oderwał się od szeregu i powiewając białą chustą, zbliżył się do bramy.

— W imieniu jego królewskiej mości — zawołał trębacz — najjaśniejszego króla Szwedów, Gotów, i Wandalów, wielkiego księcia Finlandji, Estonji, Karelji, Bremy Werdy, Szczecina, Pomeranji, Kaszubów i Wandalji, księcia

Rugji, pana Ingrji, Wismarku i Bawarji, hrabiego paladyna reńskiego, Juljahu, Kliwji, Bergu... otwórzcie!

— Puścić! — ozwał się głos księdza Kordeckiego.

Otworzono, ale tylko furtkę w bramie. Jeździec zawahał się przez chwilę, wreszcie zlazł z konia, wszedł w obręb murów i spostrzegłszy gromadkę białych habitów, spytał:

Który pomiędzy wami jest przełożonym zakonu?

— Jam jest! — rzekł ksiądz Kordecki.

Jeździec podał mu pismo z pieczęciami, sam zaś rzekł:

— Pan hrabia będzie u świętej Barbary oczekiwał na odpowiedź.

Ksiądz Kordecki wezwał natychmiast na naradę do definitorjum zakonników i szlachtę.

W drodze rzekł pan Czarniecki do Kmicica:

— Pójdź i ty!

— Pójdę jeno przez ciekawość, — rzekł pan Andrzej, — bo zresztą nic tam po mnie! Nie gębą ja chcę odtąd Najświętszej Pannie służyć!

Gdy zasiedli wszyscy w definitorjum, ksiądz Kordecki oderwał pieczęcie i czytał co następuje:

„Nie tajno wam, zacni ojcowie, z jakim umysłem przychylnym i z jakiem sercem byłem zawsze dla tego świętego miejsca i dla waszego zgromadzenia, również z jaką stałością otaczałem was swą opieką i obsypywałem dobrodziejstwy. Dlatego pragnąłbym, żebyście byli tego przekonania, że przychylność, ani życzliwość moja dla was nie ustały w dzisiejszych czasach. Nie jako wróg, ale jako przyjaciel dziś przybywam. Bez obawy zdajcie pod moją opiekę wasz klasztor, jak tego wymagają czas i dzisiejsze okoliczności. Tym sposobem zyskacie spokojność, której pragniecie i bezpieczeństwo. Przyrzekam wam uroczyście, że świętości nietknięte pozostaną, dobra wasze nie będą zniszczone, sam koszta wszelkie poniosę, a nawet wam środków przysporzę. Rozważcie zatem pilnie: ile skorzystacie, jeśli kontentując mnie, klasztor mi wasz powierzycie. Pamiętajcie i o tem, ażeby większe was nieszczęście nie pościgło od groźnego

jenerała Müllera, którego rozkazy tem cięższe będą, iż jest heretykiem i wiary prawdziwej nieprzyjacielem. Wówczas, gdy on nadejdzie, musicie ulec konieczności i spełnić jego wolę; i próżno żałować będziecie z bólem w duszach i ciałach, żeście słodką moją radą wzgardzili.“

Pamięć niedawnych dobrodziejstw Wrzeszczowicza wzruszyła silnie zakonników. Byli tacy, którzy ufali jego przychylności i w jego radzie odwrócenie przyszłych klęsk i nieszczęść widzieć chcieli.

Lecz nikt nie zabierał głosu, czekając, co powie ksiądz Kordecki; on zaś milczał przez chwilę, tylko wargi jego poruszały się cichą modlitwą, poczem rzekł:

— Zaliby prawdziwy przyjaciel podchodził porą nocną i tak okropnym głosem surmów i trąb przerażał śpiące sługi Boże? Zaliby przybywał na czele tych tysięcy zbrojnych, które teraz pod murami stoją? Przecz nie przyjechał samopięt, samodziesięć, gdy jako dobroczyńca, radosnego jeno mógł się spodziewać przyjęcia? Co znaczą owe srogie zastępy, jeżeli nie groźbę, w razie, gdybyśmy klasztoru oddać nie chcieli... Bracia najmilsi, wspomnijcie i na to, że nigdzie ów nieprzyjaciel nie dotrzymał słowa, ni przysiąg, ni salwy-gwardji. Toż i my mamy królewską, którą nam dobrowolnie nadesłano, a w której wyraźna jest obietnica, że klasztor od zajęcia wolnym ma pozostać, a przecież stoją już pod jego murami, kłamstwo własne okropnym mosiężnym dźwiękiem otrębując. Bracia najmilsi! Niech każdy ku niebu serce podniesie, aby go Duch święty oświecić raczył i radźcie potem, mówcie, co któremu sumienie i wzgląd na dobro świętego przybytku dyktuje.

Nastała cisza.

Wtem ozwał się głos Kmicica:

— Słyszałem w Kruszynie — rzekł — jako Lisola pytał: „A czy skarbca mnichom potrząśniecie?“ — na co Wrzeszczowicz, on, który stoi pod murami, odpowiedział: „Matka Boska talarów w przeorskiej skrzyni nie potrzebuje“. Dziś tenże sam Wrzeszczowicz pisze wam, ojcowie wielebni,

że sam koszta będzie ponosił i jeszcze wam majętności przysporzy. Zważcie szczerość jego!

Na to odrzekł ksiądz Mielecki, jeden ze starszych w zgromadzeniu, a przytem dawny żołnierz:

— My żyjem w ubóstwie, a to grosiwo na chwałę Najświętszej Panny przed ołtarzami Jej płonie. Lecz choćbyśmy je z ołtarzów zdjęli, aby bezpieczeństwo świętemu miejscu kupić, któż nam zaręczy, że go dotrzymają, że świętokradzkiemi rękoma nie zedrą wotów, szat świętych, nie pozabierają sprzętów kościelnych? Zali kłamcom ufać można?

— Bez prowincjała, któremuśmy posłuszeństwo winni, nic stanowić nie możemy! — rzekł ojciec Dobrosz.

A ksiądz Tomicki dodał:

— Wojna nie nasza rzecz, posłuchajmy więc, co powie owo rycerstwo, które się pod skrzydła Bogarodzicielki do tego klasztoru schroniło.

Tu oczy wszystkich zwróciły się na pana Zamoyskiego, najstarszego wiekiem, powagą i urzędem, on zaś powstał i w następujące ozwał się słowa:

— O wasze to losy idzie, czcigodni ojcowie. Porównajcie zatem potęgę nieprzyjaciela z tym oporem, jaki mu stawić możecie wedle sił i środków waszych, i idźcie za własną wolą. Jakiejże rady my, goście, udzielić wam możemy? Jednakże, ponieważ pytacie nas, wielebni ojcowie, co czynić, więc odpowiadam: póki konieczność nas nie zmusi niechże daleką od nas będzie myśl poddania. Haniebna albowiem i niegodziwa rzecz jest sromotną uległością niepewny pokój u wiarołomnego nieprzyjaciela okupować. Schroniliśmy się tu z własnej woli z żonami i dziećmi, oddając się w opiekę Najświętszej Pannie, z niezachwianą zatem wiarą postanowiliśmy żyć z wami, a jeśli tak Bóg zechce, i umierać razem. Zaiste lepiej nam tak, niż przyjąć haniebną niewolę lub patrzeć na zniewagę świętości... O! zapewne ta Matka Najwyższego Boga, która natchnęła piersi nasze żądzą bronienia Jej przeciw bezbożnym

i bluźnierczym heretykom, przybędzie w pomoc pobożnym usiłowaniom sług Swoich i sprawę słusznej obrony wesprze!...

Tu umilkł pan miecznik sieradzki; wszyscy rozważali słowa jego, krzepiąc się ich treścią, a Kmicic, jak to wprzód zawsze czynił, niż pomyślał, skoczył i do ust rękę starszego męża przycisnął.

Zbudowali się tym widokiem obecni, i każdy dobrej wróżby w tym młodzieńczym zapale dopatrzył, a chęć bronienia klasztoru wzrosła i ogarnęła serca.

Wtem zdarzyła się i nowa wróżba; za oknem refektarza rozległ się niespodzianie drżący i stary głos żebraczki kościelnej Konstancji, śpiewającej pieśń pobożną.

Próżno przegrażasz mi, husycie srogi,
Próżno djabelskie wzywasz w pomoc rogi,
Mnie nie zwojujesz!
Napróżno palisz i krwie nie żałujesz,

Choćby tu przyszły poganów tysiące,
Choćby na smokach wojska latające,
Nic nie wskórają miecz, ogień, ni męże,
Bo ja zwyciężę!

— Oto dla nas przestroga, — rzekł ksiądz Kordecki, — którą nam Bóg przez usta starej żebraczki zsyła. Brońmy się, bracia, bo zaprawdę takich auxiliów nigdy jeszcze oblężeni nie mieli, jakie my mieć będziemy!

— Z radością gardła damy! — zawołał pan Piotr Czarniecki.

— Nie ufajmy wiarołomnym! Nie ufajmy heretykom, ani tym z katolików, którzy u złego ducha służbę przyjęli! — wołały inne głosy, nie dopuszczając do słowa tych, którzy oponować chcieli.

Postanowiono jeszcze wysłać dwóch księży do Wrzeszczowicza z oświadczeniem, że bramy zostaną zamknięte i że oblężeni bronić się będą, do czego im salwa-gwardja królewska daje prawo.

Ale swoją drogą mieli posłowie prosić pokornie Wrzeszczowicza, aby zamiaru zaniechał, albo przynajmniej odłożył go na czas, dopókiby zakonnicy ojca Teofila Broniewskiego, prowincjała zakonu, który naówczas znajdował się na Śląsku, o pozwolenie nie spytali.

Posłowie, ojciec Benedykt Jaraczewski i Marceli Tomicki, wyszli za bramy, reszta oczekiwała ich z biciem serca w refektarzu, bo jednak tych mnichów, nie przywykłych do wojny, strach brał na myśl, że godzina wybiła i ta chwila nadeszła, w której wybrać im trzeba pomiędzy obowiązkiem a gniewem i pomstą nieprzyjaciela.

Lecz ledwie upłynęło pół godziny, dwaj ojcowie ukazali się znów przed radą. Głowy ich były zwieszone na piersi, w twarzach mieli smutek i bladość. Milcząc podali księdzu Kordeckiemu nowe pismo Wrzeszczowicza, a ten wziął je z ich rąk i odczytał głośno. Było to ośm punktów kapitulacji, pod któremi Wrzeszczowicz wzywał zakonników do poddania klasztoru.

Skończywszy czytać, przeor popatrzył długo w twarze zgromadzonych, nakoniec rzekł uroczystym głosem:

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! W imię Najczystszej i Najświętszej Bogarodzicielki! Na mury, bracia ukochani!

— Na mury! na mury! — rozległ się jeden okrzyk w refektarzu.

W chwilę potem jasny płomień oświecił podnóże klasztoru. Wrzeszczowicz kazał zapalić zabudowania przy kościele świętej Barbary. Pożar ogarnąwszy stare domostwa, wzmagał się z każdą chwilą. Wkrótce słupy czerwonego dymu wzbiły się ku niebu, wśród których świeciły jaskrawe języki ognia. Nakoniec jedna łuna rozlała się na chmurach.

Przy blasku ognia widać było oddziały konnych żołnierzy, przenoszących się szybko z miejsca na miejsce. Rozpoczęły się zwykłe swawole żołnierskie. Rajtarowie wyganiali z obór bydło, które biegając w przerażeniu, napełniało żałosnym rykiem powietrze; owce zbite w gromady, cisnęły

się naoślep do ognia. Woń spalenizny rozeszła się na wszystkie strony i dosięgła wyniosłości murów klasztornych. Wielu z obrońców po raz pierwszy widziało krwawe oblicze wojny i tych serca zdrętwiały z przerażenia na widok ludzi gnanych przez żołnierzy i sieczonych mieczami, na widok niewiast ciąganych po majdanie za włosy. A przy krwawych blaskach pożaru widać było wszystko jak na dłoni. Krzyki a nawet słowa dochodziły doskonale do uszu oblężonych.

Ponieważ armaty klasztorne nie odezwały się dotychczas, więc rajtarowie zeskakiwali z koni i zbliżali się do samego podnóża góry, potrząsając mieczami i muszkietami.

Co chwila podpadał jaki tęgi chłop, przybrany w żółty kolet rajtarski i złożywszy ręce koło ust, lżył i groził oblężonym, którzy słuchali tego cierpliwie, stojąc przy działach i przy zapalonych lontach.

Pan Kmicic stał obok pana Czarnieckiego właśnie wprost kościółka i widział wszystko doskonale. Na jagody wystąpiły mu silne rumieńce, oczy stały się do dwóch świec podobne, a w ręku dzierżył łuk wyborny, który w spadku po ojcu dostał, a ten go pod Chocimem na jednym sławnym adze zdobył. Słuchał tedy pogróżek i wymysłów, a wreszcie, gdy olbrzymi rajtar przypadł pod skałę i począł wrzeszczeć, zwrócił się pan Andrzej do Czarnieckiego:

— Na Boga! przeciw Najświętszej Pannie bluźni... Ja niemiecką mowę rozumiem... bluźni strasznie!... Nie wytrzymam!

I zniżył łuk, lecz pan Czarniecki uderzył po nim ręką.

— Bóg go za bluźnierstwa skarze, — rzekł, — a ksiądz Kordecki nie pozwolił pierwszym nam strzelać, chybaby oni zaczęli.

Ledwie domówił, gdy rajtar podniósł kolbę muszkietu do twarzy, strzał huknął, a kula nie dobiegłszy murów, przepadła gdzieś między szczelinami skały.

— Teraz wolno? — krzyknął Kmicic.

— Wolno! — odpowiedział Czarniecki.

Kmicic, jako prawdziwy człek wojny, uspokoił się w jednej chwili. Rajtar, osłoniwszy dłonią oczy, patrzył za śladem swej kuli, a on naciągnął łuk, przesunął palcem po cięciwie, aż zaświegotała jak jaskółka, a następnie wychylił się dobrze i zawołał:

— Trup! trup!

Jednocześnie rozległ się żałosny świst okrutnej strzały; rajtar upuścił muszkiet, podniósł obie ręce do góry, zadarł głowę i zwalił się nawznak. Przez chwilę rzucał się jak ryba wyjęta z wody i kopał ziemię nogami, lecz wnet wyciągnął się i pozostał bez ruchu.

— To jeden! — rzekł Kmicic.

— Zawiąż na rapciach! — rzekł pan Piotr.

— Sznura z dzwonnicy nie wystarczy, jeżeli Bóg pozwoli! — krzyknął pan Andrzej.

Wtem przypadł do trupa drugi rajtar, pragnąc zobaczyć, co mu jest, lub może kiesę zabrać, lecz strzała świsnęła znowu i drugi padł na piersi pierwszego.

W tymże czasie ozwały się polowe armatki, które Wrzeszczowicz ze sobą przyprowadził. Nie mógł on z nich zburzyć fortecy, jak również nie mógł myśleć o zdobyciu jej, mając ze sobą tylko jazdę; ale na postrach księżom walić kazał. Jednakże początek był dany.

Ksiądz Kordecki pojawił się przy panu Czarnieckim, a z nim szedł ksiądz Dobrosz, który artylerią klasztorną w czasie pokoju zawiadywał i w święta na wiwaty ognia dawał, dlatego za przedniego puszkarza między zakonnikami uchodził.

Przeor przeżegnał działo i wskazał je księdzu Dobroszowi, a ów rękawy zakasał i począł je rychtować w lukę pomiędzy dwoma budynkami, w której wichrzyło się kilkunastu jeźdźców, a pomiędzy nimi oficer z rapierem w ręku. Długo celował ksiądz Dobrosz, bo chodziło o jego reputację. Wreszcie wziął lont i przytknął do zapału.

Huk wstrząsnął powietrzem i dym widok zasłonił. Po chwili jednak wiatr go rozniósł. W luce między budynkami

nie było już ani jednego jeźdźca. Kilku wraz z końmi leżało na ziemi, inni pierzchli.

Zakonnicy poczęli śpiewać na murach. Trzask zapadających się budynków przy świętej Barbarze wtórował pieśni. Uczyniło się ciemniej, jeno nieprzejrzane roje iskier, wypchniętych w górę upadkiem belek, wzbiły się w powietrze.

Trąby znów zagrały w szeregach Wrzeszczowicza, lecz odgłos ich począł się oddalać. Pożar dogasał. Ciemność ogarniała podnóże Jasnej Góry. Tu i owdzie ozwało się rżenie koni, ale coraz dalsze, słabsze. Wrzeszczowicz cofał się ku Krzepicom.

Ksiądz Kordecki ukląkł na murze.

— Marjo! Matko Boga jedynego! — rzekł silnym głosem — spraw. aby ten. który po nim nadejdzie, oddalił się również ze wstydem i próżnym gniewem w duszy.

Gdy tak się modlił, chmury nagle przerwały się nad jego głową i jasny blask miesiąca pobielił wieże, mury, klęczącego przeora i zgliszcza spalonych przy świętej Barbarze budowli.

ROZDZIAŁ XIV.

Następnego dnia spokój zapanował pod stopami Jasnej Góry, z czego korzystając zakonnicy, tem gorliwiej zajęli się przygotowaniem do obrony. Czyniono ostatnie poprawki w murach i kortynach, przygotowywano jeszcze więcej narzędzi, służących do odparcia szturmów.

Ze Zdebowa, Krowodrzy, Lgoty i Grabówki zgłosiło się znów kilkunastu chłopów, którzy dawniej w łanowych piechotach sługiwali. Tych przyjęto i między obrońców wmieszano. Ksiądz Kordecki dwoił się i troił. Odprawiał nabożeństwo. zasiadał na radach, nie opuszczał chórów dziennych i nocnych, a w przerwach obchodził mury, rozmawiał ze szlachtą i wieśniakami. A przytem w twarzy i całej postawie miał jakiś spokój, jaki prawie tylko kamienne posągi mieć

mogą. Patrząc na jego oblicze, pobladłe od niewywczasów, można było sądzić, że ten człowiek śpi snem słodkim i lekkim; lecz cicha rezygnacja i niemal wesołość paląca się w oczach, usta poruszające się modlitwą zwiastowały, że czuwa i myśli i modli się i ofiaruje za wszystkich. Z tej duszy, natężonej ze wszystkich sił ku Bogu, wiara płynęła spokojnym i głębokim strumieniem; wszyscy ją pili pełnemi usty i kto miał duszę chorą, ten zdrowiał. Gdzie zabielał jego habit, tam pogoda czyniła się na twarzach ludzkich, oczy się śmiały, a usta powtarzały: — Ojciec nasz dobry, pocieszyciel, obrońca, nadzieja nasza. — Całowano jego ręce i habit, on zaś uśmiechał się jak zorza i szedł dalej, a koło niego, nad nim i przed nim, szła ufność i pogoda.

Jednak i ziemskich środków ratunku nie zaniedbywał; ojcowie wchodzący do jego celi zastawali go, jeśli nie na klęczkach, to nad listami, które na wszystkie strony rozsyłał. Pisał do Wittemberga, głównego komendanta w Krakowie, prosząc o miłosierdzie nad świętem miejscem; i do Jana Kazimierza, który w Opolu ostatnie czynił wysilenia, by niewdzięczny naród ratować; i do pana kasztelana kijowskiego, trzymanego przez własne słowo jakby na łańcuchu w Siewierzu; i do Wrzeszczowicza, i do pułkownika Sadowskiego, Czecha i lutra, który pod Müllerem służył, a który, duszę mając szlachetną, starał się odwieść groźnego jenerała od napadu na klasztor.

Dwie rady ścierały się z sobą przy Müllerze. Wrzeszczowicz rozdrażniony oporem, jakiego doznał 8-go listopada, dokładał wszelkich usiłowań, aby jenerała skłonić do pochodu; obiecywał w zysku skarby niezmierne, twierdził, że w całym świecie zaledwie jest kilka kościołów, któreby częstochowskiemu vel jasnogórskiemu w bogactwach sprostać mogły. Sadowski zaś w następujący sposób oponował:

— Jenerale, — mówił do Müllera, — waszej miłości, któryś tyle znamienitych fortec zajął, że słusznie niemieckie miasta Poliocertesem cię nazwały, wiadomo jest, ile krwi i czasu kosztować może choćby najsłabsza twierdza, jeśli

oblężeni do ostatka, na śmierć i życie chcą się opierać.

— Ale mnichy nie będą się opierali? — pytał Müller.

— Właśnie sądzę, że przeciwnie. Im są bogatsi, tem zacieklej bronić się będą, ufni nietylko w moc oręża, ale w świętość miejsca, które zabobon katolicki całego tego kraju jako inviolatum uważa. Dość wspomnieć na wojnę niemiecką; jakże często zakonnicy dawali przykład odwagi i zawziętości tam nawet, gdzie sami żołnierze o obronie zwątpili? Stanie się tak i teraz, tem bardziej, że twierdza nie jest tak niepoczesna, za jaką hrabia Weyhard chce ją uważać. Leży na górze skalistej, w której trudno czynić podkopy; mury, jeśli nie były nawet w dobrym stanie, to je już pewno do tej pory poprawiono, a co do zapasów broni, prochów i żywności, to tak bogaty klasztor ma niewyczerpane. Fanatyzm ożywi serca i...

— I myślisz, mości pułkowniku, że zmuszą mnie do odstąpienia?

— Tego nie myślę, mniemam jednak, że przyjdzie nam stać pod murami bardzo długo, przyjdzie posyłać po działa większe, niż te, które posiadamy, a wasza miłość masz do Prus ciągnąć. Trzeba obliczyć ile czasu możemy poświęcić na Częstochowę, bo gdyby nas król jegomość dla pilniejszych spraw pruskich od oblężenia odwołał, mnisi niezawodnieby rozgłosili, żeś wasza miłość przez nich zmuszony był do odstąpienia. A wówczas, pomyśl wasza miłość, jaki uszczerbek poniosłaby twa sława Poliocertesa — nie mówiąc już o tem, że w całym kraju oporni znaleźliby zachętę? I tak... (tu zniżył głos Sadowski) sam tylko zamiar uderzenia na ów klasztor, niech się jeno rozgłosi — najgorsze uczyni wrażenie. Wasza miłość nie wiesz, bo tego żaden cudzoziemiec i niepapista wiedzieć nie może, czem jest Częstochowa dla tego narodu. Siła nam zależy na owej szlachcie, która się tak łatwo poddała, na owych panach, na wojskach kwarcianych, które wraz z hetmanami na naszą stronę przeszły. Bez nich nie dokazalibyśmy tego, cośmy dokazali. Ich to w połowie, ba, w większej części rękoma

objęliśmy tę ziemię, a niech jeden strzał pod Częstochową padnie... kto wie... może ani jeden Polak przy nas nie zostanie... Tak wielka jest siła zabobonu!... Może nowa straszna wojna rozgorzeć!

Müller przyznawał w duszy słuszność rozumowaniem Sadowskiego. co więcej jeszcze: zakonników wogóle, a częstochowskich szczególnie miał za czarowników — czarów zaś bał się ów szwedzki jenerał więcej, niż dział — jednakże chcąc się podroczyć, a może dysputę przeciągnąć, rzekł:

— Waszmość tak mówisz. jakbyś był przeorem częstochowskim. albo... jakby od waszmości wypłatę okupa rozpoczęli?

Sadowski był żołnierz śmiały i popędliwy, a że znał swoją wartość, więc obrażał się łatwo:

— Ani słowa nie powiem więcej! — rzekł wyniośle.

Müllera zkolei obruszył ton. jakim powyższe słowa były powiedziane.

— Ja też waszmości o więcej nie proszę! — odpowiedział — a do narady wystarczy mi hrabia Weyhard, który ten kraj zna lepiej.

— Zobaczymy! — rzekł Sadowski i wyszedł z izby.

Weyhard rzeczywiście zastąpił jego miejsce. Przyniósł on list. który tymczasem odebrał od pana krakowskiego Warszyckiego. z prośbą. aby klasztor zostawiono w spokoju; lecz z listu tego nieużyty człek wydobył wprost przeciwną radę:

— Proszą się, — rzekł Müllerowi, — zatem wiedzą, iż się nie obronią!

W dzień później pochód na Częstochowę był w Wieluniu postanowiony

Nie trzymano go nawet w tajemnicy, skutkiem czego z wieluńskiego konwentu O. Jacek Rudnicki, profos. mógł wyruszyć na czas do Częstochowy z wiadomością. Biedny zakonnik nie przypuszczał także ani przez chwilę, aby jasnogórcy mieli się bronić. Pragnął ich tylko uprzedzić, by

wiedzieli, czego się trzymać i uzyskali dobre warunki. Jakoż wieść przygnębiła umysły braci zakonnej. W niektórych dusze zwątlały odrazu. Lecz ksiądz Kordecki pokrzepił ich, zdrętwiałych rozgrzał żarem własnego serca, dnie cudów obiecał. sam nawet widok śmierci miłym uczynił i tak zmienił ich tchnieniem ducha własnego, że mimowiednie poczęli się gotować na napad, jak zwykli byli gotować się na wielkie uroczystości kościelne, zatem z radością i solennie.

Jednocześnie świeccy naczelnicy załogi, pan miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki, czynili także ostatnie przygotowania. Spalono mianowicie wszystkie kramy, które tuliły się naokół murów fortecznych, a które mogły szturmy nieprzyjaciołom ułatwiać; nie oszczędzono nawet i budowli bliższych góry, tak, że przez cały dzień pierścień płomieni otaczał twierdzę; lecz gdy z kramów. belek i tarcic zostały tylko popioły, działa klasztorne miały przed sobą puste przestrzenie, nie najeżone żadnemi przeszkodami. Czarne ich paszcze poglądały swobodnie wdal, jakby wyglądając nieprzyjaciela niecierpliwie i pragnąc go jak najprędzej swym złowrogim grzmotem powitać.

Tymczasem zimna zbliżały się szybkim krokiem. Dął ostry północny wiatr, błoto zmieniało się w grudę, a rankami wody, co płytsze, ścinały się w nikłe lodowe skorupki; ksiądz Kordecki. obchodząc mury, zacierał swe zsiniałe ręce i mówił:

— Bóg mrozy w pomoc nam zeszle! Ciężko będzie baterje sypać, podkopy czynić i przytem wy będziecie się do ciepłych izb luzować, a im akwilony zbrzydzą prędko oblężenie!

Lecz właśnie dla tego samego powodu Burchard Müller pragnął skończyć prędko. Wiódł on ze sobą dziewięć tysięcy wojska. przeważnie piechoty i dziewiętnaście dział. Miał także dwie chorągwie jazdy polskiej, ale na nią rachować nie mógł. raz dlatego, że jazdy do brania wzgórzystej twierdzy użyć nie mógł, a po wtóre, że ludzie szli niechętnie

i zgóry oświadczyli, że żadnego udziału w walkach nie wezmą. Szli raczej dlatego, aby w razie zdobycia twierdzy, ochronić ją przed drapieżnością zwycięzców. Tak przynajmniej żołnierzom mówili pułkownicy; szli wreszcie, bo Szwed rozkazywał, bo wszystkie wojska krajowe w jego były obozie i komendy musiały słuchać.

Z Wielunia do Częstochowy droga krótka. W dniu 18 listopada miało się rozpocząć oblężenie. Lecz jenerał szwedzki liczył, że nie potrwa nad parę dni i że drogą układów twierdzę zajmie.

Tymczasem ksiądz Kordecki przygotowywał dusze ludzkie. Przystępowano do nabożeństwa, jakby w wielkie i radosne święto i gdyby nie niepokój i bladość niektórych twarzy, możnaby było przypuszczać, że to wesołe a solenne „alleluja!“ się zbliża. Sam przeor mszę celebrował, ozwały się wszystkie dzwony. Po mszy nabożeństwo nie ustawało jeszcze: wyszła bowiem wspaniała procesja na mury.

Księdza Kordeckiego, niosącego Przenajświętszy Sakrament, prowadzili pod ręce miecznik sieradzki i pan Piotr Czarniecki. Przodem szły pacholęta w komżach, niosące trybularze na łańcuszkach, bursztyn i mirę. Przed i za baldachimem postępowały szeregi białej braci zakonnej, ze wzniesionemi ku niebu głowami i oczyma, ludzie różnych wieków, począwszy od starców zgrzybiałych, skończywszy na młodzieniaszkach, którzy zaledwie do nowicjatu weszli. Żółte płomyki świec chwiały się na wietrze, a oni szli i śpiewali zatopieni całkiem w Bogu, jakoby niczego więcej na tym świecie niepamiętni. Za nimi widziałeś pogolone głowy szlacheckie, zapłakane oblicza niewiast, ale spokojne pod łzami, wiarą i ufnością natchnięte. Szli i chłopi w sukmanach, długowłosi, do pierwszych chrześcijan podobni; małe dzieci, dziewczęta i chłopcy, zmieszani w tłumie, łączyli swe anielskie cienkie głosiki z ogólnym chorałem. I Bóg słuchał tej pieśni, tego wylania serc, tego uciekania się z pod ucisków ziemskich pod jedyną ochronę skrzydeł Bożych. Wiatr ucichł, uspokoiło się powietrze, niebo wybłękitniało,

a słońce jesienne rozlało łagodne, bladozłote, lecz ciepłe jeszcze światło na ziemię.

Orszak obszedł raz mury, lecz nie wracał, nie rozpraszał się — szedł dalej. Blaski od monstrancji padały na twarz przeora i ta twarz wydawała się od nich jakoby złota także i promienista. Ksiądz Kordecki oczy trzymał przymknięte, a na ustach miał nieziemski prawie uśmiech szczęścia, słodyczy, upojenia; duszą był w niebie, w jasnościach, w odwiecznem weselu, w niezmąconym spokoju. Lecz jak gdyby stamtąd odbierał rozkazy, aby nie zapomniał o tym ziemskim kościele, o ludziach i o twierdzy i o tej godzinie, która miała nadejść, chwilami zatrzymywał się, otwierał oczy, wznosił monstrancję i błogosławił.

Więc błogosławił lud, wojsko, chorągwie kwitnące jak kwiaty, a migotliwe jak tęcza; potem błogosławił mury i wzgórze na okolice patrzące, potem błogosławił działa mniejsze i większe, kule ołowiane, żelazne, naczynia z prochem, dylowania przy armatach, stosy srogich narzędzi do odparcia szturmu służących; potem błogosławił wioskom na dalekościach leżącym i błogosławił północy, południu, wschodowi i zachodowi, jak gdyby chciał na całą okolicę, na całą tę ziemię moc Bożą rozciągnąć.

Biła godzina druga z południa, procesja była jeszcze na murach. A wtem na krańcach, gdzie niebo zdawało się stykać z ziemią i rozciągały się mgły sinawe, w tych mgłach właśnie zamajaczało coś i poczęło się poruszać, wypełzały jakieś kształty, z początku mętne, które zwierając się stopniowo, stawały się coraz wyraźniejsze. Okrzyk nagle uczynił się na końcu procesji:

— Szwedzi! Szwedzi idą!

Potem zapadła cisza, jakoby serca i języki zdrętwiały; dzwony tylko biły dalej. Lecz w ciszy zabrzmiał głos Kordeckiego, donośny, choć spokojny:

— Bracia, radujmy się! godzina zwycięstw i cudów się zbliża!

A w chwilę później:

— Pod Twoją obronę uciekamy się, Matko, Pani, Królowo nasza!

Tymczasem chmura szwedzka zmieniła się w niezmiernego węża, który przypełzał jeszcze bliżej. Widać już było jego straszliwe dzwona. Skręcał się, rozkręcał, czasem zamigotał pod światło połyskliwą stalową łuską, czasem ściemniał i pełzł, pełzł, wychylał się z oddalenia...

Wkrótce oczy patrzące z murów mogły już szczegółowo wszystko rozpoznać. Najprzód szła jazda, za nią czworoboki piechoty; każdy pułk tworzył długi prostokąt, nad którym wznosił się w górze mniejszy, utworzony przez dzidy sterczące; dalej, hen, za piechotą wlokły się armaty z paszczami odwróconemi wtył i schylonemi ku ziemi.

Leniwe ich cielska, czarne lub żółtawe, połyskiwały złowrogo w słońcu; jeszcze za niemi trzęsły się po nierównej drodze jaszcze z prochem i nieskończony szereg wozów z namiotami i wszelkiego rodzaju wojennym sprzętem...

Groźny, ale piękny to był widok tego pochodu regularnego wojska, które jakby dla postrachu przedefilowało przed oczyma jasnogórców. Następnie od całości oderwała się jazda i szła kłusem, kolebając się, jak poruszana wiatrem fala. Wnet rozpadła się na kilkanaście większych i mniejszych części. Niektóre oddziały przysuwały się ku fortecy; inne w mgnieniu oka rozlały się po okolicznych wioskach w pościgu za łupem; inne nakoniec poczęły objeżdżać twierdzę, opatrywać mury, badać miejscowość, zajmować pobliższe budowle. Pojedyńczy jeźdźcy przelatywali ciągle co koń wyskoczy od większych kup ku głębokim oddziałom piechoty, dając znać oficerom, gdzie można się umieścić.

Tętent i rżenie koni, krzyki, nawoływania, szmer kilku tysięcy głosów i głuchy hurkot armat dolatywały doskonale do uszu oblężonych, którzy dotychczas stali spokojnie na murach, jakby na widowisku, spoglądając zdziwionemi oczyma na ów wielki ruch i krętaninę wojsk nieprzyjacielskich.

Doszły wreszcie pułki piechotne i poczęły błąkać się

naokoło twierdzy, szukając miejsc najodpowiedniejszych do umocnienia się w pozycjach. Tymczasem uderzono na Częstochówkę, folwark przyległy klasztorowi, w którym nie było żadnego wojska, jedno chłopi pozamykani w chałupach.

Pułk Finnów, który doszedł był tam pierwszy, uderzył z wściekłością na bezbronne chłopstwo. Wyciągano ich za włosy z chałup i poprostu zarzynano opornych; resztę ludności wypędzono z folwarku; jazda uderzyła na nią i rozegnała ją na cztery wiatry.

Parlamentarz z wezwaniem Müllera do poddania zatrąbił jeszcze przedtem do wrôt kościelnych, ale obrońcy, na widok rzezi i srogości żołnierskiej w Częstochówce, odpowiedzieli ogniem działowym.

Teraz bowiem, gdy ludność miejscowa została wypędzona ze wszystkich pobliższych budowli, a roztasowywali się w nich Szwedzi, należało je zniszczyć co prędzej, by z poza ich zasłony nieprzyjaciel nie mógł szkodzić klasztorowi. Zadymiły więc mury klasztorne naokół, jak boki okrętu otoczonego burzą i rozbójnikami. Ryk dział wstrząsnął powietrzem, aż mury klasztorne zadrżały, a szyby w kościele i zabudowaniach poczęły dźwięczeć. Kule ogniste, w postaci białawych chmurek, opisując złowrogie łuki, padały na schroniska szwedzkie, łamały krokwie, dachy, ściany i wnet słupy dymu podnosiły się z miejsc, w które kule padały.

Pożar ogarniał budynki.

Zaledwie roztasowane pułki szwedzkie umykały co duchu z zabudowań, a niepewne nowych stanowisk, przewalały się w różne strony. Bezład począł się w nie wkradać. Usuwano nieustawione jeszcze działa, by uchronić je przed pociskami. Müller zdumiał; nie spodziewał się ani takiego przyjęcia, ani takich puszkarzy na Jasnej Górze.

Tymczasem nadchodziła noc, a że potrzebował wprowadzić ład w wojska, więc wysłał trębacza z prośbą o zawieszenie broni.

Ojcowie zgodzili się łatwo.

W nocy jednak spalono jeszcze ogromny spichrz z wiel-

kiemi zapasami żywności, w którym stał pułk westlandzki.

Pożar ogarnął budynek tak szybko, pociski zaś padały jeden za drugim tak celnie, że westlandczycy nie zdołali unieść muszkietów, ani nabojów, które też wybuchły w ogniu, roznosząc daleko naokoło płonące głownie.

Szwedzi nie spali w nocy; czynili przygotowania, sypali baterje pod armaty, napełniali kosze ziemią, urządzali obóz. Żołnierz, lubo przez tyle lat wojny i w tylu bitwach zaprawiony, a z natury dzielny i wytrwały, nie czekał radośnie dnia następnego. Pierwszy dzień przyniósł klęskę.

Armaty klasztorne wyrządziły tak znaczne szkody w ludziach, że najstarsi wojownicy w głowę zachodzili, przypisując je nieostrożnemu obejściu fortecy i zbytniemu zbliżeniu się do murów.

Lecz owo jutro, choćby przyniosło zwycięstwo, nie obiecywało sławy, bo czemże było wzięcie nieznacznej twierdzy i klasztoru dla zdobywców tylu miast znamienitych i stokroć lepiej warownych? Tylko żądza bogatego łupu podtrzymywała ochotę, ale natomiast owa trwoga duszna, z którą polskie sprzymierzone chorągwie postępowały pod przesławną Jasną Górę, udzieliła się jakoś i Szwedom. Tylko, że jedni drżeli przed myślą świętokradztwa, drudzy zaś obawiali się czegoś nieokreślonego, z czego sami nie zdawali sobie sprawy, a co nazywali ogólnem mianem czarów. Wierzył w nie sam Burchard Müller, jakżeż nie mieli wierzyć żołdacy?

Zauważono zaraz, że gdy Müller zbliżał się do kościoła świętej Barbary, koń pod nim stanął nagle, podał się wtył, rozwarł chrapy, stulił uszy i parskając trwożnie, nie chciał naprzód postąpić. Stary jenerał nie pokazał po sobie trwogi, jednak następnego dnia wyznaczył to stanowisko księciu Heskiemu, sam zaś odciągnął z większemi działami w stronę północną klasztoru, ku wsi Częstochowie. Tam przez noc sypał szańce, by z nich nazajutrz uderzyć.

Ledwie tedy rozbłysło na niebie, rozpoczęła się walka artylerji; lecz tym razem pierwsze zagrały działa szwedzkie.

Nieprzyjaciel nie myślał zrazu uczynić w murach wyłomu, by przezeń do szturmu się rzucić; chciał tylko przerazić, zasypać kulami kościół i klasztor, wzniecić pożary, podruzgotać działa, pobić ludzi, rozszerzyć trwogę.

Na mury klasztorne wyszła znów procesja, bo nic tak nie ukrzepiało walczących, jak widok Przenajświętszego Sakramentu i spokojnie z nim idących zakonników. Działa klasztorne odpowiadały grzmotem na grzmot, błyskawicą na błyskawice, ile mogły, ile ludziom sił i tchu w piersi starczyło. Ziemia też zdawała się trząść w posadach. Morze dymu rozciągnęło się nad klasztorem i kościołem.

Co za chwile, co za widoki dla ludzi (a wielu takich było w twierdzy, którzy nigdy w życiu nie patrzyli w krwawe oblicze wojny.

Ów huk nieustający, błyskawice, dymy, wycia kul rozdzierających powietrze, straszliwy chichot granatów, szczękanie pocisków o bruki, głuche uderzenia o ściany, dźwięk rozbijanych szyb, wybuchy pękających kul ognistych, świst ich skorup, chrobot i trzaskanie dylowań, chaos, zniszczenie, piekło!...

W czasie tego ani chwili spoczynku, ani oddechu dla wpół zduszonych dymem piersi, coraz nowe stada kul, a wśród zamieszania głosy przerażające w różnych stronach twierdzy, kościoła i klasztoru.

— Pali się! wody! wody!

— Na dachy z bosakami!... Płacht więcej!

Na murach zaś okrzyki rozgrzanych walką żołnierzy:

— Wyżej działo!... wyżej!... pomiędzy budynki... ognia!...

Około południa dzieło śmierci wzmogło się jeszcze. Zdawać się mogło, że gdy dymy odpadną, oczy szwedzkie ujrzą tylko stos kul i granatów na miejscu klasztoru. Kurzawa wapienna ze ścian obitych kulami wzbijała się i mieszając się z dymami, przesłaniała świat. Wyszli księża z relikwjami egzorcyzmować owe tumany, aby nie przeszkadzały obronie.

Huk dział stał się przerywany, ale tak gęsty, jak oddech zdyszanego smoka.

Nagle na wieży, świeżo odbudowanej po zeszłorocznym pożarze, ozwały się trąby wspaniałą harmonją pobożnej pieśni. Płynęła z góry ta pieśń i słychać ją było naokół, słychać wszędy, aż na baterjach szwedzkich. Do dźwięku trąb dołączyły się wkrótce głosy ludzkie i wśród ryku, świstu, okrzyków, łoskotu, grzechotania muszkietów, rozlegały się słowa:

Bogarodzica, Dziewica,
Bogiem sławiona Maryja!...

Tu wybuchło kilkanaście granatów; trzask dachówek i krokwi, a potem krzyk: — Wody! — targnął słuchem i... znów pieśń płynęła dalej spokojnie:

U Twego Syna, hospodyna,
Spuści nam, ziści nam
Chlebny czas, zbożny czas.

Kmicic stojąc na murach przy dziale, naprzeciw wsi Częstochowy, w której były stanowiska Müllera i skąd największy szedł ogień, odtrącił mniej wprawnego puszkarza i sam pracować zaczął. A pracował tak dobrze, że wkrótce, chociaż to był listopad i dzień chłodny, zrzucił tołub lisi, zrzucił żupan i w samych tylko szarawarach i koszuli pozostał.

Ludziom, nieobeznanym z wojną, rosło serce na widok tego żołnierza z krwi i kości, dla którego to wszystko, co się działo, ów ryk armat, stada kul, zniszczenie, śmierć — zdawały się być tak zwyczajnym żywiołem, jak ogień dla salamandry.

Brew miał namarszczoną, ogień w oczach, rumieńce na policzkach i jakąś dziką radość w twarzy. Co chwila pochylał się na działo, cały zajęty mierzeniem, cały oddany walce, na nic niepamiętny; celował, zniżał, podnosił,

wreszcie krzyczał: — Ognia! — a gdy Soroka przykładał lont, on biegł na zrąb, patrzył i od czasu do czasu wykrzykiwał:

— Pokotem! pokotem!

Orle jego oczy przenikały przez dymy, kurzawę; skoro między budynkami ujrzał gdzie zbitą masę kapeluszów lub hełmów, wnet druzgotał ją i rozpraszał celnym pociskiem. jakby piorunem.

Chwilami wybuchał śmiechem, gdy większe, niż zwykle, sprawił zniszczenie. Kule przelatywały nad nim i obok — on nie spojrzał na żadną, nagle po strzale poskoczył na zrąb, wpił oczy w dal i zakrzyknął:

— Działo rozbite!... Tam teraz jeno trzy sztuki grają!...

Do południa ani odetchnął. Pot zlewał mu czoło, koszula dymiła; twarz miał uczernioną sadzą, a oczy świecące.

Sam pan Piotr Czarniecki podziwiał celność jego strzałów i kilkakrotnie w przerwach rzekł mu:

— Waści wojna nie nowina! To i widać zaraz! Gdzieś się tak wyuczył?

O godzinie trzeciej na baterji szwedzkiej zamilkło drugie działo. rozbite celnym Kmicicowym strzałem. Resztę pozostałych ściągnięto w jakiś czas później z szańców. Widocznie Szwedzi uznali tę pozycję za niemożliwą do utrzymania.

Kmicic odetchnął głęboko.

— Spocznij! — rzekł mu Czarniecki.

— Dobrze! jeść mi się chce — odpowiedział rycerz. — Soroka daj co masz pod ręką!

Stary wachmistrz uwinął się wprędce. Przyniósł gorzałki w blaszance i ryby wędzonej. Pan Kmicic jeść począł chciwie. podnosząc od czasu do czasu oczy i patrząc na przelatujące nieopodal granaty, tak, jakby patrzył na wrony.

A jednak leciało ich dosyć, nie od Częstochowy, ale właśnie z przeciwnej strony; mianowicie te wszystkie, które przenosiły klasztor i kościół.

— Lichych mają puszkarzów, za wysoko podnoszą

działa. — rzekł pan Andrzej, nie ustając jeść, — patrzcie, wszystko przenosi i idzie na nas!

Słuchał tych słów młody mniszeczek, siedemnastoletnie pacholę, które ledwie do nowicjatu wstąpiło. Podawał on ciągle poprzednio kule do nabijania i nie ustępował, chociaż każda żyłka trzęsła się w nim ze strachu, bo pierwszy raz wojnę oglądał. Kmicic imponował mu w niewypowiedziany sposób swym spokojem i teraz usłyszawszy jego słowa, przygarnął się mimowolnym ruchem ku niemu, jakby chcąc szukać opieki i schronienia pod skrzydłami tej potęgi.

— Zali mogą nas dosięgnąć z tamtej strony? — zapytał.

— Czemu nie! — odpowiedział pan Andrzej. — A co, miły braciszku, także się to boisz?

— Panie! — odpowiedziało drżące pacholę, — wyobrażałem sobie wojnę straszną, alem nie myślał, żeby była tak straszna!

— Nie każda kula zabija, inaczejby już ludzi nie było na świecie, bo matkiby nie nastarczyły rodzić.

— Najwięcej, panie, strach mi owych kul ognistych, owych granatów. Czemu to one rozpękają się z takim hukiem?... Matko Boża ratuj!... i tak okrutnie ludzi ranią?...

— Ja ci wytłumaczę, zyskasz na eksperjencji, ojczyku. Owóż kula to jest żelazna, a wewnątrz drążona, prochami naładowana. W jednem miejscu ma zaś dziurę dość małą, w której tuleja z papieru, albo czasem z drewna siedzi.

— Jezu Nazareński! tuleja siedzi?

— Tak jest! zaś w tulei kłak wysiarkowany, który się przy wystrzale zapala. Owóż kula powinna upaść tuleją na ziemię, by ją sobie wbić do środka, wonczas ogień dochodzi do prochów i kulę rozrywa. Wiele wszelako kul pada nie na tuleję, ale i to nic nie szkodzi, bo przecie jak ogień dojdzie, to wybuch nastąpi...

Nagle Kmicic wyciągnął rękę i począł mówić szybko:

— Patrz! patrz! oto! ot masz eksperyment!

— Jezus! Marja! Józef! — krzyknął braciszek, na widok nadlatującego granatu.

Granat tymczasem spadł na majdan i warcząc, wichrząc, zaczął podskakiwać po bruku, wlokąc za sobą dymek błękitny, przewrócił się raz i drugi, przytoczył aż pod mur, na którym siedzieli, wpadł w kupę mokrego piasku, usypaną wysoko aż do blanków i tracąc zupełnie siłę, pozostał bez ruchu.

Padł na szczęście tuleją do góry, lecz kłak nie zgasł, bo dym podniósł się natychmiast.

— Na ziemię!... na twarze!... poczęły wrzeszczeć przerażone głosy. — Na ziemię! na ziemię!

Lecz Kmicic w tej samej chwili zsunął się po kupie piasku, błyskawicznym ruchem dłoni chwycił za tuleję, szarpnął wyrwał i wznosząc rękę z palącym się kłakiem, począł wołać:

— Wstawajcie! Jakoby kto psu zęby wybrał! Już on teraz i muchy nie zabije!

To rzekłszy, kopnął leżący czerep. Obecni zdrętwieli, widząc ten nadludzkiej odwagi uczynek i przez czas jakiś nikt słowa nie śmiał przemówić; nakoniec Czarniecki zakrzyknął:

— Szalony człecze! Toż gdyby pękło, na prochby cię zmieniło!

A pan Andrzej rozśmiał się tak szczerze, że aż błysnął zębami jak wilk.

— Albo to nam prochów nie trzeba? Nabilibyście mną armatę i jeszczebym po śmierci napsuł Szwedów!

— Niechże cię kule biją! Gdzie u ciebie bojaźń mieszka?

Młody mniszek złożył ręce i poglądał z niemem uwielbieniem na Kmicica. Lecz widział jego czyn i ksiądz Kordecki, który właśnie zbliżał się w tę stronę. Ten nadszedł, wziął pana Andrzeja obu rękoma za głowę, następnie położył na niej znak krzyża.

— Tacy jak ty, nie poddadzą Jasnej Góry! — rzekł —

aleć zakazuję żywot potrzebny narażać. Już strzały cichną i nieprzyjaciel schodzi z pola; weźże tę kulę wysyp z niej proch i ponieś ją Najświętszej Pannie do kaplicy. Milszy jej będzie ten podarek, niżli te perły i jasne kamuszki, któreś Jej podarował!

— Ojcze! — odrzekł rozrzewniony Kmicic — co tam wielkiego!... Jabym dla Najświętszej Panny... Ot! słów w gębie nie staje!... Jabym na męki, na śmierć... Jabym nie wiem co był gotów uczynić, byle Jej służyć...

I łzy błysły w oczach pana Andrzeja, a ksiądz Kordecki rzekł:

— Chodźże do Niej i z temi łzami, póki nie obeschną. Łaska Jej spłynie na ciebie, uspokoi cię, pocieszy, sławą i czcią przyozdobi!

To rzekłszy, wziął go pod ramię i poprowadził do kościoła, pan Czarniecki zaś spoglądał za nimi czas jakiś, wreszcie rzekł:

— Siła widziałem w życiu odważnych kawalerów, którzy za nic sobie pericula ważyli, ale ten Litwin, to chyba d...

Tu uderzył się w gębę dłonią pan Piotr, aby sprośnego imienia w świętem miejscu nie wymówić.

ROZDZIAŁ XV.

Walka na armaty nie przeszkadzała wcale układom. Postanowili korzystać z nich ojcowie za każdym razem, chcąc łudzić nieprzyjaciela i zwłóczyć, aby przez ten czas doczekać się jakiejkolwiek pomocy, albo przynajmniej zimy surowej; Müller zaś nie przestawał wierzyć, że zakonnicy pragną tylko najlepsze warunki wytargować.

Wieczorem więc, po owej strzelaninie, wysłał znów pułkownika Kuklinowskiego z wezwaniem do poddania się. Temu Kuklinowskiemu pokazał przeor salwę-gwardję królewską, którą odrazu zamknął mu usta. Lecz Müller miał późniejszy rozkaz królewski zajęcia Bolesławia, Wielunia, Krzepic i Częstochowy.

— Zanieś im waszmość ten rozkaz, — rzekł do Kuklinowskiego, — bo tak myślę, że po okazaniu go zbraknie im materji do wykrętów.

Lecz się mylił.

Ksiądz Kordecki oświadczył, iż jeśli rozkaz obejmuje Częstochowę, niechże ją sobie jenerał szczęśliwie zajmuje, przyczem może być pewny, że ze strony klasztoru nie dozna żadnej przeszkody, ale Częstochowa nie jest Jasną Górą, ta zaś ostatnia nie jest w rozkazie wymieniona.

Usłyszawszy tę odpowiedź Müller, poznał, że z bieglejszymi od siebie dyplomatami ma do czynienia; jemu to właśnie zabrakło racji — pozostawały tylko armaty.

Jednakże przez noc trwało zawieszenie broni. Szwedzi pracowali usilnie nad wzniesieniem potężniejszych szańców; jasnogórscy opatrywali szkody wczorajsze i ze zdumieniem przekonali się, że ich nie było. Gdzie niegdzie połamane dachy i krokwie, gdzie niegdzie płaty tynku opadłego z murów — oto wszystko. Z ludzi nikt nie poległ, nikt nie został nawet skaleczony. Ksiądz Kordecki, obchodząc mury, mówił z uśmiechem do żołnierzy:

— Patrzcie jeno, nie tak straszny ów nieprzyjaciel i jego bombardy, jak mówiono. Po odpuście nieraz większe szkody się trafiają. Opieka Boska nas strzeże, ręka Boża nas piastuje, ale wytrwajmy tylko, to jeszcze większe cuda zobaczymy!

Nadeszła niedziela, święto Ofiarowania Najświętszej Panny. W nabożeństwie nie było przeszkody, bo Müller oczekiwał na ostateczną odpowiedź, którą zakonnicy obiecali przesłać po południu.

Tymczasem pomni na słowa Pisma: jako dla przestraszenia Filistynów Izrael obnosił arkę Bożą koło obozu, chodzili znów procesjonalnie z monstrancją.

List wysłano o godzinie drugiej, ale nie z poddaniem się, tylko z powtórzeniem odpowiedzi danej Kuklinowskiemu, iż kościół i klasztor zowią się Jasną Górą, miasto zaś Częstochowa wcale do klasztoru nie należy.

„Dlatego to błagamy usilnie jego dostojność, — pisał ksiądz Kordecki, — abyś zechciał zostawić w pokoju Zgromadzenie nasze i kościół Bogu i Najświętszej Bogarodzicy poświęcony, iżby w nim cześć Boga na przyszłość pozostała, gdzieby zarazem Majestat Boski błagano o zdrowie i powodzenie najjaśniejszego króla. Tymczasem my niegodni, zanosząc nasze prośby, polecamy się najusilniej łaskawym względom waszej dostojności, pokładając ufność w jego dobroci, po której i na przyszłość wiele sobie obiecujemy...“

Byli przy czytaniu tego listu obecni: Wrzeszczowicz, Sadowski, Horn, gubernator krzepicki, de Fossis, znakomity inżynier, nakoniec książę Heski, człowiek młody, wyniosły bardzo, który lubo podkomendny Müllera chętnie mu swą wyższość okazywał. Ten więc uśmiechnął się złośliwie i powtórzył z przyciskiem zakończenie listu:

— Po dobroci waszej wiele sobie obiecują; to przymówka o kwestę, panie jenerale. Zadam wam jedno pytanie, mości panowie: czy mnichy lepiej się proszą, czy lepiej strzelają?

— Prawda! — rzekł Horn. — Przez te pierwsze dni straciliśmy tylu ludzi, że i dobra bitwa więcej nie weźmie!

— Co do mnie, — mówił dalej książę Heski, — pieniędzy nie potrzebuję, sławy nie zyskam, a nogi w tych chałupach odmrożę. Co za szkoda, żeśmy do Prus nie poszli; kraj bogaty, wesoły, jedno miasto lepsze od drugiego.

Müller, który czynił prędko, ale myślał powoli, dopiero w tej chwili wyrozumiał sens listu, poczerwieniał więc i rzekł:

— Mnisi drwią z nas, mości panowie!

— Intencji nie było, ale na jedno to wychodzi! — odrzekł Horn.

— Więc do szańców! Mało było wczoraj ognia i kul!

Rozkazy dane przeleciały szybko z jednego końca linij szwedzkich w drugi. Szańce pokryły się sinawemi chmurami, klasztor odpowiedział wnet z całą energją. Tym razem jednak działa szwedzkie lepiej ustawione, większą poczęły

czynić szkodę. Sypały się bomby ładowne prochem, ciągnące za sobą warkocz płomienia. Rzucano takie rozpalone pochodnie i kłęby konopi przesiąkniętych żywicą.

Jak czasem stada wędrownych żórawi, znużone długim lotem, obsiadają wzgórza wyniosłe, tak roje tych ognistych posłanników padały na szczyty kościoła i na drewniane dachy zabudowań. Kto nie brał udziału w walce, kto nie był przy armatach, ten siedział na dachach. Jedni czerpali wodę w studniach, drudzy ciągnęli sznurami wiadra, trzeci tłumili pożar mokremi płachtami. Niektóre kule łupiąc belki i krokwie wpadały na strychy i wnet dym a woń spalenizny napełniała wnętrze budynków. Lecz i na strychach czyhali obrońcy z beczkami wody. Najcięższe bomby przebijały nawet i pułapy. Mimo nadludzkich wysileń, mimo czujności, zdawało się, że pożoga prędzej czy później musi ogarnąć klasztor. Pochodnie i kłęby konopne, spychane drągami z dachów, utworzyły pod ścianami stosy gorejące. Okna pękały od żaru, a niewiasty i dzieci, zamknięte w izbach, dusiły się dymem i gorącem.

Ledwie pogaszono jedne pociski, ledwie wody spłynęły po zrębach, leciały nowe stada rozpalonych kul, płonących szmat, skier, żywego ognia. Cały klasztor był nim objęty, rzekłbyś: niebo otworzyło się nad nim i ulewa piorunów nań spada; jednak gorzał, a nie palił się, płonął i nie zapadał w rumowisko; co więcej, wśród tego morza płomieni śpiewać począł, jak ongi młodzieńcy w piecu ognistym.

Albowiem tak samo, jak dnia wczorajszego, ozwała się pieśń z wieży z towarzyszeniem trąb. Ludziom stojącym na murach i pracującym przy działach, którzy w każdej chwili mogli sądzić, że tam już wszystko płonie i w gruzy się wali za ich plecami, pieśń ta była jakby balsam kojący, zwiastowała im bowiem ciągle i ustawicznie, że stoi klasztor, stoi kościół, że płomień dotąd nie zwyciężył wysileń ludzkich. Odtąd też weszło w zwyczaj podobną harmonją osładzać sobie niedolę oblężenia i straszliwy krzyk srożącego się żołnierstwa oddalać od uszu niewieścich.

Lecz i w obozie szwedzkim czyniła owa pieśń i kapela niemałe wrażenie. Żołnierze na szańcach słuchali jej najprzód z podziwem, potem z zabobonnym strachem.

— Jakto? — mówili między sobą — rzuciliśmy na ów kurnik tyle żelaza i ognia, że niejedna potężna twierdza z popiołem i dymem jużby uleciała, a oni sobie wygrywają radcśnie... Co to jest?...

— Czary! — odpowiadali inni.

— Kule się tamtych ścian nie imają. Z dachów granaty staczają się, jakobyś bochenkami rzucał. Czary! czary! — powtarzali. — Nic nas tu dobrego nie spotka!

Starszyzna nawet gotowa była przypisać tym dźwiękom tajemnicze jakieś znaczenie. Lecz niektórzy tłumaczyli to inaczej i Sadowski rzekł głcśno, umyślnie, aby go Müller mógł słyszeć:

— Musi się im dobrze dziać, skoro się weselą, czyli, że dotąd napróżno tylko napsuliśmy tyle prochów.

— Których nie mamy wiele — rzekł książę Heski.

— Ale zato mamy wodza Poliocertesa — odrzekł Sadowski takim tonem, że nie można było wyrozumieć, czy drwi, czy chce Müllerowi pochlebić.

Lecz ten wziął to widocznie przeciw sobie, bo wąsa przygryzł.

— Zobaczymy, czy za godzinę będą jeszcze grali! — rzekł, zwracając się do swego sztabu.

I rozkazał podwoić ogień.

Lecz rozkazy jego spełniono zbyt gorliwie. W pośpiechu za wysoko podnoszono działa, skutkiem czego kule poczęły przenosić. Niektóre dolatywały, szybując nad kościołem i klasztorem, aż do przeciwległych szańców szwedzkich; tam druzgotały dylowania, rozrzucały kosze, zabijały ludzi.

Godzina jedna upłynęła, potem druga. Z wieży kościelnej rozlegała się ciągle uroczysta muzyka.

Müller stał z perspektywą w Częstochowie. Patrzył długo.

Obecni zauważyli, że ręka, którą trzymał perspektywę

przy oczach. drżała mu coraz silniej; nakoniec zwrócił się do obecnych i zakrzyknął:

— Strzały nie szkodzą wcale kościołowi!

Tu gniew niepohamowany, szalony, ogarnął starego wojownika. Cisnął lunetę o ziemię, aż rozbryzła się w sztuki.

— Wścieknę się od tej muzyki! — wrzasnął.

W tej chwili inżynier de Fossis przygalopował do niego.

— Panie jenerale, — rzekł, — podkopu nie można robić. Pod warstwą ziemi skała leży. Tutaj trzebaby górników.

Müller zaklął; lecz jeszcze nie skończył przekleństwa, gdy znowu oficer z częstochowskiego szańcu przybiegł pędem i salutując po żołniersku, ozwał się:

— Największe działo nam rozbito! Czy zaciągnąć drugie ze Lgoty?

Ogień istotnie osłabł nieco — muzyka rozlegała się coraz uroczyściej.

Müller odjechał do swej kwatery, nie rzekłszy ani słowa. Lecz nie wydał rozkazów wstrzymujących walkę. Postanowił zmęczyć oblężonych. Wszak tam w twierdzy zaledwie dwustu ludzi było załogi, on zaś miał ciągle świeżych żołnierzy do zmiany.

Nadeszła noc, działa grzmiały bezustanku; lecz klasztorne odpowiadały żywo, żywiej nawet, niż w dzień, bo ognie szwedzkie wskazywały im cel gotowy. Nieraz bywało, że ledwie żołnierze obsiedli ognisko i wiszący w niem kocieł, gdy naraz nadlatywała z ciemności faskula klasztorna, jakby duch śmierci. Ognisko rozbryzgiwało się w drzazgi i skry, żołnierze rozbiegali się z wrzaskiem nieludzkim i albo szukali przy innych towarzyszach schronienia. albo błąkali się wśród nocy ziębli. głodni, przerażeni.

Koło północy ogień klasztorny wzmocnił się tak dalece, że w promieniu strzału ani podobna było rozpalić drewek. Zdawało się, że oblężnicy mówią mową dział następne

słowa: „Chcecie nas zmęczyć... Próbujcie, sami wyzywamy!“

Wybiła godzina pierwsza i druga. Począł mżyć drobny deszcz w postaci mgły zimnej, a przenikliwej, która zbijała się miejscami jakoby w słupy, kolumny a mosty, czerwieniące się od ognia.

Przez owe fantastyczne słupy i arkady widać było chwilami groźne zarysy klasztoru, który się zmieniał w oczach; raz zdawał się wyższym, niż zwykle, to znów jakoby zapadał w otchłań. Od szańców aż do jego murów wyciągały się jakieś złowrogie sklepienia i korytarze, utworzone z mgły i ciemności, a temi korytarzami nadlatywały kule, śmierć niosące. Chwilami całe powietrze nad klasztorem stawało się jasne, jakby je oświeciła błyskawica. Wówczas mury, wyniosłe ściany i wieże zarysowywały się jaskrawo, potem znów gasły.

Żołnierze poczęli patrzeć przed siebie z trwogą ponurą i zabobonną. Raz wraz też trącał jeden drugiego i szeptał:

— Widziałeś? Ten klasztor zjawia się i znika naprzemian... To nieludzka moc!

— Widziałem lepiej — mówił drugi. — Celowaliśmy tem właśnie działem, co pękło, gdy nagle cała forteca poczęła skakać i drygać, jakoby ją kto na linie do góry podnosił i zniżał. Celuj tu do takiej fortecy, trafiaj!

To rzekłszy żołnierz, rzucił szczotkę działową i po chwili dodał:

— Nic tu nie wystoimy!... Nie powąchamy ich pieniędzy... Brr! zimno! Macie tam maźnicę ze smołą, zapalcie, choć ręce ogrzejem!

Jeden z żołnierzy począł rozpalać smołę z pomocą siarkowanych nici. Rozpalił najprzód kwacz, potem zaczął go zwolna zanurzać.

— Zgaście światło! — zabrzmiał głos oficera

Lecz niemal jednocześnie rozległ się szum faskuli, potem krzyk krótki, urywany i światło zgasło.

Noc ciężkie przyniosła straty Szwedom. Naginęło

mnóstwo ludzi przy ogniach; w niektórych miejscach rozegnano ich tak, że niektóre pułki raz wpadłszy w zamieszanie, nie mogły do samego rana przyjść do sprawy. Oblężeni, jakby chcąc okazać, że snu nie potrzebują, strzelali coraz gęściej.

Brzask oświecił na murach twarze zmęczone, blade, bezsenne ale ożywione gorączką. Ksiądz Kordecki w nocy leżał krzyżem w kościele; skoro świt, pojawił się na murach i błogi głos jego rozlegał się przy działach, na kortynach, koło bram:

— Bóg dzień czyni, dzieci... Niech będzie światło jego błogosławione! Niema szkód ni w kościele, ni w zabudowaniach... Ogień ugaszony, życia nikt nie stracił. Panie Mosiński! kula ognista wpadła pod kolebkę waszmościnego dzieciątka i zgasła, szkody mu nijakiej nie uczyniwszy. Podziękuj Najświętszej Pannie i odsłuż Jej!

— Niech będzie Jej imię wysławione! — odrzekł Mosiński — służę jak mogę!

Przeor poszedł dalej.

Świtało już zupełnie, gdy stanął przy Czarnieckim i Kmicicu. Kmicica nie spostrzegł, bo przelazł na drugą stronę obejrzeć dylowania, które kula szwedzka nieco uszkodziła. Ksiądz zaraz spytał:

— A gdzie to Babinicz? Zali nie śpi?

— Ja zaś miałbym spać w taką noc! — odpowiedział pan Andrzej, gramoląc się na mur. — Tożbym sumienia nie miał! Lepiej czuwać na ordynansie Najświętszej Panny.

— Lepiej, lepiej, służko wierny! — odrzekł ksiądz Kordecki.

Lecz pan Andrzej zobaczył w tej chwili połyskujące zdala mdłe światełko szwedzkie i zaraz zakrzyknął:

— Ogień tam, ogień! rychtuj! wyżej! w nich psubratów!

Uśmiechnął się ksiądz Kordecki, jak archanioł, widząc taką gorliwość i wrócił do klasztoru, by spracowanym polewki piwnej, smakowicie kostkami sera kraszonej, podesłać.

Jakoż w pół godziny potem pojawiły się niewiasty, księża i dziadkowie kościelni, niosąc dymiące garnki i dzbany.

Chwycili je skwapliwie żołnierze i wkrótce wzdłuż całych murów rozległo się łakome siorbanie. Chwalili też sobie ów napitek, mówiąc:

— Nie dzieje się nam krzywda w służbie u Najświętszej Panny! wikt zacny!

— Gorzej Szwedom! — mówili inni — źle im było warzyć strawę tej nocy, gorzej będzie przyszłej.

— Mają dosyć, psiawiary! Pewnie we dnie dadzą sobie i nam odpocznienie. Już im teraz i armacięta musiały od ciągłego kichania pochrypnąć.

Lecz żołnierze mylili się, bo dzień nie miał przynieść spoczynku.

Gdy rankiem oficerowie, przychodzący z raportami, donieśli Müllerowi, że skutek nocnej strzelaniny jest żaden, że owszem im samym przyniósł znaczne szkody w ludziach, jenerał zaciął się i kazał dalej ogień prowadzić.

— Przecie się wreszcie znużą! — rzekł do księcia Heskiego.

— W prochach ekspens niezmierny — odrzekł ów oficer.

— Przecie i oni ekspensują?

— Oni muszą mieć nieprzebrane zapasy saletry i siarki a węgla sami im dostarczymy, jeśli uda nam się choć jedną budę zapalić. W nocy podjeżdżałem pod mury i mimo huku słyszałem wyraźnie młyn, nie może to być inny młyn, jak prochowy.

— Każę do zachodu słońca strzelać tak mocno, jak wczoraj. Na noc odpoczniem. Zobaczym, czyli poselstwa nie wyszlą.

— Wasza dostojność wiesz, że wysłali do Wittemberga?

— Wiem, wyszlę i ja po największe kolubryny. Jeśli ich nie można będzie nastraszyć, albo pożaru wzniecić od środka, trzeba będzie wyłom uczynić.

— Spodziewasz się więc wasza dostojność, że feldmarszałek pochwali oblężenie?

— Feldmarszałek wiedział o moim zamiarze i nie mówił nic — odrzekł szorstko Müller. — Jeśli mnie tu niepowodzenie ścigać dalej będzie, to pan feldmarszałek zgani, nie pochwali i na mnie całej winy złożyć nie omieszka. Król jegomość jemu odda słuszność, to wiem. Niemałom już ucierpiał od zgryźliwego humoru pana feldmarszałka, jakby to moja wina była, że go, jako Włosi mówią: mal francese trawi.

— O tem, że na waszą dostojność zwali winę, nie wątpię, zwłaszcza, gdy się pokaże, że Sadowski ma słuszność.

— Co za słuszność? Sadowski za tymi mnichami przemawia, jak gdyby był u nich na żołdzie! Co on powiada?

— Powiada, że te wystrzały rozlegną się w całym kraju od Bałtyku aż po Karpaty.

— Niechże król jegomość każe w takim razie skórę z Wrzeszczowicza ściągnąć i jako wotum do tego klasztoru ją poszle, bo to on instygował owo oblężenie.

Tu Müller porwał się za głowę.

— Ale trzeba kończyć nagwałt! Tak mi się zdaje, tak mi coś mówi, że w nocy oni wyszlą kogoś do układów. Tymczasem ognia i ognia!

Przeszedł więc dzień do wczorajszego podobny, pełen grzmotów, dymu i płomienia. Wiele jeszcze takich miało przejść ponad Jasnogórą. Lecz oni gasili pożary i strzelali z niemniejszem męstwem. Połowa żołnierzy szła na spoczynek, druga połowa była na murach przy działach.

Ludzie poczęli oswajać się z ustawicznym hukiem, zwłaszcza, gdy przekonali się, że szkód wielkich niema. Mniej doświadczonych krzepiła wiara, ale byli pomiędzy nimi i starzy żołnierze, obeznani z wojną, którzy służbę pełnili jak rzemiosło. Ci dodawali otuchy wieśniakom.

Soroka wielką uzyskał wśród nich powagę, bo wiele życia strawiwszy na wojnie, tak był obojętny na jej hałasy, jak stary szynkarz na krzyki pijących. Wieczorem gdy

strzały ucichły, opowiadał towarzyszom o oblężeniu Zbaraża. Sam w niem nie był, ale wiedział o niem dokładnie od żołnierzy, którzy je przetrwali i tak mówił:

— Tam zwaliło się kozactwa, Tatarstwa i Turków tyle, że samych kuchtów więcej było, niżli tu wszystkich Szwedów. A dlatego im się nasi nie dali. Prócz tego tu złe duchy nie mają mocy nijakiej, a tam jeno przez piątek, sobotę i niedzielę djabli nie wspomagali hultajstwa, a przez resztę dni po całych nocach straszyli. Posyłali śmierć na okop, żeby się pokazywała żołnierzom i serce im do bitwy odejmowała. Wiem od takiego, który ją sam widział.

— Widziałże ją? — pytali ciekawie chłopi, kupiąc się koło wachmistrza.

— Na własne oczy! Szedł od kopania studni, bo im tam wody brakło, a co było w stawach, to śmierdziała. Idzie, idzie, aż patrzy, naprzeciw niego podchodzi jakaś figura w czarnej płachcie.

— W czarnej, nie w białej?

— W czarnej; na wojnę w czarną się ona ubiera. Mroczyło się. Przybliża się żołnierz: „Werdo?“ — pyta — ona nic. Dopiero pociągnął za płachtę — patrzy: kościotrup. — „A ty tu czego?“ — „Ja — powiada — jestem śmierć i przyjdę po ciebie za tydzień“. — Żołnierz pomiarkował, że źle. — „Czemu to — pyta — dopiero za tydzień? to ci prędzej nie wolno?“ — A ona na to: — „Przed tygodniem nic ci uczynić nie mogę, bo taki rozkaz“. — Żołnierz myśli sobie: „Trudno! ale kiedy ona mi teraz nic zrobić nie może, to niechże jej choć za swoje odpłacę“. Kiedy nie owinie ją w płachtę, kiedy nie zacznie o kamienie gnatami walić! Ona w krzyk i nuż się prosić: — „Przyjdę za dwa tygodnie“. — „Nie może być!“ „Przyjdę za trzy, za cztery, za dziesięć, po oblężeniu, za rok, za dwa, za piętnaście!“ — „Nie może być!“ — „Przyjdę za pięćdziesiąt lat!“ — Pomiarkował się żołnierz, bo już miał pięćdziesiąt, myśli sobie: — „Sto — dość!“ Puścił ją. A sam zdrowy

i żyw do tej pory; do bitwy chodzi, jak w taniec, bo co mu tam!

— A żeby się zaląkł, toby już było po nim?

— Najgorzej się śmierci bać! — odrzekł poważnie Soroka. — On żołnierz i innym dobra przysporzył, bo jak ci ją zbił, jak ci ją utrudził, tak ją na trzy dni zemdliło i przez ten czas nikt w obozie nie poległ, chociaż wycieczkę czynili.

— A my to nie wyjdziemy kiedy nocą na Szwedów?

— Nie nasza głowa — odparł Soroka.

Usłyszał ostatnie pytanie i ostatnią odpowiedź Kmicic, który stał nieopodal i w głowę się uderzył. Potem popatrzył na szańce szwedzkie. Noc już była. Na szańcach od godziny panowała cisza zupełna. Strudzony żołnierz spał widocznie przy działach.

Daleko, na dwa strzelenia z armat połyskiwało kilkanaście ogniów, ale przy samych szańcach grube panowały ciemności.

— Ani im to w głowie, ani podejrzewają, ani mogą przypuścić! — szepnął do siebie Kmicic.

I udał się wprost do pana Czarnieckiego, który siedząc przy ławecie, liczył paciorki różańca i stukał jedną nogą o drugą, bo mu zmarzły.

— Chłodno — rzekł ujrzawszy Kmicica — i głowa cięży od tego huku przez dwa dni i jedną noc. W uszach mi ciągle dzwoni.

— Komuby od takich hałasów nie dzwoniło. Ale dziś będziem mieli spoczynek. Pospali się tam na dobre. Możnaby ich zejść, jak niedźwiedzia w barłogu; nie wiem, czyby ich nawet rusznice przebudziły...

— O! — rzekł Czarniecki, podnosząc głowę — o czem myślisz?

— Myślę o Zbarażu, że tam oblężeni przez wycieczki niejedną srogą klęskę hultajstwu zadali.

— A tobie, jak wilkowi po nocy, krew na myśli?

— Na Boga żywego i Jego rany, uczyńmy wycieczkę!

Ludzi narzniemy działa pozagważdżamy. Oni się tam niczego nie spodziewają.

Pan Czarniecki zerwał się na równe nogi.

— I jutro chyba poszaleją! Myślą może, że nas dość nastraszyli i że o poddaniu myślimy, będą mieli odpowiedź. Jak Boga kocham, to jest przednia myśl, to prawdziwie rycerska impreza! Że też to mnie do głowy nie przyszło. Trzeba tylko księdza Kordeckiego zawiadomić. On tu rządzi!

Poszli.

Ksiądz Kordecki naradzał się w definitorjum z panem miecznikiem sieradzkim. Posłyszawszy kroki, podniósł głowę i odsuwając na bok świecę, spytał:

— A kto tam? Jest co nowego?

— To ja, Czarniecki. — rzekł pan Piotr, — ze mną zaś jest Babinicz. Oba spać nie możemy, bo strasznie nam Szwedzi pachną. Ten Babinicz, ojcze, to niespokojna głowa i nie może na miejscu usiedzieć. Wierci mi się, wierci, bo mu się okrutnie chce do Szwedów za wały pójść, zapytać się ich, czyli jutro także będą strzelać, albo czy też fryszt nam i sobie jeszcze dadzą?

— Jakto? — spytał, nie ukrywając zdziwienia ksiądz Kordecki. — Babinicz chce wyjść z fortecy?...

— W kompanji, w kompanji! — odrzekł śpiesznie pan Piotr — ze mną i z kilkudziesięciu ludźmi. Oni tam zdaje się śpią na szańcu, jak zabici; ogniów nie widać, straży nie widać. Zbyt w naszą słabość dufają.

— Działa zagwoździm! — dodał gorąco Kmicic.

— A dawajcie mi tu tego Babinicza! — zakrzyknął pan miecznik — niech go uściskam! Swędzi cię żądło, szerszeniu, radbyś i po nocy kłuł. Wielkie to jest przedsięwzięcie, które najlepszy skutek mieć może. Jednego nam Pan Bóg dał Litwina, ale wściekłą bestję i zębatą. Ja zamiar pochwalam; nikt go tu nie zgani i sam gotowym iść!

Ksiądz Kordecki, który zrazu aż przeraził się, bo lękał się krwi rozlewu, zwłaszcza, gdy własnego życia nie wy-

stawiał, przyjrzawszy się bliżej owej myśli, uznał ją za godną obrońców Marji.

— Dajcie mi się pomodlić! — rzekł.

I klęknąwszy przed wizerunkiem Matki Boskiej, chwilę modlił się z rozłożonemi rękoma, wreszcie wstał wypogodzony.

— Pomódlcie się teraz wy, — rzekł, — a potem idźcie!

W kwadrans później wyszli we czterech i udali się na mury. Szańce w dalekości spały. Noc była bardzo ciemna.

— Ilu ludzi chcesz wziąć? — spytał ksiądz Kordecki Kmicica.

— Ja?... — odrzekł ze zdziwieniem pan Andrzej. — Ja tu nie wódz i miejscowości nie znam tak dobrze, jak pan Czarniecki. Pójdę z szablą, ale ludzi niech pan Czarniecki prowadzi i mnie z innymi. Chciałbym jeno, by mój Soroka poszedł, bo to rzeźnik okrutny.

Podobała się ta odpowiedź i panu Czarnieckiemu i księdzu przeorowi, który w niej jawny dowód pokory widział. Lecz zabrali się zaraz raźno do dzieła. Wybrano ludzi, nakazano ciszę największą i poczęto wysuwać belki a kamienie a cegły z przechodu.

Praca zabrała z godzinę czasu. Wreszcie otwór w murze był gotowy i ludzie poczęli się zanurzać w wąską czeluść. Mieli szable, pistolety, niektórzy rusznice, a niektórzy, zwłaszcza chłopi, kosy osadzone sztorcem, broń, do której najwięcej nawykli.

Znalazłszy się na drugiej stronie muru, policzyli się; pan Czarniecki stanął na przedzie oddziału, Kmicic na samym końcu i ruszyli wzdłuż okopu, cicho, dech tamując w piersiach, jak wilcy podkradający się do owczarni.

Jednakże czasem kosa o kosę zabrzękła, czasem kamień pod stopą zazgrzytał i po tych odgłosach można było poznać, że wciąż posuwają się dalej. Zeszedłszy w nizinę, pan Czarniecki zatrzymał się. Tu zostawił część ludzi, nieopodal już od szańców pod wodzą Janicza Węgrzyna, starego i wytrawnego żołnierza, którym na ziemię rzucić się kazał, sam zaś

wziął się nieco w prawo i mając pod stopami miękką już ziemię, na której kroki nie wydawały echa, począł szybciej prowadzić swój oddział.

Miał on bowiem zamiar obejść szaniec, uderzyć na uśpionych ztyłu i pędzić ich ku klasztorowi na ludzi Janicza. Tę myśl poddał mu Kmicic, który idąc teraz koło niego z szablą w ręku, szeptał:

— Szaniec pewnie jest tak wysunięty, że między nim a głównym obozem jest pusta przestrzeń. Straże, jeśli jakie są, to przed szańcem, a nie z tamtej strony... Tak więc obejdziemy ich swobodnie i wpadniemy na nich od tamtej strony, od której najmniej spodziewają się napadu.

— Dobrze, — odpowiedział pan Piotr, — noga nie powinna ujść z tych ludzi.

— Jeśliby się kto odezwał, jak będziem już wchodzili,— mówił dalej pan Andrzej, — pozwól waszmość, że ja odpowiem... Po niemiecku umiem szwargotać, jak po polsku, więc pomyślą, że to kto od jenerała z obozu przychodzi.

— Byle straży nie było za szańcem.

— Choćby i były, to hukniem i skoczym odrazu. Nim się połapią: kto i co, siądziemy im na karki.

— Czas skręcać, już koniec okopu widać — rzekł pan Czarniecki.

Tu zwrócił się i zawołał zcicha:

— W prawo, w prawo!

Milczący szereg począł zawracać. Wtem księżyc oświecił nieco brzeg chmury i uczyniło się jaśniej. Idący ujrzeli pustą przestrzeń ztyłu szańca.

Straży, jak przewidywał Kmicic, nie było na tej przestrzeni wcale, pocóżby bowiem Szwedzi mieli stawiać placówki między własnemi szańcami a główną armją, która stała dalej. Najprzenikliwszy wódz nie mógł przypuścić, by z tej strony mogło nadejść jakie niebezpieczeństwo.

— Teraz jak najciszej — rzekł pan Czarniecki. — Widać już namioty.

— I w dwóch jest światełko... Ludzie tam jeszcze czuwają... Pewnie starszyzna.

— Wejście od tyłu musi być wygodne.

— Oczywiście — odrzekł Kmicic. — Tędy armaty wtaczają i wojska wchodzą... Ot, już nasyp się poczyna. Pilnuj teraz, by broń nie zabrzękła...

Doszli już do wzniesienia, usypanego starannie ztyłu szańców. Stał tam cały szereg wozów, na których podwożono prochy i kule.

Ale przy wozach nie było nikogo, więc minąwszy je, poczęli wspinać się na szaniec bez trudu, jak słusznie przewidywano, bo wzniesienie było łagodne i dobrze urządzone.

Tak doszli do samych namiotów i z gotową bronią zatrzymali się tuż, tuż. W dwóch rzeczywiście błyszczały światełka; więc pan Kmicic zamieniwszy parę słów z Czarnieckim, rzekł:

— Pójdę ja najprzód do tych, którzy nie śpią... Czekać teraz mego wystrzału, a potem w nich!

To rzekłszy, ruszył.

Powodzenie wycieczki było już zapewnione, więc się nawet nie starał iść zbyt cicho. Minął kilka namiotów, pogrążonych w ciemności; nikt się nie zbudził, nikt nie spytał „werda?“

Żołnierze jasnogórscy słyszeli skrzyp jego śmiałych kroków i bicie własnych serc. On zaś dotarł do oświetlonego namiotu, podniósł skrzydło i wszedłszy, zatrzymał się u wejścia z pistoletem w dłoni i z szablą spuszczoną na łańcuszku.

Zatrzymał się dlatego, że światło cokolwiek go olśniło; na polowym bowiem stole stał świecznik sześcioramienny, w którym płonęły jarzące świece.

Za stołem siedziało trzech oficerów, schylonych nad planami. Jeden z nich siedzący w pośrodku, ślęczał nad niemi tak pilnie, że aż długie jego włosy leżały na białych kartach. Ujrzawszy kogoś wchodzącego, podniósł głowę i spytał spokojnym głosem:

— A kto tam?

— Żołnierz — odpowiedział Kmicic.

Wówczas i dwaj inni oficerowie zwrócili oczy ku wyjściu.

— Jaki żołnierz? skąd? — spytał pierwszy. — (Był to inżynier de Fossis, który głównie pracą oblężniczą kierował.)

— Z klasztoru — odrzekł Kmicic.

Ale było w jego głosie coś strasznego.

De Fossis podniósł się nagle i przysłonił oczy ręką. Kmicic stał wyprostowany i nieruchomy, jak widmo, tylko groźna jego twarz, podobna do głowy drapieżnego ptaka, zwiastowała nagłe niebezpieczeństwo.

Jednakże myśl szybka jak błyskawica przemknęła przez głowę de Fossisa, że to może być zbieg z klasztoru, więc spytał jeszcze, ale już gorączkowo:

— Czego tu chcesz?

— Ot czego chcę! — krzyknął Kmicic.

I wypalił mu w same piersi z pistoletu.

Wtem krzyk straszny i wraz z nim salwa wystrzałów rozległy się na szańcu. De Fossis runął, jak pada sosna zgruchotana piorunem, drugi oficer wpadł ze szpadą na Kmicica, ale on ciął go szablą między oczy, aż stal zgrzytnęła o kości; trzeci oficer rzucił się na ziemię, pragnąc prześliznąć się pod ścianą namiotu; ale Kmicic skoczył ku niemu, nadeptał nogą na plecy i przygwoździł sztychem do ziemi.

Tymczasem noc cicha zmieniła się w sądny dzień. Dzikie wrzaski: „Bij! morduj!“ zmieszały się z wyciem i przeraźliwemi wołaniami o ratunek szwedzkich żołnierzy. Ludzie obłąkani z przestrachu wypadali z namiotów, nie wiedząc gdzie się obrócić, w którą stronę uciekać. Niektórzy nie pomiarkowawszy zrazu, skąd napad przychodzi, biegli wprost na jasnogórców i ginęli od szabel, kos i siekier, nim zdołali „pardon!“ zakrzyknąć. Niektórzy bodli w ciemnościach szpadami własnych towarzyszy; inni, bezbronni,

wpół odziani, bez kapeluszów, z rękoma podniesionemi w górę, stawali nieruchomie w miejscu; niektórzy wreszcie padali na ziemię, wśród poprzewracanych namiotów. Mała garść pragnęła się bronić, lecz oślepły tłum porywał ich, przewracał, deptał. Jęki konających, rozdzierające prośby o litość, wzmagały zamieszanie.

Gdy wreszcie z krzyków stało się jawnem, że napad przyszedł nie od strony klasztoru, ale ztyłu, właśnie od strony wojsk szwedzkich, wówczas prawdziwe szaleństwo ogarnęło napadniętych. Sądzili widocznie, że to sprzymierzone polskie chorągwie uderzyły na nich znienacka.

Tłumy piechurów poczęły zeskakiwać z szańca i biec ku klasztorowi, jakby w jego murach pragnęli znaleźć schronienie. Ale wnet nowe okrzyki wskazały, że wpadli na oddział Węgrzyna Janicza, który docinał ich pod samą fortecą.

Tymczasem jasnogórcy siekąc, bodąc, depcąc, doszli do armat. Ludzie z przygotowanemi gwoździami rzucili się na nie natychmiast, inni zaś prowadzili dalej dzieło śmierci. Chłopi, którzy nie byliby dostali wyćwiczonym żołdakom w otwartem polu, rzucali się teraz w kilku na całe gromady.

Dzielny pułkownik Horn, gubernator krzepicki, starał się zebrać koło siebie rozpierzchłych knechtów, skoczywszy więc za węgieł szańca, począł wołać w ciemności i wymachiwać szpadą. Poznali go Szwedzi i wnet poczęli się kupić, lecz na ich karkach i razem z nimi nadlatywali napastnicy, których w pomroce trudno było odróżnić.

Nagle rozległ się straszliwy świst kosy i głos Horna ucichł nagle. Kupa żołnierzy rozbiegła się jakby granatem rozegnana. Kmicic i pan Czarniecki z oddziałem kilkunastu ludzi rzucili się na nich i wycięli do szczętu.

Szaniec był zdobyty.

W głównym obozie szwedzkim już trąby poczęły grać larum. Nagle ozwały się działa jasnogórskie i kule ogniste poczęły lecieć z klasztoru, by wracającym drogę oświecić. Oni wracali zdyszani, umazani krwią, jak wilcy, którzy uczyniwszy rzeź w owczarni uchodzą przed zbliżającemi się

głosami strzelców. Pan Czarniecki prowadził czoło, Kmicic pochód zamykał.

W pół godziny natknęli się na oddział Janicza, lecz on nie odpowiadał na wołanie; sam jeden życiem przypłacił wycieczkę, bo gdy zapędził się za jakimś oficerem, właśni jego żołnierze zastrzelili go z rusznicy

Wycieczka weszła do klasztoru wśród huku dział i połysku płomieni. U przechodu czekał na nich już ksiądz Kordecki i liczył ich w miarę, jak głowy przesuwały się do wnętrza przez otwór. Nie brakło nikogo, prócz Janicza.

Wnet dwóch ludzi wyszło po niego i w pół godziny później przynieśli jego ciało, chciał bowiem ksiądz Kordecki przystojnym uczcić go pogrzebem.

Lecz cisza nocna raz przerwana, nie powróciła już aż do białego dnia. Z murów grały działa, w stanowiskach zaś szwedzkich trwało najokropniejsze zamieszanie. Nieprzyjaciel nie znając dobrze swej klęski, nie wiedząc skąd nieprzyjaciel nadejść może, uciekł z najbliższych klasztoru szańców. Całe pułki błąkały się w rozpaczliwym nieładzie do rana, biorąc często swoich za nieprzyjaciół i dając do siebie ognia. W głównym nawet obozie żołnierze i oficerowie opuścili namioty i stali pod gołem niebem, czekając aż ta noc okropna się skończy. Trwożliwe wieści przelatywały z ust do ust. Mówiono, że odsiecz nadeszła, inni twierdzili, że wszystkie pobliskie szańce zdobyte.

Muller, Sadowski, książę Heski, Wrzeszczowicz i wszyscy wyżsi oficerowie, czynili nadludzkie usiłowania, by doprowadzić do ładu przerażone pułki. Jednocześnie na strzały klasztorne odpowiedziano ognistemi kulami, aby rozproszyć ciemności i pozwolić ochłonąć rozpierzchłym.

Jedna z kul utkwiła w dachu kaplicy, lecz trąciwszy tylko o załamanie dachu, wróciła się z szumem i łoskotem ku obozowi rozrzucając po powietrzu potok płomieni.

Nareszcie skończyła się zgiełkliwa noc. Klasztor i obóz szwedzki ucichły. Ranek począł bielić szczyty kościelne, dachówki przybierały zwolna czerwoną barwę i rozedniało.

Wówczas Müller na czele sztabu podjechał do zdobytego szańca. Mogli wprawdzie z klasztoru dojrzeć go i dać ognia z muru, lecz stary jenerał nie zważał na to. Chciał własnemi oczyma obejrzeć wszystkie szkody, policzyć poległych. Sztab jechał za nim: wszyscy stropieni ze smutkiem i powagą w twarzach. Dojechawszy do szańca, zsiedli z koni i poczęli wstępować na górę. Ślady walki widniały wszędzie: niżej pod działami walały się poprzewracane namioty, niektóre stały jeszcze otwarte, puste, ciche.

Stosy ciał leżały szczególnie pomiędzy namiotami, trupy półnagie. obdarte, z wytrzeszczonemi oczyma, z przerażeniem zakrzepłem w martwych źrenicach, okropny przedstawiały widok. Widocznie wszyscy ci ludzie zostali pochwyceni w głębokim śnie; niektórzy nie byli obuci, mało który zaciskał rapier w martwej dłoni, żaden prawie nie miał ni hełmu, ni kapelusza. Jedni leżeli w namiotach, zwłaszcza od strony wejścia, ci widocznie zaledwie zdołali się przebudzić; drudzy przy samych skrzydłach namiotów, chwyceni przez śmierć w chwili, gdy chcieli się ratować ucieczką. Wszędy tyle ciał, a w niektórych miejscach takie stosy, iż możnaby sądzić, że to jaki kataklizm natury pobił owych żołnierzy, lecz rany głębokie w twarzach i piersiach, niektóre oblicza zaczernione od wystrzałów tak bliskich, że wszystek proch nie zdołał zgorzeć, świadczyły aż nadto jawnie, że to ręka ludzka dokonała zniszczenia.

Müller wstąpił wyżej, ku działom; stały głuche, zagwożdżone, nie groźniejsze już od pni drzewa; na jednem z nich leżało przewieszone ciało kanoniera, prawie nawpół przecięte strasznym zamachem kosy. Krew oblała lawetę i utworzyła pod nią obszerną kałużę. Müller obejrzał wszystko dokładnie, w milczeniu i ze zmarszczoną brwią. Nikt z oficerów nie śmiał tego milczenia przerwać.

Jakże tu bowiem nieść pociechę staremu jenerałowi, który wskutek nieostrożności własnej został pobity jak nowicjusz? Była to nietylko klęska, była i hańba, bo przecie sam jenerał twierdzę ową kurnikiem nazywał i obiecywał

ją między palcami rozkruszyć, bo przecie miał dziewięć tysięcy wojska, a tam stało dwieście załogi, bo nakoniec jenerał ów był żołnierzem z krwi i kości, a miał przeciw sobie mnichów.

Ciężko zaczął się dla Müllera ów dzień.

Tymczasem nadeszli piechurowie i poczęli ciała wynosić. Czterech z nich, niosąc na płachcie trupa, zatrzymało się przed jenerałem bez rozkazu.

Müller spojrzał w płachtę i oczy zakrył.

— De Fossis... — rzekł głucho.

Ledwie co odeszli, nadciągnęli drudzy; tym razem Sadowski poruszył się ku nim i zawołał zdaleka, zwracając się do sztabu:

— Horna niosą!

Lecz Horn żył jeszcze i długie miał przed sobą dnie mąk okropnych. Chłop, który go ciął, dosięgnął go samym końcem kosy, ale uderzenie było tak straszne, że otwarło całą klatkę piersiową. Jednakże ranny zachował nawet przytomność. Spostrzegłszy Müllera i sztab, uśmiechnął się, chciał coś mówić, lecz zamiast głosu, wydobył tylko na usta pianę różową, poczem jął mrugać silnie oczyma i zemdlał.

— Zanieść go do mego namiotu! — rzekł Müller — i niech mój medyk opatrzy go natychmiast!

Następnie oficerowie usłyszeli, jak mówił sam do siebie:

— Horn, Horn... We śnie go dziś widziałem... zaraz z wieczora... Straszna, niepojęta rzecz...

I utkwiwszy oczy w ziemię, zamyślił się głęboko; nagle z zadumy zbudził go przerażony głos Sadowskiego:

— Jenerale! jenerale! Patrz wasza dostojność! Tam, tam... klasztor...

Müller spojrzał i zdumiał.

Dzień już był zupełny i pogodny, jeno mgły wisiały nad ziemią, ale niebo było czyste i rumiane od porannej zorzy. Biały tuman przesłaniał sam szczyt Jasnej Góry i wedle zwykłego rzeczy porządku, powinien był zakrywać

kościół. tymczasem szczególniejszem zjawiskiem przyrody, kościół wraz z wieżą unosił się nietylko nad skałę, ale i nad mgłę. wysoko, wysoko, zupełnie jakby oderwał się od swej podstawy i zawisł w błękitach pod niebem.

Krzyki żołnierzy zwiastowały, że spostrzegli także zjawisko.

— To mgła oczy ludzi! — zakrzyknął Müller.

— Mgła leży pod kościołem! — odpowiedział Sadowski.

— Zadziwiająca rzecz, ale ten kościół jest dziesięć razy wyżej, niż był wczoraj i wisi w powietrzu — rzekł książę Heski.

— W górę jeszcze idzie! w górę, w górę! — krzyczeli żołnierze. — Z oczu zniknie!...

I istotnie, tuman wiszący na skale, począł się podnosić nakształt niezmiernego słupa dymu ku niebu, kościół zaś, osadzony jakby na szczycie owego słupa, zdawał się wzbijać coraz wyżej, jednocześnie zaś, hen już pod samemi obłokami, przesłaniał się coraz więcej, białym oparem, rzekłbyś: roztapiał się, rozpływał, mącił, nakoniec zniknął zupełnie z oczu.

Müller zwrócił się ku oficerom, a w oczach jego malowało się zdziwienie, wraz z zabobonnym przestrachem.

— Wyznaję waszmościom, — rzekł, — żem podobnego fenomenu w życiu nie widział. Całkiem to jest przeciwne naturze i chyba to czary papistów...

— Syszałem — rzekł Sadowski — wykrzykujących żołnierzy: „Jak tu strzelać do takiej twierdzy?“ Zaiste, nie wiem jak!

— Ale co teraz będzie, mości panowie! — zawołał książę Heski. — Jest-li ten kościół tam we mgle, czy go już niema?

I stali jeszcze długo zdumieni, milczący, nakoniec książę Heski rzekł:

— Chociażby to było naturalne zjawisko przyrody, w każdym razie nic nie wróży ono nam dobrego. Patrzcie

waszmościowie, od czasu jakeśmy tu przybyli, nie postąpiliśmy ani kroku naprzód.

— Ba! — odpowiedział Sadowski — gdybyśmy to tylko nie postąpili! Ale prawdę rzekłszy, ponosiliśmy klęskę za klęską... a dzisiejsza noc najgorsza. Żołnierz zniechęcony traci odwagę i opieszale zaczyna działać. Nie macie waszmościowie pojęcia, co sobie opowiadają po pułkach. Dzieją się przytem i inne rzeczy dziwne: oto od pewnego czasu nikt pojedyńczo, ani nawet samowtór nie może wychylić się z obozu, a kto się na to ośmieli, ten jakoby w ziemię wpadł. Rzekłbyś: wilki krążą koło Częstochowy. Sam niedawno posłałem chorążego z trzema ludźmi do Wielunia po odzież ciepłą i odtąd ani słychu o nich!...

— Gorzej będzie, gdy zima nadejdzie; już i teraz noce bywają nieznośne — dodał książę Heski.

— Mgła rzednie! — rzekł nagle Müller.

Rzeczywiście powstał wiatr i począł odwiewać opary. W kłębach tumanu poczęło coś majaczyć, nakoniec słońce zeszło i powietrze stało się przezroczyste.

Mury klasztorne zarysowały się zlekka, potem wychylił się kościół, klasztor. Wszystko stało na dawnem miejscu. Twierdza była spokojna i cicha, jakby w niej ludzie nie mieszkali.

— Jenerale, — rzekł z energją książę Heski, — próbuj wasza dostojność jeszcze układów. Trzeba raz skończyć!

— A jeśli układy nie doprowadzą do niczego, to waszmościowie radzicie oblężenia poniechać? — pytał ponuro Müller.

Oficerowie umilkli. Po chwili dopiero Sadowski zabrał głos:

— Wasza dostojność wiesz najlepiej, co jej wypada czynić.

— Wiem — odparł dumnie Müller — i to wam jeno powiem: przeklinam dzień i godzinę, w której tu przybyłem, jak również doradców (tu przeszył wzrokiem Wrzeszczowicza), którzy mi to oblężenie instygowali; wiedzcie jednak,

że po tem, co zaszło, nie ustąpię, póki tej przeklętej twierdzy w kupę gruzów nie zmienię, albo sam nie polegnę!

Niechęć odbiła się na twarzy księcia Heskiego. Nigdy on nie poważał zbyt Müllera, powyższe zaś jego słowa poczytał za próżną chełpliwość żołnierską, nie na czasie wobec tego zburzonego szańca, trupów i zagwożdżonych dział; zwrócił się więc ku niemu i odpowiedział z widocznym przekąsem:

— Jenerale, wasza dostojność nie możesz tego przyrzekać, bo ustąpisz wobec pierwszego rozkazu króla jegomości, albo pana marszałka Wittemberga. Czasem też i okoliczności umieją rozkazywać nie gorzej od królów i marszałków.

Müller zmarszczył swe gęste brwi, co widząc Wrzeszczowicz, rzekł pośpiesznie:

— Tymczasem próbujmy układów. Oni się poddadzą. Nie może inaczej być!

Dalsze jego słowa zgłuszył wesoły głos dzwonu, wzywający na mszę poranną w kościele jasnogórskim. Jenerał wraz ze sztabem odjechali zwolna ku Częstochowie, lecz nie dojechali jeszcze do głównej kwatery, gdy przypadł oficer na spienionym koniu.

— To od marszałka Wittemberga! — rzekł Müller.

Tymczasem oficer oddał mu list. Jenerał rozerwał szybko pieczęcie i przebiegłszy pismo oczyma, rzekł ze zmieszaniem w twarzy:

— Nie! To z Poznania... złe wieści. W Wielkopolsce szlachta się podnosi, lud łączy się z nią... Na czele ruchu stoi Krzysztof Żegocki, który chce iść na pomoc Częstochowie.

— Przepowiedziałem, że te strzały rozlegną się od Karpat do Bałtyku — mruknął Sadowski. — U tego narodu prędka odmiana. Jeszcze wy nie znacie Polaków, poznacie ich później.

— Dobrze! poznamy ich! — odparł Müller. — Wolę otwartego nieprzyjaciela, niż fałszywego sprzymierzeńca... Sami się poddali, a teraz broń podnoszą... Dobrze! doznają naszej broni!

— A my ich — odburknął Sadowski. — Panie jenerale, kończmy układami z Częstochową; przystańmy na wszelkie warunki... Nie o twierdzę chodzi. ale o panowanie jego kr. mości w tym kraju.

— Mnisi się poddadzą — rzekł Wrzeszczowicz. — Dziś. jutro poddadzą się!

Tak oni ze sobą rozmawiali, a w klasztorze po rannej mszy panowała radość niezmierna. Ci, którzy na wycieczkę nie chodzili, wypytywali jej uczestników: jak się wszystko odbyło? Uczestnicy zaś chełpili się strasznie, wysławiając swoje męstwo i klęskę, którą nieprzyjacielowi zadali.

Między księżmi i niewiastami nawet ciekawość przemogła. Białe habity i niewieście szaty zaległy mury. Piękny i radosny był to dzień. Niewiasty skupiły się koło pana Piotra Czarnieckiego, wołając: — Zbawca nasz! opiekun!— On zaś bronił się, zwłaszcza, gdy w ręce chciały go całować i ukazując na Kmicica, mówił:

— Temu także dziękujcie! Babinicz on jest, ale nie baba! W ręce on się całować nie da, bo mu się jeszcze od krwi lepią; ale jeśli która z młodszych w gębę zechce, to tak myślę, że się nie będzie wzdragał!

Młodsze rzucały istotnie wstydliwe i wabne zarazem spojrzenia na pana Andrzeja, podziwiając wspaniałą jego urodę; lecz on nie odpowiadał oczyma na owe nieme pytania, bo mu widok tych dziewcząt przypomniał Oleńkę.

— Ej, ty moja nieboga! — pomyślał — żebyś choć wiedziała, że ja już u Najświętszej Panny na ordynansie, w Jej obronie się tym nieprzyjaciołom oponuję, którym ku swojemu umartwieniu służyłem dawniej...

I obiecał sobie, że zaraz po oblężeniu do niej do Kiejdan napisze i Sorokę z listem popchnie. — Przecie nie gołe słowa i obietnice jej poszlę, bo już i uczynki są za mną, które bez chwalby próżnej, ale akuratnie w liście wypiszę. Niech wie, że to ona sprawiła, niech się ucieszy!

I ucieszył się sam tą myślą tak dalece, że ani zauważył, jako dziewczęta mówiły do siebie, odchodząc:

— Grzeczny kawaler, ale widać za wojną jeno patrzy i mruk nieużyty...

ROZDZIAŁ XVI.

Zgodnie z życzeniami swych oficerów, Müller znowu rozpoczął układy. Przybył do klasztoru z nieprzyjacielskiego obozu znamienity szlachcic polski, poważny wiekiem i wymową. Jasnogórcy przyjęli go gościnnie, sądzili bowiem, że wrzekomo i z musu tylko będzie przemawiał za poddaniem klasztoru, a naprawdę doda im zachęty i potwierdzi nowiny, które już i przez mury oblężone się przedarły, o powstaniu w Wielkopolsce, o zniechęceniu wojsk kwarcianych dla Szweda, o układach Jana Kazimierza z kozakami, którzy jakoby okazywali chęć powrotu do posłuszeństwa, wreszcie o groźnej zapowiedzi chana tatarskiego, że idzie w pomoc wygnanemu królowi i wszystkich jego nieprzyjaciół ogniem i mieczem ścigać będzie.

Lecz jakże się zawiedli zakonnicy! Personat przyniósł bowiem wprawdzie sporą wiązkę nowin, ale przerażających, zdolnych największy zapał ostudzić, najniezłomniejsze postanowienie złamać, najgorętszą wiarę zachwiać.

Otoczyli go księża i szlachta w definitorjum wśród ciszy i uwagi; z jego ust zaś zdawała się płynąć sama szczerość i boleść nad losami ojczyzny. Rękę często kładł na biełej głowie, jak gdyby chcąc wybuch desperacji powstrzymać, patrzył na krucyfiks, łzy miał w oczach i głosem powolnym, przerywanym, następujące mówił słowa:

— Ach! jakich to czasów doczekała się strapiona ojczyzna! Niema już rady! trzeba ulec królowi szwedzkiemu... Zaprawdę, dla kogoż wy tu, ojcowie czcigodni i wy, panowie bracia szlachta, chwyciliście za miecze? Dla kogoż wy nie żałujecie niewywczasów, trudu, umęczenia, krwi? Dla kogoż przez opór — niestety, próżny! — narażacie siebie i święte miejsce na straszliwą zemstę niezwyciężonych

szwedzkie zastępów?... Dla Jana Kazimierza? Lecz on sam wzgardził już naszem królestwem. Zali to nie wiecie nowiny, że wybór już uczynił i przekładając dostatki, wesołe uczty i spokojne uciechy nad kłopotliwą koronę, abdykował na rzecz Karola Gustawa? Wy jego nie chcecie opuścić, a on sam was opuścił; wy nie chcieliście łamać przysięgi, on sam ją złamał; wy gotowiście umrzeć dla niego, on zaś o was i nas wszystkich nie dba... Prawym królem naszym jest teraz Karol Gustaw! Patrzcie więc, byście nie ściągnęli na głowy wasze nietylko gniewu, zemsty, ruiny, ale i grzechu wobec nieba, wobec krzyża i tej Najświętszej Panny, bo nie przeciw najeźdźcy, ale przeciw własnemu panu ręce zuchwale podnosicie...

Cisza przyjęła te słowa, jakoby śmierć przeleciała przez salę.

Co mogło być bowiem straszniejszego od nowiny o abdykacji Jana Kazimierza? Była to wprawdzie wieść potwornie nieprawdopodobna, lecz owóż ten stary szlachcic mówił ją wobec krzyża, wobec obrazu Marji i ze łzami w oczach.

Ale jeśli była prawdziwą, to dalszy opór był istotnie szaleństwem. Szlachta pozakrywała oczy rękoma, mnisi nasunęli na głowy kaptury i cisza grobowa trwała ciągle; tylko ksiądz Kordecki jął szeptać gorliwie modlitwę zbladłemi wargami, a oczy jego spokojne, głębokie, świetliste i przenikliwe, utkwione były nieruchomie w owego szlachcica.

Ten czuł na sobie badawczy ów wzrok i źle mu było pod nim i ciężko, chciał zachować miarkę powagi, dobrotliwości, zbolałej cnoty, życzliwości i nie mógł; jął więc rzucać niespokojne spojrzenia na innych ojców, a po chwili tak dalej mówił:

— Najgorszą jest rzeczą zapalać zawziętość przez długie nadużywanie cierpliwości. Skutkiem waszego oporu będzie zniszczenie tego świętego kościoła i nałożenie wam (Boże odwróć) okropnej i srogiej woli, której słuchać będziecie musieli. Wstręt i unikanie spraw światowych jest bronią zakonników. Co macie do czynienia z wrzawą wojenną, wy,

których przepisy zakonne do samotności i milczenia powołują? Bracia moi, ojcowie czcigodni i najmilsi! Nie bierzcie na serca, nie bierzcie na sumienia wasze tak strasznej odpowiedzialności... Nie wy budowaliście ten święty przybytek, nie dla was jednych ma on służyć! Pozwólcie, aby kwitnął i błogosławił tej ziemi po długie wieki, by synowie i wnuki nasze jeszcze cieszyć się nim mogły!

Tu zdrajca ręce złożył i załzawił się zupełnie; szlachta milczała, ojcowie milczeli; zwątpienie ogarnęło wszystkich, serca były zmęczone i rozpaczy bliskie, pamięć zmarnowanych i próżnych usiłowań ołowiem zaciężyła umysłom.

— Czekam waszej odpowiedzi, ojcowie! — rzekł szanowny zdrajca, spuszczając głowę na piersi.

Wtem ksiądz Kordecki powstał i głosem, w którym nie było najmniejszego wahania, żadnego zwątpienia, rzekł, jakby w proroczem widzeniu:

— To, co waszmość mówisz, że Jan Kazimierz nas opuścił, że już abdykował i prawa swe Karolowi przekazał — to kłamstwo! W serce wygnanego naszego pana wstąpiła nadzieja i nigdy gorliwiej, jak w tej chwili nie pracował, by ojczyźnie ratunek zapewnić, tron odzyskać i nam pomoc w ucisku przynieść!

Maska spadła odrazu z twarzy zdrajcy; złość i zawód odbiły się w niej wyraźnie, jakoby smoki naraz wypełzły z jaskiń jego duszy, w których kryły się dotąd.

Skąd ta wiadomość? Skąd ta pewność? — pytał.

— Stąd! — odrzekł ksiądz Kordecki, ukazując wielki krucyfiks zawieszony na ścianie. — Idź! połóż palec na przebitych nogach Chrystusowych i powtórz raz jeszcze, coś powiedział!

Zdrajca giąć się począł, jakby pod naciskiem żelaznej ręki; z jaskiń jego duszy nowy smok, przestrach, wypełznął na oblicze.

A ksiądz Kordecki stał ciągle wspaniały, groźny, jak Mojżesz: promienie zdawały mu się strzelać ze skroni.

— Idź, powtórz! — rzekł, nie zniżając ręki, głosem tak

potężnym, że aż wstrząśnięte sklepienia definitorjum zadrżały i powtórzyły, jakby w przerażeniu:

— Idź powtórz...

Nastała chwila głuchego milczenia, wreszcie rozległ się przytłumiony głos przybysza:

— Umywam ręce...

— Jak Piłat! — dokończył ksiądz Kordecki.

Zdrajca wstał i wyszedł z definitorjum. Przesunął się szybko przez podwórce klasztorne, a gdy się znalazł za bramą, począł biec prawie, jakby go coś gnało od klasztoru do Szwedów.

Tymczasem pan Zamoyski zbliżył się do Czarnieckiego i Kmicica, którzy w definitorjum nie byli, aby im powiedzieć, co zaszło.

— Zali przyniósł co dobrego ten poseł? — spytał pan Piotr — uczciwą miał twarz...

— Boże nas chowaj od takich uczciwych! — odpowiedział pan miecznik sieradzki — przyniósł zwątpienie i pokusę.

— Cóż mówił? — rzekł Kmicic, podnosząc nieco ku górze zapalony lont, który właśnie trzymał w ręku.

— Mówił, jak płatny zdrajca.

— To też dlatego może tak umyka teraz! — rzekł pan Piotr Czarniecki. — Patrzcie waszmościowie, ledwie nie pędem ku Szwedom bieży... Ej! posłałbym za nim kulę...

— A dobrze! — rzekł nagle Kmicic.

I przyłożył lont do zapału.

Rozległ się huk działa, prędzej nim Zamoyski i Czarniecki mogli się pomiarkować, co się stało. Zamoyski za głowę się porwał.

— Na Boga! — krzyknął — coś uczynił!... toż to poseł!

— Złem uczynił! — odrzekł, patrząc wdal Kmicic — bom chybił! Już się podniósł i zmyka dalej. Ej! że też go przeniosło!

Tu zwrócił się do Zamoyskiego:

— Panie mieczniku dobrodzieju, choćbym go też był i w krzyże dosięgnął, nie dowiedliby nam, żeśmy umyślnie do niego strzelili, a dalibóg nie mogłem lontu w ręku utrzymać. Sam mi opadł. Nigdybym za posłem Szwedem nie strzelił, ale na widok Polaków zdrajców wnętrzności się we mnie przewracają!

— Ej! miarkujże się, byłaby bieda i gotowiby tam naszym posłom krzywdy czynić.

Lecz Pan Czarniecki kontent był w duszy, bo Kmicic dosłyszał go, jak mruczał pod nosem:

— Przynajmniej ten zdrajca drugi raz pewnie nie podejmie się poselstwa.

Nie uszło to i ucha Zamoyskiego, bo odrzekł:

— Nie ten, to znajdą się drudzy, a waszmościowie układom wstrętu nie czyńcie i samowolnie ich nie przerywajcie, gdyż im dłużej się wloką, tem bardziej na naszą korzyść wychodzą. Odsiecz, jeśli nam Bóg jakową ześle, będzie miała czas się zebrać, a i zima idzie sroga, czyniąc coraz trudniejsze oblężenie. Czas, dla nich stratę, dla nas korzyść przynosi.

To rzekłszy, odszedł do definitorjum, gdzie po odejściu posła trwała jeszcze narada. Słowa zdrajcy przeraziły jednak umysły i dusze były zwarzone. Nie uwierzono wprawdzie w abdykację Jana Kazimierza, ale poseł przywiódł przed oczy potęgę szwedzką, o której szczęśliwe dnie poprzednie pozwoliły prawie zapomnieć. Teraz na nowo przedstawiła się ona umysłom w całej swej grozie, której ulękły się przecież nie takie twierdze, nie takie miasta. Poznań, Warszawa, Kraków, nie licząc mnóstwa zamków, otworzyły swe bramy przed zwycięzcą, jakże mogła się obronić wśród powszechnego potopu klęsk Jasna Góra?

— Będziem się bronić jeszcze tydzień, dwa, trzy, — myśleli sobie niektórzy ze szlachty i zakonników, — ale co dalej, jaki koniec tych usiłowań?

Kraj cały był jako okręt pogrążony już w otchłani, a jeno ów klasztor sterczał jeszcze jak koniec masztu nad

falami. Czyli więc mogli rozbitkowie, do tego masztu uczepieni, myśleć jeszcze nietylko o własnem ocaleniu, ale o wydobyciu całego okrętu z pod toni?

Wedle ludzkich obrachowań, nie mogli.

A jednak, właśnie w chwili, gdy pan Zamoyski wchodził zpowrotem do definitorjum, ksiądz Kordecki mówił:

— Bracia moi! Nie śpię i ja, gdy wy nie śpicie, modlę się, gdy wy Patronki naszej o ratunek błagacie. Znużenie, trud, słabość, czepiają się tak samo kości moich, jak waszych; odpowiedzialność tak samo, ba, więcej może na mnie, niż na was ciąży — dlaczegoż ja wierzę, a wy już zdajecie się wątpić?... Wejdźcie w siebie, czyli zaślepione ziemską potęgą oczy wasze nie widzą już większej siły od szwedzkiej? Czyli nie mniemacie, że żadna obrona już nie wystarczy, żadna ręka tamtej przemocy nie zmoże? Jeśli tak jest, bracia moi, to grzeszne wasze myśli i bluźnicie przeciw miłosierdziu Bożemu, przeciw wszechmocy Pana naszego, przeciw potędze tej Patronki, której sługami się mianujecie. Kto z was będzie śmiał rzec, że ta Najświętsza Królowa nie potrafi nas zasłonić i zwycięstwa nam zesłać? Więc prośmy Jej, błagajmy dniem i nocą, póki naszem wytrwaniem, naszą pokorą, naszemi łzami, ofiarowaniem ciał i zdrowia naszego nie zmiękczymy Jej serca, nie przebłagamy za dawne grzechy nasze!

— Ojcze! — odrzekł jeden ze szlachty — nie o własne gardła nam chodzi, nie o żony nasze i dzieci, ale drżymy na myśl o tych despektach, których obraz może doznać, jeżeli nieprzyjaciel twierdzę szturmem zdobędzie.

— I nie chcemy brać na siebie odpowiedzialności! — dodał drugi.

— Bo nikt nie ma prawa jej brać, nawet ksiądz przeor! — dorzucił trzeci.

I opozycja rosła, zyskiwała na odwadze, tem bardziej, że wielu zakonników milczało.

Przeor, zamiast odpowiedzieć wprost, modlić się znów począł:

— Matko Syna jedynego! — rzekł, podniósłszy oczy i ręce ku górze — jeśliś nas nawiedziła dlatego, abyśmy w Twojej stolicy przykład wytrwania, męstwa, wierności Tobie, ojczyźnie i królowi innym dali... jeśliś wybrała to miejsce, by przez nie rozbudzić sumienia ludzkie i cały kraj ocalić — zmiłujże się nad tymi, którzy zdrój łaski Twej chcą zahamować, Twym cudom przeszkodzić, woli Twej świętej się sprzeciwić...

Tu chwilę pozostał w uniesieniu, następnie zwrócił się ku zakonnikom i szlachcie:

— Kto taką odpowiedzialność weźmie na własne ramiona? Kto cudom Marji, łasce Jej, ratunkowi tego królestwa i wiary katolickiej zechce przeszkodzić?

— W imię Ojca i Syna i Ducha świętego! — ozwało się kilka głosów — uchowaj nas Bóg!

— Nie znajdzie się taki! — zawołał pan Zamoyski.

A ci z zakonników, którym poprzednio nurtowało w sercach zwątpienie, poczęli się bić w piersi, bo strach ich ogarnął niemały. I nikt z rajców nie myślał już tego wieczora o poddaniu.

Lecz chociaż serca starszych zostały wzmocnione, jednakże zgubny posiew owego sprzedawczyka wydał zatrute owoce.

Wiadomość o abdykacji Jana Kazimierza i o niepodobieństwie odsieczy, doszła przez szlachtę do niewiast, od niewiast do służby, czeladź rozszerzyła ją w wojsku, na którem jak najgorsze wywarła wrażenie. Mniej jej się przerazili wieśniacy, lecz właśnie doświadczeni żołnierze z rzemiosła, przywykli koleje wojny wedle żołnierskiej tylko modły obliczać, poczęli schodzić się ze sobą, wystawiać sobie wzajem niepodobieństwo dalszej obrony, narzekać na upór nie znających rzeczy mnichów, wreszcie zmawiać się i szeptać.

Pewien puszkarz, Niemiec, podejrzanej wiary, poradził, by żołnierze sami wzięli sprawę w rękę i porozumieli się ze Szwedami o wydanie twierdzy. Inni pochwycili tę myśl, lecz

znaleźli się i tacy, którzy nietylko oparli się stanowczo zdradzie, ale dali zaraz znać o niej Kordeckiemu.

Ksiądz Kordecki, który z największą ufnością w siły niebieskie umiał największą ziemską zapobiegliwość i ostrożność połączyć, zniszczył w zarodzie bunt tajemnie się szerzący.

Najprzód więc przywódców buntu, a na ich czele owego puszkarza wygnał z twierdzy, nie obawiając się wcale tego, że Szwedom o stanie fortecy i jej słabych stronach mogli donieść, następnie podwoiwszy miesięczną lafę załodze, odebrał od niej przysięgę, że do ostatniej kropli krwi będzie klasztoru broniła.

Lecz podwoił także i czujność, postanowiwszy jeszcze pilniej doglądać tak płatnego żołnierza, jak szlachtę, a nawet swoich zakonników. Starsi ojcowie przeznaczeni zostali do chórów nocnych; młodzi, prócz służby Bożej i służbę na murach zostali obowiązani odprawiać. Następnego dnia odbył się przegląd piechoty; przeznaczono do każdej baszty jednego szlachcica z jego czeladzią, zakonników zaś dziesięciu i dwóch puszkarzy pewnych. Wszyscy ci dzień i noc obowiązani byli powierzonych im stanowisk pilnować.

Stanął więc przy wschodnio-północnej baszcie pan Zygmunt Mosiński, żołnierz dobry, ten właśnie, którego dziecko cudownym sposobem ocalało, chociaż kula ognista padła obok jego kolebki. Z nim razem straż trzymał ojciec Hilary Sławoszewski. Przy zachodniej stanął ojciec Mielecki, ze szlachty zaś pan Mikołaj Krzysztoporski, człowiek posępny i małomówny, ale odwagi nieustraszonej. Wschodnio-południową basztę zajęli pan Piotr Czarniecki z Kmicicem, a z nimi ojciec Adamus Stypulski, który dawniej w elearskiej chorągwi służył. Ten w razie potrzeby zakasywał chętnie habitu i działo rychtował, a z kul przelatujących nie więcej sobie robił od starego wachmistrza Soroki. Nakoniec na zachodnio-południową basztę wyznaczono pana Skórzewskiego i ojca Daniela Rychtalskiego, który tem się

odznaczał, że przez dwie i trzy noce zrzędu mógł nie spać, bez szkody dla sił i zdrowia.

Nad strażami postanowiono Dobrosza i ojca Zacharjasza Małachowskiego. Niezdolnych do boju przeznaczono na dachy, a zbrojownie i wszelkie przyrządy wojenne objął w nadzór ojciec Lassota. Po księdzu Dobroszu objął on także urząd mistrza ogniowego. W nocy musiał oświetlać mury, aby piechota nieprzyjacielska nie mogła się pod nie zbliżać. Pourządzał także koszyki i kuny żelazne na wieży, w których nocą płonęło łuczywo i pochodnie.

Jakoż co noc cała wieża wyglądała jak jedna olbrzymia pochodnia. Wprawdzie ułatwiało to Szwedom strzelanie do niej, ale mogło posłużyć za znak, że twierdza broni się jeszcze, gdyby wypadkiem jakie wojsko oblężonym na pomoc przyciągało.

Tak więc nietylko zamiary poddania spełzły na niczem, ale zabrano się jeszcze gorliwiej do obrony. Chodził nazajutrz ksiądz Kordecki naokół po murach, jak pasterz po owczarni, widział, że wszystko jest dobrze i uśmiechał się błogo, chwalił naczelników i żołnierzy, a przyszedłszy do pana Czarnieckiego, rzekł rozpromieniony:

— I pan miecznik sieradzki, nasz kochany wódz, raduje się w sercu narówni ze mną, bo powiada, żeśmy teraz dwakroć mocniejsi, niż na początku. Nowy duch wstąpił w serca, reszty łaska Najświętszej Panny dokona, a ja tymczasem do układów się na nowo wezmę. Będziemy zwłóczyć i marudzić, bo przez to się krew ludzka oszczędza.

Kmicic zaś na to:

— Ej, ojcze wielebny, co tam po układach! Czasu szkoda! Lepiej oto znowu tej nocy wycieczkę uczynić i tych psiajuchów naciąć.

A ksiądz Kordecki, że to był w dobrym humorze, uśmiechnął się, jak uśmiecha się matka do naprzykrzonego dziecka, następnie podniósł powrósło leżące przy armacie i począł udawać, że bije niem Kmicica po plecach.

— A będziesz mi się tu wtrącał, utrapicny Litwinie, —

mówił, — a będziesz mi tu krwi, jako wilk łaknął, a będziesz mi tu przykład nieposłuszeństwa dawał, a masz! a masz!

Kmicic zaś rozweselony jak żak szkolny, uchylał się to w prawo, to w lewo i umyślnie niby się drażniąc, powtarzał:

— Bić Szwedów! bić! bić! bić!

Takie to oni sobie wyprawiali uciechy, mając dusze gorące i dla ojczyzny poświęcone. Lecz układów ksiądz Kordecki nie zaniechał, widząc, że Müller gorąco ich pragnie i za wszelki pozór chwyta. Cieszyła ta ochota księdza Kordeckiego, odgadywał bowiem łacno, że nie musi się nieprzyjacielowi dziać dobrze, skoro tak chciwie pragnie kończyć.

Poczęły więc płynąć dnie, jeden za drugim, w których nie milczały wprawdzie działa i rusznice, lecz głównie działały pióra. W ten sposób oblężenie przewłóczyło się, a zima nadchodziła coraz sroższa. Na szczytach Tatrów chmury wysiadywały w przepaścistych gniazdach zawieruchę, mróz, śniegi i wytaczały się na kraj, wiodąc za sobą swe lodowate potomstwo. Nocami Szwedzi tulili się do mdłych ognisk, woląc ginąć od kul klasztornych, niż marznąć.

Twarda ziemia utrudniała sypanie szańców i czynienie podkopów. Oblężenie nie postępowało. Nietylko oficerowie, ale całe wojsko miało na ustach jedno tylko słowo: „układy“.

Udawali więc księża najprzód, że się chcą poddać. Przyszli do Müllera w poselstwie ojciec Marceli Dobrosz i uczony ksiądz Sebastjan Stawicki. Ci uczynili Müllerowi niejaką nadzieję zgody. Ledwie to usłyszał, aż ręce otworzył i gotów był porwać ich z radości w objęcia. Już bowiem nie o Częstochowę, już o cały kraj chodziło. Poddanie się Jasnej Góry byłoby odebrało resztkę nadziei patrjotom i ostatecznie popchnęło Rzeczpospolitą w objęcia króla szwedzkiego, gdy przeciwnie opór i to opór zwycięski, mógł zmienić serca, umysły i wywołać straszliwą nową wojnę. Oznak naokół nie brakło. Müller wiedział o tem i czuł, w co się wdał, jak straszna zaciężyła na nim odpowiedzialność;

wiedział, że albo czeka go łaska królewska, marszałkowska buława, zaszczyty, tytuły, albo ostateczny upadek. Że zaś i sam już zaczął przekonywać się, że tego „orzecha“ nie zgryzie, przyjął więc księży z niesłychaną uprzejmością, jakby cesarskich albo sułtańskich ambasadorów. Zaprosiwszy ich na ucztę, sam pił za ich zdrowie, a również za zdrowie przeora i pana miecznika sieradzkiego; obdarzył ich rybami dla klasztoru, nakoniec podał warunki poddania się tak łaskawe, iż ani na chwilę nie wątpił, że ze skwapliwością zostaną przyjęte.

Ojcowie podziękowali pokornie, jak na zakonników przystało; wzięli papier i odeszli. Na ósmą rano zapowiedział Müller otwarcie bram. Radość w obozie szwedzkim zapanowała nieopisana. Żołnierze porzucali szańce i okopy, podchodzili pod mury i poczynali rozmowy z oblężonymi.

Lecz z klasztoru dano znać, że w sprawie tak wielkiej wagi musi przeor odwołać się do całego zgromadzenia, proszą więc zakonnicy jeszcze o jeden dzień zwłoki. Müller zgodził się bez wahania. Tymczasem w definitorjum obradowano istotnie do późna w nocy.

Jakkolwiek Müller starym był i wytrawnym wojownikiem, jakkolwiek nie było może w całej armji szwedzkiej jenerała, którýby więcej układów od tego Poliocertesa z rozmaitemi miastami prowadził, jednakże biło mu serce niespokojnie, gdy następnego ranka ujrzał dwa białe habity, zbliżające się do kwatery, którą zajmował.

Byli to nie ci sami ojcowie; przodem szedł ksiądz Maciej Błeszyński, lektor filozofji, niosąc pismo z pieczęcią; za nim postępował ojciec Zacharjasz Małachowski, z rękami skrzyżowanemi na piersiach, ze spuszczoną głową i z twarzą lekko pobladłą.

Jenerał przyjął ich w otoczeniu sztabu i wszystkich znamienitych pułkowników i odpowiedziawszy uprzejmie na pokorny ukłon ojca Błeszyńskiego, wyjął mu szybko list z ręki, rozerwał pieczęcie i począł czytać.

Lecz wnet strasznie zmieniła się twarz jego: fala krwi

uderzyła mu do głowy, oczy wyszły nawierzch, kark napęczniał i straszliwy gniew zjeżył mu włosy pod peruką. Przez chwilę mowę nawet mu odjęło, ręką tylko wskazał na list księciu Heskiemu, który przebiegł go oczyma i zwróciwszy się do pułkowników, rzekł spokojnie:

— Oświadczają mnisi tylko tyle, że dopóty nie mogą się wyrzec Jana Kazimierza, dopóki prymas nowego króla nie ogłosi, czyli inaczej mówiąc, nie chcą uznać Karola Gustawa.

Tu rozśmiał się książę Heski, Sadowski utkwił szyderczy wzrok w Müllerze, a Wrzeszczowicz począł brodę szarpać z wściekłości. Groźny szmer oburzenia powstał wśród reszty obecnych.

Wtem Müller począł uderzać dłonią po kolanie i krzyczeć:

— Rata! rata!

Wąsate twarze czterech muszkieterów ukazały się wnet we drzwiach.

— Wziąć mi te golone pałki i zamknąć — krzyknął jenerał. — Waść, panie Sadowski, otrąbisz mi pod klasztorem, że niech aby z jednego działa dadzą z murów ognia, obydwóch mnichów każę natychmiast powiesić!

Prowadzono tedy obu księży: ojca Błeszyńskiego i ojca Małachowskiego, wśród szyderstw i naigrawań się żołnierzy. Muszkietnicy zawdziewali im swe kapelusze na głowy, a raczej na twarze, tak, aby oczy były zasłonięte i umyślnie naprowadzali ich na rozmaite przeszkody, a gdy który z księży potknął się lub upadł, wówczas rozlegał się wybuch śmiechu wśród gromad żołnierstwa, upadłego zaś podnoszono kolbami i niby podpierając go, tłuczono po krzyżu i ramionach. Inni rzucali na nich nawozem końskim, inni chwytali w dłonie śnieg i rozcierali go na tonsurach lub wpuszczali księżom za habity. Odczepiono sznurki od trąbek i przywiązano ojcom do szyi, poczem żołdacy chwycili za drugi koniec i udając, że prowadzą bydło na jarmark, wykrzykiwali w głos ceny.

Oni obaj szli cicho z rękami złożonemi na piersiach, z modlitwą na ustach. Zamknięto ich wreszcie w stodole drżących od zimna. sponiewieranych; naokoło zaś stanęły straże z muszkietami.

Pod klasztorem otrąbiono już rozkaz, a raczej groźbę Müllera.

Zlękli się ojcowie, zdrętwiało ze zgrozy wojsko całe. Działa umilkły; rada zebrana nie wiedziała co począć. Zostawić ojców w barbarzyńskich rękach niepodobna; posłać drugich, to ich Müller znowu zatrzyma. Wszelako w kilka godzin później sam on przysłał posłańca z zapytaniem , co mnisi myślą uczynić?

Odpowiedziano mu, że póki ojców nie uwolni, żadne układy nie mogą mieć miejsca, bo jakże zakonnicy mogą wierzyć, że jenerał dotrzyma im warunków, jeżeli wbrew kardynalnemu prawu narodów więzi posłów, których nietykalność barbarzyńskie nawet ludy szanują.

Na to oświadczenie nie było prędkiej odpowiedzi, straszna niepewność zaciężyła więc nad klasztorem i zmroziła zapał w obrońcach.

Wojska zaś szwedzkie, ubezpieczone przez zatrzymanie jeńców, pracowały gorączkowo nad zbliżeniem się do niedostępnej dotąd twierdzy. Sypano nagwałt nowe szańce, stawiano kosze z ziemią, ustawiano armaty. Zuchwałe żołnierstwo podsuwało się pod mury na pół strzału z rusznicy. Wygrażali kościołowi, obrońcom. Wpół pijani żołdacy krzyczeli, wznosząc ręce ku murom:

— Poddajcie klasztor, albo wiedzcie, że wasze mnichy wisieć będą!

Inni bluźnili strasznie przeciwko Bogarodzicy i wierze katolickiej. Oblężeni. ze względu na życie ojców, słuchać musieli cierpliwie. Kmicicowi wściekłość zapierała oddech w piersi. Darł włosy w czuprynie, szaty na sobie i łamiąc ręce. powtarzał do pana Piotra Czarnieckiego:

— Ot. mówiłem, mówiłem, naco układy ze złodziejami! Teraz stój, cierp! a oni lazą w oczy, a bluźnią!... Matko

Boża! zmiłuj się nade mną, daj mi wytrwanie!... Na Boga żywego! niezadługo na mury zaczną leźć!... Trzymajcież mnie, okujcie mnie, jak zbója, bo nie wytrzymam!

Tamci zaś zbliżali się coraz bardziej i bluźnili coraz śmielej.

Tymczasem zaszedł nowy wypadek, który do rozpaczy przywiódł oblężonych. Pan kasztelan kijowski, poddając Kraków, wymówił sobie, że wyjdzie z całem wojskiem i pozostanie wraz z niem na Śląsku aż do końca wojny. Siedmset piechoty z tych wojsk, gwardji królewskiej pod wodzą pułkownika Wolfa, stało tuż w pobliżu nad granicą i ufając traktatom, nie miało się na baczności.

Owóż Wrzeszczowicz namówił Müllera, ażeby tych ludzi zagarnął. Ten wysłał samego Wrzeszczowicza z dwoma tysiącami rajtarji, którzy nocą przeszedłszy granicę, napadli na uśpionych i zabrali ich co do jednego. Sprowadzonych do obozu szwedzkiego kazał Müller umyślnie obwodzić naokoło muru, aby okazać księżom, że to wojsko, od którego spodziewali się odsieczy, posłuży właśnie do zdobywania Częstochowy.

Widok też to był przerażający dla oblężonych tej świetnej gwardji królewskiej, wleczonej wedle murów; nikt bowiem nie wątpił, że ich pierwszych zmusi Müller do szturmu.

Popłoch ukazał się znów w wojsku; niektórzy żołnierze poczęli broń łamać i wołać, że niema już rady, jeno trzeba się poddawać jak najprędzej. Serca upadły i w szlachcie.

Niektórzy z nich znów wystąpili do Kordeckiego z prośbami, aby miał litość nad ich dziećmi, nad świętem miejscem, nad obrazem i nad zgromadzeniem zakonnem. Zaledwie powaga przeora i pana Zamoyskiego starczyły do uciszenia tego rozruchu.

A ksiądz Kordecki miał przedewszystkiem na myśli uwolnienie uwięzionych ojców i chwycił się najlepszego sposobu, napisał bowiem list do Müllera, że chętnie dla dobra Kościoła owych braci poświęci. Niech więc jenerał

skazuje ich na śmierć; będą potem wszyscy inni wiedzieć, czego się po nim mogą spodziewać i jaką wiarę do jego przyrzeczeń przywiązywać.

Müller radosny był, bo sądził, że dopływa do końca. Nie odrazu jednak uwierzył słowom Kordeckiego i jego gotowości poświęcenia zakonników. Więc jednego z nich, księdza Błeszyńskiego, wysłał do klasztoru, zobowiązawszy go najprzód przysięgą, że wróci sam dobrowolnie bez względu na to, jaką odpowiedź przyniesie. Zobowiązał go również przysięgą, że wystawi potęgę szwedzką i niepodobieństwo oporu. Zakonnik powtórzył wszystko wiernie, lecz oczy jego mówiły co innego, a wkońcu rzekł:

— Lecz życie niżej ceniąc, niż dobro zgromadzenia, czekam na postanowienie rady, a co wy uchwalicie, najwierniej nieprzyjacielowi z powrotem oznajmię.

Kazano mu odpowiedzieć, że zakon pragnie układów, ale nie może wierzyć jenerałowi, który posłów więzi. Na drugi dzień przyszedł do klasztoru drugi z wysłanych ojców Małachowski i z podobną odszedł odpowiedzią.

Wówczas obaj usłyszeli wyrok śmierci.

Było to w kwaterze Müllera, w obecności sztabu i znamienitych oficerów. Wszyscy oni patrzyli pilnie w twarze zakonników, ciekawi, jakie też wyrok wywrze na nich wrażenie i z największem zdumieniem ujrzeli na obydwóch radość tak wielką, tak nieziemską, jakby najwyższe zwiastowano im szczęście. Wybladłe policzki zakonników zarumieniły się nagle, oczy napełniły się światłem i ojciec Małachowski rzekł drżącym ze wzruszenia głosem:

— Ach! czemuż dzisiaj nie umieramy, skoro ofiarą za Boga i króla paść nam przeznaczono!...

Müller kazał ich natychmiast wyprowadzić. Pozostali oficerowie spoglądali jedni na drugich, nakoniec któryś ozwał się:

— Z podobnym fanatyzmem trudna walka.

A książę Heski na to:

— Podobną wiarę mieli tylko pierwsi chrześcijanie... Toś waćpan chciał rzec?

Następnie zwrócił się do Wrzeszczowicza.

— Panie Weyhard, — rzekł, — radbym wiedzieć, co pan myślisz o tych mnichach?

— Nie potrzebuję sobie nimi głowy zaprzątać; — odrzekł zuchwale Wrzeszczowicz, — pan jenerał już o nich pomyślał!

Wtem Sadowski wystąpił na środek izby i stanął przed Müllerem.

— Wasza dostojność nie każesz tych mnichów stracić! — rzekł stanowczo.

— A to czemu?

— Dlatego, że wówczas o jakichkolwiek układach mowy już nie będzie, że załoga twierdzy zapłonie zemstą, że ci ludzie prędzej jeden na drugim w takim razie padną, niż się poddadzą...

— Wittemberg przysyła mi ciękie działa.

— Wasza dostojność nie uczynisz tego, — mówił z mocą Sadowski, — gdyż to są posłowie, którzy w zaufaniu tu przybyli!

— Ja też ich nie na zaufaniu każę powiesić, tylko na szubienicy.

— Echo tego czynu rozlegnie się w całym kraju, wzburzy wszystkie serca i odwróci je od nas.

— Daj mi waćpan pokój ze swemi echami!... Słyszałem już o nich sto razy.

— Wasza dostojność nie uczynisz tego bez wiedzy jego kr. mości.

— Waćpan nie masz prawa przypominać mi moich obowiązków względem króla!

— Ale mam prawo prosić o uwolnienie ze służby, a powody jego kr. mości przedstawić. Chcę być żołnierzem, nie katem!...

Książę Heski wystąpił zkolei na środek izby i rzekł ostentacyjnie:

— Panie Sadowski, daj mi twą rękę. Pan jesteś szlachcic i uczciwy człowiek!

— Co to jest? co to znaczy?! — ryknął Müller, zrywając się z siedzenia.

— Jenerale, — rzekł zimno książę Heski, — pozwalam sobie mniemać, że pan Sadowski jest uczciwym człowiekiem i sądzę, że niemasz w tem nic przeciwnego dyscyplinie?

Müller nie lubił księcia Heskiego, ale jak wielu ludziom niższego pochodzenia, tak i jemu imponował w najwyższy sposób ów chłodny, grzeczny, a zarazem pogardliwy sposób mówienia, właściwy ludziom wysokiej godności. Müller starał się nawet mocno przyswoić sobie ową manierę, co mu się zresztą nie udawało. Pohamował jednak wybuch i rzekł spokojniej:

— Mnichy będą jutro wisieć.

— To nie moja rzecz, — odrzekł książę Heski, — ale w takim razie każ wasza dostojność dziś jeszcze uderzyć na te dwa tysiące Polaków, którzy są w naszym obozie, bo jak tego nie uczynisz, to oni jutro uderzą na nas... Już i tak bezpieczniej szwedzkiemu żołnierzowi iść między stado wilków, niż między ich namioty. Oto wszystko, co chciałem powiedzieć, a teraz pozwalam sobie życzyć waszej dostojności powodzenia...

To rzekłszy, wyszedł z kwatery.

Müller pomiarkował, iż zapędził się zbyt daleko. Lecz rozkazów nie cofnął i tego samego dnia jeszcze zaczęto wznosić szubienicę na oczach całego klasztoru. Jednocześnie żołdacy, korzystając z zawartego zawieszenia broni, cisnęli się jeszcze bliżej murów, nie przestając szydzić, urągać, bluźnić, wyzywać. Całe tłumy ich wdzierały się na górę; stali tak gęsto, jakoby zamierzali iść do szturmu.

Wtem pan Kmicic, którego nie okuli, jak o to prosił, nie wytrzymał istotnie i gruchnął z działa w największą kupę, tak skutecznie, że pokotem położył tych wszystkich żołnierzy, którzy się naprzeciw wylotu znajdowali. Było to

jakby hasło, bo naraz, bez rozkazów, a nawet wbrew im, zagrały wszystkie działa, huknęły rusznice i garłacze.

Szwedzi zaś wystawieni ze wszech stron na ogień, z wyciem i rykiem uciekać poczęli od twierdzy, gęsto po drodze trupem padając.

Czarniecki przyskoczył do Kmicica.

— A wiesz, że za to kula w łeb?

— Wiem, wszystko mi jedno! Niech mnie!...

— To w takim razie mierz dobrze!

Kmicic mierzył dobrze.

Wkrótce jednak zabrakło mu celu. Wielkie poruszenie stało się tymczasem w obozie szwedzkim, lecz było tak jasnem, że pierwsi Szwedzi zgwałcili zawieszenie broni, iż Müller sam w duchu przyznawał słuszność jasnogórcom.

Co więcej! Kmicic ani się spodziewał, że swemi strzałami uratował prawdopodobnie życie ojcom, bo wskutek nich Müller stanowczo przekonał się, że zakonnicy w ostatnim razie istotnie gotowi są dla dobra Kościoła i klasztoru poświęcić dwóch współbraci. Strzały wbiły mu przytem do głowy i tę myśl, że jeśli włos spadnie z głowy posłów, tedy już nic innego, prócz podobnych grzmotów, nie usłyszy ze strony klasztoru.

I nazajutrz zaprosił obydwóch uwięzionych zakonników na obiad, następnego zaś dnia odesłał ich do klasztoru.

Płakał ksiądz Kordecki na ich widok, wszyscy brali ich w ramiona i zdumiewali się, słysząc z ich ust, że właśnie owym wystrzałom winni są ocalenie. Przeor, który poprzednio gniewał się na Kmicica, przywołał go zaraz i rzekł:

— Gniewałem się, bo myślałem, żeś ich zgubił, ale ciebie widocznie Najświętsza Panna natchnęła. Znak to łaski, raduj się!...

— Ojcze najdroższy, kochany, nie będzie już układów? — pytał Kmicic, całując go po rękach.

Ale ledwie to wymówił, ledwie skończył, gdy trąbka ozwała się przy bramie i nowy poseł od Müllera wszedł do klasztoru.

Był to pan Kuklinowski, pułkownik chorągwi wolentarskiej, włóczącej się ze Szwedami.

Najwięksi warchołowie, bez czci i wiary, służyli w tej chorągwi, a poczęści dysydenci, jako lutrowie, arjanie, kalwini. Tem się tłumaczyła ich przyjaźń dla Szwedów, lecz głównie zagnała ich do müllerowskiego obozu chęć grabieży i łupów. Szajka ta złożona ze szlachty, banitów, ludzi zbiegłych z wież i rąk mistrza, a z czeladzi wisielców, urwanych od powroza, podobna była nieco do dawnej Kmicicowej partji, tylko tamci bili się jak lwy, ci woleli rabować, krzywdzić szlachcianki po dworach, rozbijać stajnie i skrzynie. Kuklinowski sam mniej był zato podobny do Kmicica. Wiek przyprószył siwizną jego włosy, twarz miał zwiędłą, zuchwałą i bezczelną. Oczy, nadzwyczaj wypukłe i drapieżne, zwiastowały gwałtowność charakteru. Był to jeden z tych żołnierzy, w których wskutek hulaszczego życia, ciągłych wojen, sumienie wypaliło się do dna. Mnóstwo podobnych kręciło się wówczas po wojnie trzydziestoletniej w całych Niemczech i Polsce. Gotowi oni byli służyć każdemu i nieraz prosty tylko wypadek rozstrzygał, po której stawali stronie.

Ojczyzna, wiara, słowem wszystkie świętości, były im zupełnie obojętne. Wyznawali jedną tylko żołnierkę, szukali w niej uciech, rozpusty, korzyści i zapomnienia życia. Wszelako, obrawszy jakiś obóz, służyli mu zwykle dość wiernie, a to przez pewien honor żołniersko-rozbójniczy i dlatego, aby nie psuć sobie i innym wziętości. Takim był i Kuklinowski. Sroga odwaga i niezmierna zawziętość wyrobiły mu mir między warchołami. Łatwo mu przychodziło werbować ludzi. Wiek życia przesłużył w różnych broniach i obozach. Był na Siczy atamanem; wodził pułki na Wołoszczyznę; w Niemczech werbował ochotników w czasie trzydziestoletniej wojny i zyskał pewną sławę jako dowódca jazdy. Krzywe jego nogi, wygięte nakształt pałąków, znamionowały, że większą część życia spędził na koniu. Chudy był przytem jak trzaska i nieco pochylony z rozpusty. Siła krwi, nietylko w wojnach przelanej, ciężyło na nim. A jednak

nie był to człowiek z natury zupełnie zły, miewał czasem szlachetniejsze popędy, był tylko do szpiku kości zepsuty i rozzuchwalony. Sam bowiem nieraz mawiał w zaufanej kompanji po pijanemu: — Spełniło się niejeden uczynek, za który powinien był piorun trzasnąć, a nie trzasnął.

Ta bezkarność sprawiła, że nie wierzył w sprawiedliwość Bożą i karę, nietylko za życia, ale i po śmierci, inaczej mówiąc, nie wierzył w Boga, wierzył jednak w djabła, w czarownice, w astrologów i w alchemję.

Nosił się po polsku, gdyż uważał ten strój za najodpowiedniejszy dla kawalerzysty; jeno wąs, jeszcze czarny, podstrzygał po szwedzku i rozczapierzał w zadartych do góry końcach. Mówiąc, zdrobniał wszystkie wyrazy, jak dziecko, co dziwne czyniło wrażenie w ustach takiego wcielonego djabła i okrutnika, żłopiącego krew ludzką. Mówił dużo i chełpliwie, oczywiście miał się za znamienitą osobę i jednego z pierwszych w świecie pułkowników jazdy.

Müller, który lubo w szerszym zakroju, sam do podobnego gatunku ludzi należał, cenił go wielce, a zwłaszcza lubił go sadzać u swego stołu. Obecnie Kuklinowski sam narzucił mu się na pomocnika, zaręczając, że wymową swą wnet księży do opamiętania przywiedzie.

Poprzednio jeszcze, gdy po aresztowaniu księży pan Zamoyski, miecznik sieradzki, wybierał się sam własną osobą do obozu Müllera i żądał zakładnika, Müller posłał Kuklinowskiego; pan Zamoyski i ksiądz Kordecki nie przyjęli go jednak, jako człeka nieodpowiedniej godności.

Od tej pory, dotknięty w miłości własnej Kuklinowski, powziął śmiertelną urazę do obrońców Jasnej Góry i postanowił wszelkiemi siłami im szkodzić.

Wybrał się więc w poselstwie, raz dla samego poselstwa, a po wtóre, żeby wszystko obejrzeć i tu i owdzie złe ziarno rzucić. Ponieważ zdawna znajomy był panu Czarnieckiemu, zbliżył się zatem do bramy przez niego strzeżonej; lecz pan Czarniecki spał właśnie. Kmicic go zastępował; on też wprowadził gościa i zawiódł go do definitorjum.

Kuklinowski rzucił okiem znawcy na pana Andrzeja i wnet wpadła mu bardzo w oko nietylko postawa, ale i wzorowy żołnierski moderunek młodego junaka.

— Żołnierzyk zaraz prawdziwego żołnierzyka odgadnie — rzekł, podnosząc rękę do kołpaka. — Nie spodziewałem się, żeby księżulkowie mieli tak grzecznych oficerów na kondycyjce. Jakże godność, proszę?...

W Kmicicu, który miał gorliwość każdego nowonawróconego, aż dusza się wzdrygała, szczególnie na Polaków, Szwedom służących; jednakże wspomniał na niedawne gniewy księdza Kordeckiego, na wagę, którą tenże do układów przywiązywał, więc odrzekł chłodno, ale spokojnie:

— Jestem Babinicz, dawny pułkownik wojsk litewskich, a teraz wolentarjusz w służbie Najświętszej Panny.

— A ja Kuklinowski, także pułkownik, o którym musiałeś waść słyszeć, bo czasu niejednej wojenki o tem nazwisku i o tej szabelce (tu uderzył się po boku) wspominano nietylko tu w Rzeczypospolitce, ale i zagranicą.

— Czołem, — rzekł Kmicic, — słyszałem.

— No, proszę... to waść z Litwy?... I tam bywają sławni żołnierze... My to wiemy o sobie, bo też trąbę sławy słychać z jednego końca świata w drugi... Znałżeś tam waszmość niejakiego Kmicica?

Pytanie padło tak nagle, że pan Andrzej stanął jak wryty.

— A waszmość czemu się o niego pytasz?

— Bo go miłuję, choć go nie znam; bośmy do siebie podobni, jak para butów... i to zawsze powtarzam: dwóch jest (z przeproszeniem waszmości) prawdziwych żołnierzy w tej Rzeczypospolitej: ja w Koronie, a Kmicic na Litwie... Para gołąbków, co?! Znałżeś go waść osobiście?

— Bodaj cię zabito! — pomyślał Kmicic.

Lecz wspomniawszy na poselski charakter Kuklinowskiego, odrzekł głośno:

— Osobiście go nie znałem... Ale owoż wejdź pan, bo tam już rada oczekuje.

To rzekłszy, wskazał mu drzwi, z których na przyjęcie gościa wyszedł jeden z księży. Kuklinowski udał się z nim razem do definitorjum, lecz przedtem jeszcze odwrócił się do Kmicica.

— Miło mi będzie, panie kawalerze, — rzekł, jeśli i zpowrotem ty mnie odprowadzisz, nie kto inny.

— Zaczekam tu na waszmości — odpowiedział pan Kmicic.

I pozostał sam. Po chwili począł chodzić tam i napowrót prędkiemi krokami. Wzburzyła się w nim cała dusza, a serce zalewało mu się krwią czarną ze złości.

— Smoła tak nie przylega do szaty, jak niesława do imienia! — mruczał. — Ten łotr, ten wyga, ten sprzedawczyk, śmiele się bratem moim mianuje i za kompanjona mnie ma. Ot, czegom się doczekał! Wszyscy wisielcy się do mnie przyznają, a nikt zacny bez abominacji nie wspomni. Małom jeszcze uczynił, mało!... Żebym przynajmniej mógł tego szelmę nauczyć... Nie może być inaczej, tylko go sobie zakarbuję...

Narada w definitorjum trwała długo. Uczyniło się ciemno.

Kmicic czekał jeszcze.

Nakoniec ukazał się pan Kuklinowski. Twarzy jego nie mógł dojrzeć pan Andrzej, ale z szybkiego sapania wnosił, że misja zgoła mu się nie udała i zarazem nie przypadła do smaku, bo nawet do gawędy stracił ochotę. Szli więc czas jakiś w milczeniu; tymczasem postanowił Kmicic dowiedzieć się prawdy, rzekł tedy, udając umyślnie współczucie:

— Pewnie z niczem waszmość wracasz... Nasi księża uparci, a mówiąc między nami (tu zniżył głos) źle czynią, bo przecie wieki bronić się nie możem.

Pan Kuklinowski stanął i pociągnął go za rękaw.

— A, sądzisz waść, sądzisz, że źle robią? Masz rozumek, masz! Księżulkowie pójdą na otręby — ja w tem! Kuklinowskiego nie chcą słuchać, posłuchają jego miecza.

— Widzi waść, mnie też o nich nie chodzi, — odrzekł

Kmicic, — ale o miejsce, które jest święte, niema co mówić!... a które im później się podda, tem kondycje sroższe być muszą... Chyba, że to prawda, co mówią, iż w kraju powstają hałasy, że tu i owdzie poczynają Szwedów siec i że chan w pomoc ciągnie. Jeśli tak to Müller musi odstąpić.

— Waćpanu w zaufaniu powiem: ochotka na szwedzką juszkę budzi się w kraju, a podobno i w wojsku, prawda!... O chanie także gadają! Ale Müller nie odstąpi. Za parę dni działa ciężkie nam przyjdą... Wykopiemy tych lisów z jamy, a później co będzie, to będzie!... Ale waćpan rozumek masz!

— Ot i brama! — rzekł Kmicic — tu muszę waści pożegnać... Chyba, że chcesz, bym cię po pochyłości sprowadził?

— Sprowadź, sprowadź! Parę dni temu strzeliliście za posłem!...

— At! co waść mówisz!?

— Może niechcący... Ale lepiej sprowadź waćpan... Mam ci też kilka słów rzec.

— I ja waćpanu.

— To i dobrze.

Wyszli za bramę i pogrążyli się w ciemności. Tu Kuklinowski stanął i chwyciwszy znów Kmicica za rękaw, mówić począł:

— Waćpan, panie kawalerze, wydajesz mi się roztropny i przemyślny, a przytem czuję w tobie żołnierzyka z krwi i z kości... Poco ci u licha z księżmi, nie z wojskowymi trzymać, poco księżym parobkiem być?... Lepsza u nas i weselsza kompanja przy kielichach, kościach, z dziewczętami... Rozumiesz? co?

Tu ścisnął mu ramię palcami.

— Ten dom — mówił dalej, ukazując palcem na twierdzę — pali się... a głupi, kto z palącego się domu nie ucieka. Waćpan może imienia zdrajcy się boisz?... Pluń na tych, co cię tak nazwą! Chodź do naszej kompanji... Ja, Kukli-

nowski, to waści proponuję. Chcesz, słuchaj... nie chcesz, nie słuchaj... gniewu nie będzie. Jenerał przyjmie cię dobrze, ja w tem. a mnie do serca przypadłeś i z życzliwości to ci mówię. Wesoła kompanijka. wesoła! Żołnierska wolność w tem, by służyć komu się chce. Nic ci po mnichach! Jeżelić cnotka przeszkadza, to ją wycharchnij! Pamiętaj też i na to, że i uczciwi u nas służą. Tylu szlachty, tylu panów, hetmani... Co masz być lepszy? Kto tam się naszego Kazimierka trzyma — nikt! Jeden Sapieha Radziwiłła gnębi.

Kmicic zaciekawił się.

— Sapieha, mówisz waćpan, Radziwiłła gnębi?

— Tak jest. Srodze go tam na Podlasiu poturbował, a teraz w Tykocinie oblega. A my nie przeszkadzamy!

— Jakto?

— Bo król szwedzki woli, żeby się zjedli. Radziwiłł nigdy nie był pewny, o sobie jeno myślał... Przytem ledwie podobno już dyszy. Kto dopuści, żeby go obległano, to już źle z nim... już zginął.

— I Szwedzi nie idą mu na ratunek?

— Kto ma iść? Sam król w Prusach, bo tam sprawa najważniejsza... Elektoreczek dotąd się wykręcał, teraz się nie wykręci. W Wielkopolsce wojenka, Wittemberg potrzebny w Krakowie. Duglas z góralami ma robotę, więc i zostawili Radziwiłła samemu sobie. Niech go tam Sapieha zje. Urósł Sapieżka, to prawda... Ale przyjdzie i na niego kolej. Nasz Karolek, byle się z Prusami ułatwił, przytrze potem rogów Sapieże. Teraz niema na niego rady, bo cała Litwa przy nim stoi.

— A Żmudź?

— Żmudź Pontusik de la Gardie trzyma w łapach, a ciężkie to łapy, znam go!

— Także to Radziwiłł upadł, on, który potęgą królom dorównywał?

— Gaśnie już, gaśnie...

— Dziwne zrządzenie Boże!

— Odmienna wojny kolejka. Ale mniejsza z tem! No,

co tam? Nie namyśliszże się wedle tej propozycji, którą ci uczyniłem? Nie będziesz żałował! Chodź do nas. Jeśli ci dziś za prędko, to się namyśl do jutra, do pojutrza, do przyjścia wielkich dział. Oni ci widać ufają, skoro możesz za bramę wychodzić jak ot, teraz... Albo z listami przyjdź i więcej nie wracaj...

— Waćpan ciągniesz na stronę szwedzką, boś szwedzki poseł: — rzekł nagle Kmicic — nie wypada ci inaczej, chociaż w duszy, kto wie, co tam myślisz. Są tacy, którzy Szwedom służą, a w sercu źle im życzą.

— Parol kawalerski! — odrzekł Kuklinowski — że mówię szczerze i nie dlatego, że funkcję poselską spełniam. Za bramą już ja nie poseł i kiedy tak chcesz, to składam dobrowolnie swoją poselską szarżę i mówię ci jak prywatny: kiń do licha tę paskudną twierdzę!

— To waść mówisz, jako prywatny?

— Tak jest.

— I mogę ci jako prywatnemu odpowiedzieć?

— Jako żywo! sam proponuję.

— Tedy słuchajże mnie, panie Kuklinowski, — (tu Kmicic nachylił się i spojrzał w same oczy zabijaki) — jesteś szelma, zdrajca, łotr, rakarz i arcypies! Masz dosyć, czyli mam ci jeszcze w oczy plunąć?

Kuklinowski zdumiał się do tego stopnia, że przez chwilę trwało milczenie.

— Co to?... Jakto?... Słyszęż ja dobrze?

— Masz psie dosyć, czyli chcesz, bym ci w oczy plunął?

Kuklinowski błysnął szablą, lecz Kmicic schwycił go swą żelazną ręką za garść, wykręcił ramię, wyrwał szablę, następnie trzasnął w policzek, aż się rozległo w ciemności, poprawił z drugiej strony, obrócił w ręku jak frygę i kopnąwszy z całej siły, wykrzyknął:

— Prywatnemu, nie posłowi!...

Kuklinowski potoczył się nadół jak kamień, wyrzucony z balisty, pan Andrzej zaś spokojnie poszedł ku bramie.

Działo się to w załamaniu góry, tak, iż z murów trudno

ich było dojrzeć. Jednakże przy bramie spotkał Kmicic czekającego już księdza Kordeckiego, który zaraz odprowadził go na bok i pytał:

— A coś tak długo robił z Kuklinowskim?

— Wchodziłem z nim w konfidencję — odparł pan Andrzej.

— Cóż ci mówił?

— Mówił mi, że o chanie prawda.

— Chwała Bogu, który serca pogan zmienić umie i z wrogów uczynić przyjaciół.

— Mówił mi także, iż Wielkopolska się ruszyła...

— Chwała Bogu!

— Że kwarciani coraz niechętniej przy Szwedzie stoją, że na Podlasiu wojewoda witebski, Sapieha, zbił zdrajcę Radziwiłła, mając wszystkich zacnych obywatelów po sobie. Jakoby cała Litwa przy nim stoi, z wyjątkiem Żmudzi, którą Pontus ogarnął...

— Chwała Bogu! Niczeście więcej z sobą nie mówili?

— Owszem, namawiał mnie potem Kuklinowski, bym do Szwedów przeszedł.

— Tego się spodziewałem, — rzekł ksiądz Kordecki. — zły to człowiek... A ty cóżeś mu odrzekł?

— Bo to widzicie, ojcze wielebny, powiedział mi tak: „kładę na bok moją szarżę poselską, która się za bramą i bez tego kończy, a namawiam cię jako prywatny człowiek“. A jam go jeszcze dla pewności spytał, czy mogę jako prywatnemu odpowiadać? Powiedział: „Dobrze!“ — wtedy...

— Co wtedy?

— Wtedy dałem mu w pysk, a on się nadół pokocił.

— W imię Ojca i Syna i Ducha!

— Nie gniewajcie się, ojcze... Bardzom to politycznie uczynił, a że on tam przed nikim słowa nie piśnie, to pewno!

Ksiądz milczał przez chwilę.

— Z poczciwościś to uczynił, wiem! — odrzekł po chwili. — To mnie jeno martwi, żeś sobie nowego wroga napytał... To straszny człek.

— E! jeden więcej, jeden mniej!... — rzekł Kmicic. Poczem pochylił się do ucha księdza.

— A książę Bogusław, — rzekł, — to mi przynajmniej wróg! Co mi tam taki Kuklinowski! Ani się na niego obejrzę.

ROZDZIAŁ XVII.

Tymczasem odezwał się groźny Arfuid Wittemberg. Znamienity oficer przywiózł jego surowe pismo do klasztoru z rozkazem dla ojców poddania twierdzy Müllerowi. „W przeciwnym razie, — pisał Wittemberg, — jeśli nie zaniechacie oporu i nie zechcecie ulegać wspomnionemu panu jenerałowi bądźcie przekonani, że surowa was czeka za to kara, która innym posłuży za przykład. Winę zaś tego sobie przypiszecie“.

Ojcowie po odebraniu tego listu, postanowili po staremu zwlekać, codzień nowe trudności przedstawiając. I znów poczęły płynąć dnie, podczas których huk armat przerywał układy i odwrotnie.

Müller oświadczył, że tylko dla zabezpieczenia klasztoru od kup swawolnych, pragnie wprowadzić doń swą załogę.

Ojcowie odpowiedzieli, że skoro załoga ich okazała się dostateczną do obrony przeciw tak potężnemu wodzowi, jak pan jenerał, tem bardziej wystarczy przeciw kupom swawolnym. Błagali więc Müllera na wszystko co święte, na uszanowanie, jakie lud ma dla tego miejsca, na Boga i cześć Marji, aby sobie poszedł do Wielunia lub, gdzieby mu się podobało. Wyczerpała się jednak i cierpliwość szwedzka. Ta pokora oblężonych, którzy jednocześnie prosili o miłosierdzie i coraz gęściej z dział strzelali, doprowadzała do rozpaczy wodza i wojsko.

Müllerowi w głowie z początku nie mogło się pomieścić, dlaczego, gdy cały kraj poddał się, to jedno miejsce się

broni, co za moc je podtrzymuje, w imię jakich nadziei ci zakonnicy nie chcą ulegnąć, do czego dążą, czego się spodziewają?

Lecz czas płynący przynosił coraz jaśniejsze na owe pytania odpowiedzi. Opór, który się tu począł, szerzył się jak pożar.

Mimo dość tępej głowy, spostrzegł jenerał wkońcu o co księdzu Kordeckiemu chodziło, bo zresztą wytłumaczył to niezbicie Sadowski: że więc nie o owo gniazdo skaliste, nie o Jasną Górę, nie o skarby nagromadzone w zakonie, nie o bezpieczeństwo zgromadzenia — ale o losy całej Rzeczypospolitej. Spostrzegł Müller, że ów ksiądz cichy, wiedział co czynił, że miał świadomość swojej misji, że powstał jako prorok, aby zaświecić krajowi przykładem, by głosem potężnym zawołać na wschód i zachód, na północ i południe: sursum corda! — by, czyto zwycięstwem swojem, czy śmiercią i ofiarą obudzić śpiących ze snu, obmyć grzesznych, uczynić światło w ciemnościach.

Spostrzegłszy to, ów stary wojownik poprostu zląkł się i tego obrońcy i własnego zadania. Nagle ów „kurnik“ częstochowski wydał mu się olbrzymią górą, bronioną przez Tytana, a sam sobie wydał się jenerał małym, a na armję własną spojrzał po raz pierwszy w życiu, jak na garść lichego robactwa. Imże to podnosić rękę na tę jakąś straszną, tajemniczą i niebotyczną potęgę? Więc zląkł się Müller i zwątpienie poczęło się wkradać do jego serca. Wiedząc, że na niego winę złożą, sam począł szukać winnych i gniew jego spadł najprzód na Wrzeszczowicza. Powstały w obozie niesnaki i niezgoda jęła jątrzyć przeciw sobie serca; prace oblężnicze musiały na tem cierpieć.

Lecz Müller zbyt długo przywykł w całem życiu mierzyć ludzi i wypadki pospolitą miarą żołnierską, aby chwilami nie miał pocieszać się jeszcze myślą, że twierdza podda się wkońcu. I biorąc rzeczy po ludzku, nie mogło się stać inaczej. Przecie Wittemberg przysyłał mu sześć dział

burzących najcięższego kalibru, które już pod Krakowem pokazały swą potęgę.

— U licha! — myślał Müller — takie mury, nie oprą się takim kolubrynom, a gdy to gniazdo strachów, zabobonu, czarów, z dymem się rozwieje, wnet rzeczy wezmą inny obrót i cały kraj się uspokoi.

W oczekiwaniu więc na większe działa, kazał strzelać z mniejszych. Dni walki wróciły. Próżno jednak kule ogniste padały na dachy, próżno najdzielniejsi puszkarze nadludzkie czynili usiłowania. Ilekroć wiatr zwiał morze dymów, klasztor ukazywał się nietknięty, wspaniały jak zawsze, wyniosły, z wieżami, bodącemi spokojnie błękit. Tymczasem zdarzyły się wypadki, szerzące zabobonny przestrach między oblegającymi. To kule przelatywały ponad całą górą i raziły stojących z drugiej strony żołnierzy; to puszkarz zajęty rychtowaniem działa, padał nagle; to dymy układały się w straszne i dziwaczne postacie; to prochy w jaszczach zapalały się nagle, jakby niewidomą ręką podpalone.

Prócz tego ginęli ciągle żołnierze, którzy pojedyńczo, samowtór, albo somotrzeć wychylali się z obozu. Posądzenie o to padało na polskie posiłkowe chorągwie, które prócz pułku Kuklinowskiego, odmawiały wręcz wszelkiego udziału w pracach oblężniczych i coraz groźniejszą przybierały postawę. Müller zagroził pułkownikowi Zbrożkowi sądem na jego ludzi, ten zaś odpowiedział mu w oczy, wobec wszystkich oficerów: — Spróbuj, jenerale!

Natomiast towarzysze z pod polskich chorągwi włóczyli się umyślnie po szwedzkim obozie, okazując pogardę i lekceważenie żołnierzom, a wszczynając kłótnie z oficerami. Przychodziło stąd do pojedynków, w których Szwedzi, jako mniej wprawni w szermierkę, najczęściej padali ofiarą. Müller wydał surowe rozporządzenie przeciwko pojedynkom, a wkońcu zabronił towarzystwu wstępu do obozu. Wynikło z tego, że wkońcu oba wojska leżały obok siebie jak wrogie i oczekujące tylko sposobności do walki.

Klasztor zaś bronił się coraz lepiej. Okazało się, że

działa nadesłane przez pana krakowskiego nie ustępują w niczem tym, któremi rozporządzał Müller, a puszkarze przez swą ciągłą praktykę doszli do takiej wprawy, że każdy ich strzał powalał nieprzyjaciół. Szwedzi spędzali to na czary. Puszkarze odpowiadali wprost oficerom, że z tą siłą, która klasztoru broni, nie ich rzecz walczyć.

Pewnego rana popłoch wszczął się we wschodnio-południowym przykopie; żołnierze bowiem ujrzeli wyraźnie niewiastę w błękitnym płaszczu, osłaniającą kościół i klasztor. Na ten widok rzucili się pokotem twarzami na ziemię. Próżno nadjechał sam Müller, próżno tłumaczył im, że to mgły i dymy ułożyły się w ten sposób; próżno wreszcie groził sądem i karami. W pierwszej chwili nikt nie chciał go słuchać, zwłaszcza, że sam jenerał nie umiał ukryć przerażenia.

Rozszerzyło się wnet po tym wypadku w całym wojsku mniemanie, że nikt z tych, którzy w oblężeniu brali udział, swoją śmiercią nie umrze. Wielu oficerów podzielało tę wiarę, a i Müller nie był wolny od obaw, sprowadził bowiem ministrów luterskich i kazał im czary odczyniać. Chodzili tedy po obozie, szepcąc i śpiewając psalmy; przestrach jednak tak się już rozszerzył, że nieraz przyszło im usłyszeć z ust żołnierzy: — Nie wasza moc, nie wasza potęga!

Wśród strzałów armatnich nowy poseł müllerowski wszedł do klasztoru i stanął przed obliczem księdza Kordeckiego i rady.

Był to pan Śladkowski, podstoli rawski, którego podjazdy szwedzkie ogarnęły, gdy z Prus powracał. Przyjęto go zimno i surowo, choć twarz miał poczciwą, a spojrzenie jak niebo pogodne, bo już się byli przyzwyczaili zakonnicy do poczciwych twarzy u zdrajców. Ale on się takiem przyjęciem wcale nie zmieszał i podczesując raźno palcami płowego czuba na głowie, ozwał się:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odezwali się chórem zebrani.

A ksiądz Kordecki zaraz dodał:

— Niech będą błogosławieni, którzy Mu służą.

— I ja Mu służę, — odrzekł pan podstoli, — a że szczerzej niż Müllerowi, to się zaraz pokaże... Hm! pozwólcie ojcowie czcigodni i kochani, że odchrząknę, bo muszę najprzód paskudztwo wyplunąć... Więc tedy Müller... tfu!... przysłał mnie, mój dobry panie, do was, żebym was do poddania się... tfu!... namawiał. A ja się podjąłem dlatego, żeby wam powiedzieć: brońcie się, o poddaniu nie myślcie, bo Szwedzi już cienko przędą i licho ich w oczach bierze.

Zdumieli się zakonnicy i mężowie świeccy, widząc takiego posła; naraz pan miecznik sieradzki zakrzyknął:

— Jak mi Bóg miły, to jakiś uczciwy człowiek!

I skoczywszy ku niemu, począł mu rękę potrząsać, a pan Śladkowski drugą wolną znów podgarnął czuba i mówił dalej:

— Żem nie jest szelmą, to się także zaraz pokaże. Kreowałem się Müllerowi posłem jeszcze i dlatego, ażeby wam nowin udzielić, które są tak pomyślne, że chciałbym je wszystkie, mój dobry panie, jednym tchem wypowiedzieć... Dziękujcie Bogu i Najświętszej Jego Rodzicielce, że was obrała za narzędzia do odwrócenia serc ludzkich! Waszym to przykładem, waszą obroną kraj nauczony, poczyna zrzucać z siebie jarzmo szwedzkie. Co tu gadać! Biją Szwedów w Wielkopolsce i na Mazurach, znoszą mniejsze oddziały, zalegają drogi i pasy. W kilku już miejscach srogiego dali im łupnia. Szlachta siada na koń, chłopi, mój dobry panie, w kupy się zbierają, a jak złapią jakiego Szweda, to pasy z niego drą. Wióry lecą, kłaki lecą! Ot, co jest, ot, do czego przyszło! A kto to sprawił? Wy!

— Anioł to, anioł powiada! — wołali zakonnicy i szlachta, wznosząc do nieba ręce.

— Nie anioł, ale do usług, Śladkowski, podstoli rawski... Nic to! Słuchajcie dalej: Chan, pomny na dobrodziejstwa pana naszego króla prawowitego Jana Kazimierza, któremu niech Bóg da zdrowie i panowanie w najdłuższe

lata, idzie z pomocą i już wszedł w granicę Rzeczypospolitej. Kozaków, którzy się oponowali, na sieczkę rozniósł i wali w sto tysięcy ordy pod Lwów, a Chmielnicki, volens nolens, z nim razem.

— Dlaboga! dlaboga! — powtarzały różne głosy, jakoby przygnębione szczęściem.

A pan Śladkowski aż się zapocił i machając rękoma coraz żywej, krzyczał:

— Nic to jeszcze!... Pan Czarniecki, któremu Szwedzi pierwsi nie dotrzymali punktów, bo mu piechotę z Wolfem porwali, czuje się wolnym od słowa i na koń już siada. Król Kazimierz wojsko zbiera i lada dzień do kraju wkroczy, a hetmani, słuchajcie ojcowie, hetmani: pan Potocki i pan Lanckoroński, z nimi całe wojsko, czekają tylko na wejście króla, by Szwedów odstąpić i przeciw nim szable zwrócić. Tymczasem z panem Sapiehą się porozumiewają i z chanem. Szwedzi w strachu, ogień w całym kraju, wojna w całym kraju... kto żyw, w pole wychodzi!

Co działo się w sercach zakonników i szlachty, trudno opisać, trudno wypowiedzieć. Niektórzy płakali, inni padali na kolana, inni powtarzali: — Nie może być, nie może być! — co usłyszawszy pan Śladkowski, zbliżył się do wielkiego krucyfiksu, wiszącego na ścianie i tak mówił:

— Kładę ręce na tych nogach Chrystusowych, gwoździem przybitych i przysięgam, jako szczerą i czystą prawdę powiadam. Powtarzam wam tylko: brońcie się, nie upadajcie, nie ufajcie Szwedom, nie liczcie na to, byście pokorą i poddaniem się mogli jakiekolwiek bezpieczeństwo sobie zapewnić. Żadnych oni nie dotrzymują umów, żadnych układów. Wy tu zamknięci nie wiecie, co się dzieje w całym kraju, jaki powstał ucisk, jakie gwałty, mordowanie księży, profanowanie świętości, wzgardzenie wszelkiem prawem. Wszystko wam obiecają, niczego nie dotrzymają. Całe królestwo wydane zostało na łup rozpuście żołnierza. Nawet ci, którzy jeszcze ze Szwedem trzymają, krzywd uniknąć nie mogą... Oto kara Boża na zdrajców za niedotrzymanie wiary

królowi. Zwlekajcie!... Ja, jako mnie tu widzicie, jeśli jeno żyw będę, jeżeli zdołam się Mullerowi wykręcić, zaraz na Śląsk do naszego pana ruszam. Tam mu do nóg padnę i powiem: „Miłościwy królu! Ratuj Częstochowę i najwierniejszych sług swoich!“ Ale wy się trzymajcie, ojcowie najmilsi, bo na was zbawienie całej Rzeczypospolitej spoczywa.

Tu zadrżał głos panu Śladkowskiemu i łzy pokazały mu się na rzęsach, poczem tak mówił dalej:

— Będziecie mieli jeszcze ciężkie chwile: idą działa burzące z Krakowa, które dwieście piechoty prowadzi... Jedna szczególnie sroga kolubryna... Nastąpią szturmy okrutne... Ale to będą ostatnie wysiłki... Wytrzymajcie to jeszcze, bo już zbawienie idzie ku wam. Na te rany boskie, czerwone, przyjdzie król, hetmani, wojsko, cała Rzeczpospolita... na ratunek swojej Patronce... Ot, co wam powiadam... ratunek, zbawienie, sława... już, już... niezadługo!

Tu rozpłakał się szlachcic poczciwy i stało się powszechne szlochanie.

Ach! tej znużonej garstce obrońców, tej garstce sług wiernych a pokornych należała się już lepsza wieść i jakowaś pociecha z kraju!

Ksiądz Kordecki powstał ze swojego miejsca, zbliżył się do pana Śladkowskiego i rozłożył szeroko ramiona.

Śladkowski rzucił się w nie i długo obejmowali się wzajem; inni, idąc za ich przykładem, poczęli padać sobie w ramiona, a ściskać się i całować, a winszować sobie, jakoby Szwed już odstąpił. Nakoniec ksiądz Kordecki rzekł:

— Do kaplicy, bracia moi, do kaplicy!

— I poszedł pierwszy, a za nim i inni. Pozapalano wszystkie świece, bo już mroczyło się na dworze i rozsunięto firanki cudownego obrazu, od którego słodkie a rzęsiste blaski rozsypały się zaraz naokoło. Ksiądz Kordecki klęknął na stopniach, dalej zakonnicy, szlachta i lud prosty; nadeszły także niewiasty z dziećmi. Wybladłe z umęczenia twarze i zapłakane oczy wznosiły się ku obrazowi; ale z poza

łez promienił się już na wszystkich uśmiech szczęścia. Przez chwilę trwało milczenie, nakoniec ksiądz Kordecki zaczął:

— Pod Twoją obronę uciekamy się, święta Boża Rodzicielko...

Dalsze słowa uwięzły mu w ustach; umęczenie, dawne cierpienia, tajone niepokoje wraz z radosną nadzieją ratunku, wezbrały w nim jak fala ogromna; więc łkanie wstrząsnęło mu piersi i ten mąż, który losy całego kraju dźwigał na swych ramionach, pochylił się teraz jak słabe dziecko, padł na twarz i z płaczem niezmiernym zdołał tylko zawołać:

— O Marjo! Marjo! Marjo!

Płakali z nim razem wszyscy, a obraz z góry siał blaski przejasne...

Późną nocą dopiero rozeszli się zakonnicy i szlachta na mury, ksiądz Kordecki zaś pozostał całą noc leżący krzyżem w kaplicy. Były obawy w klasztorze, ażeby znużenie z nóg go nie zwaliło, lecz on nazajutrz rano pokazał się na basztach, chodził pomiędzy żołnierstwem i załogą wesoły, wypoczęty i tu i owdzie powtarzał:

— Dzieci! Jeszcze Najświętsza Panna okaże, iż od burzących kolubryn mocniejsza, a potem będzie koniec waszych trosk i umęczenia!

Tegoż ranka, Jacek Brzuchański, mieszczanin częstochowski, przebrawszy się za Szweda, podszedł pod mury, aby potwierdzić wieść o nadciąganiu wielkich dział z Krakowa, lecz zarazem o zbliżaniu się chana z ordą. Wrzucił prócz tego list z konwentu krakowskiego, od ojca Antoniego Paszkowskiego, w którym tenże, opisując straszliwe okrucieństwa i łupieże Szwedów, zachęcał i błagał ojców jasnogórskich, aby nie ufali obietnicom nieprzyjaciela i wytrwale bronili świętego miejsca przeciw zuchwalstwu bezbożników.

„Żadnej bowiem niema u Szwedów wiary (pisał ksiądz Paszkowski), żadnej religji. Nic Boskiego, ani ludzkiego nie jest dla nich świętem i nietykalnem; niczego ani przez

układy, ani przez publiczne przyrzeczenia zabezpieczonego — dotrzymywać nie zwykli".

Był to właśnie dzień Niepokalnego Poczęcia. Kilkunastu oficerów i żołnierzy z pomocniczych polskich chorągwi uzyskało natarczywemi prośbami od Müllera pozwolenie udania się do twierdzy na nabożeństwo. Może liczył Müller, iż pokumają się z załogą i przyniósłszy wieść o działach burzących, rozniosą trwogę, może nie chciał przez odmowę dorzucać iskry na żywioły palne, które i bez tego czyniły stosunki między Polakami a Szwedami coraz niebezpieczniejszemi — dość, że pozwolił.

Owóż, z tymi kwarcianymi przybył pewien Tatar, z polskich Tatarów mahometan. Ten wśród powszechnego zdumienia zachęcał zakonników, żeby ludziom plugawym świętego miejsca nie poddawali, utrzymując z pewnością, iż Szwedzi wkrótce z hańbą i upokorzeniem ustąpią. To samo powtarzali kwarciani, potwierdzając we wszystkiem doniesienia pana Śladkowskiego. Wszystko to razem wzięte podniosło ducha w oblężonych do tego stopnia, że nic się nie obawiali owych olbrzymich kolubryn, a nawet żartowano sobie z nich między żołnierstwem.

Po nabożeństwie rozpoczęły się obustronne strzały. Był pewien żołnierz szwedzki, który częstokroć podchodził pod mury i tubalnym głosem bluźnił przeciw Bogarodzicy. Częstokroć też strzelali doń oblężeni, zawsze bez skutku. Kmicicowi, gdy go raz na cel brał, pękła cięciwa, żołdak zaś rozzuchwalał się coraz więcej i innych jeszcze odwagą swą zachęcał. Mówiono o nim, że ma siedmiu szatanów na usługi, którzy go strzegą i zasłaniają.

W dniu owym znów on przyszedł bluźnić, lecz oblężeńcy, dufając, że jako w dzień Niepokalanego Poczęcia czary mniejszą siłę mieć będą, postanowili koniecznie go ukarać. Strzelano doń dość długo bezskutecznie, nakoniec kula armatnia, odbita od lodowego wału, podskakując po śniegu nakształt ptaka, uderzyła go w same piersi, i rozerwała na dwoje. Ucieszyli się tem obrońcy i chełpiąc się

wołali z murów: — Który jeszcze przeciw Niej bluźnić będzie? — atoli tamci pierzchli w popłochu aż do przykopów.

Szwedzi strzelali do murów i na dachy. Lecz kule ich nie zdołały przestraszyć obrońców.

Stara żebraczka Konstancja, mieszkająca w szczelinie skały, chodziła jakoby na szyderstwo Szwedom, po całej pochyłości, zbierając w podołek pociski i przegrażając od czasu do czasu kosturem żołnierzom. Ci, mając ją za czarownicę, uczuli strach, aby im złego nie przyczyniła, zwłaszcza, gdy spostrzegli, że kule się jej nie imają.

Dwa całe dni zeszło na próżnej strzelaninie. Rzucano na dachy sznury okrętowe, nasycone smołą bardzo gęstą, które leciały nakształt wężów ognistych. Lecz straż, urządzona wzorowo, zapobiegała na czas niebezpieczeństwu. Aż przyszła noc tak ciemna, że mimo ognisk, beczek ze smołą i ogniowych dział księdza Lassoty, oblężeni nie mogli nic widzieć.

Tymczasem między Szwedami panował jakiś ruch niezwyczajny. Słychać było skrzyp kół, gwar głosów ludzkich, czasem rżenie koni i rozmaite inne hałasy. Żołnierze na murach odgadywali łatwo, co się dzieje.

— Działa nadeszły, nie może inaczej być! — mówili jedni.

— I szańce sypią, a tu ćma taka, że palców u własnej ręki nie dojrzysz.

Starszyzna obradowała nad wycieczką, którą pan Czarniecki doradzał, lecz miecznik sieradzki oponował, twierdząc słusznie, że przy tak ważnej robocie musiał się nieprzyjaciel dostatecznie ubezpieczyć i pewnie piechotę trzyma wpogotowiu. Dawano więc tylko ognia w stronę północną i południową, skąd największy gwar dochodził. Skutku w ciemności nie można było rozpoznać.

Nakoniec ukazał się dzień i pierwsze jego blaski odkryły robotę szwedzką. Z północy i z południa stanęły szańce, nad któremi kilka tysięcy ludzi pracowało. Sterczały one tak

wysoko. iż oblężonym zdało się, że szczyty ich leżą na równej linji z murami. Między regularnemi wycięciami wierzchołków widać było olbrzymie paszcze dział i stojących tuż za niemi żołnierzy, podobnych zdala do roju żółtych os.

W kościele nie skończyło się poranne nabożeństwo, gdy huk niezwyczajny wstrząsnął powietrzem, szyby zadrżały, niektóre od samego wstrząśnienia wypadły z opraw, rozbijając się przeraźliwym dźwiękiem na kamiennej posadzce, a cały kościół wypełnił się kurzawą, powstałą z opadłego tynku.

Olbrzymie kolubryny przemówiły.

Rozpoczął się straszliwy ogień, jakiego jeszcze nie doznali oblężeni. Po skończonem nabożeństwie wypadli wszyscy na mury i dachy. Poprzednie szturmy wydały się tylko niewinną igraszką przy tem straszliwem rozpasaniu się ognia i żelaza.

Mniejsze działa grzmiały do wtóru burzącym. Leciały olbrzymie faskule, granaty, pęki szmat przesyconych smołą, pochodnie, sznury ogniste. Dwudziestosześciofuntowe pociski odrywały blanki murów, uderzały w ściany, jedne grzęzły w nich, drugie wybijały dziury olbrzymie, odrywając tynk, glinowanie i cegły. Mury otaczające klasztor poczęły się tu i owdzie rysować i rozszczepiać, a bite ciągle, bite bez przestanku coraz nowemi pociskami, groziły ruiną. Budynki klasztorne zasypywano ogniem.

Grający na wieży czuli chwianie się jej. Kościół dygotał od ustawicznych wstrząśnień; w niektórych ołtarzach świece wypadły z lichtarzy.

Woda wylewana w niezmiernych ilościach na wszczynające się pożary, na rozpłomienione pochodnie, mury i kule ogniste, utworzyła w połączeniu się z dymem i kurzawą kłęby pary tak gęste, że świata z poza nich nie było widać. Poczęły się szkody w budynkach i na murach. Okrzyk „gore!“ rozlegał się coraz częściej wśród huku wystrzałów i świstu kul. Przy północnej baszcie zgruchotano dwa koła u armaty, jedno działo uszkodzone zamilkło. Jedna kula

ognista wpadłszy do stajen, zabiła trzy konie i wszczęła pożar. Nietylko kule, ale złamki granatów padały tak gęsto, jak deszcz na dachy, na baszty i mury.

Po krótkiej chwili ozwały się jęki rannych. Szczególnym trafem poległo trzech młodzieniaszków, Janów. Przeraziło to innych obrońców toż samo imię noszących, lecz wogóle obrona godna była szturmu. Wyległy na mury nawet niewiasty, dzieci i starcy. Żołnierze stali na murach z nieustraszonem sercem w dymie, ogniu, wśród ulewy pocisków i odpowiadali z zawziętością na ogień nieprzyjacielski. Jedni imali się kół, przetaczając działa w miejsca najbardziej zagrożone, drudzy spychali do wyłomów w murach kamienie, drzewo, belki, nawóz, ziemię.

Niewiasty z rozpuszczonemi włosami, z rozpaloną twarzą, dawały przykład odwagi i widziano takie, które goniły z konewkami wody za skaczącemi jeszcze granatami, mającemi tuż, tuż wybuchnąć. Zapał rósł z każdą chwilą, jakby ten zapach prochu, dymu, para, huk, fale ognia i żelaza miały własność go podsycać. Wszyscy działali bez komendy, bo słowa ginęły wśród okropnego łoskotu. Tylko suplikacje, śpiewane w kościele, górowały nawet nad głosem armat.

Około południa ogień ustał. Wszyscy odetchnęli, lecz wnet przed bramą zawarczał bęben i dobosz przysłany przez Müllera, zbliżywszy się do bramy, począł pytać, czyli ojcowie mają dosyć i czy chcą natychmiast się poddać? Odpowiedział sam ksiądz Kordecki, że się do jutra namyślą. Zaledwie odpowiedź doszła do Müllera, atak rozpoczął się na nowo i ogień zdwoił się jeszcze.

Od czasu do czasu głębokie szeregi piechoty podsuwały się pod ogniem ku górze, jak gdyby miały ochotę szturmu próbować, lecz dziesiątkowane z dział i rusznic, wracały za każdym razem szybko i w nieładzie pod własne baterje. I jak fala morska zaleje wybrzeże, a cofając się zostawia na piasku porosty, małże i rozmaite szczątki pokruszone w topieli, tak każda z tych szwedzkich fal odpływając, zosta-

wiała po sobie trupy, rozrzucone tu i owdzie po pochyłości.

Müller nie kazał strzelać do baszt, ale w długość murów, gdzie opór bywa najsłabszy. Jakoż czyniły się gdzie niegdzie znaczne szczerby w murach, niedość jednak wielkie, aby piechota rzucić się przez nie do wnętrza mogła.

Nagle zaszedł wypadek, który położył tamę szturmowi.

Było to już pod wieczór, przy jednem z większych dział stał artylerzysta szwedzki z zapalonym lontem, który właśnie miał do działa przykładać, gdy kula klasztorna ugodziła go w same piersi, lecz ponieważ przyszła nie pierwszym impetem, ale z potrójnego odbicia o lody nagromadzone na szańcu, rzuciła tylko człowieka wraz z lontem o kilkanaście kroków. Ten upadł na otwarty jaszcz, w części jeszcze napełniony prochem. Wnet huk straszliwy rozległ się i masy dymu pokryły szaniec. Gdy opadły, okazało się, że pięciu artylerzystów straciło życie, koła od armaty zostały uszkodzone, resztę zaś żołnierzy strach ogarnął. Narazie trzeba było ogień z tego szańca zawiesić, ponieważ zaś gęsta mgła przesyciła ciemności, więc zawieszono go i na innych.

Nazajutrz była niedziela.

Ministrowie luterscy odprawiali po okopach swe nabożeństwo i działa milczały. Müller znów pytał bezskutecznie ojców: czyli nie mają dosyć? Odpowiedziano, że przeniosą i więcej.

Tymczasem oglądano szkody w klasztorze. Były znaczne. Oprócz ludzi zabitych spostrzeżono, że i mur tu i owdzie został nadwątlony. Najstraszliwszą okazała się jedna olbrzymia kolubryna, od południowej strony stojąca. Zbiła ona mur do tego stopnia, naodrywała tyle kamieni, cegieł, że łatwo było przewidzieć, iż jeśli ogień potrwa jeszcze parę dni, znaczna część muru obsunie się i runie.

Wyłomu, jakiby się w takim razie uczynił, nie możnaby już założyć ani belkami, ani ziemią, ani nawozem. To też ksiądz Kordecki spoglądał okiem pełnem troski na owe spustoszenia, którym nie był w stanie zapobiec.

Tymczasem w poniedziałek poczęto znów atak i ol-

brzymie działo szerzyło dalej wyłom. Spotykały jednak i Szwedów różne klęski. O zmierzchu tego dnia szwedzki puszkarz zabił na miejscu siostrzeńca Mullera, którego jenerał kochał jak własnego syna i zamierzał mu wszystko przekazać, począwszy od nazwiska i sławy wojennej, skończywszy na fortunie. Lecz tem bardziej zapaliło się serce starego wojownika nienawiścią.

Mur przy południowej baszcie tak już był popękany, że w nocy poczęto przygotowania do szturmu ręcznego. Żeby tem bezpieczniej piechota mogła zbliżyć się do twierdzy, kazał Müller rzucić w ciemności cały szereg małych szańców aż do samej pochyłości. Lecz noc była widna, a biały blask od śniegu zdradzał ruchy nieprzyjaciela. Działa jasnogórskie rozpraszały robotników zajętych ustawianiem tych parapetów, złożonych z faszyny, płotów, koszów i belek.

Na świtaniu spostrzegł pan Czarniecki gotową maszynę oblężniczą, którą już przytaczano ku murom. Lecz oblężeni zgruchotali ją działami bez trudu; nazabijano przytem tylu ludzi, że dzień ten mógłby zwać się dniem zwycięstwa dla oblężonych, gdyby nie owa kolubryna, wątląca ciągle mur z niepohamowaną siłą.

Następnych dni nastała odwilż i mgły roztoczyły się tak gęste, że księża przypisali je działaniu złych duchów. Już nie można było dostrzec ni machin wojennych, ni przystawianych parapetów, ni prac oblężniczych. Szwedzi zbliżali się pod same mury klasztorne. Wieczorem Czarniecki, gdy przeor obchodził jak zwykle mury, wziął go na bok i rzekł zcicha:

— Źle, ojcze wielebny. Nasz mur dłużej, niż dzień nie wytrzyma.

— Może też te same mgły i im strzelać przeszkodzą, — odrzekł ksiądz Kordecki, — a my tymczasem szkody jakoś naprawimy.

— I mgły nie przeszkodzą, bo owo działo raz narychtowane, może prowadzić i pociemku dzieło zniszczenia, a tu gruzy walą się i walą.

— W Bogu nadzieja i w Najświętszej Pannie...

— Tak jest! A żeby tak wycieczkę uczynić?... Choćby ludzi natracić, byle tego smoka piekielnego udało się zagwoździć?

Wtem zaczerniała jakaś postać w tumanie i Babinicz pojawił się koło rozmawiających.

— Patrzę, kto mówi, bo twarzy nie można o trzy kroki rozpoznać — rzekł. Dobry wieczór, ojcze czcigodny. A o czem mowa?

— Mówimy o tem dziale. Pan Czarniecki radzi wycieczkę... Te mgły szatan rozwiesza... już nakazałem egzorcyzmy...

— Ojcze kochany — rzekł pan Andrzej. — Od czasu jak nam trzaska mur kolubryna, ciągle o niej myślę i coś mi przychodzi do głowy... Wycieczka nanic... Ale chodźmy gdzie do izby, to wam moje zamysły wyłuszczę.

— Dobrze. — odrzekł przeor, — chodźcie do mojej celi.

Wkrótce potem zasiedli przy sosnowym stole w ubogiej celi przeorskiej. Ksiądz Kordecki i pan Piotr Czarniecki pilnie patrzyli w młodą twarz Babinicza; on zaś rzekł:

— Tu wycieczka nanic. Spostrzegą i odbiją. Tu jeden człowiek musi poradzić!

— Jakto? — spytał pan Czarniecki.

— Musi jeden człowiek pójść i to działo prochami rozsadzić. A może to uczynić, póki takie mgły panują. Najlepiej, żeby poszedł w przebraniu. Tu kolety podobne do szwedzkich są. Jak nie będzie można inaczej, to się pomiędzy Szwedów wśliźnie, jeśli zaś z tej strony szańca, z której pysk owej kulubryny wygląda, niema ludzi, to jeszcze lepiej.

— Dlaboga! cóż ten jeden człowiek uczyni?

— Potrzebuje tylko puszkę z prochem działu w pysk włożyć, z nitką prochową wiszącą i nitkę podpalić. Gdy prochy buchną, działo kaduk... chciałem powiedzieć: pęknie!

— Ej, chłopcze! co też gadasz? Małoż to prochu codzień w nie tkają, a nie pęka?

Kmicic rozśmiał się i pocałował księdza w rękaw habita.

— Ojcze kochany, wielkie w was serce, bohaterskie i święte...

— At, daj pokój! — przerwał ksiądz.

— I święte, — powtórzył Kmicic, — ale się na armatach nie znacie. Inna rzecz, gdy prochy buchną w tyle armaty, bo wtedy wyrzucają kule i impet przodkiem wylatuje; ale gdy kto niemi wylot zatka i zapali, to niemasz takiego działa, któreby ten eksperyment wytrzymać mogło. Spytajcie się pana Czarnieckiego. Toż gdy w rusznicy śniegiem się rura zapchnie, już ją przy strzale impet rozsadzi. Taka to siła szelmowska! Cóż dopiero, gdy cała puszka przy wylocie wybuchnie?... Spytajcie pana Czarnieckiego.

— Tak to jest. Nie są to żadne dla żołnierza arkana! — rzekł Czarniecki.

— Owóż, gdyby tę kolubrynę rozsadzić, — mówił dalej Kmicic, — wszystkie inne furda!

— Widzi mi się to rzecz niepodobna, — rzekł na to ksiądz Kordecki, — bo najprzód, kto to się podejmie uczynić?

— Okrutny jeden ladaco, — odrzekł pan Andrzej, — ale rezolutny kawaler, zowie się Babinicz.

— Ty? — zawołali razem ksiądz i pan Piotr Czarniecki.

— Ej, ojcze dobrodzieju! Toż ja u was u spowiedzi byłem i do wszystkich moich praktyk szczerze się przyznałem. Były między niemi nie gorsze od tej, którą zamierzam; jakże to możecie wątpić, czy się podejmę? Zali mnie nie znacie?

— To bohater, to rycerz nad rycerze, jak mi Bóg miły! — zakrzyknął Czarniecki.

I chwyciwszy Kmicica za szyję, mówił dalej:

— Dajże gęby za samą ochotę, dajże gęby!

— Pokażcie inne remedium, to nie pójdę, — odrzekł Kmicic, — ale widzi mi się, że jakoś tam sobie poradzę. I pamiętajcie o tem, że ja po niemiecku gadam, jakobym klepką i wańczosami w Gdańsku handlował. To siła znaczy, bo byłem przebranie miał, niełatwo odkryją, żem nie z ich obozu. Ale tak myślę, że tam nikt przed wylotem armaty nie stoi, bo niezdrowo i że robotę zrobię, nim się nie obejrzą.

— Panie Czarniecki, co o tem waszmość sądzisz? — spytał nagle przeor.

— Na stu jeden chyba powróci z takiej imprezy, — odrzekł pan Piotr, — ale audaces fortuna iuvat!

— Bywało się w gorszych opałach, — rzekł Kmicic, — nic mi nie będzie, bo takie moje szczęście! Ej, ojcze kochany, i co za różnica! Dawniej człek dla pokazania się, dla próżnej sławy, lazł w hazard, a teraz na cześć Najświętszej Panny. Choćby też i przyszło nałożyć głową, co mi się nie widzi, powiedzcie sami: można-li komu chwalebniejszej śmierci życzyć, jak owo za taką sprawę?...

Ksiądz długo milczał, nakoniec rzekł:

— Perswazją, prośbami, błaganiembym cię wstrzymywał, gdybyś sobie jeno do sławy słać drogę pragnął, ale masz słuszność, że tu chodzi o cześć Najświętszej Panny, o ten święty przybytek, o kraj cały! A ty, mój synu, czyli szczęśliwie wrócisz, czyli palmę osiągniesz, sławę, szczęście najwyższe, zbawienie osiągniesz. Przeciw sercu powiadam ci więc: idź, ja cię nie wstrzymuję!... Modlitwy nasze, opieka Boska pójdą z tobą...

— W takiej kompanji pójdę śmiele i rad zginę!

— A wracaj, żołnierzyku Boży, a wracaj szczęśliwie, bośmy cię tu pokochali szczerze. Niechże cię Rafał święty prowadzi i odprowadzi, moje dziecko, mój synaczku kochany!...

— To ja zaraz przygotowania poczynię — rzekł wesoło pan Andrzej, ściskając księdza, — przebiorę się po szwedzku w kolet i koliste buty, prochy naładuję, a wy

tymczasem, ojcze, egzorcyzmy jeszcze na tę noc wstrzymajcie, bo mgła potrzebna Szwedom, ale potrzebna i mnie.

— A nie chcesz-li wyspowiadać się przed drogą?

— Jakżeby inaczej! bez tegobym nie poszedł, bo djabełby miał przystęp do mnie.

— To od tego zacznij.

Pan Piotr wyszedł z celi, a Kmicic klęknął przy księdzu i oczyścił się z grzechów. Potem zaś wesoły jak ptak poszedł czynić przygotowania.

W godzinę, dwie później, wśród głębokiej już nocy zapukał znowu do celi księdza przeora, gdzie pan Czarniecki czekał także na niego.

Obaj z księdzem ledwie go poznali, taki z niego był Szwed wyśmienity. Wąsy podkręcił pod oczy i rozczapierzył na końcach, nałożył kapelusz na bakier i wyglądał zupełnie na jakiegoś rajtarskiego oficera znakomitego rodu.

— Dalibóg, aż człek mimowoli za szablę ima na jego widok! — rzekł pan Piotr.

— Świecę zdaleka! — zawołał Kmicic — coś wam pokażę!...

I gdy ksiądz Kordecki skwapliwie usunął świecę, pan Andrzej położył na stole kiszkę długą na półtorej stopy, a grubą jak ramię tęgiego męża, uszytą ze smolistego płótna i wyładowaną do twarda prochem. Z jednego jej końca zwieszał się długi sznurek, ukręcony z kłaków przesyconych siarką.

— No! — rzekł — jak onej kolubrynie tę driakiew w gębę włożę i sznureczek podpalę, to jej się brzuch rozpęknie!

— Lucyperby się rozpękł! — zakrzyknął pan Czarniecki.

Lecz wspomniał, że nieczystego imienia lepiej nie wymawiać i uderzył się w gębę.

— A czemże sznureczek zapalisz? — spytał ksiądz Kordecki.

— W tem jest całe periculum wyprawy, bo muszę

ogień krzesać. Mam krzemień grzeczny, hubkę suchą i krzesiwo z przedniej stali, ale hałas się uczyni i mogą coś pomiarkować. Sznurka, mam nadzieję, że już nie ugaszą, bo będzie wisiał armacie u brody i ciężko go nawet będzie dostrzec, zwłaszcza, że się będzie tlił chciwie, ale za mną mogą się w pogoń puścić, a ja prosto do klasztoru nie mogę uciekać.

— Czemu nie możesz? — pytał ksiądz.

— Bo wybuchby mnie zabił. Jak tylko skrę na sznurku zobaczę, muszę zaraz w bok pezgać co siły w nogach i ubiegłszy z pół sta kroków, pod szańcem na ziemi przypaść. Dopiero po wybuchu będę rwał ku klasztorowi.

— Boże, Boże, ileż to niebezpieczeństw! — rzekł przeor, wznosząc oczy ku niebu.

— Ojcze kochany, tak jestem pewien, że do was wrócę, że się mnie nawet rzewliwość nie ima, która w podobnej okazji powinna mnie ułapić. Ale nic to! Bądźcie zdrowi i módlcie się, żeby mi Pan Bóg pofortunił. Odprowadźcie mnie jeno do bramy!

— Jakżeto? Zaraz chcesz iść? — pytał pan Czarniecki.

— Mamże czekać aż rozednieje, albo aż mgła opadnie? Czy to mi głowa nie miła?

Lecz nie poszedł tej nocy pan Kmicic, bo właśnie, kiedy doszli do bramy, jak na złość, ciemność poczęła się rozjaśniać. Słychać było przytem jakiś ruch przy olbrzymiem dziale.

Nazajutrz zrana przekonali się oblężeńcy, że przetoczono je w inne miejsce.

Odebrali bowiem Szwedzi jakoweś doniesienie o wielkiej słabości muru nieco opodal, na zawrocie, koło południowej baszty i tam postanowili skierować pociski. Może i ksiądz Kordecki nie był obcy tej sprawie, gdyż poprzedniego dnia widziano starą Kostuchę, wychodzącą z klasztoru, używano zaś jej głównie, gdy chodziło o rozsiewanie między Szwedami fałszywych doniesień. Bądź co bądź, był to z ich strony błąd, bo oblężeńcy mogli tymczasem naprawić w dawnem

miejscu mur, silnie już nadwątlony, a czynienie nowego wyłomu musiało znów zabrać kilka dni.

Noce ciągle były jasne, dnie zgiełkliwe. Strzelano ze straszliwą usilnością. Duch zwątpienia znów zaczął przelatywać nad oblężonymi. Byli tacy między szlachtą, którzy poprostu chcieli się poddać; niektórzy zakonnicy stracili także serce. Opozycja nabierała siły i powagi. Ksiądz Kordecki stawiał jej czoło z niepohamowaną energją, ale zdrowie jego poczęło szwankować. Tymczasem Szwedom nadchodziły nowe posiłki i transporty z Krakowa, mianowicie straszliwe palne pociski, kształtu rur żelaznych, napełnionych prochem i ołowiem. Te więcej jeszcze strachu, niż szkód przyczyniły oblężonym.

Kmicic, od czasu jak powziął zamiar wysadzenia prochem kolubryny, przykrzył sobie w fortecy. Codzień też z utęsknieniem spoglądał na swoją kiszkę. Po namyśle uczynił ją jeszcze większą, tak, że miała blisko łokieć długości, a gruba była jak cholewa.

Wieczorem z murów rzucał chciwe spojrzenia w stronę działa, potem niebo rozpatrywał, jak astrolog. Ale księżyc jasny, rozświecający śnieg, udaremniał ciągle jego przedsięwzięcie.

Aż nagle przyszła odwilż, chmury zawaliły widnokrąg i noc uczyniła się ciemna, choć oko wykol. Pan Andrzej wpadł w taki humor, jakby go kto na sułtańskiego dzianeta wsadził i ledwie północ uderzyła, znalazł się przy panu Czarnieckim w swoim rajtarskim stroju i z kiszką pod pachą.

— Idę! — rzekł.

— Czekaj, dam znać przeorowi.

— A dobrze. No, panie Pietrze, daj gęby i ruszaj po księdza Kordeckiego!

Czarniecki pocałował go serdecznie i zawrócił Ledwie uszedł ze trzydzieści kroków, zabielał przed nim ksiądz Kordecki. Domyślał on się sam, że Kmicic wyruszy i szedł go pożegnać.

— Babinicz gotów. Czeka tylko na waszą wielebność.

— Śpieszę, śpieszę! — odpowiedział ksiądz. — Matko Boska, ratuj go i wspomagaj!

Po chwili stanęli obaj przy przechodzie, gdzie pan Czarniecki zostawił Kmicica, lecz pana Andrzeja nie było już ani śladu.

— Poszedł!... — rzekł ze zdumieniem ksiądz Kordecki.

— Poszedł — odrzekł pan Czarniecki.

— A zdrajca!... — mówił z rozrzewnieniem przeor — chciałem mu jeszcze ten szkaplerzyk na szyję włożyć...

Umilkli obaj; milczenie było dokoła, bo dla zbyt ciemnej nocy nie strzelano z obu stron. Nagle pan Czarniecki szepnął żywo:

— Jak mi Bóg miły, tak nawet nie stara się iść cicho! Słyszysz wasza wielebność kroki? Śnieg chrzęści!

— Najświętsza Panno! osłaniajże sługę Swego! — powtórzył przeor.

Czas jakiś słuchali obaj pilno, dopóki raźne kroki i chrzęst śniegu nie ucichły.

— Wie wasza wielebność co? — poszepnął Czarniecki — chwilami myślę, że mu się uda i nic się o niego nie boję. To bestja, poszedł tak, jakby szedł pod wiechę gorzałki się napić... Co za fantazja w tym człeku! Albo on nałoży wcześnie głową, albo hetmanem zostanie. Hm, żebym go nie znał sługą Marji, myślałbym, że ma... Dajże mu Boże szczęście, daj mu Boże, bo takiego drugiego kawalera niemasz w Rzeczypospolitej...

— Tak ciemno, tak ciemno! — rzekł ksiądz Kordecki — a oni się od czasu waszej nocnej wycieczki strzegą. Może na cały szereg wpaść, ani się obejrzy...

— Tego nie myślę: piechota stoi, to wiem i pilnują się bardzo, ale przecie stoją na szańcu, nie przed szańcem, nie przed wylotami własnych armat. Jeśli kroków nie usłyszą, to może się łacno pod szaniec podsunąć, a potem go sama wyniosłość osłoni... Uf!

Tu sapnął i urwał pan Czarniecki, bo z oczekiwania

i trwogi serce poczęło mu bić jak młotem, a w piersiach tchu mu nie stało.

Ksiądz począł żegnać ciemności.

Nagle trzecia osoba stanęła przy dwóch rozmawiających. Był to pan miecznik sieradzki.

— A co tam? — spytał.

— Babinicz poszedł na ochotnika prochami kolubrynę rozsadzać.

— Jakto? Co?

— Wziął kiszkę z prochem, sznur, krzesiwo... i poszedł:

Pan Zamoyski ścisnął sobie głowę dłońmi.

— Jezus, Marja! Jezus, Marja! — rzekł. — Sam jeden?

— Sam jeden.

— I kto jemu pozwolił? Toż to jest niepodobieństwo!...

— Ja! Dla mocy Bożej wszystko jest podobne, nawet i powrót jego szczęśliwy! — odpowiedział ksiądz Kordecki.

Zamoyski umilkł. Czarniecki począł parskać ze wzruszenia.

— Módlmy się! — rzekł ksiądz.

Klękli we trzech i zaczęli się modlić. Ale niepokój podnosił włosy na głowie dwom rycerzom. Upłynął kwadrans, potem pół godziny, potem godzina. długa jak wieki.

— Już chyba nic nie będzie! — rzekł pan Piotr Czarniecki.

I odetchnął głęboko.

Nagle w dalekości buchnął olbrzymi słup ognia i huk, jakby wszystkie gromy nieba zwaliły się na ziemię, wstrząsnął murami, kościołem i klasztorem.

— Wysadził! wysadził! — począł krzyczeć pan Czarniecki.

Nowe eksplozje przerwały mu dalsze słowa.

A ksiądz rzucił się na kolana i wzniósłszy ręce do góry, wołał ku niebu:

— Matko Najświętsza! Opiekunko, Patronko, wróć go szczęśliwie!

Gwar uczynił się na murach. Załoga, nie wiedząc co się stało, chwyciła za broń. Z cel poczęli wypadać zakonnicy. Nikt już nie spał. Nawet niewiasty zerwały się ze snu. Pytania i odpowiedzi poczęły się krzyżować, jak błyskawice:

— Co się stało?

— Szturm!

— Działo szwedzkie pękło! — wołał jeden z puszkarzy.

— Cud! Cud!

— Działo największe pękło! Ta kolubryna!

— Gdzie ksiądz Kordecki?

— Na murach! Modli się! On to sprawił!

— Babinicz działo wysadził! — wołał pan Czarniecki.

— Babinicz! Babinicz! Chwała Pannie Najświętszej! Już nam nie będą szkodzili!

Jednocześnie odgłosy zamieszania poczęły dolatywać i ze szwedzkiego obozu. Na wszystkich szańcach zabłysły ognie.

Słychać było coraz większy rejwach. Przy świetle ognisk widziano masy żołnierzy, poruszających się bezładnie w rozmaite strony; zagrały trąbki, bębny warczały ciągle; do murów dolatywały krzyki, w których brzmiała trwoga i przerażenie.

Ksiądz Kordecki klęczał ciągle na murze.

Nakoniec noc poczęła blednąć, lecz Babinicz nie wracał do twierdzy.

ROZDZIAŁ XVIII.

Co tedy działo się z panem Andrzejem i jakim sposobem zdołał przywieść swój zamiar do skutku?

Wyszedłszy z twierdzy, postępował czas jakiś krokiem pewnym i ostrożnym. Przy samym końcu pochyłości przystanął i słuchał. Cicho było naokół, za cicho nawet, tak, że kroki jego chrzęściły wyraźnie po śniegu. W miarę też, jak

oddalał się od murów, postępował coraz przezorniej. I znowu stanął i znowu słuchał. Bał się trochę pośliznąć i upaść, a to, aby swej drogocennej kiszki nie zamoczyć, więc wydobył rapier i wspierał się na jego ostrzu. Pomogło to wielce.

Tak macając przed sobą drogę, po upływie pół godziny usłyszał lekki szmer wprost przed sobą.

— Ha! czuwają... Wycieczka nauczyła ich ostrożności! — pomyślał.

I szedł dalej bardzo już wolno. Cieszyło go to, że nie zbłądził, bo ciemność była taka, że końca rapieru nie mógł dojrzeć.

— Tamte szańce są znacznie dalej... więc idę dobrze! — szepnął sobie.

Spodziewał się też nie zastać przed szańcem ludzi, bo właściwie mówiąc, nie mieli tam nic do roboty, zwłaszcza po nocy. Mogło tylko być, że na jakieś sto lub mniej kroków stały pojedyńcze straże, ale miał nadzieję łatwo je przy takiej ciemności wyminąć.

W duszy było mu wesoło.

Kmicic nietylko był człek odważny, lecz i zuchwały. Myśl rozsadzenia olbrzymiej kolubryny radowała do głębi jego duszę, nietylko jako bohaterstwo, nietylko jako niepożyta dla oblężonych przysługa, ale jako okrutna psota wyrządzona Szwedom. Wyobrażał sobie: jak się przerażą, jak Müller będzie zębami zgrzytał, jak będzie poglądał w niemocy na owe mury i chwilami śmiech pusty go brał.

I jak sam poprzednio mówił: nie doznawał żadnej rzewliwości, ni strachów, niepokojów, ani mu do głowy nie przychodziło, na jak straszne sam naraża się niebezpieczeństwo. Szedł tak, jak idzie żak do cudzego ogrodu szkodę w jabłkach czynić. Przypomniały mu się dawne czasy, kiedy to Chowańskiego podchodził i nocami się wkradał do trzydziestotysięcznego obozu w dwieście takich jak sam zabijaków.

Kompanjonowie stanęli mu na myśli: Kokosiński,

olbrzymi Kulwiec Hippocentaurus, cętkowaty Ranicki z senatorskiego rodu i inni: więc westchnął na chwilę za nimi.

— Zdaliby się teraz, szelmy! — pomyślał — możnaby jednej nocy ze sześć armat rozsadzić.

Tu trochę ścisnęło go uczucie samotności, lecz na krótko. Wnet pamięć przywiodła mu przed oczy Oleńkę. Miłość ozwała się w nim z niezmierną siłą. Rozczulił się... Żeby choć ta dziewczyna mogła go widzieć, dopieroby uradowało się w niej serce. Myśli ona może jeszcze, że on Szwedom służy... A pięknie służy! zaraz im się przysłuży! Co to będzie, jak ona się dowie o tych wszystkich jego hazardach?... Co ona sobie pomyśli? Pomyśli pewnie: „Wicher on jest, ale jak przyjdzie do rzeczy, czego inny nie uczyni, to on uczyni; gdzie inny nie pójdzie, on pójdzie!... Taki to ten Kmicic!“

— Jeszcze ja nietyle dokażę! — rzekł sobie pan Andrzej i chełpliwość owładnęła go zupełnie.

Jednakże mimo tych myśli nie zapominał, gdzie jest, dokąd idzie, co zamierza czynić i począł iść jak wilk na nocne pastwisko. Obejrzał się za siebie raz i drugi. Ni kościoła, ni klasztoru! Wszystko pokryła gruba, nieprzenikniona pomroka. Miarkował jednak po czasie, że musiał już dojść daleko i że szaniec może być, tuż, tuż.

— Ciekawym, czy straże są? — pomyślał.

Lecz nie zdołał ujść jeszcze dwóch kroków od chwili, w której sobie zadał to pytanie, gdy nagle przed nim rozległ się tupot miarowych kroków i kilka naraz głosów spytało w różnych odległościach:

— Kto idzie?

Pan Andrzej stanął, jak wryty. Uczyniło mu się nieco ciepło.

— Swój — odezwały się inne głosy.

— Hasło?

— Upsala!

— Odzew?

— Korona!...

Kmicic zmiarkował w tej chwili, że to straże się zmieniają.

— Dam ja wam Upsalę i koronę! — mruknął.

I uradował się. Była to istotnie dla niego okoliczność nader pomyślna, bo mógł linję straży przejść właśnie w chwili zmiany wart, gdy stąpania żołnierzy głuszyły jego własny krok.

Jakoż tak uczynił bez najmniejszej trudności i szedł za wracającymi żołnierzami dość śmiało, aż do samego szańca. Tam oni wykręcili, by go obejść, on zaś posunął się szybko ku fosie i ukrył się w niej.

Tymczasem rozwidniło się cokolwiek. Pan Andrzej i za to podziękował niebu, inaczej bowiem nie mógłby poomacku znaleźć upragnionej kolubryny. Teraz, zadzierając z rowu głowę do góry i wytężając wzrok, ujrzał nad sobą czarną linję, oznaczającą brzeg szańca i równie czarne zarysy koszów, między któremi stały działa.

Mógł nawet dojrzeć ich paszcze wysunięte nieco nad rowem. Posuwając się zwolna wzdłuż rowu, odkrył nareszcie swoją kolubrynę. Wówczas stanął i począł nasłuchiwać.

Z szańca dochodził szmer. Widocznie piechota stała wedle dział w gotowości. Ale sama wyniosłość szańca zakrywała Kmicica; mogli go usłyszeć, nie mogli zobaczyć. Teraz chodziło mu tylko o to, czy z dołu potrafi dostać się do otworu armaty, która wznosiła się wysoko nad jego głową.

Na szczęście boki rowu nie były zbyt spadziste, a oprócz tego nasyp świeżo uczyniony, lubo polewany wodą, nie zdołał zamarznąć, gdyż od niejakiego czasu panowała odwilż.

Wymiarkowawszy to wszystko, Kmicic począł drążyć cicho dziury w pochyłości szańca i piąć się zwolna ku armacie.

Po kwadransie pracy zdołał ręką uchwycić się za otwór armaty. Przez chwilę zawisnął w powietrzu, lecz niepospolita jego siła pozwoliła mu utrzymać się tak, dopóki nie zasunął kiszki w paszczę armaty.

— Naści piesku kiełbasy! — mruknął — tylko się nią nie udław!

To rzekłszy, spuścił się nadół i począł szukać sznurka, który przyczepiony do zewnętrznego końca kiszki, zwieszał się w rów.

Po chwili zmacał go ręką. Lecz teraz przychodziła największa trudność, bo należało krzesać ognia i sznurek zapalić.

Kmicic zatrzymał się przez chwilę, czekając aż szmer nieco większy uczyni się między żołnierzami na szańcu.

Nakoniec począł uderzać zlekka krzesiwkiem w krzemień.

Lecz w tej chwili nad głową jego rozległo się w niemieckim języku pytanie:

— A kto tam w rowie?

— To ja, Hans! — odrzekł bez wahania Kmicic — stempel mi djabli do rowu wzięli, więc krzeszę ogień, by go znaleźć.

— Dobrze, dobrze — odrzekł puszkarz. — Szczęście, że się nie strzela, bo samo powietrze łeb'by ci urwało.

— Aha! — pomyślał Kmicic — więc kolubrynka prócz mego naboju, ma jeszcze swój własny. Tem lepiej.

W tej chwili wysiarkowany sznurek zajął się i delikatne iskierki poczęły biec ku górze po jego suchej powierzchni.

Czas był zmykać, Kmicic więc puścił się, nie tracąc minuty, wzdłuż rowu, co sił w nogach, niebardzo już zważając na hałas, jaki uczynił. Lecz gdy ubiegł jakieś dwadzieścia kroków, ciekawość przemogła w nim poczucie straszliwego niebezpieczeństwa.

— Nuż sznurek zgasł, wilgoć jest w powietrzu! — pomyślał.

I zatrzymał się. Rzuciwszy za siebie spojrzenie, ujrzał jeszcze iskierkę, ale już nierównie wyżej, niż ją zostawił.

— Ej, czy ja nie za blisko? — rzekł sobie i strach go zdjął.

Puścił się znowu całym pędem, nagle trafił na kamień — upadł. Wtem huk straszliwy rozdarł powietrze;

ziemia zakołebała się, rozrzucone szczątki drzewa i żelaza, kamienie, bryły lodu, ziemi, zaświstały mu koło uszu i tu skończyły się jego wrażenia.

Potem rozległy się nowe kolejne wybuchy. To jaszcze z prochem, stojące w pobliżu kolubryny eksplodowały od pierwszego wstrząśnienia.

Lecz pan Kmicic już tego nie słyszał, leżał bowiem jak martwy w rowie.

Nie słyszał również, jak po chwili w głuchej ciszy rozległy się jęki ludzkie, krzyki i wołania na pomoc; jak na miejsce wypadku zbiegła się blisko połowa wojsk szwedzkich i sprzymierzonych, jak następnie przyjechał sam Müller w towarzystwie całego sztabu.

Harmider i zamieszanie trwały długo, zanim z chaosu zeznań wydobył jenerał szwedzki prawdę, że kolubryna została umyślnie przez kogoś rozsadzona. Nakazano natychmiast poszukiwania. Jakoż nad ranem szukający żołnierze odkryli leżącego w rowie pana Kmicica.

Pokazało się, że był tylko ogłuszony i od wstrząśnienia stracił początkowo władzę w rękach i nogach. Cały dzień następny trwała ta niemoc. Leczono go najstaranniej. Wieczorem odzyskał prawie zupełnie siły.

Müller kazał go natychmiast stawić przed sobą.

Sam zajął miejsce środkowe za stołem w swej kwaterze, obok niego zasiedli książę Heski, Wrzeszczowicz, Sadowski, wszyscy znamienitsi oficerowie szwedzcy, a z polskich Zbrożek, Kaliński i Kuklinowski.

Ten ostatni na widok Kmicica posiniał i oczy zaświeciły mu się jak dwa węgle, a wąsy poczęły drgać. Więc nie czekając na pytania jenerała, rzekł:

— Ja tego ptaka znam... To z załogi częstochowskiej. Zwie się Babinicz!

Kmicic milczał.

Bladość i znużenie widne były na jego obliczu, ale wzrok miał hardy, twarz spokojną.

— Ty rozsadziłeś kolubrynę? — spytał Müller.

— Ja! — odrzekł Kmicic.

— Jakim sposobem to uczyniłeś?

Kmicic opowiedział pokrótce, nic nie zataił. Oficerowie spoglądali po sobie ze zdumieniem.

— Bohater!... — szepnął Sadowskiemu książę Heski.

A Sadowski pochylił się do Wrzeszczowicza:

— Hrabio Weyhard, — spytał, — jakże? zdobędziemy tę fortecę przy takich obrońcach?... Co waćpan myślisz? poddadzą się?

Lecz Kmicic rzekł:

— Więcej jest nas w fortecy do takich uczynków gotowych. Nie wiecie dnia i godziny!

— Mam też więcej, niż jeden stryczek w obozie! — odparł Müller.

— To i my wiemy. Ale Jasnej Góry nie zdobędziecie, dopóki tam jeden człowiek przy życiu!

Nastała chwila milczenia. Następnie Müller indagował dalej:

— Zowiesz się Babinicz?

Pan Andrzej pomyślał, że po tem, co uczynił i wobec bliskiej śmierci, nastał czas, w którym nie ma potrzeby dłużej ukrywać swego właściwego nazwiska. Niechże ludzie zapomną o winach i występkach z niem połączonych, niech opromieni je sława i poświęcenie.

— Nie nazywam się Babinicz, — odrzekł z pewną dumą. — nazywam się Andrzej Kmicic, byłem zaś pułkownikiem swojej własnej chorągwi w litewskim kompucie.

Ledwie usłyszał to Kuklinowski, zerwał się, jak opętany, oczy wytrzeszczył, usta otworzył, rękami jął bić się po bokach, nakoniec zakrzyknął:

— Jenerale, proszę na słowo! jenerale, proszę na słowo! bez zwłoki, bez zwłoki!

Szmer się stał jednocześnie między polskimi oficerami, którego Szwedzi słuchali ze zdziwieniem, bo dla nich nic nie mówiło nazwisko Kmicica. Lecz zaraz pomiarkowali,

że to nielada musi być żołnierz, gdy Zbrożek powstał i zbliżywszy do więźnia, rzekł:

— Mości pułkowniku! W opresji, w jakiej się znajdujesz, nic pomóc ci nie mogę, ale proszę, podaj mi rękę!...

Lecz Kmicic podniósł głowę do góry i nozdrzami parskać począł.

— Nie podaję ręki zdrajcom, którzy przeciw ojczyźnie służą! — odrzekł.

Zbrożka twarz oblała się krwią.

Kaliński, który stał tuż za nim, cofnął się także; szwedzcy oficerowie otoczyli ich zaraz, wypytując, coby to za jeden był ów Kmicic, którego nazwisko takie uczyniło wrażenie.

Tymczasem w sąsiedniej izbie Kuklinowski przyparł Mullera do okna i mówił:

— Wasza dostojność, dla waszej dostojności nic to nazwisko: Kmicic! a to jest pierwszy żołnierz i pierwszy pułkownik w całej Rzeczypospolitej. Wszyscy o nim wiedzą, wszyscy to imię znają. Radziwiłłowi niegdyś służył i Szwedom, teraz widać przeszedł do Jana Kazimierza. Niemasz mu równego między żołnierzami, chyba ja. Toż on tylko mógł to uczynić, żeby pójść samemu i owo działo rozsadzić. Z tego jednego uczynku możnaby go poznać. On to Chowańskiego podchodził tak, że aż nagrodę na jego głowę wyznaczono. On w dwieście, czy trzysta ludzi całą wojnę trzymał po szkłowskiej klęsce na sobie, póki się inni nie opatrzyli i śladem jego nie zaczęli urywać nieprzyjaciół. To najniebezpieczniejszy człowiek w całym kraju...

— Czego mi waść śpiewasz jego pochwały? — przerwał Müller. — Że niebezpieczny, przekonałem się z własną niepowetowaną szkodą.

— Co wasza dostojność zamierza z nim uczynić?

— Kazałbym go powiesić, alem sam żołnierz i odwagę a fantazję cenić umiem... Przytem to szlachcic wysokiego rodu... Każę go rozstrzelać dziś jeszcze.

— Wasza dostojność... Nie mnie uczyć najznamienit-

szego żołnierza i statystę nowych czasów, ale pozwolę sobie powiedzieć, że to człowiek zbyt sławny. Jeśli wasza dostojność to uczynisz, chorągwie Zbrożka i Kalińskiego pójdą sobie co najmniej precz tego samego dnia i przejdą do Jana Kazimierza.

— Jeśli tak, to każę je w pień wyciąć przed odejściem! — zakrzyknął Müller.

— Wasza dostojność, odpowiedzialność okrutna, bo gdy się to rozgłosi, a wycięcie dwóch chorągwi trudno ukryć, całe wojsko polskie odstąpi Karola Gustawa. Waszej dostojności wiadomo, że oni się i tak w wierności chwieją... Hetmani sami niepewni. Pan Koniecpolski z sześciu tysiącami najlepszej jazdy jest przy boku naszego pana... To nie żarty... Boże uchowaj, gdyby i ci się przeciw nam zwrócili, przeciw osobie jego kr. mości!... A prócz tego ta twierdza się broni, prócz tego wyciąć chorągwie Zbrożka i Kalińskiego niełatwo, bo jest tu i Wolf z piechotą. Mogliby się porozumieć z załogą twierdzy...

— Do stu rogatych djabłów: — przerwał Müller — czego ty chcesz, Kuklinowski, czy żebym temu Kmicicowi życie darował? To nie może być!

— Ja chcę, — odrzekł Kuklinowski, — żebyś wasza dostojność mnie go darował.

— A ty co z nim uczynisz?

— A ja... go ze skórki żywcem obłupię...

— Nie wiedziałeś nawet jego właściwego nazwiska, więc go nie znałeś. Co masz przeciw niemu?

— Poznałem go dopiero w Częstochowie, gdym powtórnie od waszej dostojności do mnichów posłował.

— Masz-li jakie powody do zemsty?

— Wasza dostojność! Chciałem go prywatnie do naszego obozu namówić... On zaś, korzystając z tego, żem moje poselstwo odłożył na stronę, znieważył mnie, Kuklinowskiego, tak, jak nikt w życiu mnie nie znieważył.

— Co ci uczynił?

Kuklinowski zatrząsł się i zębami zazgrzytał.

— Lepiej o tem nie mówić... Daj mi go wasza dostojność... On śmierci przeznaczon i tak, a ja chciałbym się przedtem trochę z nim pobawić... Och! tem bardziej, że to jest Kmicic, któregom poprzednio wenerował, a który tak mi się odpłacił... Daj mi go wasza dostojność! Będzie i dla waszej dostojności lepiej, bo gdy ja go zgładzę, wówczas Zbrożek i Kaliński, a z nimi wszystko polskie rycerstwo nie obruszy się na waszą dostojność, tylko na mnie, a ja sobie radeczki dam... Nie będzie gniewów, dąsów, buntów... Będzie moja prywatna spraweczka o Kmicicową skórkę, z której bęben każę uczynić...

Müller zamyślił się; nagle podejrzenie błysło mu w twarzy.

— Kuklinowski! — rzekł — może ty chcesz go ocalić?

Kuklinowski rozśmiał się cicho, ale był to śmiech tak straszny i szczery, że Müller przestał wątpić.

— Może i słusznie radzisz! — rzekł.

— Za wszystkie moje zasługi o tę jedną proszę nagrodę!

— Więc go bierz!

Poczem weszli obaj do izby, w której była zgromadzona reszta oficerów. Müller zwrócił się do nich i rzekł:

— Za zasługi pana Kuklinowskiego oddaję mu jeńca do dowolnego rozporządzenia.

Nastała chwila milczenia; poczem pan Zbrożek wziął się w boki i spytał go z pewnym akcentem pogardy:

— A co pan Kuklinowski zamierza z jeńcem uczynić?

Kuklinowski, zwykle pochylony, rozprostował się nagle, usta jego rozszerzyły się złowrogim uśmiechem, a źrenice oczu poczęły drgać.

— Komu się nie podoba to, co z jeńcem uczynię, — rzekł, — ten wie, gdzie mnie szukać.

I trzasnął zcicha szablą.

— Parol, panie Kuklinowski! — rzekł Zbrożek.

— Parol, parol!

To rzekłszy, zbliżył się do Kmicica.

— Chodź robaczku ze mną, chodź przesławny żołnierzyku... Słabyś trochę, potrzeba ci pielęgnacyjki... Ja cię popielęgnuję!

— Rakarz! — odrzekł Kmicic.

— Dobrze, dobrze! harda duszyczko... Tymczasem chodź.

Oficerowie zostali w izbie, Kuklinowski zaś siadł na koń przed kwaterą. Mając ze sobą trzech żołnierzy, kazał jednemu z nich wziąć Kmicica na arkan i wszyscy razem udali się ku Lgocie, gdzie stał pułk Kuklinowskiego.

Kmicic przez drogę modlił się żarliwie. Widział, że śmierć nadchodzi i polecał się Bogu z całej duszy. Tak zaś zatopił się w modlitwie i w swem przeznaczeniu, że nie słyszał, co do niego mówił Kuklinowski; nie wiedział nawet, jak długo droga trwała.

Zatrzymali się nakoniec w pustej, nawpół rozwalonej stodółce, stojącej nieco opodal od kwater pułku Kuklinowskiego, w szczerem polu. Pułkownik kazał wprowadzić do niej Kmicica, sam zaś zwrócił się do jednego z żołnierzy.

— Ruszaj mi do obozu — rzekł — po sznury i płonącą maźnicę ze smołą.

Żołnierz skoczył co tchu w koniu i po kwadransie z tą samą chyżością powrócił nazad z drugim jeszcze towarzyszem. Obaj przywieźli żądane przedmioty.

— Rozebrać tego gaszka do naga, — rzekł Kuklinowski, — związać mu linką ztyłu ręce i nogi, a potem podciągnąć go na belkę!

— Rakarz! — powtórzył Kmicic.

— Dobrze, dobrze! pogadamy jeszcze, mamy czas...

Tymczasem jeden z żołnierzy wlazł na belkę, a inni zwłóczyli szaty z Kmicica. Gdy to uczyniono, trzej oprawcy położyli go twarzą do ziemi, związali mu ręce i nogi długą liną, następnie okręciwszy go jeszcze nią wpół ciała, rzucili drugi jej koniec żołnierzowi siedzącemu na belce.

— Teraz podnieść go w górę, a tamten niech zakręci linę i zawiąże! — rzekł Kuklinowski.

W minutę rozkaz był spełniony.

— Puścić! — rozległ się głos pułkownika.

Lina skrzypnęła, pan Andrzej zawisnął poziomo kilka łokci nad klepiskiem.

Wówczas Kuklinowski umoczył kwacz w płonącej maźnicy, podszedł ku niemu i rzekł:

— A co, panie Kmicic?... Mówiłem, że dwóch jest pułkowników w Rzeczypospolitej, dwóch tylko: ja i ty! A tyś się właśnie do kompanijki z Kuklinowskim nie chciał przyznać i kopnąłeś go?... Dobrze, robaczku, miałeś słuszność! Nie dla ciebie kompanijka Kuklinowskiego, bo Kuklinowski lepszy. Ejże, sławny pułkowniczek, pan Kmicic, a Kuklinowski ma go w ręku i Kuklinowski mu boczków przypiecze...

— Rakarz! — powtórzył po raz trzeci Kmicic.

— Ot, tak... boczków przypiecze! — dokończył Kuklinowski.

I dotknął płonącym kwaczem Kmicowego boku, poczem rzekł:

— Nie za wiele odrazu, zlekka, mamy czas...

Wtem tętent kilku koni rozległ się przy wierzejach stodółki.

— Kogo tam djabli niosą? — spytał pułkownik.

Wierzeje skrzypnęły i wszedł żonierz.

— Mości pukowniku, — rzekł — pan jenerał Müller życzy sobie natychmiast widzieć waszą miłość!

— A to ty stary! — odrzekł Kuklinowski. — Co za sprawa? kiej djabeł?

— Jenerał prosi, by wasza miłość natychmiast do niego pojechał.

— Kto był od jenerała?

— Był szwedzki oficer, już odjechał. Ledwie tchu z konia nie wyparł!

— Dobrze! — rzekł Kuklinowski.

Poczem zwrócił się do Kmicica:

— Było ci ciepło, ochłodnij teraz, robaczku, ja wrócę niebawem, pogawędzimy jeszcze!

— A co z jeńcem uczynić? — zapytał jeden z żołnierzy.

— Zostawić go tak. Zaraz wracam. Niech jeden jedzie za mną!

Pułkownik wyszedł, a z nim razem ów żołnierz, który poprzednio siedział na belce. Zostało tylko trzech, ale niebawem trzech nowych weszło do stodoły.

— Możecie iść spać: — rzekł ów, który Kuklinowskiemu o rozkazie Müllera doniósł — nam pułkownik polecił straż trzymać.

Kmicic drgnął na dźwięk tego głosu. Wydało mu się, że go zna.

— Wolimy zostać, — odrzekł jeden z trzech pierwszych żołnierzy, — żeby na dziwo patrzyć, bo takiego...

Nagle urwał.

Jakiś straszny nieludzki głos wydobył mu się z gardzieli, podobny do piania zarzynanego koguta. Ręce rozłożył i padł, jak gromem rażony.

Jednocześnie krzyk: — Prać! — rozległ się w stodółce, i dwaj inni nowoprzybyli rzucili się nakształt rysiów na dwóch dawniejszych. Zawrzała walka straszna, krótka, oświecona blaskami płonącej maźnicy. Po chwili dwa ciała padły w słomę, przez sekundę jeszcze słychać było rzężenie konających, potem rozległ się ów głos, który Kmicicowi poprzednio wydał się znanym:

— Wasza miłość, to ja, Kiemlicz i moi synowie! My od rana już czekali na sposobność. Od rana wypatrujem!

Tu stary zwrócił się do synów:

— Nuże szelmy! odciąć pana pułkownika, duchem, żywo!

I nim Kmicic zdołał zrozumieć, co się dzieje, pojawiły się koło niego dwie rozczochrane czupryny Kosmy i Damjana, podobne do dwóch olbrzymich kądzieli. Wnet więzy były rozcięte i Kmicic stanął na nogach. Zachwiał się z początku. Ściągnięte jego wargi zaledwie zdołały wymówić:

— To wy?... Dziękuję...

— To my! — odrzekł straszny starzec. — Matko Boska! o!... niech się wasza miłość ubiera. Żywo, szelmy!

I począł podawać Kmicicowi ubranie.

— Konie stoją za wierzejami — mówił. — Stąd droga wolna. Straże są; możeby nie wpuściły nikogo, ale wypuścić, wypuszczą. Wiemy hasło. Jak się wasza miłość czuje?

— Bok mi przypiekł, ale jeno trochę. W nogach mi słabo...

— Niech się wasza miłość gorzałki napije.

Kmicic chwycił chciwie manierkę, którą stary mu podał i wychyliwszy ją do połowy, rzekł:

— Zziąbłem. Zaraz mi lepiej...

— Na kulbace się wasza miłość rozgrzeje. Konie czekają.

— Zaraz mi lepiej — powtórzył Kmicic. — Bok trochę pali... Nic to!... Całkiem mi dobrze!

I siadł na krawędzi sąsieka.

Po chwili rzeczywiście odzyskał siły i spoglądał z zupełną przytomnością na złowrogie twarze trzech Kiemliczów, oświecone żółtawemi płomykami palącej się smoły.

Stary stanął przed nim:

— Wasza miłość. pilno! Konie czekają!

Lecz w panu Andrzeju obudził się już całkiem dawny Kmicic.

— O! nie może być! — zakrzyknął nagle — teraz ja na tego zdrajcę poczekam!

Kiemlicze spojrzeli na siebie ze zdumieniem, ale żaden nie pisnął ani słowa, tak ślepo przywykli z dawnych czasów słuchać tego wodza.

Jemu zaś żyły wystąpiły na czoło, oczy w ciemności świeciły, jak dwie gwiazdy, taka tlała w nich zawziętość i chęć zemsty. To, co czynił teraz, było szaleństwem, które mógł życiem przypłacić. Ale właśnie życie jego składało się z szeregu takich szaleństw. Bok dolegał mu okrutnie, tak, że co chwila mimowoli chwytał się zań ręką, ale myślał

o Kuklinowskim i gotów był czekać go, choćby do rana.

— Słuchajcie! — rzekł — czy jego Müller naprawdę wzywał?

— Nie — odrzekł stary. — To ja wymyśliłem, żeby łatwiej z tamtymi się sprawić. Z pięcioma trudnoby nam było we trzech, bo którykolwiek krzykby uczynił.

— To dobrze. On tu wróci sam, albo w kompanji. Jeśli będzie z nim kilku ludzi, tedy zaraz na nich uderzyć... Jego mnie zostawcie. Potem do koni!... Ma który pistolety?

— Ja mam — odrzekł Kosma.

— Dawaj! Nabity? podsypany?

— Tak jest.

— Dobrze. Jeśli wróci sam, wówczas natychmiast, jak wejdzie, skoczyć na niego i zatkać mu pysk. Możecie mu własną jego czapkę w pysk wcisnąć.

— Wedle rozkazu! — rzekł stary. — Wasza miłość pozwoli teraz tamtych obszukać? My chudopachołki...

To rzekłszy, wskazał na trupy leżące w słomie.

Nie! Trzymać się w gotowości. Co przy Kuklinowskim znajdziecie, to będzie wasze!

— Jeśli on sam wróci, — rzekł stary, — tedy niczego się nie boję. Stanę za wierzejami i choćby kto od kwater nadszedł, powiem, że pułkownik nie kazał puszczać...

— Tak będzie. Pilnuj!...

Tętent konia rozległ się za stodołą. Kmicic zerwał się i stanął w cieniu przy ścianie. Kosma i Damjan zajęli miejsca tuż przy wejściu, jak dwa koty na mysz czyhające.

— Sam! — rzekł stary, zacierając ręce.

— Sam! — powtórzyli Kosma i Damjan.

Tętent zbliżył się tuż i nagle ustał, natomiast za wierzejami rozległ się głos:

— Wyjdź tam który, konia potrzymać!

Stary skoczył żywo.

Nastała chwila ciszy, poczem chyhających w stodole doszła następująca rozmowa:

— To ty, Kiemlicz? Co u pioruna! czyś się wściekł,

czyś zgłupiał?!... Noc! Müller śpi. Straż nie chce puszczać, mówią, że żaden oficer nie wyjeżdżał!... Co to jest?...

— Oficer tu czeka w stodole na waszą miłość. Przyjechał zaraz po odjeździe waszej miłości... i powiada, że się z waszą miłością zminął, więc czeka.

— Co to wszystko znaczy?... A jeniec?

— Wisi.

Wierzeje skrzypnęły i Kuklinowski wsunął się do stodoły, lecz zanim krok postąpił, dwie żelazne ręce porwały go za gardło i zdusiły krzyk przerażenia. Kosma i Damjan z wprawą prawdziwych zbójców rzucili go na ziemię, klękli mu na piersiach, gniotąc je tak, aż żebra poczęły trzeszczeć i w mgnieniu oka zakneblowali mu usta.

Wówczas Kmicic wysunął się naprzód i poświeciwszy mu kwaczem w oczy, rzekł:

— Ach! to pan Kuklinowski!... Teraz ja mam z waścią do pogadania!

Twarz Kuklinowskiego była siną, żyły wytężone tak, iż zdawało się, że pękną lada chwila, ale w jego wyszłych nawierzch i nabranych krwią oczach, przynajmniej tyle było zdumienia, ile przerażenia.

— Rozebrać go i na belkę! — zawołał Kmicic.

Kosma i Damjan poczęli go rozbierać tak gorliwie, jakby i skórę razem z szatami chcieli z niego zedrzeć.

Po upływie kwadransa, Kuklinowski wisiał już skrępowany za ręce i za nogi, nakształt półgęska, na belce.

Wówczas Kmicic wziął się w boki i począł się chełpić straszliwie.

— Cóż, panie Kuklinowski, — rzekł, — kto lepszy, Kmicic czy Kuklinowski?...

Wtem porwał palący się kwacz i postąpił krok bliżej.

— Toż twój obóz o strzelenie z łuku, twój tysiąc złodziejów na zawołanie... Toż twój jenerał szwedzki opodal, a ty na tej samej belce wisisz, na której mnie myślałeś przypiekać... Poznajże Kmicica! Ty chciałeś się z nim równać, do kompanji jego należeć, w paragon z nim wcho-

dzić?... Ty rzezimieszku! ty podłoto!... ty strachu na stare baby... ty wyskrobku ludzki!... ty panie Szelmowski z Szelmowa! ty kutergębo! ty chamie! ty niewolniku!... Mógłbym cię kozikiem kazać zarznąć jak kapłona, ale wolę cię żywcem przypiec, jak ty mnie chciałeś...

To rzekłszy, podniósł kwacz i przyłożył go do boku nieszczęsnego wisielca. lecz trzymał go dłużej, dopóki swąd spalonego ciała nie począł się rozchodzić po stodole.

Kuklinowski skurczył się. aż lina poczęła się z nim kołysać. Oczy jego utkwione w Kmicica wyrażały straszny ból i nieme błaganie o litość; z zatkanych ust wydobywały się jęki żałosne. lecz wojny zatwardziły serce pana Andrzeja i nie było w niem litości, zwłaszcza dla zdrajców.

Więc odjąwszy wreszcie kwacz od boku Kuklinowskiego. przyłożył mu go na chwilę pod nos; osmalił wąsy, rzęsy i brwi, poczem rzekł:

— Daruję cię zdrowiem, abyś mógł jeszcze o Kmicicu rozmyślać. Powisisz tu do rana. a teraz proś Boga, by cię ludzie. nim zmarzniesz, znaleźli.

Tu zwrócił się do Kosmy i Damjana:

— Na koń! — krzyknął.

I wyszedł ze stodoły.

W pół godziny później roztoczyły się naokół czterech jeźdźców wzgórza ciche. milczące i pola puste. Świeże powietrze. nieprzesycone dymem prochowym, wchodziło do ich płuc. Kmicic jechał na przedzie. Kiemlicze za nim. Oni rozmawiali zcicha. on milczał, a raczej odmawiał zcicha pacierze poranne. bo już do świtu było niedaleko.

Od czasu do czasu syknięcie, albo nawet cichy jęk wyrywał mu się z ust. gdyż sparzony bok dolegał mu mocno. Lecz jednocześnie czuł się na koniu i wolnym, a myśl, że rozsadził największą kolubrynę, a do tego jeszcze wyrwał się z rąk Kuklinowskiego i zemsty nad nim dokonał, napełniała go taką uciechą. że niczem był ból przy niej.

Tymczasem cicha rozmowa między ojcem i synami zmieniła się w głośną rozterkę.

— To trzos, dobrze! — mówił gderliwie stary — a gdzie pierścienie? — Na palcach miał pierścienie, w jednym był kamień wart ze dwadzieścia czerwonych.

— Zapomnielim zdjąć! — rzekł Kosma.

— Bodaj was zabito! Ty stary o wszystkiem myśl, a te szelmy za szeląg rozumu nie mają! Zapomnieliście zbóje o pierścieniach?... Łżecie, jak psy!

— To się ociec wróć i obacz! — mruknął Damjan.

— Łżecie szelmy, kilimkiem rzucacie! Starego ojca krzywdzić? tacy synowie! Bodajem was był nie spłodził! Bez błogosławieństwa pomrzecie!...

Kmicic wstrzymał nieco konia.

— A pójdźcie-no tu! — rzekł.

Swary ustały, Kiemlicze posunęli się żywo i dalej jechali szeregiem we czterech.

— A wiecie drogę do śląskiej granicy? — spytał pan Andrzej.

— Oj, oj! Matko Boska! wiemy, wiemy! — rzekł stary.

— Szwedzkich oddziałów po drodze niemasz?

— Nie, bo wszyscy pod Częstochową stoją... Chybaby pojedyńczych można napotkać, ale to Boże daj!

Nastała chwila milczenia.

— To wyście u Kuklinowskiego służyli? — spytał znów Kmicic.

— Tak jest, bośmy myśleli, że będąc w pobliżu, można się będzie świętym zakonnikom i waszej miłości przysłużyć. Jakoż się zdarzyło... My przeciw fortecy nie służyli, niech nas Bóg broni! żołdu nie brali, chyba się coś przy Szwedach znalazło.

— Jakto, przy Szwedach?

— Bo my chcieli choć i za murami Najświętszej Pannie służyć... więceśmy nocami koło obozu jeździli, albo i we dnie, jak Pan Bóg dał i jak się który Szwed pojedyńczo popadł, to my go... tego... Ucieczko grzesznych!... my go...

— Pralim! — dokończyli Kosma i Damjan.

Kmicic uśmiechnął się.

— Dobrych Kuklinowski miał w was sług! — rzekł. — A onże wiedział o tem?

— Były komisje, dochodzili... On wiedział i, złodziej! kazał nam talara z głowy płacić... Inaczej groził, że wyda... Taki zbój, ubogich ludzi krzywdził!... My też wiary dochowali waszej miłości, bo to nie taka służba... Wasza miłość swoje jeszcze odda, a on po talarze z głowy, za nasz trud, za naszą pracę... Bodaj go!...

— Hojnie was nagrodzę za to coście uczynili! — odrzekł Kmicic. — Nie spodziewałem się tego po was...

Wtem daleki huk dział przerwał mu dalsze słowa. To Szwedzi rozpoczęli widocznie strzelaninę równo z pierwszym brzaskiem. Po chwili huk powiększył się. Kmicic zatrzymał konia; zdawało mu się, że rozróżnia głosy armat fortecznych od armat szwedzkich, więc zacisnął pięść i grożąc nią w stronę nieprzyjacielskiego obozu, rzekł:

— Strzelajcie, strzelajcie! Gdzie wasza największa kolubryna?!...

ROZDZIAŁ XIX.

Rozsadzenie olbrzymiej kolubryny uczyniło istotnie pognębiające na Müllerze wrażenie, gdyż jego wszystkie nadzieje wspierały się dotąd na tem dziale. Już i piechota była do szturmu gotowa, już przygotowano drabiny i stosy faszyn, teraz trzeba było wszelką myśl szturmu porzucić.

Zamiar wysadzenia klasztoru w powietrze zapomocą podkopów spełznął także na niczem. Sprowadzeni poprzednio górnicy z Olkusza łupali wprawdzie skałę, zbliżając się naukos ku klasztorowi, lecz robota szła tępo. Robotnicy, mimo wszelkich ostrożności, padali gęstym trupem od wystrzałów kościelnych, a pracowali niechętnie. Wielu wolało ginąć, niż przyczyniać się do zguby świętego miejsca.

Müller czuł codzień wzrastający opór; mrozy odbierały resztę odwagi zniechęconemu wojsku, między którem

szerzył się z dnia na dzień przestrach i wiara, że zdobycie tego klasztoru nie leży w mocy ludzkiej.

Wreszcie i sam Müller począł tracić nadzieję, a po wysadzeniu kolubryny poprostu zdesperował. Ogarnęło go uczucie zupełnej niemocy i bezwładności.

Nazajutrz skoro dzień zwołał więc radę, ale pono dlatego tylko, by od oficerów usłyszeć zachętę do opuszczenia fortecy.

Poczęli się zbierać, wszyscy znużeni i posępni. W niczyich oczach nie było już nadziei, ani wojskowej fantazji. Milcząc, zasiedli koło stołu w ogromnej i zimnej izbie, w której para oddechów poprzesłaniała im twarze i patrzyli z poza niej, jakby z poza chmur. Każdy w duszy czuł wyczerpanie i znużenie, każdy mówił sobie w duchu, że nie ma żadnej rady do udzielenia, chyba taka, z którą lepiej się pierwszemu nie wyrywać. Wszyscy czekali na to, co powię Müller; on zaś kazał przedewszystkiem przynieść obficie wina grzanego, dufając, że pod wpływem gorącego napitku łatwiej wydobędzie szczerą myśl z tych milczących postaci i zachętę do odstąpienia od onej fortecy.

Nakoniec, gdy sądził, że wino skutek swój już uczyniło, w następujące ozwał się słowa:

— Czy uważacie waszmościowie, że żaden z panów polskich pułkowników nie przyszedł na tę naradę, chociaż posłałem wszystkim wezwanie?

— Waszej dostojności zapewne wiadomo, że pachołkowie polskich chorągwi znaleźli przy łowieniu ryb srebro klasztorne i że pobili się o nie z naszymi żołnierzami. Kilkunastu ludzi na śmierć usieczono.

— Wiem. Część tego srebra zdołałem wyrwać z ich rąk, nawet większą część. Jest ona teraz tu i namyślam się co z nią uczynić.

— Stąd zapewne gniewy panów pułkowników. Powiadają, że skoro Polacy to srebro znaleźli, to się Polakom należy.

— Oto racja! — zawołał Wrzeszczowicz.

— Według mego zdania jest pewna racja; — odpowiedział Sadowski — i tak myślę, że gdybyś waszmość, panie hrabio, je znalazł, nie uważałbyś za potrzebne dzielić się niem nietylko z Polakami, ale nawet i ze mną, który jestem Czechem?

— Przedewszystkiem, panie, nie dzielę twojej życzliwości dla nieprzyjaciół naszego króla — odparł chmurno Wrzeszczowicz.

— Ale my, panie, dzięki tobie musimy podzielić się z tobą wstydem i hańbą, nie mogąc nic wskórać przeciw fortecy, pod którą nas namówiłeś.

— Tak więc pan straciłeś już wszelką nadzieję?

— A pan, czy ją masz jeszcze do podziału?

— Jakbyś pan wiedział, i sądzę, że ci panowie chętniej podzielą się ze mną moją nadzieją, niż z panem jego bojaźnią.

— Czy czynisz mnie tchórzem, panie Wrzeszczowicz?...

— Nie przypisuję panu więcej odwagi, niż okazujesz!

— Ja zaś przypisuję panu mniej!

— A ja — rzekł Müller, który od niejakiego czasu niechętnie spoglądał na Wrzeszczowicza, jako na instygatora nieszczęsnej wyprawy — postanawiam srebro odesłać do klasztoru. Może dobroć i łaska więcej wskóra przeciw tym nieużytym mnichom, niż kule i armaty. Niech zrozumieją, że chcemy opanować fortecę, nie ich skarby.

Oficerowie ze zdziwieniem spojrzeli na Müllera, tak mało przywykli do podobnej wspaniałomyślności z jego strony.

Wreszcie Sadowski rzekł:

Nic lepszego nie można uczynić, bo zarazem zamknie się gębę polskim pułkownikom, którzy do srebra pretensje roszczą. W twierdzy uczyni to także z pewnością dobre wrażenie.

— Najlepsze wrażenie uczyni śmierć owego Kmicica — odparł Wrzeszczowicz. — Spodziewam się, że tam Kuklinowski już go ze skóry obłupił.

— Mniemam i ja, że już nie żyje — odpowiedział Müller. — Ale nazwisko owo przypomina mi naszą stratę niczem nie wynagrodzoną. Było to największe działo w całej artylerji jego kr. mości. Nie ukrywam panom, że wszystkie nadzieje moje na niem polegały. Wyłom już był uczyniony, strach w twierdzy szerzył się. Jeszcze parę dni, a bylibyśmy ruszyli do szturmu. Teraz za nic cała praca, za nic wszystkie wysilenia. Mur jednego dnia naprawią. A te działa, któremi jeszcze rozporządzamy, nie lepsze od fortecznych i łatwo porozbijane być mogą. Większych niema skąd wziąć, bo ich i pan marszałek Wittemberg nie posiada. Mości panowie! Im dłużej się nad tem zastanawiam, tem klęska wydaje mi się straszniejszą!... I pomyśleć, że jeden człowiek ją zadał... Jeden pies! Jeden szatan!... Oszaleć przyjdzie! do wszystkich rogatych djabłów!...

Tu Müller uderzył pięścią w stół, bo go gniew niepohamowany pochwycił, tem okrutniejszy, że bezsilny.

Po chwili zakrzyknął:

— A co jego królewska mość powie, gdy go wieść o tej stracie dojdzie?!...

Po chwili znów:

— A co my poczniem?... Zębami tej skały nie ugryziem! Bogdaj zaraza tych zabiła, którzy mnie pod tę twierdzę namawiali!...

To rzekłszy, porwał puhar kryształowy i w uniesieniu grzmotnął nim o podłogę, aż kryształ rozbił się na proch.

Oficerowie milczeli. Nieprzystojne uniesienie jenerała, właściwsze chłopu, niż wojownikowi tak wysoką piastującemu godność, zraziło doń serca i skwasiło doreszty humory.

— Radźcie panowie! — zakrzyknął Müller.

— Radzić można tylko spokojnie — odparł książę Heski.

Müller począł sapać i wyparskiwać gniew nozdrzami. Po niejakim czasie uspokoił się i wodząc oczyma po obecnych, jakby zachęcając ich wzrokiem, rzekł:

— Przepraszam waszmościów, ale gniew mój nie dzi-

wota. Nie będę wspominał tych miast, którem, objąwszy komendę po Torstensonie, zdobył, bo nie chcę, wobec teraźniejszej klęski, dawną fortuną się chlubić. Wszystko to, co się pod tą twierdzą dzieje, ludzki rozum poprostu przechodzi. Jednakże radzić trzeba... Poto waćpanów wezwałem. Obradujcie więc... i co większością na radzie postanowimy, to spełnię.

— Niech wasza dostojność da nam przedmiot do obrady, — rzekł książę Heski. — Mamy-li obradować jedynie nad zdobyciem fortecy, czy też i nad tem, czy nie lepiej ustąpić?

Müller nie chciał stawiać kwestji tak jasno, a przynajmniej nie chciał, aby owo: albo — albo wyszło po raz pierwszy z jego ust, dlatego rzekł:

— Niech każdy z panów mówi szczerze, co myśli. Wszystkim nam o dobro i chwałę jego królewskiej mości chodzić powinno.

Lecz żaden z oficerów nie chciał także pierwszy z propozycją odstąpienia występować, więc znów nastało milczenie.

— Panie Sadowski! — rzekł po chwili Müller, głosem, który starał się uczynić przyjaznym i łaskawym — pan szczerzej mówisz od innych, co myślisz, bo reputacja pańska zabezpiecza go od wszelkich podejrzeń...

— Myślę, jenerale, — odparł pułkownik, — że ów Kmicic był jednym z największych tegoczesnych żołnierzy i że położenie nasze jest desperackie...

— Wszakże pan byłeś za odstąpieniem od twierdzy?...

— Za pozwoleniem waszej dostojności, byłem tylko za tem, by nie rozpoczynać oblężenia... To wcale inna rzecz.

— Więc co pan teraz radzisz?

— Teraz odstępuję głos panu Wrzeszczowiczowi...

Müller zaklął jak poganin.

— Pan Weyhard będzie za całą tę nieszczęsną wyprawę odpowiadał! — rzekł.

— Nie wszystkie moje rady spełniono: — odpowiedział

zuchwale Wrzeszczowicz — mógłbym też śmiało zrzucić z siebie odpowiedzialność. Byli tacy, którzy je krzyżowali, byli tacy, którzy dziwną zaiste i niewytłumaczoną żywiąc dla księży życzliwość, odmawiali jego dostojność od wszelkich surowszych środków. Radziłem, żeby owych księży posłujących powiesić i jestem przekonany, że gdyby to się stało, postrach otworzyłby nam już bramy tego kurnika.

Tu Wrzeszczowicz począł patrzeć na Sadowskiego, lecz nim ten zdobył się na odpowiedź, wmieszał się książę Heski:

— Nie nazywaj, hrabio, tej twierdzy kurnikiem. — rzekł, — bo im bardziej zmniejszasz jej znaczenie, tem bardziej powiększasz naszą hańbę.

— Niemniej radziłem, by posłów powiesić. Postrach i zawsze postrach, oto, com od rana do wieczora powtarzał, lecz pan Sadowski pogroził dymisją i księża odeszli bezpiecznie.

— Idź, panie hrabio, dzisiaj do fortecy, — odpowiedział Sadowski, — wysadź prochami największą ich armatę, jak to uczynił z naszą ów Kmicic, a ręczę ci, że to większy rozszerzy postrach, niż zbójeckie posłów mordowanie!...

Wrzeszczowicz zwrócił się wprost do Müllera:

— Wasza dostojność! Sądzę, żeśmy się tu na naradę, nie na krotofile zebrali!

— Czy masz waszmość co, prócz czczych wyrzutów do powiedzenia? — spytał Müller.

— Mam, pomimo wesołości tych panów, którzy mogliby swój humor do lepszych czasów zachować.

— O Laertiadesie z fortelów swych znany! — zakrzyknął książę Heski.

— Panowie! — odpoweidział Wrzeszczowicz — wiadomo powszechnie, że nie Minerwa jest waszem opiekuńczem bóstwem, a ponieważ Mars wam nie dopisał i zrzekliście się waszych głosów, pozwólcie mnie mówić.

— Góra stękać poczyna, zaraz ujrzymy mysi ogonek! — dorzucił Sadowski.

— Proszę o milczenie! — rzekł surowo Müller.

— Mów, panie hrabio, pamiętaj tylko, że dotąd rady twoje wydały gorzkie owoce.

— Które mimo zimy spożywać musimy, nakształt zapleśniałych sucharów! — wtrącił książę Heski.

— Tem się tłumaczy, dlaczego wasza ks. mość pijesz tyle wina; — odparł Wrzeszczowicz — a choć wino nie zastąpi przyrodzonego dowcipu, pomaga ci zato do wesołego strawienia nawet hańby. Lecz mniejsza o to! Wiem dobrze, iż w fortecy jest partja, która oddawna poddać się pragnie i tylko nasza niemoc z jednej, a nadludzki upór przeora z drugiej strony, utrzymuje ją w karbach. Nowy postrach doda jej nowych sił, dlatego należy nam okazać, że nic sobie nie robimy ze straty działa i szturmować tem usilniej.

— Czy to już wszystko?

— Choćby to było wszystko, sądzę, że podobna rada zgodniejszą jest z honorem szwedzkich żołnierzy, niż jałowe z niej drwiny przy kielichach i niż wysypianie się po pijatyce. Ale to nie wszystko. Należy rozpuścić między naszymi żołnierzami, a zwłaszcza między polskimi, wieść, że górnicy, którzy teraz nad założeniem miny pracują, odkryli stary przechód podziemny, ciągnący się pod sam klasztor i kościół...

— Masz waszmość słuszność, to dobra rada! — rzekł Muller.

— Gdy wieść ta między naszymi i polskimi żołnierzami się rozszerzy, sami Polacy będą namawiać mnichów do poddania się, bo i im chodzi, równie jak mnichom, aby to gniazdo zabobonów ocalało.

— Jak na katolika, to nieźle! — mruknął Sadowski.

— Gdyby służył Turkom, nazywałby Rzym gniazdem zabobonów! — odpowiedział książę Heski.

Wtedy Polacy wyszlą niezawodnie od siebie posłów do księży: — mówił dalej Weyhard — owa partja w klasztorze, która dawno się chce poddać, pod wpływem przerażenia, ponowi swe usilności i kto wie, czy nie zmuszą przeora i opornych do otworzenia bram.

— „Zginie miasto Priama przez podstęp boskiego Laertydy...“ — począł deklamować książę Heski.

— Dalibóg, czysta historja trojańska, a jemu się zdaje, że coś nowego wymyślił! — odpowiedział Sadowski.

Lecz Müllerowi rada podobała się, bo w samej rzeczy nie była złą. Partja, o której Wrzeszczowicz wspominał, istniała w klasztorze. Nawet niektórzy księża słabszego ducha do niej należeli. Prócz tego przestrach mógł się rozszerzyć pomiędzy załogą, ogarnąć nawet tych, którzy dotąd chcieli się bronić do ostatniej kropli krwi.

— Popróbujemy, popróbujemy! — mówił Müller, który jak tonący chwytał się każdej deski i łatwo od rozpaczy przechodził do nadziei. — Ale czy Kaliński albo Zbrożek zgodzą się jeszcze posłować do klasztoru, czy uwierzą w ów podkop i czy zechcą księżom o nim oznajmić?

— W każdym razie Kuklinowski zgodzi się, — odrzekł Wrzeszczowicz, — ale lepiej będzie, żeby i on wierzył naprawdę w istnienie przechodu.

Wtem tętent rozległ się przed kwaterą.

— Owóż i pan Zbrożek przyjechał! — rzekł książę Heski, spoglądając przez okno.

Po chwili w sieni zabrzęczały ostrogi i Zbrożek wszedł, a raczej wpadł do izby. Twarz jego była blada, wzburzona i zanim oficerowie zdążyli spytać o powody tego pomieszania, pułkownik zakrzyknął:

— Kuklinowski nie żyje!

— Jakto? Co waść mówisz? Co się stało? — spytał Müller.

— Pozwólcie mi odetchnąć, — rzekł Zbrożek, — bo to, com widział, imaginację przechodzi...

— Mów prędzej, zamordowano-li go?... — zawołali wszyscy.

— Kmicic! — odparł Zbrożek.

Oficerowie zerwali się wszyscy ze swych miejsc i poczęli patrzyć na Zbrożka, jak na szalonego; on zaś wyrzucając nozdrzami szybkie kłęby pary. tak mówił:

— Gdybym nie widział, oczombym nie wierzył, bo to nieludzka moc. Kuklinowski nieżywy, trzech żołnierzy zabitych, a Kmicica ani śladu. Wiedziałem, że to straszny człowiek. Reputacja jego w całym kraju znana... Żeby jednak, będąc jeńcem, związanym, nietylko się wyrwać, ale pobić żołnierzy i Kuklinowskiego storturować... tego człowiek nie mógł dokonać. to chyba djabeł!

— Coś podobnego nigdy się nie przygodziło... To niepodobne do wiary! — szepnął Sadowski.

— Pokazał ten Kmicic, co umie! — odrzekł książę Heski. — A nie wierzyliśmy wczoraj Polakom, gdy nam mówili. co to za ptak; myśleliśmy, że koloryzują, jak oni zwykle.

— Oszaleć! — krzyknął Wrzeszczowicz.

Müller trzymał się rękami za głowę i nic nie mówił. Gdy wreszcie podniósł oczy, błyskawice gniewu krzyżowały się w nich z błyskawicami podejrzeń.

— Panie Zbrożek, — rzekł, — choóby to był szatan, nie człowiek, bez pomocy, bez jakowejś zdrady nie mógłby on tego dokonać. Kmicic miał tu swoich admiratorów, a Kuklinowski swych wrogów i waszmość należałeś do ich liczby!

Zbrożek. był to w całem znaczeniu tego słowa zuchwały żołnierz. dlatego, usłyszawszy zarzut do siebie wymierzony, przybladł jeszcze mocniej, zerwał się z miejsca, zbliżył się do Müllera i zastąpiwszy mu drogę, spojrzał wprost w oczy.

— Czy wasza dostojność mnie posądzasz?... — zapytał.

Nastała bardzo ciężka chwila. Wszyscy obecni nie mieli najmniejszej wątpliwości, iż jeśli Müller da odpowiedź twierdzącą, nastąpi niechybnie coś strasznego i niesłychanego w dziejach wojskowych. Wszystkie ręce spoczęły na rękojeściach rapierów. Sadowski obnażył nawet swój zupełnie.

Lecz w tej chwili oficerowie ujrzeli przez okna, iż podwórzec zaroił się od polskich jeźdźców. Prawdopodobnie przybywali oni także z wieściami o Kuklinowskim, wszelako w razie zajścia, stanęliby niechybnie po stronie Zbrożka.

Widział ich Müller, a lubo bladość wściekłości wystąpiła mu na twarz, jednak pohamował się i udając, że nie spostrzega nic wyzywającego w postępowaniu Zbrożka, odparł głosem, który starał się uczynić naturalnym:

— Opowiedz nam wasza mość szczegółowo, jak się to stało?

Zbrożek stał jeszcze czas jakiś z rozdętemi nozdrzami, lecz opamiętał się także, a przytem myśl jego zwróciła się w inną stronę, gdyż towarzysze, którzy właśnie nadjechali, weszli do izby.

— Kuklinowski zamordowan! — powtarzali jeden za drugim.

— Kuklinowski zabit!

— Oddział jego rozprasza się! Żołnierze jego szaleją!

— Pozwólcie panowie przyjść do słowa panu Zbrożkowi, który pierwszy przyniósł nowinę! — zawołał Müller.

Po chwili uciszyło się i Zbrożek tak mówić począł:

— Wiadomo panom, żem na ostatniej naradzie wyzwał Kuklinowskiego na kawalerski parol. Byłem admiratorem Kmicica, prawda, bo i wy, choć jego nieprzyjaciele, musicie przyznać, że nie lada kto mógł spełnić takie dzieło, jak owo rozsadzenie tej armaty. Odwagę i w nieprzyjacielu cenić należy, dlatego podałem mu rękę, ale on mi swej umknął i zdrajcą mnie nazwał. Więc pomyślałem sobie: niech Kuklinowski czyni z nim, co chce... Chodziło mi jeno o to, żeby, jeśli Kuklinowski postąpi sobie z nim przeciwnie rycerskiemu honorowi, niesława tego uczynku na wszystkich Polaków, a między innymi i na mnie, nie spadła. Dlatego to chciałem się koniecznie z Kuklinowskim bić, i dziś rano, wziąwszy dwóch towarzyszów, pojechałem do jego obozu. Przyjeżdżamy do kwatery... Powiadają: „Niemasz go!“ Posyłam tu, niemasz go!... W kwaterze mówią, że i na noc wcale nie wracał, ale nie byli niespokojni, bo myśleli, że u waszej dostojności został. Aż jeden żołnierz powiada, że w nocy pojechał z Kmicicem w pole do stodółki, w której miał go przypiekać. Jadę do stodółki, wierzeje otwarte.

Wchodzę, widzę, wisi nagie ciało na belce... Pomyślałem, że Kmicic, aż gdy oczy do mroku przywykły, patrzę, że trup jakiś chudy i kościsty, a tamten wyglądał jak Herkules... Dziwne mi było, żeby się mógł tak skurczyć przez jedną noc... Zbliżam się tuż — Kuklinowski!

— Na belce? — spytał Müller.

— Tak jest! Przeżegnałem się... Myślę: czary, omen, czy co... Dopiero jakem zobaczył trupy trzech żołnierzy, prawda stanęła przede mną jako żywa. Ten straszny człek pobił tamtych, tego powiesił i przypiekł po katowsku, a sam uszedł!

— Do śląskiej granicy niedaleko! — rzekł Sadowski.

Nastała chwila milczenia.

Wszelkie podejrzenie co do udziału Zbrożka zgasło w duszy Müllera. Lecz sam wypadek zmieszał go, przeraził i napełnił jakimś nieokreślonym niepokojem. Widział naokoło piętrzące się niebezpieczeństwa, a raczej groźne ich cienie, przeciw którym ani wiedział, jak walczyć; czuł, że otoczył go jakiś łańcuch niepomyślności. Pierwsze ogniwa leżały przed jego oczyma, lecz dalsze otaczał jeszcze mrok przyszłości. Opanowało go takie uczucie, jakby mieszkał w popękanym domu, który lada chwila mógł mu się zwalić na głowę. Niepewność przygniotła go nieznośnym ciężarem i pytał sam siebie, do czego ma rąk przyłożyć?

Wtem Wrzeszczowicz uderzył się w czoło.

— Na Boga! — rzekł. — Od wczoraj, jakem tego Kmicica ujrzał, wydawało mi się, że ja go kiedyś znałem. Teraz znów widzę przed sobą tę twarz, przypominam sobie dźwięk mowy. Musiałem go chyba spotkać na krótko i pociemku, wieczorem, ale mi po głowie chodzi... chodzi...

Tu począł trzeć ręką czoło.

— Co nam z tego? — rzekł Müller — nie skleisz, panie hrabio, armaty, choćbyś sobie przypomniał; nie wskrzesisz Kuklinowskiego!

Tu zwrócił się do oficerów:

— Komu wola, panowie, za mną na miejsce wypadku!

Wszyscy chcieli jechać, bo wszystkich podniecała ciekawość.

Podano więc konie i ruszyli rysią, a jenerał na czele. Zbliżywszy się do stadółki, ujrzeli kilkudziesięciu jeźdźców polskich, rozrzuconych naokoło owego zabudowania na drodze i po polu.

— Co to za ludzie? — spytał Zbrożka Müller.

— To muszą być Kuklinowskiego. Mówię waszej dostojności, że ta hołota poprostu poszalała...

To rzekłszy, Zbrożek począł kiwać na jednego z jeźdźców.

— Bywaj, bywaj! Żywo!

Żołnierz podjechał.

— Wy z pod Kuklinowskiego?

— Tak jest!

— A gdzie reszta pułku?

— Rozbieżeli się. Mówią, że nie chcą dłużej służyć przeciwko Jasnej Górze.

— Co on mówił? — spytał Müller.

Zbrożek wytłumaczył.

— Spytaj go waść, dokąd poszli? — rzekł jenerał.

Zbrożek powtórzył pytanie.

— Niewiadomo — odrzekł żołnierz. — Niektórzy poszli na Śląsk. Inni mówili, że samemu Kmicicowi idą służyć, bo takiego drugiego pułkownika niemasz ani między Polaki, ani między Szwedami.

Müller, gdy Zbrożek znów mu wytłumaczył słowa żołnierza, zamyślił się. Rzeczywiście, tacy ludzie, jakich miał Kuklinowski, gotowi byli bez wahania przejść pod komendę Kmicica. Ale wówczas mogli się stać groźni, jeśli nie dla armji Müllera, to przyjnajmniej dla jego dowozów i komunikacyj.

Fala niebezpieczeństw piętrzyła się coraz wyżej naokoło zaklętej fortecy.

Zbrożkowi toż samo musiało przyjść do głowy, bo jakby odpowiadając na owe myśli Müllera, rzekł:

— To pewna. że wszystko burzy się w całej Rzeczypospolitej. Niech jeno taki Kmicic krzyknie, a setki i tysiące go otoczą, zwłaszcza po tem, co uczynił.

— I co wskóra? — pytał Müller.

— Wasza dostojność niech zechce pamiętać, że ten człowiek do desperacji przywiódł Chowańskiego, a Chowański miał licząc z kozakami sześć razy tyle ludzi, co my... Ani jeden transport nie przyjdzie nam bez jego pozwolenia, a folwarki poniszczone i poczyna nam być głodno. Prócz tego Kmicic może się połączyć z Żegockim i Kuleszą, wówczas kilka tysięcy szabel będzie miał na zawołanie. To ciężki człowiek i może stać się molestissimus.

— A waszmość pewien jesteś swoich żołnierzy?

— Więcej, niż siebie samego! — odpowiedział z szorstką otwartością Zbrożek.

— Jakto więcej?

— Bo, mówiąc prawdę, dość mamy wszyscy tego oblężenia!

— Ufam, że ono wkrótce się skończy.

— Tylko pytanie: jak? Zresztą, wziąć tę twierdzę jest teraz taką samą klęską, jak od niej odstąpić.

Tymczasem dojechali do stodółki. Müller zsiadł z konia, za nim wszyscy oficerowie i weszli do wnętrza. Kuklinowskiego zdjęli już żołnierze z belki i okrywszy kilimkiem, położyli nawznak na resztkach słomy. Trzy ciała żołnierskie leżały wpodle, ułożone równo obok siebie.

— Tych pomordowano nożami — szepnął Zbrożek.

— A Kuklinowski?

— Na Kuklinowskim ran niemasz, jeno bok ma spieczony i osmalone wąsy. Musiał zmarznąć, albo zatchnął się, bo własną czapkę dotychczas w zębach trzyma.

— Odkryć go!

Żołnierz podniósł róg kilimka i okazała się twarz straszna, nabrzmiała z wytrzeszczonemi oczyma. Na resztkach osmalonych wąsów sople powstałe ze zlodowaciałego oddechu pomieszały się z kopciem i utworzyły jakby kły

sterczące z ust. Twarz to była tak ohydna, że Müller, lubo przyzwyczajony do wszelkiego rodzaju okropności, wzdrygnął się i rzekł:

— Zakryj co prędzej! Straszne! Straszne!

Posępna cisza zapanowała w stodółce.

— Pocośmy tu przyjechali? — pytał spluwając książę Heski — przez cały dzień nie tknę jedzenia.

Nagle Müllera opanowało nadzwyczajne jakieś rozdrażnienie, graniczące prawie z obłędem. Twarz mu zsiniała, źrenice rozszerzyły się, zęby poczęły zgrzytać. Owładnęło go dzikie pragnienie krwi, zemsty nad kimkolwiek, więc zwróciwszy się do Zbrożka, zakrzyknął:

— Gdzie ów żołnierz, który widział, że Kuklinowski był w stodółce? Dawajcie go! To musi być wspólnik!

— Nie wiem, czyli ten żołnierz tu jeszcze jest — odrzekł Zbrożek. — Wszyscy ludzie Kuklinowskiego rozbiegli się, jak wyjarzmione byki!

— To go łap! — zaryczał w furji Müller.

— To go wasza dostojność sam łap! — krzyknął z równą furją Zbrożek.

I znów straszliwy wybuch zawisnął, jakby na nici pajęczej, nad głowami Szwedów i Polaków. Ci ostatni poczęli się cisnąć do Zbrożka, ruszać groźnie wąsiskami i trzaskać w szable.

Wtem gwar, echa strzałów i tętent kilku koni rozległ się nazewnątrz i do stodółki wpadł oficer szwedzkich rajtarów.

— Jenerale! — krzyknął — wycieczka z klasztoru! Górnicy, kopiący minę, wybici do nogi! Oddział piechoty rozproszony.

— Oszaleję! — wrzasnął Müller, chwytając się za włosy peruki — na koń!

Po chwili mknęli wszyscy jak wicher ku klasztorowi, aż grudy śniegu sypały się jak grad z pod kopyt koni. Sto jazdy Sadowskiego, pod komendą jego brata, przyłączyło się do osoby Müllera i biegło w pomoc. Po drodze widzieli od-

działy piechoty przerażone, uciekające w nieładzie i popłochu. tak bardzo upadły już serca niezrównanych skądinąd żołnierzy szwedzkich. Opuszczano nawet szańce, którym żadne nie groziło niebezpieczeństwo. Kilkunastu stratowali pędzący oficerowie i rajtarzy. Dopadli wreszcie o staję od fortecy. lecz poto tylko, by na wzniesieniu, widnem jak na dłoni, ujrzeć wracających szczęśliwie do klasztoru napastników. Śpiewy, okrzyki radosne i śmiechy dochodziły od nich do uszu Müllera.

Pojedyńczy przystawali nawet i grozili w stronę sztabu krwawemi szablami. Polacy, znajdujący się przy boku szwedzkiego jenerała, poznali samego Zamoyskiego, który osobiście przywodził tej wycieczce, a który teraz, dojrzawszy sztab, przystanął i kłaniał mu się z powagą czapką. Nie dziwota! Czuł się już bezpieczny, pod zasłoną dział fortecznych.

Jakoż na wałach zadymiło i żelazne ptastwo kul przeleciało ze straszliwym świstem między oficerami. Kilku rajtarów zachwiało się na kulbakach i jęk odpowiedział świstowi.

— Pod ogniem jesteśmy, cofać się! — zakomenderował Sadowski.

Zbrożek chwycił za cugle Müllerowego konia.

— Jenerale, cofamy się! Tu śmierć!

Müller był jakby odrętwiały, nie odrzekł ni słowa, pozwolił wywieść się z promienia pocisków. Wróciwszy do swej kwatery, zamknął się w niej i cały dzień nie chciał nikogo widzieć.

Rozmyślał zapewne o swej sławie Poliocertesa.

Tymczasem Wrzeszczowicz wziął w ręce całą władzę i z niezmierną energją począł czynić przygotowania do szturmu. Sypano nowe szańce, żołnierze łamali w dalszym ciągu po górnikach skałę dla założenia miny. Ruch gorączkowy trwał w całym obozie szwedzkim; zdawało się, że nowy duch wstąpił w oblegających lub że im świeże posiłki przybyły.

W kilka dni później wieść gruchnęła po obozie szwedzkim i sprzymierzonym polskim, że kopacze znaleźli przechód podziemny, idący pod sam kościół i klasztor i że tylko od dobrej woli jenerała zależy wysadzić całą twierdzę w powietrze.

Radość niezmierna ogarnęła znużonych mrozami, głodem i bezowocną pracą żołnierzy.

Okrzyki: — Mamy Częstochowę!... Wysadzimy ten kurnik! — przebiegały z ust do ust. Rozpoczęły się uczty i pijatyka.

Wrzeszczowicz był wszędzie, zachęcał żołnierzy, utrzymywał w wierze, potwierdzał sto razy dziennie wieść o znalezieniu przechodu, podniecał uczty i hulatyki.

Echa tej radości doszły nakoniec i do twierdzy. Wiadomość o minach już założonych i gotowych do wybuchu rozbiegła się z szybkością błyskawicy z jednego końca wałów na drugi. Najodważniejsi nawet zlękli się. Niewiasty z płaczem poczęły oblegać mieszkanie przeora, wyciągać ku niemu dzieci, gdy ukazywał się na chwilę i wołać:

— Nie gub niewinnych!... Krew ich spadnie na ciebie!...

Im kto większym był tchórzem, z tem większą odwagą nacierał teraz na księdza Kordeckiego, by nie narażał na zgubę świętego miejsca, stolicy Najświętszej Panny.

Nastały tak ciężkie chwile i tak bolesne dla nieugiętej duszy owego bohatera w habicie, jakich nigdy dotąd nie bywało. Szczęściem, że i Szwedzi zaniechali szturmów, aby tem dowodniej okazać oblężonym, że już nie potrzebują ni kul, ni armat, że dość im jedną nitkę prochową zapalić. Lecz dla tych samych powodów przerażenie rosło w klasztorze. W czasie głuchych nocy, niektórym najtchórzliwszym wydawało się, że słyszą już pod ziemią jakieś szmery, jakieś ruchy, że Szwedzi są już pod samym klasztorem. Upadła wreszcie na duchu i znaczna część zakonników. Ci, z ojcem Stradomskim na czele, udali się do przeora, by niezwłocznie

rokowania o poddanie się rozpoczął. Z nimi razem poszła większość żołnierzy i kilku szlachty.

Wówczas ksiądz Kordecki wyszedł na podwórze, a gdy tłum otoczył go ściśniętem kołem, tak mówić począł:

— Zali nie przysięgliśmy sobie, że do ostatniej kropli krwi bronić świętego przybytku będziemy? Zaprawdę, powiadam wam, jeżeli prochy nas wyrzucą, to tylko liche ciała nasze, tylko doczesne zwłoki opadną zpowrotem na ziemię, a dusze już nie wrócą...

...Niebo otworzy się nad niemi i tam wejdą w wesele, w szczęśliwość, jako morze bez granic. Tam Jezus Chrystus je przyjmie i ta Matka Najświętsza, i wyjdzie przeciw nich, a one jako pszczoły złote siędą na Jej płaszczu i w światłości się zanurzą i w oblicze Boga patrzeć będą...

Tu blask tej światłości zaświtał na twarzy jego, oczy natchnione wzniósł w górę i mówił dalej z powagą i spokojem zaziemskim:

— Panie, który światami rządzisz, Ty patrzysz w serce moje i wiesz, że nie kłamię temu ludowi, mówiąc, iż gdybym własnej szczęśliwości tylko pragnął, tedybym ręce wyciągnął ku Tobie i wołałbym z głębi duszy mojej: „Panie! spraw, aby te prochy były, aby wybuchły, bo w takiej śmierci jest odkupienie win i grzechów, bo jest odpoczynek wieczny, a sługa Twój znużon i spracowan już bardzo“... I któżby nie chciał takiej nagrody za śmierć bez męki, jako mgnienie oka krótką, jako błyskawica na niebie przemijającą, po której wieczność niezmienna, szczęście nieprzebrane, radość bez końca!...

Lecz Ty mi kazałeś strzec przybytku Twego, więc mi odejść nie wolno; Tyś mnie na straży postawił, więc wlałeś we mnie moc Twoją i wiem to, Panie, i widzę i czuję, że choćby złość nieprzyjacielska aż pod ów kościół dotarła, choćby wszystkie prochy i niszczące saletry pod nim złożono, dośćby mi było je przeżegnać, ażeby nie wybuchły...

Tu zwrócił się do zgromadzonych i tak mówił dalej:

— Bóg mi dał tę moc, lecz wy zdejmijcie strach z serc

waszych! Duch mój przenika ziemię i powiada wam: Kłamią nieprzyjaciele wasi i niema prochowych smoków pod kościołem!... Wy, ludzie trwożliwych serc, wy, w których przestrach wiarę potłumił, nie zasłużyliście na to, by dziś jeszcze wejść do królestwa łaski i odpocznienia — więc niemasz prochów pod stopami waszemi! Bóg chce ocalić ten przybytek, aby jako arka Noego unosił się nad potopem klęsk i niedoli, więc w imię Boga, po raz trzeci powiadam wam, niemasz prochów pod kościołem! A gdy w Jego imieniu mówię, kto będzie śmiał mi przeczyć, kto wątpić się jeszcze odważy?...

To rzekłszy, umilkł i patrzył na tłum zakonników, szlachty i żołnierzy. Lecz taka była niezachwiana wiara, pewność i siła w jego głosie, że oni milczeli także i nikt nie wystąpił. Przeciwnie, otucha zaczęła wstępować w serca, aż nakoniec jeden z żołnierzy, chłop prosty, rzekł:

— Bądź pochwalone imię Pańskie!... Od trzech dni mówią, iż mogą fortecę wysadzić, czemuż nie wysadzają?

— Chwała Najświętszej Pannie! Czemu nie wysadzają? — powtórzyło kilkanaście głosów.

Wtem uczynił się dziwny znak. Oto nagle naokół rozległ się szum skrzydeł i całe stada zimowych ptaszyn pojawiły się na podwórzu fortecznem i coraz nowe nadlatywały z okolicznych ogłodzonych folwarków: więc szare śmieciuszki, trznadle o złotej piersi, ubogie wróble, zielone sikorki, krasne gile, poobsiadały załamania dachów, węgły, odrzwia, gzymsy kościelne; inne kręciły się różnobarwnym wieńcem nad głową księdza, furkając szkrzydełkami, świegocąc żałośnie, jakoby o jałmużnę prosiły i nic nie obawiając się ludzi. Zdumieli się na ten widok obecni, a ksiądz Kordecki modlił się przez chwilę, wreszcje rzekł:

— Oto ptaszkowie leśni pod opiekę tej Matki Bożej się udają, a wy zwątpiliście o Jej mocy?

Otucha i nadzieja wróciły już do serc, zakonnicy, bijąc się w piersi, udali się do kościoła, a żołnierze na mury.

Niewiasty wyszły sypać ziarno ptaszętom, które poczęły dziobać je chciwie.

Wszyscy tłumaczyli pojawienie się owych drobnych leśnych mieszkańców sobie na pomyślność, nieprzyjacielowi na szkodę.

— Srogie śniegi muszą leżeć, gdy owe ptaszyny już i na wystrzały i na huk armatni nie uważają, jeno do zabudowań się cisną — mówili żołnierze.

— A czemu to od Szwedów do nas uciekają?

— Bo i najlichsze stworzenie ma ten dowcip, że nieprzyjaciela od swojego odróżni.

— Nie może to być: — odrzekł inny żołnierz — przecie i w szwedzkim obozie są Polacy, ale to znaczy że tam już głodno być musi i obroków dla koni wcale brakuje.

— Znaczy to jeszcze lepiej, — mówił trzeci, — bo pokazuje się, że co prawią o tych prochach, to wierutne łgarstwo.

— Jakżeto? — spytali wszyscy naraz.

— Starzy ludzie powiadają, — odrzekł żołnierz, — że niech jeno jaki dom ma się zapalić, zaraz jaskółki i wróblowie, gniazda wiosną pod dachem mający, wyprowadzają się precz na dwa i trzy dni przedtem; taki każda bestja ma rozum, że najprzód wie o niebezpieczeństwie. Owóż, gdyby pod klasztorem były prochy, toby te ptaki tu nie przyleciały.

— Prawda-li to?

— Jako amen w pacierzu!

— Chwała Najświętszej Pannie! Źle tedy ze Szwedami!

W tej chwili głos trąbki dał się słyszeć przy południowo-zachodniej bramie: wszyscy pobiegli patrzeć, kto przybywa?

Był to trębacz szwedzki, który przywiózł list z obozu.

Zakonnicy zgromadzili się zaraz w definitorjum. List był od Wrzeszczowicza i oznajmiał, iż jeśli twierdza nie podda się do jutra, zostanie w powietrze wysadzona.

Lecz ci nawet, którzy poprzednio upadli pod brzemieniem bojaźni, nie uwierzyli teraz temu wezwaniu.

— Próżne to strachy! — wołali razem księża i szlachta.

— Napiszmy im tedy, żeby nas nie żałowali. Niech wysadzają!

I istotnie odpisano w ten sposób.

Tymczasem żołnierze, którzy zgromadzili się przy trębaczu, odpowiadali również śmiechem na jego ostrzeżenia.

— Dobrze! — mówili mu. — Czemu macie nas szczędzić? Prędzej pójdziem do nieba!

Ten zaś, który wręczał posłańcowi list z odpowiedzią, rzekł mu:

— Nie traćcie próżno słów i czasu!... Samych was nędza gryzie, a nam, chwała Bogu, na niczem nie zbywa. Ptaki nawet od was uciekają.

W ten sposób spełzł na niczem ostatni fortel Wrzeszczowicza.

A gdy upłynął jeszcze dzień, okazało się zupełnie dowodnie, jak czczemi były obawy oblężonych i spokój powrócił w klasztorze.

Nazajutrz zacny mieszczanin częstochowski, Jacek Brzuchański, podrzucił znowu list ostrzegający o szturmie, lecz zarazem o wyruszeniu Jana Kazimierza ze Śląska i o powstaniu całej Rzeczypospolitej przeciw Szwedom. Zresztą miał to być, według wieści krążących za murami, szturm ostatni.

Brzuchański podrzucił list wraz z workiem ryb dla księży na wilję, a zbliżył się do murów przebrany za szwedzkiego żołnierza.

Na nieszczęście poznano go i schwytano. Müller kazał go rozciągnąć na torturach; lecz starzec miał w czasie mąk widzenia niebieskie i uśmiechał się słodko, jak dziecię, a zamiast bólu malowała się na jego twarzy niewysłowiona radość. Jenerał sam był obecny przy katuszy, jednakże zeznań żadnych z męczennika nie wydobył; wydobył tylko rozpaczliwe przekonanie, że tych ludzi nic nie zachwieje, nic ich nie złamie i zniechęcił się doreszty.

Tymczasem nadeszła stara żebraczka Kostucha z listem od księdza Kordeckiego, proszącym pokornie, by zawieszono szturm na czas nabożeństwa w dniu Bożego Narodzenia. Straże i oficerowie przyjęli żebraczkę ze śmiechami i z urąganiem z takiego posła, lecz ona wręcz im odrzekła:

— Nikt inny nie chciał pójść, bo wy posłów jako zbóje traktujecie, a ja się za kawałek chleba podjęła... Niedługo mi już na świecie, więc się was nie boję, a jeśli nie wierzycie, to macie mnie w ręku.

Lecz nie uczyniono jej nic złego. Co więcej, Müller pragnąc raz jeszcze drogi zgody próbować, przystał na żądanie przeora; przyjął nawet okup za niedomęczonego Jacka Brzuchańskiego; odesłał za jedną drogą i ową część srebra, znalezionego przez pachołków szwedzkich. To ostatnie uczynił na złość Wrzeszczowiczowi, który po chybionym fortelu z minami w nową popadł niełaskę.

Przyszedł wreszcie wieczór wigilijny. O pierwszej gwieździe zamigotały światła i światełka w całej fortecy. Noc była spokojna, mroźna, lecz pogodna. Szwedzcy żołnierze, kostniejąc z zimna na szańcach, spoglądali z dołu na czarne mury niedostępnej fortecy i na myśl przychodziły im ciepłe, mchami utkane chaty skandynawskie, żony, dzieci, choinkowe drzewka, płonące od świeczek i niejedna żelazna pierś wezbrała westchnieniem, żalem, tęsknotą, rozpaczą. A w twierdzy przy stołach, okrytych sianem, oblężeni łamali się opłatkami. Cicha radość płonęła na wszystkich twarzach, bo każdy miał przeczucie, pewność prawie, że czasy niedoli miną już rychło.

— Jutro szturm jeszcze, ale to już ostatni — powtarzali sobie księża i żołnierze. — Komu Bóg śmierć zapisze, niech dziękuje, że przedtem nabożeństwa zażyć mu pozwoli i tem pewniej bramy niebieskie mu otworzy, bo kto w dzień Bożego Narodzenia za wiarę zginie, ten do chwały przyjęty być musi.

Życzyli sobie tedy wzajem pomyślności, długich lat lub

niebieskiej korony i taka ulga spadła na wszystkie serca, jakby już bieda minęła.

A było przy przeorze jedno krzesło próżne, przed niem stał talerz, na którym bielała paczka opłatków, niebieską wstążeczką obwiązana.

Gdy wszyscy zasiedli, owego zaś miejsca nikt nie zajął, pan miecznik rzekł:

— Widzę, ojcze wielebny, że starym zwyczajem i dla zagórskich panów miejsce gotowe?

— Nie dla zagórskich to panów, — odrzekł ksiądz Augustyn. — ale dla wspomnienia owego młodzieniaszka, któregośmy jak syna wszyscy kochali, a którego dusza patrzy teraz z uciechą na nas, żeśmy pamięć wdzięczną o nim zachowali.

— Dlaboga, — rzekł miecznik sieradzki, — lepiej teraz jemu, niż nam! Słuszną winniśmy mu wdzięczność!

Ksiądz Kordecki miał łzy w oczach, a pan Czarniecki ozwał się:

— O mniejszych w kronikach piszą. Jeśli mi Bóg życia pozwoli, a ktokolwiek spyta mnie później, który był między wami żołnierz starożytnym bohaterom równy, powiem: Babinicz.

— On się nie nazywał Babinicz — odrzekł ksiądz Kordecki.

— Jakto, nie nazywał się Babinicz?

— Oddawna wiedziałem jego prawdziwe nazwisko, ale pod tajemnicą spowiedzi... I dopiero, wychodząc przeciw owej kolubrynie, rzekł mi: „Jeśli zginę, niechajże wiedzą. ktom jest, ażeby uczciwa sława przy mojem nazwisku została i dawne grzechy starła“. Poszedł, zginął, więc teraz mogę waćpanom powiedzieć: to był Kmicic!

— Ów litewski przesławny Kmicic? — zakrzyknął, porwawszy się za czupryne, pan Czarniecki.

— Tak jest! Tak łaska boża zmienia serca!

— Dlaboga! Teraz rozumiem, że on się podjął tej wyprawy! Teraz rozumiem. skąd się taka fantazja w nim

brała, skąd ta odwaga, którą wszystkich przewyższał! Kmicic, Kmicic! ów straszny Kmicic, którego Litwa sławi!

— Inaczej go odtąd sławić będzie, nietylko Litwa, ale cała Rzeczpospolita.

— On to nas pierwszy ostrzegł przed Wrzeszczowiczem!

— Z jego to przyczyny bramyśmy dość wcześnie zamknęli i przygotowania uczynili!

— On pierwszego Szweda z łuku ustrzelił.

— A ilu ich z armat napsuł! A de Fossisa kto położył?

— A owa kolubryna! Jeśli nam nie strach jutrzejszego szturmu, któż to sprawił?

— Niechże każdy ze czcią wspomina i wysławia gdzie może imię jego, ażeby sprawiedliwość się stała, — rzekł ksiądz Kordecki, — a teraz: wieczny odpoczynek racz mu dać, Panie!

— A światłość wiekuista niechaj mu świeci! — odpowiedział jeden chór głosów.

Lecz pan Czarniecki długo nie mógł się uspokoić i myśl jego ustawicznie zwracała się do Kmicica:

— To mówię waszmościom, — rzekł, — było w nim coś takiego, że choć jak prosty żołnierz służył, zaraz komenda sama mu do rąk właziła. Aż mi dziwno było, że ludzie mimowoli słuchali takiego młodzika... W rzeczy, na onej baszcie on komenderował i ja sam go słuchałem. Gdybym to choć był wiedział, że to Kmicic!

— Wszelako dziwno mi to, — rzekł pan miecznik sieradzki, — że Szwedzi nie pochwalili się jego śmiercią.

Ksiądz Kordecki westchnął:

— Musiały go prochy na miejscu rozerwać!

— Dałbym sobie rękę uciąć, żeby żył! — krzyknął pan Czarniecki. — Ale żeby taki Kmicic pozwolił się prochom wysadzić!...

— Dał swoje życie za nasze! — odrzekł ksiądz Kordecki.

— To pewno, — odpowiedział miecznik, — że gdyby

ta kolubryna leżała jeszcze na szańcu, nie myślałbym tak wesoło o jutrze.

— Jutro Bóg nam da nowe zwycięstwo! — rzekł ksiądz Kordecki — albowiem arka Noego nie może zatonąć w potopie!

Tak oni ze sobą rozmawiali przy wilji, a potem porozchodzili się, zakonnicy do kościoła, żołnierze na cichy postój i strażowanie przy bramach i murach. Lecz wielka czujność była zbyteczna; i w szwedzkim obozie panowała niezamącona spokojność. Sami oni oddali się spoczynkowi i rozmyślaniom, bo i dla nich zbliżało się najuroczystsze ze świąt.

Noc była także uroczysta. Roje gwiazd świeciły na niebie, mieniąc się różowo i błękitno. Blask księżyca barwił na zielono całuny śnieżne, rozciągnięte między fortecą a nieprzyjacielskim obozem. Wiatr nie wiał i taka była cisza, jakiej od początku oblężenia pod tym klasztorem nie bywało.

O północy żołnierze szwedzcy usłyszeli płynące łagodnie z wyniosłości tony organów, potem głosy ludzkie dołączyły się do nich, potem dźwięki dzwonów i dzwonków. Wesele, otucha i wielki spokój były w tych dźwiękach i tem większe zwątpienie, tem większe uczucie niemocy ścisnęło serca szwedzkie.

Żołnierze polscy z pod komendy Zbrożka i Kalińskiego, nie pytając o pozwolenie, podeszli pod same mury. Nie puszczono ich do środka, w obawie jakowej zasadzki, którą noc mogła ułatwić, lecz pozwolono stać blisko przy murach. Oni też zebrali się całą gromadą. Jedni poklękali na śniegu, inni kiwali żałośnie głowami, wzdychając nad własną dolą, albo bili się w piersi, ślubując sobie poprawę, a wszyscy słuchali z rozkoszą i ze łzami w oczach muzyki i pieśni, wedle starożytnego zwyczaju śpiewanych.

Tymczasem, strażnicy na murach, którzy nie mogli być w kościele, chcąc sobie ową stratę wynagrodzić, poczęli także

śpiewać i wkrótce rozlegała się po całym okręgu murów kolęda:

W żłobie leży,
Któż pobieży
Kolędować małemu...

Nazajutrz po południu huk dział zagłuszył na nowo wszystkie inne odgłosy. Szańce, ile ich było, zadymiły naraz, ziemia drżała w posadach; leciały po staremu na dach kościelny ciężkie faskule i bomby i granaty i pochodnie w rury oprawne, lejące deszcz roztopionego ołowiu i pochodnie bez oprawy i sznury i szmaty. Nigdy huk nie był tak nieustający, nigdy dotąd taka fala ognia i żelaza nie zwaliła się na klasztor. lecz między działami szwedzkiemi nie było owej kolubryny, która sama jedna mogła pokruszyć mur i wyłomy potrzebne do ataku uczynić.

Zresztą oblężeni tak już przywykli do ognia, tak każdy wiedział co mu czynić należy, że bez komendy obrona szła zwykłym trybem. Na ogień odpowiadano ogniem, na pocisk, pociskiem. jeno wymierzonym trafniej, bo spokojniej.

Pod wieczór wyjechał Müller, aby przy ostatnich błyskach zachodzącego słońca skutki obejrzeć i wzrok jego padł na wieżę, rysującą się spokojnie na tle błękitu.

— Ten klasztor wieki wieków stać będzie! — zakrzyknął w uniesieniu.

— Amen! — odpowiedział spokojnie Zbrożek.

Wieczorem zebrała się znów w jeneralnej kwaterze narada. jeszcze posępniejsza, niż zwykle. Zagaił ją sam Müller.

— Szturm dzisiejszy — rzekł — żadnych nie przyniósł rezultatów. Prochy nasze się kończą; lud zmarniał w połowie, reszta zniechęcona, klęski nie zwycięstwa wygląda. Zapasów już nie mamy, posiłków nie możem się spodziewać.

— A klasztor, jako pierwszego dnia oblężenia, nienaruszony stoi! — dodał Sadowski.

— Co nam pozostaje?

— Hańba...

— Odebrałem rozkazy, — rzekł jenerał, — bym prędzej kończył lub odstąpił i szedł do Prus.

— Co nam pozostaje?... — powtórzył książę Heski.

Wszystkie oczy zwróciły się na Wrzeszczowicza, ten zaś rzekł:

— Ratować honor!

Śmiech krótki, urywany, podobniejszy do zgrzytu zębów, wydobył się z ust Müllera, którego Poliocertesem zwano.

— Pan Wrzeszczowicz chce nas nauczyć, jak wskrzeszać zmarłych! — rzekł.

Wrzeszczowicz udał, że nie słyszy.

— Honor uratowali tylko polegli! — rzekł Sadowski.

Müller począł tracić zimną krew.

— I ten klasztor stoi tam jeszcze?... Ta Jasna Góra, ten kurnik?... I ja go nie zdobyłem?!... I my odstępujemy?... Czary-li to, sen, czy mówię na jawie?...

— Ten klasztor, ta Jasna Góra stoi tam jeszcze, — powtórzył słowo w słowo książę Heski — i my odstępujemy... pobici!...

Nastała chwila milczenia; zdawało się, że wódz i jego podwładni znajdują jakąś dziką rozkosz w rozpamiętywaniu własnego upokorzenia i wstydu.

Wtem Wrzeszczowicz głos zabrał i mówił zwolna i dobitnie:

— Nieraz trafiało się — rzekł — we wszystkich wojnach, że oblężona forteca okupowała się oblegającym, a wówczas ci odchodzili jak zwycięzcy, bo kto składa okup, ten tem samem zwyciężonym się uznaje.

Oficerowie, którzy z początku ze wzgardą i lekceważeniem słuchali słów mówiącego, teraz poczęli słuchać uważniej.

— Niech ten klasztor złoży nam jakikolwiek okup, — mówił dalej Wrzeszczowicz, — wówczas nikt nie powie, żeśmy go zdobyć nie mogli, jeno, żeśmy nie chcieli.

— Ale czy oni się zgodzą? — spytał książę Heski.

Moją głowę w zakład stawię — odparł Weyhard —

i więcej nad to: mój honor żołnierski!

— Może to być! — rzekł nagle Sadowski. — Mamy dość tego oblężenia my, ale mają go dość i oni. Co wasza dostojność o tem myśli?

Müller zwrócił się do Wrzeszczowicza.

— Niejedną ciężką, cięższą niż kiedykolwiek w życiu chwilę przebyłem z przyczyny waszych rad, panie hrabio, jednak za tę ostatnią dziękuję i wdzięczność zachowam.

Wszystkie piersi lżej odetchnęły. Rzeczywiście nie mogło już chodzić o nic innego, jak o wycofanie się z honorem.

Nazajutrz, w dzień świętego Szczepana, oficerowie zgromadzili się co do jednego, aby wysłuchać odpowiedzi księdza Kordeckiego, na list Müllera, który obejmował propozycję okupu. a był wysłany od rana.

Przyszło długo czekać. Müller udawał wesołość, ale przymus był widoczny w jego twarzy. Nikt z oficerów nie mógł usiedzieć na miejscu. Wszystkie serca biły niespokojnie.

Książę Heski i Sadowski stali pod oknem, rozmawiając zcicha.

— Co waszmość myślisz? zgodzą się? — zapytał pierwszy.

— Wszystko za tem mówi, że się zgodzą. Ktoby nie chciał pozbyć się tak straszliwego bądź co bądź niebezpieczeństwa za cenę kilkunastu tysięcy talarów, zwłaszcza, że mnisi światowych ambicyj i żołnierskich honorów nie mają, a przynajmniej mieć nie powinni. Boję się tylko, czy jenerał nie za wiele zażądał.

— Ile zażądał?

— Czterdzieści tysięcy talarów od mnichów, a dwadzieścia od szlachty. No! ale w najgorszym razie będą się chcieli potargować.

— Ustępujmy, na Boga, ustępujmy! Gdybym wiedział, że nie mają pieniędzy, wolałbym im ze swoich pożyczyć, byle chociaż z pozorem honoru pozwolili nam odejść.

— A ja powiem waszej ks. mości, że lubo tym razem

uznaję radę Wrzeszczowicza za dobrą i wierzę w to, że się okupią, taka mnie gorączka trawi, że wolałbym dziesięć szturmów, niż to oczekiwanie.

— Uf! masz waszmość słuszność. Ale ten Wrzeszczowicz jednak... może zajść wysoko...

— Choćby na szubienicę.

Rozmawiający nie odgadli. Hrabiego Weyharda Wrzeszczowicza czekał bowiem gorszy los nawet od szubienicy.

Lecz tymczasem huk wystrzałów przerwał im dalszą rozmowę.

— Co to? strzały z fortecy?! — krzyknął Müller.

I zerwawszy się jak opętany, wybiegł z izby.

Wybiegli za nim wszyscy i poczęli nasłuchiwać. Odgłos regularnych salw dochodził istotnie z fortecy.

— Dlaboga! jakie to może mieć znaczenie?... Biją się w środku, czy co?! — wołał Müller — nie rozumiem!

— Ja to waszej dostojności wytłumaczę: — rzekł Zbrożek — dziś święty Szczepan, imieniny panów Zamoyskich, ojca i syna, na ich to cześć strzelają.

Wtem i okrzyki wiwatowe doszły z fortecy, a za niemi nowe salwy.

— Dość mają prochów! — rzekł ponuro Müller. — To nowa dla nas wskazówka.

Lecz los nie oszczędził mu i drugiej, bardzo bolesnej wskazówki. Oto żołnierze szwedzcy tak już byli zniechęceni i na duchu upadli, że na odgłos strzałów fortecznych, oddziały pilnujące najbliższych szańców, opuściły je w popłochu.

Müller widział cały jeden regiment wybornych strzelców smalandzkich, który w zamieszaniu schronił się aż pod jego kwaterę; słyszał także, jak oficerowie powtarzali między sobą na ten widok:

— Czas, czas, czas odstąpić!

Lecz powoli uspokoiło się wszystko — jedno wrażenie pognębiające zostało. Wódz, a za nim podkomendni, weszli znów do izby i czekali, czekali niecierpliwie; nawet nieru-

choma aż dotąd twarz Wrzeszczowicza zdradzała niepokój.

Nakoniec brzęk ostróg rozległ się w sieni i wszedł trębacz, cały zarumieniony od mrozu, z wąsami okrytemi szronem od dechu.

— Odpowiedź z klasztoru! — rzekł, oddając sporą paczkę obwiniętą w chustkę kolorową, związaną sznurkiem.

Müllerowi drżały nieco ręce i wolał przeciąć sznurek puginałem, niż odwiązywać go zwolna. Kilkanaście par oczu utkwionych było nieruchomo w paczkę, oficerowie oddech wstrzymali.

Jenerał odwinął jeden skład chusty, drugi, trzeci, i odwijał coraz śpieszniej, aż wreszcie na stół wypadła paczka opłatków.

Wówczas pobladł i choć nikt nie potrzebował objaśnienia, co znajdowało się w chustce, rzekł:

— Opłatki!...

— Nic więcej? — spytał ktoś z tłumu.

— Nic więcej! — odpowiedział jak echo jenerał.

Nastała chwila milczenia, przerywana tylko głośnemi oddechami, czasem też rozległ się zgrzyt zębów, czasem trzaśnięcie rapierem.

— Panie Wrzeszczowicz! — rzekł wreszcie Müller strasznym i złowrogim głosem.

— Niema go już! — odpowiedział jeden z oficerów.

I znów nastało milczenie.

Natomiast w nocy zapanował ruch w całym obozie. Ledwie światła dzienne zagasły, słychać było głosy komendy, przebieganie znacznych oddziałów jazdy, odgłos regularnych kroków piechoty, rżenie koni, skrzyp wozów, głuchy turkot dział, zgrzytanie żelastwa, dźwięk łańcuchów, szum, gwar i wrzenie.

— Czy nowy szturm na jutro? — mówili strażnicy przy bramach.

Lecz nie mogli nic widzieć, bo z wieczora niebo zawlokło się chmurami i począł padać śnieg obfity.

Gęste jego płaty przesłaniały świat. Około piątej w no-

cy wszystkie odgłosy ucichły, lecz śnieg padał coraz gęstszy. Na murach i blankach wież utworzył nowe mury, nowe blanki. Pokrył cały klasztor i kościół, jak gdyby go chciał ukryć przed wzrokiem najezdników, otulić i osłonić przed ognistemi pociskami.

Nakoniec poczęło szarzeć i dzwonek ozwał się już na jutrznię, gdy żołnierze, strażujący przy południowej bramie, usłyszeli parskanie konia.

Przed bramą stał chłop, cały zasypany śniegiem; za nim widać było na wjazdowej drodze niskie, małe sanki drewniane, zaprzężone w chudą i poszerszeniałą szkapę.

Chłop począł „zabijać“ ręce, przestępować z nogi na nogę i wołać:

— Ludzie, a otwórzcie tam!

— Kto żywie? — zapytano z murów.

— Swój, ze Dzbowa!... Przywiozłem dobrodziejom zwierzynę.

— A jakże cię to Szwedy puścili?

— Jakie Szwedy?

— Którzy kościół oblegają.

— Oho, niemasz już nijakich Szwedów!

— Wszelki duch Boga chwali! Odeszli?

— Juże za niemi i ślady zasypało!

Wtem gromady łyczków i chłopów zaczerniały na drodze; jedni jechali konno, drudzy szli piechotą; były i niewiasty, a wszyscy zdaleka już wołać poczęli:

— Niemasz Szwedów! niemasz!

— Poszli do Wielunia!

— Otwórzta tam bramy! Ni człeka w obozie!

— Szwedzi odeszli! Szwedzi odeszli; — poczęto wołać na murach i wieść piorunem rozbiegła się w okrąg.

Żołnierze dopadli dzwonów i uderzyli we wszystkie, jakby na alarm. Kto żył, wypadał z cel, mieszkań, z kościoła.

Wieść brzmiała ciągle. Podwórzec zaroił się zakonnikami, szlachtą, żołnierstwem, niewiastami i dziećmi. Ra-

Josne okrzyki rozległy się dokoła. Jedni wypadali na mury, aby pusty obóz obejrzeć; inni wybuchali śmiechem lub szlochaniem.

Niektórzy nie chcieli wierzyć jeszcze; lecz napływały coraz nowe gromady tak chłopstwa, jak i mieszczaństwa.

Szli tedy z miasta Częstochowy i z wiosek okolicznych i z lasów pobliskich, gwarno, wesoło i ze śpiewaniem. Krzyżowały się coraz nowe wieści; każdy widział odchodzących Szwedów i opowiadał, dokąd odchodzili.

W kilka godzin później pełno było ludzi na pochyłości i na dole pod górą. Bramy klasztoru otwarły się szeroko, jako zwyczajnie bywały przed wojną otwarte; jeno wszystkie dzwony biły, biły, biły... a owe głosy triumfu leciały w dal i słyszała je cała Rzeczpospolita.

Śnieg zasypywał ciągle ślady Szwedów.

*

* *

O południu dnia tego kościół był tak nabity, że jako na brukowanych ulicach miejskich kamień leży jeden obok drugiego, tak tam głowa była przy głowie. Sam ksiądz Kordecki miał mszę dziękczynną, a tłumom ludzkim zdawało się, że to biały anioł ją odprawia. I zdawało się także, że duszę wyśpiewa w tej wotywie lub, że z dymami kadzideł uniesie się ku górze i rozwieje Bogu na chwałę.

Huk dział nie wstrząsał już murów, ani szyb w oknach, nie zasypywał kurzawą ludu, nie przerywał modlitw, ani tej dziękczynnej pieśni, którą wśród uniesienia i płaczu powszechnego zaintonował święty przeor:

„Te Deum laudamus!“

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

